

Królowa rosyjskiego kryminału obyczajowego.
Ponad 40 milionów sprzedanych egzemplarzy!

Polina Daszkowa <

DLA
NIKITY



Ali-Baba

VIDEOGRAF II

SERIA I KOBRA



Polina Daszkowa

Dla Nikity

Z języka niemieckiego przełożyła

Magdalena Michalik

VIDEOGRAF II Katowice



*Autorka składa podziękowania podpułkownikowi milicji
Kiryłowi Iwanowowi za jego pomoc i moralne wsparcie
podczas pracy nad powieścią.*

*Miej mię, za jaki chcesz, instrument: przędac', rozstroić mię
potrafisz, ale zagrać na mnie - nigdy.*

William Szekspir, *Hamlet*
(tłum. Józefa Paszkowskiego)

Rozdział 1

Fiedka siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami, stopami wywiniętymi w górę. Jego łysa głowa odchylona była do tyłu, a błękitne oczy spoglądały nieruchomo w sufit. Kołysał się lekko w przód i w tył, a w środku coś w nim brzęczało i wibrowało.

- Om... om... - wargi ledwie się poruszały, dźwięk wydobywał się z trzewi.

Jeszcze przed rokiem jego „om” brzmiało cienko i dziecinnie, teraz wchodził w okres mutacji. Fiedka wyrósł, nad górną wargą sypnął mu się ciemny puszek, na czole pojawiły się liczne pryszcze.

- Witaj, synku - powiedział Jegorow, próbując się uśmiechnąć. Chłopiec nie przestał się kołysać.

- Fiedka, dzień dobry! - powiedział Iwan Pawłowicz nieco głośniejszym głosem i pod presją wyczekującego wzroku lekarza sięgnął do aktówki.

- Nie słyszy pana - przypomniał lekarz i szybko schował banknot do kieszeni. - Ale proszę nie za długo. Ostatni raz miałem nieprzyjemności.

- Czy mógłbym zostać z nim sam na sam?

- W żadnym wypadku.

- Nie mam już więcej przy sobie. Odwdzięczę się następnym razem...

- To nie o to chodzi - doktor skrzywił się. - Proszę posłuchać, nie jest pan przypadkiem chory? Marnie pan wygląda. Schudł pan.

Jegorow rzeczywiście źle wyglądał. Przed pięcioma minutami przelotnie ujrzał swoją twarz w lustrze szpitalnego holu i musiał przyznać, że cienie

pod oczami stały się jeszcze głębsze. Jego głowa zaczynała przypominać czaszkę: całkiem łysa, zapadnięte policzki.

- Tak, nie za dobrze się czuję - pokiwał głową. - Za wysokie ciśnienie, to te burze magnetyczne.

- No dobra. To wyjdę zapalić - zlitował się lekarz.

- Dzięki. Zrewanżuję się - szepnął Iwan Pawłowicz w ślad za białym fartuchem.

Drzwi były otwarte.

- Jak się miewasz, synku? - przysiadł się do chłopca i pogłaskał go po ciepłej, łysej głowie.

- Om... om...

- Lekarz mówi, że nic nie jesz. Co, tak ci przyjemnie, jak cię karmią na siłę? Musisz jeść, Fiedka. Wszystko przyniosłem. Przecież ty jeszcze ro- śniesz. Wkrótce staniesz się mężczyzną i musisz być silny.

Fiedka przestał się huścić. Powoli spuścił głowę, broda opadła mu na piersi. Rozchyliła się szpitalna piżama, ukazując tatuaż pod dołkiem. Pięcioramienna gwiazda stojąca na jednym ramieniu i wpisana w okrąg. Skóra wokół pentagramu w dalszym ciągu była zaczerwieniona i podrażniona, choć od wytatuowania znaku minęło już prawie pięć lat.

- No powiedz coś, synku.

Oczy chłopca zasnuły się matowym welonem, jak u śpiącego ptaka. Jego- row próbował rozplatać kurczowo skrzyżowane chude nogi syna i przypomniało mu się, jak Fiedce po raz pierwszy udało się usiąść w pozycji lotosu.

Chłopiec wykręcał stopy, cały czerwony i mokry z wysiłku. Naprzeciwno, na sfilcowanym dywanie siedziała jego matka, starszy brat i z dwadzieścia innych osób. Wszyscy w prześcieradłach, z bosymi stopami skierowanymi w górę, huścili się i powtarzali nieprzyjemny wibrujący dźwięk: „om!”.

Iwan Pawłowicz zamarł na progu. Chciał ich wyśmiać. Dorośli ludzie w prześcieradłach siedzą w kręgu i muczą jak stado krów - wydało mu się to po prostu śmieszne. Jednak, gdy przyjrzał się bliżej, uśmiech zamarł mu na ustach. Twarze sprawiały wrażenie gipsowych masek. Oczy martwe, nieruchome. Pomruk na kilka głosów - męskich, kobiecych i dziecięcych - rozchodził się po sali gimnastycznej typowej moskiewskiej szkoły jak ciężki, trujący gaz.

Dyrektor po godzinach wynajmował pomieszczenie grupie o nazwie „Zdrowa rodzina”. Gimnastyka, joga, alternatywne odżywianie, droga do duchowej i cielesnej doskonałości. Spotkania były bezpłatne i odbywały się trzy razy w tygodniu, od szóstej do dziewiątej.

Jegorow rozpoznał w tym muczącym kręgu swoją żonę i dzieci. Jako pierwszego Fiedkę. Dziecięca twarz nie utraciła jeszcze normalnej ludzkiej mimiki. Chłopiec marszczył czoło, próbując umieścić wywinięte stopy na zgiętych kolanach. Krótka fryzura lepila mu się od potu.

- Fiedka, synku! - zawołał cicho Iwan Pawłowicz.

Dokładnie w tej samej chwili dziecięce nóżki splotły się wreszcie w prawidłowy zakrętas.

- Udało się! - zawołał radośnie i przyłączył się do chóru.

Pośrodku kręgu siedział starszy, ogolony na łyso Azjata w przepasce na biodrach. Na jego nieowłosionej kłacie widniał czarny pentagram, pięcioramienna gwiazda wpisana w okrąg. Wąskie oczy wpatrzone były w Jegorowa, który poczuł, że ten wzrok parzy go w skórę, uczuciu temu jednak nie ufał, bo kto to widział, żeby ludzkie spojrzenie z odległości dziesięciu metrów potrafiło palić jak kwas!

- A to co znowu za czary-mary? - zapytał więc głośno i zdecydowanym krokiem zbliżył się do muczącego kręgu, by wyrwać z niego żonę i dzieci.

Azjata nie odezwał się ani słowem, musiał jednak dać komuś jakiś znak, bo już po chwili Jegorowowi wprawnym chwytem wykręcono ręce na plecy tak, że nie mógł się ruszyć. Próbował się wyrwać.

- Co to ma być! Proszę mnie puścić!

Wówczas, przed pięcioma laty był jeszcze silny. Metr dziewięćdziesiąt, dziewięćdziesiąt kilo żywej wagi, zero tłuszczu, same mięśnie. Jednak osoba za plecami musiała być jeszcze potężniejsza.

- Oksana! Sławik! Fiedka! - Jegorow wykrzykiwał imiona swoich bliskich, lecz ci go nie słyszeli. Jego okrzyki zupełnie nikły w pomruku dwudziestu gardeł. Jegorow próbował się wyrwać. Dopiero wtedy pomyślał, że muszą go przytrzymywać dwie osoby. Jedna trzymała go w żelaznym uścisku, druga przyłożyła mu kantem dłoni w kark. Profesjonalny cios. Jegorow prawie zemdlął z bólu; zebrał wszystkie siły i wreszcie zobaczył, kto go trzymał i bił: ogromne babsko w czarnych dżinsach i czarnym golfie. Nieznośnie cuchnęło potem. Twarzy nie mógł dojrzeć, tylko kolczyk w kształcie

krzyża. Zwyczajny prawosławny krzyż, tyle że odwrócony.

Po trzecim ciosie Jegorow był już tylko poskręcaną z bólu kupą nieszczęścia. Przed oczami tańczyły mu gwiazdy i dudniło w uszach. Potem zrobiło się ciemno.

Gdy otwarł oczy, znajdował się na ławce na szkolnym dziedzińcu; znów siedział, lecz nie mógł się ruszyć. Jego niebieska lotnicza kurtka była rozpięta, nie miał czapki.

Jegorow podniósł rękę z uczuciem, że waży ona chyba z tonę. Potarł się garścią brudnego, błotnistej śniegu i z bólu aż zazgrzytał zębami. Twarz go piekła, jakby mu kto pociął skórę ostrzem. Wściekłość pomogła mu dojść do siebie i wreszcie wstał.

Szkoła była zamknięta. Zakratowane okna położonej w suterenie sali gimnastycznej były ciemne. Obszedł cały budynek. Martwa cisza. Nigdzie żywej duszy. Spojrzał na zegarek: była północ.

Jego żona i dzieci leżały już w łóżkach i spały. Spojrzał do lustra i zobaczył, że twarz ma czerwoną i poobijaną. Jednak na szyi, pod uchem nie było nawet najmniejszego śladu, nawet siniaka.

- Ach, Iwan, jesteś już? - zapytała Oksana zaspanym głosem, gdy usiadł na łóżku i pogłaskał ją po głowie.

- Gdzie byliście dzisiaj wieczorem?

- Na spotkaniu, w grupie. Przecież wiesz.

- Byłem tam. Nie słyszeliście mnie, ani nie widzieliście. Wszyscyście wyglądali jak ślepi i głusi. Jak trupy! Oksana, obudź się wreszcie! Pobili mnie i wyrzucili jak bezpańskiego psa.

- Co ty gadasz, kochany, słodki ty mój! - Nie otwierając oczu, roześmiała się obcym, gardłowym śmiechem nimfy, objęła go za szyję, przyciągnęła do siebie, pocałowała miękkiimi, ciepłymi ustami, zręcznie rozpinając guziki jego koszuli.

Jegorow żył ze swoją żoną już od piętnastu lat, znał każdy jej ruch, brzmienie głosu, rytm oddechu, jednak kobieta, która teraz całowała go w usta i rozbierała, była jakąś inną, zupełnie mu nieznaną Oksana.

Jego cicha i nieśmiała żona, która nawet w najintymniejszych momentach wzdragała się przed zbyt burzliwym wyrażaniem uczuć, z obawy, by nie obudzić dzieci, która zawsze miała obawy, czy łóżko aby nie skrzypi, stała

się nagle nienasyconą, bezwstydną i doświadczoną nimfomanką.

Gdzie, kiedy i od kogo się tego nauczyła? Wszystko w niej było inne: dłonie, ciało, usta. Nawet zapach. Zamiast szamponu jabłkowego i wody kolońskiej rozsiewała ciężki, korzenny zapach olejku różanego i gąłki muszkatołowej.

- Obudziły się we mnie siły, które zawsze tam drzemały - spokojnie wyjaśniła następnego ranka. - A co, może ci się nie podobało?

- Kto cię tego nauczył? - ponuro zainteresował się Jegorow.

Odpowiedziała tym samym obcym, gardłowym i głuchym śmiechem.

- Czegoś takiego uczy się latami. Nie, nie latami - całymi wiekami. To pamięć genetyczna. Szczególna energia, która rozwija się tylko u wybranych, u istot wyższych. Obudził się we mnie promienisty, wolny duch wielkiej Mai.

- Mai? Oksana, co ty gadasz?

- Maja to wielka Szakti, matka stworzenia. W jej brzuchu spoczywa Urei, oplatający cały wszechświat duch Wielkiego Ojca. Przez taniec życia, jego wibrację, energia Mai wypełnia wymagowaną materię...

- Już tam nie pójdziecie. Ani ty, ani dzieci.

- Powiedz tylko, nie podobało ci się dzisiaj w nocy? - rozpięła nylonowy płaszcz, pod którym była kompletnie naga i podeszła do niego. Jej oddech stał się szybszy i bardziej ochrypły, a jej śmiech wydał się Jegorowowi uśmiechem śmierci.

Minęło już pięć lat, a wciąż szczegółowo pamiętał tamtą grudniową noc. Wtedy wszystko się zaczęło. W każdym razie dla niego. Dla żony i dzieci zapewne wcześniej. Oksana i Sławik prawdopodobnie już nie żyli. Fiedka miał za sobą śmierć kliniczną i wszystkie formy psychiatrycznej terapii - od psychotropów i elektrowstrząsów po hipnozę. Lekarze nie mogli nic obiecać, marszczyli wieloznacznie czoła i nie byli w stanie zdecydować się na ostateczną diagnozę. Jegorow już ich przestał słuchać. Stracił do nich zaufanie. Tylko dlatego nadal pozostawiał Fiedkę w szpitalu, bo jak dotąd nie było możliwości, by zapewnić mu opiekę w domu.

- Fiedka, czy pamiętasz jeszcze Siniedolsk? Polecieliśmy tam raz, jak byłeś mały. A babcię pamiętasz?

Chłopiec drgnął i przez chwilę Jegorow miał wrażenie, że w odpowiedzi pokiwał głową.

- Akurat skończyłeś trzy lata. Obchodziliśmy tam twoje urodziny, razem z babcią. Podarowała ci ciężarówkę, tak ogromną, że sam się do niej mieściłeś.

Fiedka zamarł na chwilę i Jegorow znów odniósł wrażenie, że syn go słyszy i rozumie.

- Jeszcze troszkę cierpliwości, synku, już niedługo wszystko będzie dobrze - mówiąc to, starał się rozplatać skrzyżowane nogi chłopca. - Wyciągnę cię stąd, pojedziemy gdzieś daleko, tam, gdzie czyste powietrze, lasy sosnowe i kryształowa woda w rzece. I wtedy poczujesz się lepiej.

Za każdym razem Jegorow mruczał te same słowa o czystym powietrzu i kryształowej wodzie, i za każdym razem próbował rozkrzyżować jego poskręcane nogi, poluzować pokurczone mięśnie, obawiając się, by nie zadać mu bólu, choć przecież wiedział, że Fiedka nie odczuwa bólu.

- Nie trzeba, proszę się nie męczyć - usłyszał za sobą głos doktora i drgnął. Lekarz podszedł całkiem cicho i już od kilku minut w milczeniu obserwował daremne próby Jegorowa.

- Tylko zastrzyk pomoże. Rozluźni skurcz. Zaraz przyjdzie siostra. Czas już na pana. Wszystkiego dobrego.

Jegorow opuścił szpital z lekkim sercem. Ostatnimi czasy było mu znacznie łatwiej. Mimo sceptycznych uśmiezków lekarzy, mimo pustki w oczach syna, budziła się w nim uparta nadzieja.

* * *

Dzwonek zapowiadał rozmowę międzymiastową. Nikita Rakitin bez pośpiechu wyszedł z wanny, założył płaszcz kąpielowy i podszedł do telefonu, ale nie od razu odebrał. Nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Witaj, pisarzu Godunowie. Dlaczego nie odbierasz? - rozległ się apodyktyczny stłumiony baryton.

- Byłem w wannie.

- Ach tak! A jak tam idzie praca?

- Normalnie.

- Słyszałem, że wybierasz się na tydzień do Turcji.

- Owszem. I co?

- Dlaczego nic nie powiedziałeś?

- A co, muszę?
- W każdym razie nie zawadziłoby mnie powiadomić. No, ale nie mam ci tego za złe. Wypocznij sobie, nabierz sił. A córka, dlaczego z tobą nie je- dzie?

- Jeszcze nie ma wakacji.

- Rozumiem. No to w takim razie mógłbyś zabrać ze sobą tę twoją dziennikareczkę. Świetna dziewczyna, nawiasem mówiąc. Widziałem ją ostatnio w telewizji, w jakimś młodzieżowym programie. To coś poważnego?

- Wybacz, ale czy muszę ci się z tego spowiadać? - dopytywał się bez entuzjazmu Nikita.

- Już dobra, stary, nie denerwuj się. Tylko zapytałem. Po przyjacielsku. Najważniejsze, żeby twoje życie prywatne nie kolidowało z pracą.

Nikita wyobraził sobie nagle, jak jego rozmówca przy tych słowach klepie go po plecach. Zawsze, ilekroć zwracał się do kogoś „stary”, musiał go też protekcyjnie poklepać po plecach. Dobrze, że teraz dzieliły ich tysiące kilometrów.

- Bez obaw, nie będzie - Nikita ziewnął prosto w słuchawkę.

- Cieszę się, że to słyszę. - Rozmówca odkaszlnął. - Na której stronie teraz jesteś?

- Na dwieście piętnastej. Zadowolony?

- W pełni. W zasadzie to tylko to chciałem wiedzieć. Nie mogę się już doczekać, żeby to przeczytać. No dobra, stary. To sobie wypoczywaj, a potem pełen nowych sił zabierz się do roboty. Kiedy wylatujesz?

- Dzisiaj w nocy.

- Mam wysłać po ciebie samochód?

- Dziękuję. Poradzę sobie.

- Aha. O co to ja miałem jeszcze zapytać? Dlaczego wybrałeś taki tani wyjazd? Jakies szemrane biuro podróży. Trzygwiazdkowy hotel?

- Trzygwiazdkowe hotele bywają całkiem przyzwoite.

- Tak? No, jak uważasz. Ja tam nie wiem. Zadzwoń, jak wrócisz.

- Na pewno. Trzymaj się.

Nikita odłożył słuchawkę, włączył czajnik elektryczny i wypalił papierosa przy otwartym kuchennym oknie. Pewnie po tym telefonie skończy się to kontrolowanie. Tydzień spokoju.

Miał jeszcze dwie godziny. Nalał sobie herbaty, włożył kasetę do dyktafonu i założył słuchawki.

- Zawsze chciałem być pierwszy - oznajmił ten sam przywykły do rozkazów baryton. - Od dziecka starałem się walczyć o swoje prawa. Nawet sobie nie wyobrażasz, stary, jakie to trudne.

Półtora miesiąca temu, kiedy powstało to nagranie, po każdym „starym” jak na komendę pojawiała się poklepywanie po plecach.

- Twoje prawa do czego? - usłyszał sam siebie Nikita.

- Do życia. Dobrego, dostatniego życia. Do władzy, jeśli chcesz.

- Władzy nad czym?

- Nad innymi. Rozumiesz, było mi to jakby pisane. Choć może jednak nie do końca. Jestem nieślubnym dzieckiem.

- A czy w dzisiejszych czasach to ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie? - To zależy. Mój ojciec należał do partyjnej wierchuszki. Gruba ryba.

- Tak, wiem. Wystarczająco często już o tym wspominałeś.

- Za każdym razem opowiadałem co innego. Byłem młody i głupi.

- Kłamałeś? - zapytał Nikita wyrozumiale, bez cienia ironii.

- No tak, kto dzisiaj nie kłamie. To z moim ojcem to czysta prawda. Ale matka...

- Opowiadałeś, że była lekarką, ortopedą, czy jakoś tak?

- Ludzie, ale ty masz pamięć, stary! Nigdy bym nie powiedział, szczerze mówię - głos zdradzał zdziwienie, a nawet rozczarowanie. Albo nieufność? W każdym razie nie dało się ukryć, że dobra pamięć Nikity nie była mu w smak. Milczał przez dłuższą chwilę, rozległ się trzask zapalniczki - najwyraźniej zapalał papierosa - potem powiedział zamysłony: - A co, miałem u ciebie w domu powiedzieć twoim inteligenckim rodzicom i surowej babci, że moja matka była kelnerką w łaźni?

- A dlaczego nie?

- Dlatego. Dziś już mi nie wstyd, czasy się zmieniły i zamieniliśmy się rolami. Czy ja wtedy, przed dwudziestu laty, mogłem sobie wyobrazić, że ty, Rakitin, spiszesz moją skromną biografię dla potomności? Sam chciałem zawsze napisać książkę. I mógłbym, bez dwóch zdań.

- Dlaczego w takim razie poprosiłeś o to mnie?

- Brak czasu. Jak to się pięknie mówi? Róbmy swoje. Ja jestem politykiem, a ty piszesz książki. W tej chwili pilnie potrzebujesz gotówki. Jak to się mówi, sprawa życia i śmierci. No to stwarzam ci możliwość, żebyś zarobił krocie. A sam potrzebuję biografii pierwsza klasa i nie zamierzam pozwolić, żeby mi ją wysmarował jakiś bezimienny dziennikarz. Książkę o

mnie musi napisać pisarz. Płacę porządnie, więc bądź grzeczny i porządnie mnie obsłuż. - Zdrowy, rubaszny śmiech, a potem rozmówca znów spoważniał.

- Nie bierz mi tego za złe. To był tylko żart.

- Nauczyłem się już cenić twoje poczucie humoru. Posłuchaj, ale po co to ukrywanie? Dlaczego nikt nie może wiedzieć, nad czym właśnie pracuję?

- Bo to ma być niespodzianka dla opinii publicznej.

- Pięknie - powiedział zamyślony Nikita i pomyślał: „Oj, kłamiesz, stary. Chętnie byś się pochełpił, że pisarz Wiktor Godunow odłożył na bok wszystkie swoje plany, żeby napisać książkę o twojej szacownej osobie, ponieważ twoja biografia jest dalece bardziej interesująca, niż jakieś tam fantazje Godunowa. Ale trzymasz ten fakt w tajemnicy z obawy, by nie dowiedziała się o tym pewna osoba. Człowiek ważniejszy dla ciebie niż ktokolwiek inny. Twoja żona. Wcale by jej się nie spodobało, że to ja cię, jak się wyraziłeś, »obsługuję«; zadałaby całą masę niewygodnych pytań, które mogłyby prowadzić do poważnego zachwiania waszym małżeństwem. Kiedyś, naturalnie, się dowie, ale wtedy książka będzie już gotowa...”

- Więc, jak to było z twoją matką?

- Matką? Była kelnerką. Wiesz, jedną z tych, które biegają z tacą po poczekalni w koronkowym fartuszkach, pytając: „Napije się pan herbaty, Piotrze Iwanowiczu?”. I poza tym koronkowym fartuszkami nic już na sobie nie mają. Najwyżej wstążkę we włosach. Tak, właśnie tak zostałem poczęty, w pocie sauny, przy samowarze. Półkrwi nomenklaturowiec.

- Może tak właśnie zatytułujemy książkę?

Zdrowy, perlisty śmiech. Nikita wciąż dobrze pamiętał, że rozmówca spojrzawszy potem na niego szklanym, złym wzrokiem.

- To nie powód do żartów. To mój ból.

Ciche pstryknięcie - na nowo zapalił wygasłego papierosa, a potem zaczął się przechadzać po pokoju.

- Za Chruszczowa mój ojciec miał posadkę w lokalnym Komitecie Partyjnym. Urodziłem się, jak wiesz, w pięćdziesiątym siódmym. W sześćdziesiątym czwartym, po upadku Chruszczowa, sygnął się cały ówczesny aparat partyjny. Mój tata awansował, miał zostać pierwszym sekretarzem, ale jakaś świnią zadenuncjowała go u Breżniewa, że niby ten towarzysz ma problemy

z moralnością. Nieślubne dziecko z dziewczyną z sauny. Myślał sobie, że Breźniew ostro potępi tak oczywisty nierząd, ale stało się inaczej. Breźniew powiedział: „Ten człowiek ma wielkie serce. Zbłądzić może każdy, ale wielu wypiera się potem swoich dzieci, a on uznał syna. Dobry człowiek”. No i mój ojciec z miejsca, jeszcze przy stole bankietowym w pałacu myśliwskim, został wybrany na pierwszego sekretarza w Siniedolsku. W zasadzie to karierę ojciec zawdzięcza właśnie mnie. I do ostatnich chwil mi tego nie zapomniał. W dodatku mój przyrodni brat, jego jedyny legalny spadkobierca, zaczął ostro pić. Miał już dwadzieścia pięć lat i nie miał zamiaru ani studiować, ani pracować, tylko ciągle był bohaterem jakichś skandali: to wybił szybę w restauracji, to znów na oczach wszystkich zaglądał jakiejś prowincjonalnej aktorce pod spódnicę. A raz w moskiewskim Domu Pracy Twórczej po prostu nasikał do fortepianu.

- I co się z nim stało?

- Z czym? Z fortepianem? - rozmówca znów serdecznie się uśmieł.

- Co się stało z fortepianem, to chyba jasne. A z twoim przyrodnim bratem?

- Też jasne. Zapił się. Siedzi teraz w wariatkowie i łowi małe zielone krokodyle. - Krótki śmiech, a potem głos stał się poważny i zamyślony. - Stary, w ogóle to tę rodzinną historię trzeba sobie dobrze przemyśleć. To podstawa. Kim był mój ojciec, wie cała okolica. Kłamstwo nie wchodzi w grę. Ale cała prawda też nie. Bo ta nie jest zbyt piękna. Był już koło pięćdziesiątki, mama ledwo skończyła osiemnaście. Oczywiście był dobrym człowiekiem, troszczył się o mnie. Mamie niczego nie brakowało, chodziłem do najlepszego żłobka, najlepszego przedszkola. Ale prawdziwe dzieci nomenklatury nie znały ani żłobka, ani przedszkola, dorastały w domu z opiekunkami i guwernantkami. A ja w przedszkolu bawiłem się z dziećmi ogrodników, szoferów, pokojówek i ochroniarzy, chociaż nie byliśmy sobie równi. Do szkoły poszedłem już jako nieślubny syn króla regionu. Książę po mieczu, czeladnik po kądzieli. I już masz prawdziwy życiowy dramat, pisarzu Godunowie! Oto sprzeczność, którą musiałem przezwyciężać w sobie samym i wobec innych od najmłodszych lat.

- To bardzo ciekawe - powiedział niespiesznie Nikita. - Ale jak zdołałeś przezwyciężyć tę sprzeczność?

- Chcesz przykładów? Dobra, daj mi się zastanowić. W czwartej klasie chłopcy palili papierosy na szkolnym podwórku i właśnie przechodziła dyrektorka. Szkoła najlepsza w regionie, dla uprzywilejowanych. Prawie wszystkie dzieci przywożono i odwożono czarnymi wołgami. Przy bramie strażnicy. Obok sali gimnastycznej basen ze szklaną kopułą. Na śniadanie - kawior i ananasy. Ale przy tym wszystkim iście żelazna dyscyplina, prawie wojskowa. Więc zbliża się do nas dyrektorka herod-baba, generał w spódnicy. Wszyscy zdążyliśmy jakoś zgasić nasze pety, tylko jeden, nie pamiętam już, kto taki, ze strachu wsadził sobie niedopalek do tylnej kieszeni spodni. Wytrzymał tylko minutę, a potem zaczął się drzeć jak wariat. Potem poszliśmy o zakład, czy taki ból da się wytrzymać. Wpadłem na pomysł, żeby gasić niedopalki na dłoni. Kto dłużej.

- No... i kto wygrał?

- Oczywiście ja.

Nikita przypomniał sobie, że po tych słowach rozmówca pokazał swoją lewą dłoń. Na wierzchu znajdowało się pięć okrągłych blizn, rozmiarów kopiejki.

- Taak. Co ja bym ci jeszcze mógł opowiedzieć? - zastanawiał się długo i wymamrotał wreszcie: - Może historię ze starą kopalnią złota... - zająknął się przestraszony. - Nie, to nieciekawe.

- Jak to. Kopalnia złota, to nawet bardzo ciekawe. Chciałem cię zapytać, jak zebrałeś swój kapitał początkowy? W końcu polityka nie kręci się bez pieniędzy. Wokół tego pytania będziemy krążyć w książce.

- Zgadza się. Nie da się tego ominąć. Pieniądze, to zawsze ciekawi. Ale teraz porozmawiajmy jeszcze o dzieciństwie. Mamie i tacie.

- I kopalni złota?

- Ale... to jakby zbyt romantyczne. Brzmi jak u Jacka Londona, czy coś. Poza tym nie ma nic wspólnego z moim kapitałem początkowym.

- No to tym bardziej możesz opowiedzieć. A co ja z tym zrobię, to już moja sprawa.

Nikita wciąż jeszcze wyraźnie widział przed sobą napiętą i skoncentrowaną minę. Najwyraźniej miał powody, żeby ganić samego siebie za własne gadulstwo.

Wówczas, półtora miesiąca temu, jeszcze nie przeczuwał, jak istotne były to powody.

Godzinę później wsiadł do taksówki i pojechał do Tani. Został u niej niespełna pół godziny, wypił filiżankę mocnej kawy. Tania zawiozła go moskwiczem na lotnisko.

- Hotel na pewno będzie marny, a na dole co wieczór będzie dudnić dyskoteka, a może nawet będą mieć jakiś dom uciech - powiedziała i pocałowała go na pożegnanie.

- A plaża będzie daleko, i w dodatku brudna - uzupełnił.

- Ale czy to cię powinno martwić? - uśmiechnęła się i szybko pobłogosławiła go znakiem krzyża.

Faktycznie go to nie martwiło, ponieważ nie leciał do Turcji, lecz na zachodnią Syberię. Nie wiedział, czy postępuje słusznie, miał wątpliwości, czy ta kosztowna podróż w ogóle ma jakiś sens. Ale dobrze wiedział: jeśli ma rację i nie jedzie nadaremno, to sprawa będzie śmiertelnie niebezpieczna.

Rozdział 2

Strzałów prawie nie było słycać. A przecież powinny były przeciąć moskiewską majową noc jak grzmoty. Ale zamiast tego tylko kilka głuchych puknięć. Rozbiło się szkło, zawył alarm, a potem milicyjne syreny.

Manekin w dresie Adidasa zachwiał się i przewrócił.

Radiowóz ruszył za czarnym jeepem. Normalnie jeep na wszelki wypadek ponownie by zahamował - żeby oddać kontrolny strzał. Ale milicyjny mercedes z wyjącą syreną wyjechał zza rogu i było już za późno.

Jeep pędził sto dwadzieścia na godzinę po opustoszałym Leningradzkim Prospekcie. Podpułkownik wezwał przez radio jednostkę specjalną i karetkę.

Przy stacji metra Sokół jeep z piskiem skręcił w uliczkę, która rozwidlała się w trzech kierunkach. Gdy chwilę później radiowóz też w nią skręcił, uliczka była już pusta.

- Czarny jeep bez numerów - zgłosił podpułkownik przez radio. - Trzy osoby.

Pięć minut później przed rozbityą szybą wystawową sklepu sportowego zatrzymały się dwie furgonetki. Z jednej wyskoczył lekarz i sanitariusz pogotowia, z drugiej jednostka specjalna milicji. Wszyscy rzucili się w kierunku osoby leżącej na asfalcie i pokrytej odłamkami szkła. Lekarz przykucnął przy niej, zaraz wstał, spojrzął na obecnych i zapytał drwiąco:

- No, i gdzie mamy zwłoki, ludziska? Bo ja tu żadnych nie widzę.

Na chodniku leżał manekin.

Karetka natychmiast odjechała. Ludzie z milicji dokonali oględzin miejsca przestępstwa, znaleźli cztery łuski, świeży niedopałek papierosa marki Chesterfield i nic poza zwykłym ulicznym błotem i kupą szkla.

* * *

Komórka dzwoniła już od pięciu minut. Weronika Siergiejewna wyciągnęła rękę i sięgnęła w stronę szafki nocnej w poszukiwaniu telefonu.

- Wie pan, która jest godzina? Wpół do piątej! Śpi. Ja wiem, że pan z Moskwy... - Już chciała przerwać rozmowę, ale jej mąż podskoczył jak oparzony, wyrwał jej z ręki telefon i wyparował z pokoju, uderzając się przy tym głową o framugę drzwi.

- Cholera... Tak. Co jest?

Mąż starał się co prawda mówić cicho, ale po jego intonacji i lekkiej zadyszce Weronika poznała, że jest zdenerwowany.

- C... co? Idioci. Powinni włamać się do jego domu. Zmienić auto. Szybko. To twój problem... Do inauguracji ma to być załatwione. Jak uważasz... Koniec - uciął rozmowę.

Nika usiadła i włączyła ścienną lampkę.

- Co się stało, Grisza?

- Wszystko w porządku, Nika. Śpij dalej - powiedział, wchodząc do sypialni. Jego twarz była czerwona i pokryta potem. Na czole odznaczał się fioletowy guz.

- Czekaj. Trzeba przyłożyć lód - wstała, włożyła podomkę i poszła do kuchni.

- Nika, daj spokój, idź spać - powiedział Grisza głuchym, obojętnym głosem i ciężkim krokiem poczłapał w ślad za nią. - Lód nic tu nie pomoże.

- Grisza, co z tobą? Co to za telefony w środku nocy? Dlaczego nagle się tak zdenerwowałeś? Kto ma się włamać do czyjego domu i zmieniać auto? To brzmi jak w jakimś gangsterskim filmie.

Stał tuż przed nią. Oczy miał czerwone, zaognione.

- Też mi piękny pan gubernator, z guzem na czole. - Otworzyła zamrażalnik i wyciągnęła z formy kostki lodu. - Jutro rano przyjmujesz australijskich rolników, w południe masz spotkanie w kombinacie, a wieczorem przychodzi amerykański senator.

- Po prostu przypudrujesz mi to jakoś.
- Spróbuję - Nika skinęła i obwiązała kostki chusteczką. - Grisza, mogłabym nie pójść na spotkanie z senatorem? Jak on się nazywa? Dowley? Downley?

- Richard McDendley.

- A, właśnie. Półtora roku temu gościł nas w Kolorado. Tłuścioch z damskim głosem.

- Nie, Nika. Musisz iść. Przyjeżdża z małżonką. A po spotkaniu będzie specjalny koncert i uroczysta kolacja. - Opadł na krzesło i złapał się za głowę, żeby przyłożyć sobie lodowy kompres.

- Niech będzie. Skoro tak trzeba. Ale co się stało?

Czuła, że nie powinna pytać. Prawdy i tak jej nie powie; siedział ze spuszczonym wzrokiem i gorączkowo szukał jakiejś wiarygodnej wymówki. Właściwie nigdy nie wtykała nosa w sprawy męża, ale ten nocny telefon bardzo jej się nie spodobał, podobnie jak słowa Griszy, jego ton, czerwona twarz, krople potu i rozbiegane oczy.

- Wystarczy. - Odłożył łód. - Chodźmy spać. Jutro czeka nas ciężki dzień.

- Oczywiście, że będzie ciężki, skoro w środku nocy masz jakieś telefony. Co się stało?

- Ci idioci. - Objął ją w pasie i wytarł spoconą twarz w jej podomkę. - Doradca prezydenta za dużo wypił w Moskwie, w kasynie, mieli go odwieźć do domu i zgubili po drodze - mruknął niewyraźnie. - Ale czym ty się martwisz, dziewczyno? Idź już spać.

Gdy byli już w łóżku i zgasili światło, pomyślała, że naprawdę jest wyczerpany. Czy ona na jego miejscu by nie była? Kampania wyborcza pełna brudu i intryg; góra pięć godzin snu i tak przez dwa miesiące. Podróże po całym ogromnym regionie, niekończące się spotkania, wiece wyborcze. Wynik przerósł wszelkie oczekiwania. Sześćdziesiąt sześć procent głosów - niekwestionowane zwycięstwo. Ale był u kresu wytrzymałości nerwowej i z pewnością bolała go też głowa. Stosunkowo głupio i nieumiejętnie nakłamał.

Wszystkich doradców prezydenta, z którymi był zaprzyjaźniony, Nika знаła osobiście i żadnego z tych poważnych i ostrożnych panów nie była sobie w stanie wyobrazić pijanego i włóczącego się po Moskwie. Nawet jeśli miało to być prawdą - to dlaczego akurat Grisza, dopiero co wybrany na

gubernatora Siniedolska - miałyby z Syberii rozwiązywać taki absurdalny problem i popadać przy tym w nerwowość, zlewać się zimnym potem?

- Wyłączyłaś komórkę? - zapytała, odwracając się do ściany.
- Naturalnie. - Gwałtownie, wręcz grubiańsko odwrócił ją do siebie. - Nika, kochasz mnie?
- Bardzo cię kocham, Griszeńka.
- Mów mi to częściej, dziewczyno.

Następny telefon z Moskwy powtórzył się o siódmej. Nika jeszcze smacznie spała i nie słyszała, jak zadzwoniła komórka na kołdrze, ani jak jej mąż wyslizgnął się z łóżka i na paluszkach wymknął z pokoju; nie mogła też zauważyć, że po tej drugiej, dłuższej rozmowie stał się jeszcze bardziej nerwowym. Teraz pot spływał mu wielkimi kroplami i wpadał za kołnierz jedwabnej piżamy.

Guz na czole bolał jak diabli. Wyszedł na balkon, wciągnął chciwie chłodne, wilgotne powietrze i zamarł na kilka minut z rozdętymi nozdrzami, zmrużonymi oczami i dłońmi zaciśniętymi w pięść.

Do inauguracji zostało jeszcze siedem dni.

Pedant na pewno straciłby życie tamtej nocy na Leningradzkim Prospekcie przed sklepem i w moskiewskich statystykach kryminalnych, zamiast bandyckiego wybryku popełnionego przez pijanych opryszków w jeepie, zarejestrowano by jeszcze jedno zabójstwo na zlecenie.

Pedant bez wątpienia nie uszedłby z życiem. Jednak chaotyczny Rakitin owszem. Nadepnął na swoją rozwiązana sznurówkę i sekundę przed strzałem leżał już na chodniku. Potem zza rogu wyjechał milicyjny radiowóz.

Hałas i wycie syreny wyrwało go z odrętwienia. Zerwał się i zapomniał o rozbitym kolanie. Zorientował się, że jeep wróci, żeby oddać kontrolny strzał. Jednak wtedy z okna wystawy spadł manekin. I to jemu przypadły w udziale przeznaczone dla Rakitina kule.

Rakitin, kuśtykając, wbiegł na podwórko za sklepem. To był prawdopodobnie błąd. Po pierwsze, nie powinien był uciekać, tylko poczekać na funkcjonariuszy, żeby mogli wszcząć postępowanie w sprawie usiłowania zabójstwa. Po drugie, skoro już uciekł, to w żadnym wypadku nie powinien był

udawać się do domu, w końcu dobrze wiedział, że znów się pojawią i doprowadzą swoją robotę do końca. Każdy normalny człowiek zastanowiłby się, gdzie się ukryć.

Ale normalny człowiek nie potyka się też o własne sznurówki.

* * *

Fiedka Jegorow ciągle widział przed sobą twarz Guru. Skośne oczy wyglądały jak szparki, całkiem czarne, bez gałek. Przez te szparki w płaskiej twarzy, smętnej bardziej niż księżyc zimą, obserwowawała chłopca ogromna kosmiczna pustka. Fiedka skulił się, stoczył ze szpitalnego łóżka na podłogę i jego nogi same się splątały. W pozycji lotosu zaczął się huścić i mrużyć. Tylko w ten sposób był w stanie pokonać przerażenie i w końcu zostawić za sobą tępy ból głowy.

Czasami wydawało się, że Fiedka się budzi. Nocami, kiedy nikt nic od niego nie chciał. Leżał z otwartymi oczami, wyciągnięty na twardym łóżku. Przed kratami w oknach tańczyły cienie gałęzi. Daleko za szpitalnymi murami widoczne były pojedyncze wyblakłe światła. W jego wspomnieniach boleśnie i powoli przesuwały się niewyraźne sylwetki, lekkie jak wycinanki z papieru. Ciche i rozmyte, jak spod warstwy wody, były także dobiegające do niego głosy.

Nie wiedział, że lekarze określają to jako zespół Korsakowa. Niczego z tego, co działo się wokół niego tu i teraz, nie traktował jako coś realnego. Rzeczywistość natychmiast znikła z jego świadomości, wypłukiwana stamtąd jak obrazek na piasku przez czarną kipieli. Dla Fiedki czas stanął w miejscu. Jego świadomość przebywała w pustej przestrzeni. Pustka była głucha i ciężka jak mokry filc.

Tylko od czasu do czasu docierało do niego słabe, odległe światło. Fiedka przeżywał skrawki swojej przeszłości: zakurzoną salę gimnastyczną, ludzi w białych prześcieradłach. Za każdym razem robiło mu się przy tym niedobrze, żołądek kurczył się boleśnie.

Guru tłumaczył, jak się właściwie odżywiać, żeby czakramy pozostawały otwarte, żeby ciało się oczyściło, stało zdrowsze, silniejsze i żeby wypełniła je kosmiczna energia. Oksana Jegorowa odżywiała synów kielkami pszenicy i ryżem namoczonym we wrzącej wodzie, bez soli i tłuszczu. Czasami chłopcy dostawali po garści lepkich rodzynek lub suszonych moreli. Raz w tygodniu wszyscy w trójkę pościli, przez cały dzień pijąc tylko specjalny wyciąg

z tybetańskich ziół i przegotowanej wody. Raz w miesiącu Oksana organizowała trzydniową głodówkę. Guru nauczał, że wilczy głód można zwalczyć dzięki wielogodzinnym medytacjom i polewaniu zimną wodą.

- Bóle głowy podczas oczyszczających głodówek świadczą o tym, że organizm zatruty jest niestrawionymi resztkami pokarmu - wyjaśniał Guru, więc Oksana wytrzymywała, zmuszając do tego i chłopców, surowo pilnując, żeby któryś czasem czegoś nie podjadał.

Każdy ranek rozpoczynał się od zimnych kąpeli. Dziecko kucalo w wannie, a Oksana wylewała mu na głowę wiadro lodowatej wody. To z miejsca otwierało istotne czakramy. Na początku chłopcy żałośnie wrzeszczeli, dostawali gęsiej skórki i siniąły im wargi. Potem się przyzwyczaili.

- Niczego nie osiąga się tak po prostu - wyjaśniał Guru. - Nie możecie zaniedbywać swojego ciała. Jeśli nie chcecie zgnić za życia, musicie nauczyć się przełamywać.

- Czy my naprawdę zgnijemy za życia? - dopytywał się dwunastoletni Sławik. - Przecież jeszcze nie jesteśmy starzy ani chorzy.

Wobec tych zbytecznych pytań Guru zalecał dodatkowe głodówki i medytacje. Jednak najpierw chłopiec przeszedł proces otwierania czakramów. Guru dał mu do picia jakieś ziółka, położył go na dywaniku, krążył rękami wokół jego głowy, mamrocząc przy tym niezrozumiałe słowa. Najpierw chłopiec leżał spokojnie i wyglądał, jakby spał, jednak potem jego kończyny zaczęły się trząść, a następnie całym ciałem wstrząsały rytmiczne skurcze. Guru oznajmił, że dzięki ozdrowieńczym wibracjom czakramy zostały otwarte.

Po kilku takich procedurach Sławik zaniechał niezdrowych pytań.

Z Fiedką poszło trudniej. Guru zauważył, że chłopiec wyłamuje się z kolektywnych medytacji. Sens całości polegał na tym, żeby zanurzyć się w pustce, uwalniając od przemieszającego ciała i grzesznej duszy. A przede wszystkim - o niczym nie myśleć. Ale u Fiedki to tak nie działało.

- Wasze myśli też są produktami niestrawionych pokarmów. Od materialnych śmieci można się uwolnić przez głodówki, od duchowych - na drodze medytacji.

Kiedy cała grupa siedziała w kręgu, huśtała się powoli i powtarzała monotonne „om”, Fiedka ze wszystkich sił starał się skoncentrować. Jednak

zawodzący dźwięk, który mu wychodził, brzmiał raczej jak skowyt bitego szczenięcia.

Przed zakratowanym oknem tańczyły płatki śniegu. Burczało mu w brzuchu, był głodny. Najchętniej zjadłby wielką soczystą parówkę, przysmażane kartofle, chrupkiego korniszona. Tabliczkę czekolady! Kupki śniegu na kratkach przypominały lody.

Fiedka mruczał dalej, pomyślał jednak, jakby to było pięknie wyjść na zewnątrz, na ulicę, na świeże powietrze, gdzie można zajrzeć w rozjaśnione ciepłym domowym światłem okna domów. Sala gimnastyczna była śmierzdząca i zakurzona. Cuchnęło tu potem. Guru wyszedł z kręgu i po kolei trzymał nad każdym dłoń - żeby skontrolować jego aurę. Nad głową Fiedki ręce zatrzymały się na dłużej. Fiedka miał uczucie, jakby głowę ściśnięto mu ciasną żelazną obrożą.

Świat rozpadł się na dwie nierówne części. W jednej - cichy, wieczorny, padający śnieg i ciepłe światła w okolicznych domach. Za oknami ludzie jedli kolację, oglądali telewizję, rozmawiali. Dzieci odrabiały zadania domowe. To życie było niewłaściwe. Guru twierdził, że wszyscy ci ludzie są martwi.

Sławik i on już od pół roku nie chodzili do szkoły. Mama oznajmiła przez telefon dyrektorze: „Chłopcy uczęszczają teraz do prywatnej szkoły”.

W rzeczywistości jedynymi lekcjami, na jakich bywali, pozostawały spotkania z Guru. Guru twierdził, że nie potrzebują matematyki, języków, literatury i geografii. Cóż im po martwych naukach, skoro mieli dostęp do najwyższej prawdy i kosmicznej energii?

Tyle, że Fiedka lubił czytać, pisać i rachować.

Guru polecił mamie, żeby przyprowadziła do niego Fiedkę o ósmej, samego, bez Sławika. Przyjął go nie w sali gimnastycznej, tylko w małym pomieszczeniu przypominającym gabinet lekarski. Obok przykrytej prześcieradłem kozetki ze skaju stał dziwny przedmiot podobny do radia. Z przodu wystawały z niego druty, a przy tych drutach, przykleknąwszy, majstrował coś nieznany człowiek w białym kitlu. Guru pogłaskał Fiedkę po policzku i wręczył mu szklankę z mętną ciemnobrązową substancją. Czując znany, gorzki smak, Fiedka odruchowo się skrzywił. Ziołowy wywar był tym razem niezwykle mocny. Oczy zaszczyły mu nawet łzami. Guru polecił mu rozebrać się i położyć na kozetce. Potem posmarował mu skronie i podeszwy

stóp jakąś klejącą mazią i za pomocą plastrów przytwierdził druty do skóry.

- Zamknij oczy - polecił mu Guru.

- Jesteś pewien, że on to wytrzyma? - poprzez narastający szum w uszach dotarł do niego głos drugiego mężczyzny. - To dawka dla dorosłego.

- Wytrzyma - uspokoił go Guru. - Tak czy inaczej, w żadnym wypadku nie możemy go zostawić.

„Pewnie, że nie - pomyślał Fiedka. - Wkrótce nastąpi koniec świata i wtedy wszyscy umrą. I jeśli tu zostanę, to też umrę. Muszę słuchać Guru. On zaprowadzi nas do Złotej Rzeki. Guru zna pewne miejsce na Ziemi, gdzie można znaleźć ocalenie. Żółty Wąwóz. Gdzieś, hen na Syberii, głęboko w tajdze, leży Słoneczne Miasto, miejsce, gdzie znajdziemy ratunek...”

- Żółty Wąwóz, Słoneczne Miasto - wyszeptał Fiedka wyschlými wargami, sztywno wyciągnięty na twardym łóżku oddziału psychiatrii dziecięcej.

Były to jego pierwsze słowa po czterech latach milczenia.

Rozdział 3

W domu Nikita mechanicznie włączył czajnik elektryczny, a potem spróbował dźwignąć ciężki dębowy kredens. Bał się, że nie da sobie rady w pojedynkę. Przed dziesięciu laty, gdy robił remont mieszkania, udało się go ruszyć z miejsca trzem tragarzom, którzy zdrowo przy tym przeklinali solidny dąb.

- Jeśli ci życie mile, to dasz radę - powiedział do siebie i oparł się o dębowe skrzydło. Za bufetem znajdowały się tylne drzwi dla służby, które w 1918 roku uratowały życie stryjecznemu pradziadkowi Nikity, podporucznikowi Sokowninowi. To właśnie tą drogą uciekł czekistom, którzy przyszli go aresztować. Później za Sowietów, jak opowiadała babcia Ania, główne wejście zostało zabite gwoździami i wszyscy używali służbowego. Mieszkanie Rakitina podzielono na maciupeńkie pokoiki i przekształcono w komunałkę. A podporucznik Sokownin przeżył, uciekł statkiem do Konstantynopola, a stamtąd do Ameryki, ożenił się, spłodził trzy córki i umarł w 1944 jako pułkownik US-Army, wysadzony przez niemiecką minę na opłotkach Paryża.

Nikita cofnął się o krok, odsapnął i obejrzał bufet ze wszystkich stron. Miał mało czasu. Zawodowcy w jeepie będą chcieli szybko naprawić swój błąd.

- No dawaj, kochany, dawaj - mruczał ze wszystkich sił, próbując ruszyć kredens z miejsca. Coś ciężkiego z hukiem spadło na ziemię. Byłoby lepiej zostawić po sobie porządek. Ale na to potrzebowałby godziny.

- Do jasnej cholery, rusz się, ty stary kłocu! - zawył Nikita.

I drewniany kolos posłuchał, grzecznie przesuwał się kilka centymetrów po linoleum. A więc jednak! Jeszcze troszke. W końcu między ścianą i kredensem pojawiła się mniej więcej półmetrowa luka - wystarczająca, by się w nią wcisnąć i otworzyć zabite drzwi. Pod kredensem linoleum odlepiło się od podłogi. Jeśli oddzieli się je nożem i od zewnątrz, czyli od strony tylnych schodów, pociągnie ku sobie, to będzie można przysunąć nieco kredens do ściany i zamknąć w ten sposób wyjście, zyskując na czasie.

Nikita znalazł w szafie na narzędzia stary skalpel, ostry jak brzytwa i ciachnął linoleum z trzech stron. Spróbował pociągnąć - poszło. Ale nie bez wysiłku. Trzeba tu było siły człowieka, który bardzo chce żyć.

Za oknami budziły się pierwsze ptaki. Świtało. Koszula Nikity była przepocona i ohydnie kleiła się do ciała. Dobrze byłoby wziąć prysznic. Ale to zbyt niebezpieczne. Na pewno pojawiliby się dokładnie w chwili, kiedy stałby pod prysznicem. Nie usłyszałby ich i może nie dał rady.

Osiemdziesiąt lat wcześniej podporucznik Sokownin jeszcze zdążył. Był właśnie w łazience i mył się, kiedy czekięci zaczęli walić do drzwi. Prysznic w 1918 roku, ma się rozumieć, już nie działał. Podporucznik polewał się lodowatą wodą z dzbana. I nie usłyszał, jak idą. Jego bratanica, trzynastoletnia Ania, późniejsza babcia Nikity, podjęła ich w korytarzu i dostała istnego słowotoku. Mówiła odpowiednio głośno, żeby podporucznik ją usłyszał.

- Och! Czy to prawdziwy mauzer? Proszę poczekać, panie czekisto! Proszę mi jeszcze raz pokazać, nigdy wcześniej takiego nie widziałam. I on naprawdę strzela?

Ania była piękna jak anioł, lśniące loczki, ogromne, błyszczące, niebieskie oczy.

- Może herbatki, panowie czekięci? Mamy troszkę prawdziwej. Właśnie nastawiłam samowar. I wiecie co, mam łamany cukier. Proszę poczekać, tam jest nieposprzątane, gdzie panowie chcą wejść?

Podporucznik zdążył jeszcze założyć kalesony, wziął pod pachę resztę rzeczy i swój służbowy pistolet, wszedł na brzeg wanny, otworzył okienko pod samym sufitem, łączące łazienkę z pokojem, podciągnął się, prześlizgnął, bezszelestnie zeskoczył na podłogę i wymknął się kuchennymi drzwiami. A sekundę później do kuchni wparowali czekięci.

- Jak mu się to udało, z tymi wszystkimi rzeczami pod pachą, i jeszcze bezszelestnie? - zapytał Nikita babcię Anię, kiedy opowiadała mu tę historię po raz setny.

- Nie wiem. Bardzo chciał żyć - odparła babcia.

Odkąd Nikita skończył dziesięć lat, wielokrotnie próbował powtórzyć wyczyn podporucznika. Stawiał drabinę pod oknem w łazience. Dopiero jako czternastolatkowi udało mu się podciągnąć, prześlizgnąć przez okno i z zamkniętymi oczami zeskoczyć na podłogę. Jego opiekunka Nadia, która stała przy piecu i smażyła kartofle, wrzasnęła jak oparzona i kilka razy szybko się przeżegnała. Swój skok przypłacił Nikita naderwaniem wiązadeł. Gdyby to podpułkownik Sokownin tak niefortunnie wylądował, to złapano by go w ciągu pół godziny.

Nikita wyjął obcęgi ze skrzynki na narzędzia i zaczął rozbijać drzwi. Gwoździe były już mocno zardzewiałe i wrosły w ścianę na amen.

Gdy więzadła wróciły do normy, Nikita powtórzył swój wyczyn, od początku do końca, w dodatku mierząc czas. Dokładnie trzy i pół minuty. Najmniej przyjemny był skok z dachu na dach sąsiedniego budynku. Dwanaście metrów wysokości. A odległość między oboma budynkami - co najmniej pół metra. Najważniejsze, żeby nie patrzeć w dół. I musiał sobie wyobrazić, że za plecami stoją panowie w czarnych kurtkach i z karabinami. I że bardzo chce żyć.

Tyle, że teraz nie miał czternastu lat, tylko trzydzieści osiem i nic sobie nie musiał wyobrazić. Wszystko działa się naprawdę. Mężczyźni w skórzanych kurtkach. Z karabinami maszynowymi. I bardzo chciał żyć.

Pozdzierał sobie palce, aż wreszcie udało mu się wyjąć wszystkie gwoździe. W końcu drzwi się poddały. Zaśmierdziało stęchlizną i kocim moczem. Tylnie wejście zostało zabite w 1927, po tym, jak światowej sławy baryton, Mikołaj Rakitin, przestał się opierać naciskom radzieckiego rządu i wrócił do ojczyzny. Barytonowi zwrócono moskiewskie mieszkanie. Pozostali mieszkańcy komunałki musieli się wyprowadzić, a ścianki działowe na powrót zwalono. Pradziadek Nikity chciał śpiewać po rosyjsku na scenie Teatru Bolszoi. Mikołaj Rakitin, jak wielu wówczas, miał nadzieję, że bolszewicy nie utrzymają się długo. Poza tym jego światowa sława w zimnym,

szarym Berlinie nieco przybladła. A potem swoim pełnym barytonem musiał śpiewać pieśni partyjne oraz marsze i jako głos solowy intonować w chórze teksty takie jak ten:

A sokołów tychże wszyscyśmy poznali
Pierwszy sokół - Lenin, drugi sokół - Stalin.

Również przed „nim samym” musiał raz zaśpiewać solo, w małym biurze, w obecności zaledwie garstki zaufanych osób, którzy koło barczystego i przysadzistego Stalina wyglądali bez mała jak upiory. Mikołaj Pawłowicz, puściwszy wodę w łazience, opowiadał potem szeptem żonie, synowi i córce o brzydkich bliznach po ospie na jego sinawych policzkach, o żółtych oczach, krótkich nogach, prostej wojskowej marynarce i miękkich kaukaskich oficerkach.

Gdy Nikita skończył szesnaście lat, ciągle wiercił babci Ani dziurę w brzuchu:

- Dlaczego on tam nie został? Dlaczego? Całkiem inaczej byśmy żyli. Ja bym...
- Ty? - babcia Ania uśmiechnęła się. - Ciebie by nie było, Nikita.
- Dlaczego?
- Dlatego, że twój tata nigdy nie spotkałby twojej mamy, ożeniłby się z jakąś inną kobietą i miałby innego syna. Albo córkę.

Gotowe! Zabrał latarkę, zszedł tylnymi schodami w dół, skontrolował wyjście na dach, przepłoszył stadko wróbli i tak się przestraszył ich głośnego świergotu, że prawie stracił równowagę. Nogi zjechały po mokrej blasze. Zdążył jeszcze chwycić się zardzewiałej ruchomej balustradki. Serce trzepotało mu w piersi jak pochwycony ptak. Jeszcze raz na własnej skórze poczuł, jak bardzo śmierć depcze mu po piętach.

Mokra od potu koszula była teraz lodowata i częściowo przymarznięta do skóry, jak język do żelaza, kiedy je polizać w czasie mrozu. Wróciwszy do mieszkania i zerknąwszy do lustra, dostrzegł na swoim policzku krew i przypomniał mu się odłamek szkła. Musiał go wyciągnąć i zdezynfekować ranę, żeby się nie zakaziła. Umył dokładnie ręce. Poranione dłonie odmawiały posłuszeństwa. Musiał porządnie rozdrapać policzek, a mimo to nie czuł bólu. Umywalka była pełna krwi.

Serce nadal mocno mu waliło i po tym, że strach miał już w gardle, poznał, że zaraz przyjdą. Nakleił plaster na krwawiącą ranę i zakreślił kurek. Komputer przy włączaniu wydawał z siebie głuchy piszczący dźwięk. Na klawiaturze i myszce zostały ślady krwi. Nikicie trzęsły się ręce. Na zewnątrz zrobiło się tymczasem jasno. Zapisał potrzebne dokumenty na dyskietkę, a potem usunął większą część tekstu. Tak. Teraz mogą sobie szukać.

Serce biło już spokojnie, jakby dbając o to, by usłyszał skrobanie w zamku.

* * *

Oksana Jegorowa uczęszczała na spotkania grupy „Zdrowa Rodzina” przez rok. Pod koniec grudnia 1994 zajęcia nie odbywały się już w sali gimnastycznej, tylko w domu kultury. Zaczynały się rano i trwały do późnego wieczora.

W domu nikt już nie rozmawiał z Jegorowem. Oksana wymieniała tylko z dziećmi krótkie, niezrozumiałe słowa, a kiedy pojawiał się Jegorow, cała trójka natychmiast milkła.

Oksana nie zdierała już z niego ubrania, nie śmiała się też jak nimfa czy rusalka. Spała w pokoju chłopców na podłodze.

Pewnego dnia Jegorow zwierzył się ze swoich problemów przy wódce swemu inżynierowi pokładowemu, Gieni Simonence.

- Co ty się przejmujesz takimi drobiazgami, Iwan - powiedział Simonenko.
- Daj spokój, nie zwracaj sobie tym głowy. W dzisiejszych czasach każdemu trochę odbija: astrologia, czarna magia, joga, głodówki. W telewizji występują wróżki, przyjeżdżają stada amerykańskich nawiedzonych, a tego japońskiego Asaharę to nawet Gorbaczow osobiście przyjął. Twoja Oksanka już tam wróci do siebie. Nie martw się. Moja Ira też trochę przez jakiś czas świrowała, co rano wykręcała stopy, codziennie stała na głowie przez trzy kwadransy, ciągle robiła głodówki. Ale w pewnej chwili miała tego dość. I teraz znów jest normalna.

- Ale wy z Irką nie macie dzieci - powiedział melancholijnie Jegorow. - Bo ja się martwię nie tyle o nią, co o chłopców. Ona rzeczywiście się pozbiera, ale dzieci mogą doznać trwałych szkód. Ich psychika jest przecież jeszcze słaba i odżywiać też powinny się porządnie, a nie surowymi ziarnami.

- Zgadza się - przyznał Gienia. - Dzieci żal.

Gdy Jegorow po następnym rejsie wrócił do domu i dowiedział się, że synowie przestali chodzić do szkoły, zwrócił się do prawnika.

- Nie rozumiem, czego pan ode mnie chce - powiedział stary gruby adwokat i wzruszył ramionami. - Może pan dostać rozwód. Ale dzieci pan nie dostanie. O tym proszę zapamiętać.

- Moja żona straciła rozum. Nie może wychowywać dzieci - powtórzył Jegorow. - Wciąga ich do jakiejś sekty.

- Pan mówił, że jak się ta grupa nazywa? „Zdrowa Rodzina”? - zapytała prawnik. - A kto za nimi stoi? Jaka organizacja?

- Ach, to przecież żadna organizacja, tylko banda jakichś psychopatów. - Jegorow zrezygnowany machnął ręką.

- Nie, nie - pokręcił głową prawnik. - Ktoś ich musi finansować, płacić za wynajem sali. Szef grupy otrzymuje na pewno pieniądze i to niemało. Powiada pan, że zajęcia są bezpłatne?

- Tak, bezpłatne - przytaknął Jegorow.

- Iwanie Pawłowiczu, czy pana żona w ogóle mówi o rozwodzie?

- Nie. To znaczy twierdzi, że jeśli nie odpowiada mi jej styl życia, to mogę odejść.

- A ma pan ładne mieszkanie?

- Ujdzie. A, rozumiem, czemu pan pyta - ucieszył się Jegorow. - Też uważam, że ta szajka mąci w głowie takim głupim gąskom jak moja Oksana tylko po to, żeby przejąć ich mieszkania. Ostatnio tyle jest różnych sekt. Wabią ludzi i doprowadzają do tego, że ci oddają im swoje majątki. Ale w takim wypadku tych oszustów można po prostu podać do sądu.

- Nie można - westchnął adwokat. - Niestety, to nie takie proste. Niby wszystko jest oczywiste. Ale mimo to przed sądem niewiele można komuś udowodnić. Ludzie z własnej woli oddają swoje majątki i w każdej chwili są gotowi to potwierdzić. Wszystkie dokumenty są z reguły bez zarzutu. I nie ma się do czego przyczepić.

- No jasne! - Jegorow mówił coraz głośniejszym głosem. - Najpierw im się mąci w głowach, aż w końcu z własnej woli robią wszystko, czego się od nich zażąda.

- A co to znaczy: mąci w głowach? Tego się nie da prawnie udowodnić, chyba żeby pańska żona stanęła przed specjalną komisją lekarską. A czy jest pan pewien, że lekarze będą tego samego zdania, co pan?

Jegorow nie był pewien. Oksana wydawała się osobom postronnym całkowicie normalna, tyle że schudła i zmienił jej się wzrok. Ale czy obcy ludzie będą sobie zawracać głowę jej wzrokiem?

Dobrze wiedział, że przed komisją lekarską nie gadałaby tych bzdur o czakramach i astralach. Powiedziałyby o zdrowym trybie życia, diecie, gimnastyce i hartowaniu się. I zrobiłaby na lekarzach jak najlepsze wrażenie. A co do szkoły - to wiele dzieci uczęszcza obecnie do prywatnych gimnazjów i naucza się je tam alternatywnymi metodami.

- Stwierdziłby, że jest normalna - westchnął Jegorow.

- No właśnie - przytaknął adwokat. - Poza tym takie badanie bez zgody zainteresowanej jest praktycznie niewykonalne.

- To co ja mam robić?

- Czy pana żona pije?

- Nie. Nie pije, nie pali i spędza cały czas z dziećmi. Ale morzy je gło dem albo daje im do jedzenia jakieś śmieci i polewa lodowatą wodą.

- Takie rzeczy nazywa się dietą i hartowaniem - wyjaśnił prawnik. - Biję dzieci?

- Nie w mojej obecności.

- Sam pan widzi - wzruszył ramionami. - Pozbawienie praw rodzicielskich, nawet w przypadku alkoholiczek i prostytutek, nie jest łatwe. A pana żona to idealna matka.

- Rozumiem - skinął Jegorow. - Więc zupełnie nie może mi pan pomóc?

- Na pana miejscu przede wszystkim spróbowałbym się dowiedzieć, co to jest za sekta, kto za tym stoi.

- Zajęcia prowadzi jakiś Azjata, Koreańczyk albo Turkmen. Nazywają go Guru. Raz chciałem go złapać po zajęciach. Czarny mercedes z przyciemnionymi szybami zatrzymał się dokładnie pod drzwiami, on wślizgnął się do wozu i odjechał. Proszę posłuchać, może panu udałoby się czegoś dowiedzieć o tej grupie? Co panu szkodzi?

- Nie, nie, wybaczy pan, ale jestem adwokatem a nie prywatnym detektywem. Nawiasem mówiąc, skoro pana na to stać, to udałbym się na pana miejscu do prywatnej agencji detektywistycznej. Mogę panu jedną polecić. Niedawno powstała i specjalizuje się w sektach.

Prawnিক poszperał w stosie dokumentów na biurku i wręczył Jegorowo- wi obiecaną wizytówkę.

Agencja „Garantija”. Usługi detektywistyczne. Problemy rodzinne, pomoc dla początkujących biznesmenów, windykacja. Ochrona ludzi i mienia.

* * *

Grigorij Pietrewicz Rusow zamarł na progu dużego pokoju i przez kilka chwil w milczeniu i bez ruchu przyglądał się swojej żonie. Siedziała bokiem do niego, na rogowej kanapie, z podciągniętymi nogami. Włosy koloru ciemnoblonde były rozpuszczone. W rękę trzymała książkę i tak była zatopiona w lekturze, że nie zauważyła ani tego, że mąż wszedł, ani, że jej się przygląda.

- Nika, czy ty wiesz, która jest godzina? - zapytał.

- Wpół do drugiej - odparła, nie podnosząc wzroku znad książki.

- Trzeciej, dziewczyno, wpół do trzeciej.

- Serio? - spojrzała przelotnie na staroświecki ścienny zegar i wróciła do lektury. - Idź spać, Grisza. Jeszcze trochę poczytam.

Usiadł obok i wyjął jej książkę z ręki. „Wiktor Godunow. *Triumfator*” - widniało na okładce. Grigorij Pietrewicz zamknął książkę i rzucił ją niedbale na stolik przy kanapie. Na odwrocie pokazała się fotografia autora.

- Zestarzał się, nie uważasz? - zapytał pospiesznie i objął żonę ramieniem.

- Tak? - Nika wzięła książkę. - Nie wydaje mi się. Po prostu to zdjęcie jest jakieś nieszczególne.

Przez chwilę oboje milczeli.

- A jak książka? - zapytał Rusow, lekko odkaslnąwszy.

- Sam przeczytaj - uśmiechnęła się Nika. - Jest dobra.

Rusow ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Ty przecież nigdy nie lubiłaś kryminałów.

- Przestań, Grisza. - Nika zmarszczyła czoło. - Czy to takie niemiłe, ujrzeć mnie z książką w ręce? Wiesz przecież, że dobrze pisze.

- Nie mam zamiaru tego z tobą roztrząsać! - krzyknął nagle, jeszcze zanim zdążyła odpowiedzieć. - W ogóle nie chcę z tobą o nim rozmawiać, zrozumiano?

Nie odpowiedziała, tylko bez słowa wstała z kanapy, jednak on pociągnął ją za rękę i zmusił, żeby na powrót usiadła. Chciał dalej krzyżeć, ale w tej

samej chwili zadzwoniła jego komórka, z którą ostatnio nigdy się nie rozstawał, nawet nocą.

Nika wykorzystała okazję, wstała i z książką w ręku wyszła z pokoju.

- Tak? Co? Jak to nie ma?! Dobrze sprawdziliście? A dyskietki? Dlaczego wczoraj mi nie powiedziałaś? - Zerwał się, gapił przez chwilę na podłogę, a potem szybko wyszedł z pokoju.

Jego twarz wyraźnie skamieniała. Tym razem nie był czerwony, lecz si- no- blady i odruchowo oblizywał suche wargi.

- Tak, a w komputerze? - zapytał Rusow stłumionym głosem. - Gównu mnie obchodzi, że się nie znacie na komputerze. To znajdź w trymiga kogoś, kto się zna.

Nika starała się nie podsłuchiwać, jednak pojedyncze słowa docierały przez zamknięte drzwi i nieprzyjemnie brzęczały w uchu. To znaczy nie tyle słowa, co ton.

- Dobra - syknął Rusow. - Postaraj się znaleźć inne rozwiązanie. Ale ostrożnie.

Nika siedziała w kuchni, paliła papierosa i znowu wbiła wzrok w książkę. Nie podniosła go nawet, gdy wszedł. Przyniósł sobie krzesło, usiadł naprzeciwko i zapytał cicho:

- Chcesz herbaty?

- Grisza, co z tobą? - Pochwyliła jego spojrzenie.

Zamknął zmęczone oczy i wyprostował się na krześle.

- Wybacz mi, dziewczyno. Jestem skonany.

- Wiem - skinęła. - Ale dlaczego na mnie krzyczysz?

- Wyrwało mi się. Jestem u kresu wytrzymałości. Myślisz, że mogę spokojnie się przyglądać, gdy zachwycona pochłaniasz jego ostatnie arcydzieło? Jego wszystkie bohaterki wyglądają dokładnie tak jak ty, Niko.

- Zaraz, zaraz... ale skąd ty to niby wiesz? Myślałam, że nie czytasz jego książek - powiedziała Nika ledwo dosłyszalnie.

- Nie łap mnie za słowa - przełknął ślinę i nerwowo oblizął wargi, ale jego głos był opanowany, choć nieco mniej naturalny. - Przekartkowałem kilka jego książek. Nic szczególnego...

- Jak możesz oceniać, skoro tylko je przekartkowałeś?

Rusow kłamał. *Triumfatora* przeczytał przed trzema miesiącami - rękopis, a ściślej biorąc wydruk komputerowy, który dostał z wydawnictwa. Otrzymywał wszystkie powieści Wiktora Godunowa, najbardziej poczytne

autora w całej Rosji, natychmiast, gdy tylko do redaktor naczelnej trafiała dyskietka z gotowym tekstem.

Grigorij Pietrowicz Rusow był jednym z udziałowców koncernu wydawniczego „Kaskada”, w który zainwestował mnóstwo pieniędzy.

- Chcesz mnie przekabacić, żebym zaczął czytać jego książki? Wystarczy już, że ty się nie możesz od nich oderwać. Mam tylko nadzieję, że interesują cię wyłącznie książki, a nie autor we własnej osobie.

- Czas iść spać. Muszę jutro wstać o siódmej. Mam dyżur w szpitalu.

- Dyżur - warknął Rusow. - Nie po to wysłaliśmy chłopaka do Szwajcarii, żebyś teraz pędziła do pracy.

- Wysłaliśmy tam Mitię przede wszystkim po to, żeby zdobył solidne wykształcenie i żeby nie zadawał się z dzieciarnią „nowych Ruskich”. Co to ma wspólnego z moją pracą?

Nie czekając na odpowiedź, Nika poszła do łazienki. Była spokojną, ustepliwą osobą, ale ostatnimi czasy ciągle balansowali z mężem na krawędzi konfliktu. Pojawiło się zbyt wiele tematów tabu, których nie można było poruszyć.

Ich dziesięcioletni syn chodził do szkoły z internatem w Szwajcarii. Rusow obawiał się, że w Siniedolsku nie znajdą chłopcu odpowiedniej szkoły i że stanie się kapryśnym, rozpuszczonym bachorem, bo jako syn gubernatora i tak otrzymywałby dobre stopnie. Nika zgodziła się z mężem, choć bardzo brakowało jej Mitii. Jednak co do jej pracy, mieli całkowicie odmienne poglądy. Gdy stało się jasne, że Rusow wygra wybory, Nika długo się nie zastanawiała i zaproponowała ordynatorowi miejscowego szpitala swoje usługi jako chirurg-traumatolog.

Szpital pilnie poszukiwał lekarzy, ciągle ktoś się zwalniał, mizerny zarobek wypłacany był nieregularnie, brakowało leków i wyposażenia. Wysoko wykwalifikowana pani chirurg była dla szpitala na wagę złota. Poza tym, jako Pierwsza Dama regionu nie musiałaby się denerwować, jeśli mizerna pensyjka przyszłaby za późno. A o brakujących lekach mogłaby porozmawiać ze swoim małżonkiem, a gubernator na pewno znalazłby możliwość, by wyposażyć szpital we wszystko, co konieczne. Jednym słowem, ordynator był równie zachwycony tym pomysłem, jak ona sama.

Rusow był zdecydowanie przeciwny i tłumaczył Nice, że to kompletny absurd, żeby żona najważniejszego człowieka w regionie składała złamane

kończyny i strzaskane czaszki. Miała brać udział w oficjalnych imprezach i towarzyszyć mężowi podczas podróży i przyjęć.

Jednak Nika nie chciała być typową prowincjonalną Pierwszą Damą. Nie miała najmniejszej ochoty udawać zainteresowania światową dobroczynnością, w orszaku ochroniarzy i członków administracji zwiedzać domów dziecka, domów poprawczych i przytułków, i przy włączonych kamerach wręczać sierotom snickersów i lalek Barbie, głaskać tych nieszczęśliwych dzieci po głowie, przysiądać się do nich i pytać: Gdzie jest twoja mamusia, moje dziecko? A dobrze wam tu dają jeść?

Po męczących kłótniach zdecydowali, że Nika ograniczy na razie pracę do dwóch dni w tygodniu. We wtorki i piątki od dziewiątej do trzeciej Nika przyjmowała pacjentów w gabinecie ordynatora. Do pracy przywoził ją szofer, przy bramie postawiono dodatkowego strażnika. Na skutek nieoficjalnego zarządzenia przysyłano jej wybranych pacjentów. Nowi koledzy traktowali doktor Jelaginę z drwiącym szacunkiem, niczym ekscentryczną szlachciankę, która okutawszy się w chusty, wychodzi razem z chłopkami w pole. Mimo to w towarzystwie kolegów lekarzy czuła się znacznie lepiej niż pośród żon wyższych urzędników. A przede wszystkim nie potrafiła żyć bez swojej ciężkiej, w zasadzie nie dla kobiet przeznaczonej pracy, a bała się, że straci uprawnienia do wykonywania zawodu.

Rozdział 4

Agencja detektywistyczna „Garantija” zajmowała parter starej willi leżącej przy jednej z przecznic Arbatu. Na podwórku, za kutą żelazną bramą stało kilka eleganckich zagranicznych samochodów. Jegorow od razu zorientował się, że interes kwitnie. Nowiuteńkie meble biurowe i wyposażenie, zadbani, elegancyści ludzie.

„Bandyci - pomyślał smutno Iwan Pawłowicz - tyle pieniędzy mają w dzisiejszych czasach jedynie bandyci. Nie powinienem był tu przychodzić. Tak mnie wycyckają, że do końca życia będę spłacał długi”.

- Dzień dobry - uśmiechnęła się do niego ładna sekretarka. - Czym mogę panu służyć?

- Moja żona i synowie trafili do sekty - wyjaśnił ponuro Jegorow - i chciałbym się czegoś dowiedzieć o tej sekcie.

- Czy ktoś polecił panu nasze biuro? Czy też trafił pan do nas z ogłoszenia?

- Przychodzę z polecenia. - Iwan Pawłowicz wręczył jej wizytówkę adwokata. - Powiedziano mi, że nie żądają państwo zbyt wiele za swoje usługi.

- Tak, nasze ceny są rozsądne - sekretarka uśmiechnęła się. - Jedną chwilkę. - Chwyliła za słuchawkę i śpiwnym głosem powiedziała do niej: - Feliksie Michałowiczu, jest tu ktoś do pana.

W przytulnym, małym gabinecie, za staroświeckim dębowym biurkiem siedział starszy, korpulentny pan, z ryżawą bródką i rudymi lokami okalającymi różowawą łysinę. Pachniał drogim płynem po goleniu.

- Proszę wejść do środka. - Tłuszcioch nieco się uniósł i podał mu dłoń. - Feliks Michałowicz Wiktiuk, prywatny detektyw.

Jegorow uściśnął tłuszcikutką dłoń i przedstawił się.

- Bardzo mi miło, Iwanie Pawłowiczu, Proszę usiąść. Zamieniam się w słuch. - Jego głos był miękki, zamszowy. Przyglądał się Jegorowowi tak łagodnie i z takim współczuciem, że temu od razu zrobiło się łzawo.

Iwan Pawłowicz zarysował grubasowi swój problem. Ten zaś słuchał z zamyślnym uśmiechem, nie przerywając mu i bezgłośnie bębniąc pulchnymi palcami po blacie.

Gdy Jegorow skończył, Wiktiuk kiwnął zadowolony i zapytał miodowym głosem:

- Proszę mi powiedzieć, Iwanie Pawłowiczu, dlaczego pan uważa, że to sekta?

- A co innego? - zapytał skonsternowany Jegorow.

- Proszę się nie denerwować. Postaramy się panu pomóc.

- Wcale się nie denerwuję. Chcę wiedzieć, co się dzieje z moją rodziną. A to, że wpadła w szpony sekty, nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości. Muszę się dowiedzieć, kto nią kieruje lub kto ją finansuje oraz w czym interesie jest mącenie w głowach mojej żonie i dzieciom.

- I wcale się pan tym nie denerwuje. - Wiktiuk uśmiechnął się przymilnie. - Mam doświadczenie, widzę przecież, że znajduje się pan w skrajnie stresującej sytuacji. I od razu chcę pana uspokoić: w tym, co tu właśnie od pana usłyszałem, nie widzę nic strasznego. Pana żona i dzieci nie są w żadnej sekcie. To, jeśli pan chce wiedzieć, rodzaj kółka zainteresowań lub grupy terapeutycznej, nic więcej. Joga, nowe teorie w zakresie odżywiania, hartowanie, dbanie o zdrowie - to jest teraz w modzie. Co się zaś tyczy kobiety w czerni, która rzekomo pana znokautowała i wyrzuciła - przez jego usta przemknął drwiący uśmieszek - wybaczy pan, ale proszę jeszcze raz na siebie spojrzeć: zdrowy, silny mężczyzna, pilot, miałby zostać znokautowany przez jakąś damę?

- Proszę posłuchać! - Jegorow stracił cierpliwość. - Nie pozwolę się zwodzić! Dzieci nie chodzą do szkoły, głodują, a pan twierdzi, że to normalne? Zostałem znokautowany i wyrzucony. A pan chce mi wmówić, że to moja wyobraźnia?

- No jasne, naturalnie - uśmiechnął się Wiktiuk. - Jestem z panem. Proszę, uspokójmy się i razem zastanówmy, co robić.

- Nie jestem tu po to, żeby mnie pan pocieszał - pośpiesznie zauważył Jegorow i poczuł, że się czerwieni. - Jeśli mi pan nie wierzy i nie chce się zająć moim przypadkiem, to proszę od razu mi o tym powiedzieć.

- Ależ, Iwanie Pawłowiczu, dlaczegoż miałbym nie chcieć? Dowiem się o tej grupie wszystkiego. Tylko zajmijmy się konieczną dokumentacją i w krótkim czasie otrzyma pan potrzebne informacje. Nie będzie to dużo kosztować.

- Dobrze. Dziękuję. Zajmijmy się więc tymi papierami.

Jegorow nie znalazł się na umowach. Zaczął czytać liczne punkty i podpunkty traktujące o jego prawach i obowiązkach, spostrzegł jednak, że jego oczy błędzą tylko po niezrozumiałych literach, jak po hieroglifach.

- Czy coś jest tu dla pana niejasne? - zapytał Wiktiuk uczynnie.

- Nie, dlaczego? Wszystko gra.

Podpisał w oznaczonych krzyżykami miejscach, zapłacił za pokwitowaniem i wyszedł na świeże powietrze. Przy bramie zatrzymał się na krótko, żeby zapalić papierosa, jednak zapalniczka zastrajkowała. Wystraszony przez wyjący klakson, w ostatniej chwili odskoczył na bok. Nowiusienkie ciemnoczerwone volvo skręcało w bramę. W końcu Jegorow zapalił papierosa, porządnie się zaciągnął, co trochę go uspokoiło i obejrzał się za autem, które właśnie przejeżdżało obok.

Volvo zaparkowało. Potężny, niewysoki mężczyzna w krótkim kożuszkę pospiesznie zmierzał w kierunku wejścia. Jegorow zamarł z papierosem w rękę. Nie wierzył własnym oczom. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Ten człowiek mógł mu pomóc bardziej niż jakikolwiek prywatny detektyw.

- Grisza! Grigoriju Pietrewiczu, proszę poczekać!

Rusow stanął jak wryty.

- Witaj, Iwan. Zupełnie cię nie poznałem. Co ty tu robisz? - Jego twarz nie wyrażała ani radości, ani zdziwienia. Mechanicznie uściśnął Jegorowowi rękę i spojrzął na zegarek.

- Grisza, jak to dobrze, że cię spotykam! - powiedział Jegorow. - Posłuchaj, mam problem. A ty pracujesz w Ministerstwie Oświaty, prawda?

- No, prawie - przytaknął Rusow. - Jaki problem? O co chodzi?

- Rozumiesz, moja Oksana zaczęła totalnie świrować, trafiła z dziećmi do jakiejś idiotycznej sekty i nie mogę jej z niej wyciągnąć. Zaangażowałem

już prywatnego detektywa - wskazał głową w kierunku szyldu przy wejściu.

- Wybacz, Iwan, strasznie się spieszę - Rusow skrzywił się nerwowo. - Miło było cię znowu widzieć, ale wybacz, nie mam czasu, stary. Tutaj masz moją wizytówkę, zadzwoń. - Poklepał Jegorowa po plecach i wręczył mu niezwykle elegancką kartę wizytową, po czym wszedł do budynku. Ciężkie dębowe drzwi zamknęły się za nim bezgłośnie.

Jegorow dokładnie przyjrzał się wizytówce. Złote wytłaczane litery, z jednej strony po rosyjsku, z drugiej po angielsku.

„Rosyjskie Ministerstwo Oświaty. Grigorij Pietrowicz Rusow, wiceminister, przewodniczący komisji współpracy z alternatywnymi stowarzyszeniami kulturalnymi i medycznymi” - przeczytał Jegorow i jeszcze bardziej się ucieszył. Teraz wszystko będzie dobrze. Grisza miał znajomości. Nie byli co prawda bliskimi przyjaciółmi, ale w końcu wspólnie dorastali. A przed dwudziestu pięciu laty razem przybyli z Siniedolska, żeby zawojować Moskwę.

* * *

Ileż to razy zdarzało się pisarzowi, Wiktorowi Godunowowi, poczuć wraz ze swoimi bohaterami kosmiczny oddech śmierci! Jakże często wymyślonym przez niego postaciom bicie własnego serca wydawało się ogłuszającym hukiem, kiedy wiedzieli, że każde z tych uderzeń może być ostatnie! Jednak Wiktor Godunow zawsze miał w zanadrzu jakieś sprytnie posunięcie, które ratowało jego bohaterom życie.

Ale teraz musiał ratować samego siebie, żywego i wyczerpanego człowieka, przemoczonego przez majowy deszcz do suchej nitki. Jednak poza bezcelowym błędzeniem po sennej Moskwie nic nie przychodziło do głowy najpoczytniejszemu autorowi kryminałów w Rosji. Miał w stolicy wielu znajomych i przyjaciół, do których mógłby zadzwonić lub ich odwiedzić, u których mógłby przenocować. Jednak Nikita wiedział, że zleceniodawca mordercy zna krąg jego przyjaciół. Taką wizytą naraziłby na niebezpieczeństwo nie tylko siebie, ale i innych.

Zimno mu było po nieprzespanej nocy i oczy same mu się zamykały. Rozejrzał się i spostrzegł, że znajduje się na Sretence. Dokładnie przed tanim bistro. Przez okno widział, jak dziewczyna w czerwonym fartuszkach i

dżinsowym wdzianku przekręca tabliczkę na drzwiach. „Otwarte” - widniało na tabliczce. Wszedł do środka. Dziewczyna uśmiechnęła się i powiedziała wesoło:

- Dzień dobry.
- Dobry - odparł Nikita.
- Czego pan sobie życzy? Mamy kielbaski z ziołami i kanapki z łososiem.

Ale łosoś jest bardzo słony, więc odradzam. Jak pan chce, to usmażę jajka na bekonie.

- Tak, chętnie - uśmiechnął się.
- Kawy?
- Tak, mocnej, jeśli można.

Usiadł przy stoliku i przyglądał się, jak chuda dziewczyna, której nie znał, przygotowuje dla niego śniadanie. I nagle uświadomił sobie, że nie ma powodu do zmartwienia. Już od dłuższego czasu planował, żeby kupić sobie notebooka. Teraz był właściwy moment. Pieniądże, na szczęście, wziął ze sobą. A gdzie znajdzie dach nad głową, to się jeszcze okaże. Na miesiąc mógłby wynająć pokój, w dzisiejszych czasach to nie problem. Najważniejsze, żeby doprowadził do końca to, co zaczął i z powodu czego teraz może stracić życie. Musiał ich ubiec.

Dziewczyna postawiła na stole skwierzącą patelnię. Po tym, jak wypił dwie filiżanki mocnej słodkiej kawy, poczuł się znacznie lepiej. Oparł się odprężony, zapalił papierosa i zamknął oczy.

- Ma pan krew na ustach - powiedziała dziewczyna i położyła przy nim wypisany ręcznie rachunek. - Wycieka spod plastra, i to mocno.
- Wiem - dotknął policzka. - Zaciąłem się przy goleniu.

Barmanka przyglądała mu się coraz bardziej przenikliwie i zrobiło mu się nieswojo. To miła dziewczyna i przyrzędziła mu znakomite jajka sadzone, ale absolutnie niewskazane było, żeby rozpoznała pisarza Wiktora Godunowa. Zapłacił i szybko wyszedł z bistro, wyciągnął z kieszeni przydymione okulary i nasunął głęboko starą zamszową czapkę.

Po kilku wywiadach dla telewizji i kolorowych pisemek coraz częściej był rozpoznawany. Czasami go to bawiło, czasami irytowało. Teraz w każdym razie zupełnie mu było nie na rękę. Im mniej ludzi zwróci na niego uwagę, tym lepiej. A przecież nikomu nawet nie przyszłoby do głowy, że ten wysoki, błądy, pochylony ze strachu i zmęczenia człowiek z plastrem na policzku, w postrzępionych dżinsach, zdartych adidasach i z ogromną torbą z taniego

skaju na plecach, to słynny autor kryminałów, Wiktor Godunow.

W dziale komputerowym księgarni „Globus” rozpoznano go jednak.

- Czy to pan, czy nie pan? - zapytał go młody sprzedawca.

- Prawdopodobnie to ja - Nikita roześmiał się szyderczo, przyglądając się notebookowi firmy Toshiba, który kosztował dwa tysiące dolarów i ważył zaledwie dwa i pół kilo. Płaski, mały przedmiot ze sporym monitorem.

- Czy mógłbym dostać autograf? - zapytał sprzedawca, podsuwając mu *Dzień lunatyka*. Tego wydania Nikita jeszcze nie znał. Papierowa okładka była nowa, jednak równie idiotyczna, co poprzednie. Jakiś młodzieniaszek dusił piękność o wybujałych piersiach. Na wcześniejszej młodzieniaszek był brunetem, a piękność blondynką. Tym razem było odwrotnie. Również pozy były nieco inne. Powieść nie zawierała ani takich postaci, ani sytuacji tego typu. Ale wydawca pewnie wie, jaka okładka przyciągnie czytelnice masy.

- Nazywam się Siergiej - powiedział sprzedawca.

- Bardzo mi miło. - Nikita wziął od niego flamaster i napisał: „Dla Siergieja na pamiątkę, autor”.

Sprzedawca długo i wyczerpująco doradzał mu przy wyborze notebooka, demonstrując przy tym znajomość nie tylko techniki komputerowej, ale i kryminałów. Ostatecznie Nikita wyszedł ze sklepu, trzymając pod pachą właśnie ten model Toshiba, który od razu wpadł mu w oko.

Siąpił kapuśniaczek. Z komputerem w walizce Nikita poczuł się o wiele spokojniejszy i pewniejszy. Teraz musiał jeszcze tylko znaleźć przystań. Teoretycznie za trzysta dolarów na miesiąc można było wynająć przyzwoitą kawalerkę na jednym z osiedli mieszkaniowych. Potrzebował lokum już dzisiaj. Telefonu nie miał, do przyjaciół nie mógł się zwrócić, nie powinien był również wspominać swojego nazwiska, pokazywać dokumentów, musiał ukrywać twarz, żeby potencjalny wynajmujący go nie poznał i nie zadał tysiąca niepotrzebnych pytań.

Nikita kupił w kiosku kilka gazet i tuzin żetonów telefonicznych, zatrzymał się w kawiarni, przestudiował ogłoszenia, podkreślił sześć, które wydały mu się najstosowniejsze i poszedł zadzwonić z automatu.

Przy pierwszych dwóch numerach włączyła się sekretarka. W przypadku trzech następnych nikt nie odebrał. Dopiero przy szóstym usłyszał kobiecy głos.

- Jeśli o mnie chodzi, to choćby dziś. Wpadnij. - Kobieta mówiła mu na ty i prawdopodobnie była pijana. - No więc jedziesz aż do Sokolnik, potem w prawo... - Ze słuchawką przyciśniętą do ucha Nikita zanotował adres.

Był to brudny, na wpół zdewastowany, pięciopiętrowy budynek z wielkiej płyty. Na klatce schodowej usłyszał jakąś jazgoczącą kobietę, a kiedy wszedł na najwyższe piętro, o mało co nie wpadł na człowieczka w łachmanach, który zbiegał po kilka stopni w dół.

Korpulentna młoda kobieta, z twarzą czerwoną, jakby właśnie wyszła z sauny, w obszernych zielonych, nylonowych spodniach z jaskrawoczerwonymi lampasami i w czarnym, przetykanym złotymi nitkami sweterku z krótkim rękawkiem, stała w drzwiach, podpierając się pod boki i rzucała w ślad za mężczyzną przeraźliwie soczyste przekleństwa. Na widok Nikity natychmiast zamilkła i kokieteryjnie przyglądała tlenione, cytrynowe włosy.

- To ty dzwoniłeś w sprawie mieszkania, co? Wejdz.

Nikita wkroczył do wyłożonego kartonami przedpokoju. Mieszkanie wypełniał gęsty, nieświeży zapach potu i alkoholowych wyziewów. Powietrze było tak pełne nikotynowego dymu, że zapiekły go oczy. W jedynym pokoju, całym wyłożonym czerwono-zielonymi dywanami, siedziało wokół stołu pięciu mieszkańców Kaukazu. Gdy zauważyli Nikitę, natychmiast umilkli i spojrzeli na niego badawczo.

- Myślę, że chyba źle trafiłem, proszę wybaczyć - powiedział Nikita i już chciał się wycofać po kartonach na zewnątrz.

- A gdzie tam! Dobrześ trafił - zachęciła go kobieta. - Dużo nie chcę, pięćset dolicz na miesiąc. Wystarczy, że dasz swój dowód i zapłacisz czynsz za pół roku z góry.

- Nie. Szukam czegoś na miesiąc. A pięćset to stanowczo za drogo. Dziękuję. Wszystkiego dobrego.

- Za drogo? Gorzej ci? Chłopie, to super meta. Popatrz tylko: dywany, okno na podwórze, zero hałasu, metro rzut beretem, telefon, telewizor, wideo, wszystkiego możesz używać, nawet pornosy są - paplała kobieta, przytrzymując go mocno za rękę.

- Momencik. Słuchaj no, tak się nie bawimy. - Dwóch ludzi Kaukazu wstało od stołu. Mieli oczy zaczerwienione od alkoholu; Nikita bez pardonowo

odepchnął zagradzającą mu drogę na korytarz kobietę, wypadł z mieszkania i rzucił się schodami w dół, szybciej niż człowieczek przed nim. Również za nim potoczyła się seria soczystych przekleństw.

Na śmierzdzącym podwórzu nieco odsapnął. Deszcz przestał padać, jednak niebo nadal było czarne, a wiatr chłostał Nikitę w twarz i wyginał w jego stronę lipy. Nikita pomyślał, że zaraz pewnie lunie, ale nie miał siły pobiec. Powlókł się w stronę metra.

Ogarnęła go całkowita apatia, chciał po prostu wrócić do domu, wziąć gorący prysznic i pójść spać - obojętnie, co miałyby się stać.

Do metra był ładny kawałek, więc zaszedł do podejrzanie wyglądającej knajpy. Siedziała w niej przy obiedzie grupa budowlańców w roboczych kombinezonach. Nikita podszedł do kontuaru.

- Macie zupę? - zapytał kobietę za ladą.
- Dobry barszcz. Podać?
- Tak. A wódkę?
- Stolicznaja.
- Poproszę setkę.

Nikita usiadł przy narożnym stole, możliwie jak najdalej od hałaśliwych budowlańców, z przyjemnością napił się wódki, zagryzł czarnym chlebem i zamieszał łyżką w barszczu. Wtedy załoskotało obok niego wiadro i mokra szmata z płaskim spadła na ziemię. Chuda dziewczyna w brudnym białym kitlu wycierała podłogę dokładnie pod stołem Nikity, omijając jego nogi, potem odstawiła szczotkę i przejechała śmierzdzącą ścierą po stole.

- Proszę posłuchać - odezwał się Nikita - właśnie jem, jak można zauważyć. A ta szmata niemilosierdzie cuchnie.

- Ej, gołąbeczku - zajazgotała mała - ja tylko wykonuję swoją pracę, ścieram stoły, kiedy mi pasuje, jasne? A ścierka jest czysta, więc nie może śmierdzieć. Mój Boże - Rakitin, to ty?

* * *

Domowego telefonu na wizytówce Rusowa nie było. Tylko służbowy. A na ten Jegorow nie mógł się dodzwonić. Rusow najwyraźniej rzadko bywał w swoim gabinecie.

- Proszę zadzwonić za godzinę - powiedziała uprzejmie sekretarka.

- Dzisiaj Grigorij Pietrowicz już nie przyjdzie - poinformowała go, gdy zgłosił się po godzinie - a jutro leci do Belgii.

- Czy nie mogłaby mi pani podać numeru domowego? - zapytał Jegorow. - Jestem jego krajanem, przyjacielem z dzieciństwa.

- Wybacz pan, ale skoro Grigorij Pietrowicz nie uznał za konieczne podanie tego numeru, to i ja nie mam prawa...

Od uśmiechniętego detektywa Wiktiuka też nie dowiedział się Jegorow niczego więcej. Dzwonił codziennie i zawsze słyszał to samo: „Proszę się nie martwić. Pracujemy nad tym”.

Za każdym razem, kiedy wracał z rejsu, nie wiedział, czego bardziej się bać - ujrzenia ziemistych twarzy żony i dzieci oraz znoszenia ich lodowatego milczenia, czy tego, że cała trójka gdzieś zniknie. Gdyby Guru i ludzie, którzy za nim stali, byli zainteresowani pieniędzmi, wtedy Oksana wszelkimi sposobami próbowałaby je wydobyć od męża. Sama od dłuższego czasu już nie pracowała, zajmowała się wyłącznie domem i dziećmi. Zarobki pilota wystarczały im na życie. Biżuterii ani innych drogich przedmiotów nie posiadali, najwartościowsze było mieszkanie. Ale o lokum, jego zamianie, Oksana nie pisała nawet słówkiem.

Pewnego dnia zauważył na piersi Fiedki, zaraz pod wystającym obojczykiem, czarny tatuaż, wpisaną w okrąg pięcioramienna gwiazdę.

- Co to jest, synku?

- Znak wtajemniczenia - odparł chłopiec głuchym głosem.

- Ale to przecież boli, a poza tym, to ci zostanie na całe życie. Bardzo ciężko usunąć taki tatuaż. Zobacz tylko, całą skórę masz podrażnioną, mogłeś dostać zakażenia. - Chciał objąć syna i poczuł, jaki jest straszliwie wychudzony. Przez chwilę Jegorow miał wrażenie, że chłopiec wtulił się w niego, jakby w ścianie lodu pojawiła się jakaś rysa.

- Słuchaj, synku, obaj wyjedziemy stąd na jakiś czas - wyszeptał gorączkowo. - Tak nie można żyć, musisz wrócić do szkoły, musisz się normalnie odżywiać.

- Tatusiu, boję się - wyszeptał Fiedka.

- Nie bój się, maleńki, po prostu już tam nie pójdziesz. - Jegorow przytulił głowę chłopca do piersi, jednak Fiedka wyrwał się.

- Boję się, kiedy ciebie słucham, tatusiu. Ty niczego nie rozumiesz. Jesteś żywym trupem. - Fiedka podniósł głowę i Jegorow zobaczył w jego niebieskich oczach lodowatą pustkę.

Następnego dnia Iwan Pawłowicz udał się pod adres widniejący na wizytówce Rusowa. Strażnikowi pilnującemu drzwi szacownej instytucji nie przyszło do głowy, żeby zatrzymać wysokiego mężczyznę w mundurze pilota. Jegorow wszedł na piętro i zapytał pierwszej lepszej panią o biuro Rusowa.

- W tym korytarzu, po prawej.

Przedśionek był pusty. Jegorow podszedł do drzwi biura, ale były zamknięte. Na biurku sekretarki rozdzwonił się telefon. Iwan Pawłowicz odruchowo rzucił się, żeby odebrać. Ma się rozumieć, nie zrobił tego, zauważył jednak na biurku otwarty terminarz. Zdażył jeszcze przeczytać wpis na ten dzień: 19:30, rest. WEST, Shanli, od, sala.

- Co pan tu robi? - zawołał oburzony głos.

W drzwiach stała korpulentna blondyna z tacą pełną mokrych odwróconych filiżanek.

- Dzień dobry. - Jegorow uśmiechnął się, wyszedł zza biurka i usiadł na krześle. - Grigorija Pietrewicza znowu nie ma jak widzieć? Nic to. Nie szkodzi. Poczekam. Jesteśmy umówieni.

- Umówieni? - sekretarka schowała naczynia do małej oszklonej szafki i zajęła miejsce za biurkiem.

- Naturalnie.

- Na kiedy?

- Na jedenastą - skłamał Jegorow bez zmrużenia oka.

- A jak pan się nazywa?

Jegorow przedstawił się. Sekretarka naskrobała coś w kalendarzu.

- Ale Grigorij Pietrewicz dziś nie przyjdzie.

- Mam inne informacje - Jegorow wesoło mrugnął okiem.

- Momencik - sięgnęła po telefon i wybrała numer, przypuszczalnie osobisty numer Rusowa, cyfr jednak Jegorow nie zdołał ustalić.

- Grigoriju Pietrewiczu, jest tu ktoś do pana, niejaki Jegorow. Mówi, że jest z panem umówiony na jedenastą. Tak, oczywiście.

Jegorow zerwał się z miejsca i wyrwał jej słuchawkę.

- Nie ruszę się z miejsca, dopóki nie przyjdiesz.

- Uspokój się, Iwan - odparł spokojny, ochryply baryton. - Wybacz, stary, ale mam młyn jak cholera, padam z nóg. Musimy się spotkać, bez dwóch zdań, wiem, że masz problemy, ale chcę cię wysłuchać w spokoju, a nie w jakiejś gonitwie. Przyszły tydzień, pasuje?

- Przyjdiesz jeszcze dziś do pracy czy nie? - Jegorow nie odpuszczał. - Czekam na ciebie. Nie przyszedłem na pogaduchy, mam poważny problem. Oksana trafiła do sekty i jeszcze wciągnęła w to dzieci.

- Iwan, dziś nie da rady, na bank. Posłuchaj, powiedzmy przyszły tydzień, co? Zostaw Marinie swój numer, oddzwonię.

Iwan oddał dudniącą słuchawkę sekretarce, podyktował jej swój prywatny numer i opuścił biuro, przekonany, że Rusow nigdy do niego nie zadzwoni.

W domu poszukał w książce telefonicznej numeru restauracji „WEST”. Było ich aż trzy, na różnych końcach miasta. Zadzwonił do wszystkich trzech.

- Dzień dobry, chciałbym potwierdzić rezerwację na dzisiaj wieczór, dziewiętnasta trzydzieści. Oddzielna sala. Na nazwisko Rusow. Nie? To proszę poszukać pod Shanli.

Sala zarezerwowana była w restauracji nieopodal Czystych Prudów. Jegorow był tam o siódmej.

Być może Griszka nie będzie zachwycony taką nachalnością, ale emocje kolegi były mu obojętne. Wiedział tylko jedno: ze względu na swoje stanowisko Grisza musiał mieć jakieś informacje na temat tej sekty. No bo kto, jeśli nie on?

Jegorow nerwowo wypalił papierosa w ciemnej bramie, z której dobrze widać było eleganckie drzwi restauracji. Zadaszenie nad wejściem wsparte było na dwóch akwariach w kształcie kolumn, pełnych egzotycznych ryb. Część chodnika wyłożono marmurowymi płytami, które mimo zimowej pory pozostawały dziewiczo czyste. Aż do krawężnika sięgał czerwony dywan. Przy drzwiach stał czarnoskóry odźwierny w czerwonej liberii.

Ciemnoczerwone volvo Rusowa zajechało po dwudziestu minutach. Jegorow wystąpił o krok z ukrycia i już chciał zagadnąć przyjaciela z młodości, gdy nagle zamarł. Przed restauracją zatrzymał się również inny samochód, czarny mercedes, a z niego wysiadł wygolony do zera niski Azjata w sięgającym do kostek rozpiętym, ciemnozielonym, kaszmirowym płaszczu. Pod spodem miał na sobie białą koszulę i drogi ciemny garnitur. Wejście było rześkie oświetlone. Poza tym Iwan Pawłowicz poznałby tego niskiego człowieczka o krzywych nogach w każdym stroju.

Guru i Rusow uścisnęli sobie dłonie i weszli do restauracji. Jegorow zdążył jeszcze zauważyć za kierownicą mercedesa wytrenowaną ochroniarzkę. Nie wahając się ani sekundy, przebiegł przez jezdnię do restauracji. Czarny odźwierny zastąpił mu drogę.

- Proszę wybaczyć, ale czy pan rezerwował stolik?
- Tak, tak, oczywiście.

Przed Jegorowem wyrósł opasły portier we fraku.

- Dobry wieczór. Jak pana godność?
- Jegorow.

- Wybaczy pan, ale nie mam pana na liście - stwierdził ponuro portier.

- Nie? To dziwne. Ale może znajdzie się dla mnie jakieś miejsce. Jestem sam.

- U nas nie ma wolnych miejsc. Tylko rezerwacje.

Odźwierny grzecznie odprowadził Jegorowa do wyjścia. W drzwiach pojawili się dwaj osobnicy w moro. Jegorow, chcąc nie chcąc, musiał wrócić do ciemnej bramy i zaczekać, aż Rusow i Guru się posilą. Zanim przeszedł na drugą stronę ulicy, rzucił okiem na mercedesa - był pusty.

Wieczór był zimny i wilgotny, a jego lotniczy płaszcz za lekki. Zapalił papierosa, przestępując z nogi na nogę, żeby nie zamrznąć. Nagle poczuł ostry ból w karku. A potem zanurzył się w gęstą, lodowatą ciemność.

* * *

- Rakitin, ile to lat myśmy się już nie widzieli? W życiu byś mnie nie poznał, bratku! Zestarzałam się, co?

- Nie, Zinula, coś ty. Poznałbym cię, ale nie ze szmatą i nie w tym fartuchu.
- Jaasne, możesz sobie gadać!

- Kiedy naprawdę. Przecież znamy się praktycznie od kołyski. A widzieliśmy się ostatnio na pogrzebie babci Anny.

- Właśnie... Na pogrzebie. Posłuchaj, Rakitin, co u ciebie? Dlaczego jesteś taki przemoczony?

- No przecież pada.

Taksówka zatrzymała się przed szarym pięciopiętrowym budynkiem. Nikita przeliczył. Weszli na kompletnie zdewastowaną, śmierdzącą klatkę schodową i wspięli się na najwyższe piętro.

- Nienawidzę tej nory - oznajmiła Zina Rieznikowa wesoło i otworzyła Nikicie drzwi. - Jeśli o mnie chodzi, mogłaby się spalić.

- A gdzie byś wtedy mieszkała?

- Dostałabym nowe. Ciągle czekam na to, aż mój sąsiad pijaczyna przypadkowo zaproszy ogień. - Rozmarzona przewróciła oczami i roześmiała się.

- Sama sobie nie ufam. Coś takiego zdarza się przecież na porządku dziennym: eksplozje gazowe, zwarcia.

- Prawdziwa z ciebie terrorystka - Nikita uśmiechnął się i ciężko opadł na jedyny, zdezelowany fotel.

- Jestem tylko biedną malarką. „Nie. Powiem wam tyle: taki malarz jako najemca, to coś najgorszego - żyje całkiem jak świnia... Niech Bóg broni”. No, Rakitin, szybko, z czego to?

- *Portret Gogola* - odparł machinalnie i uznał ten cytat za bardzo adekwatny. W malutkim pokoju panował wprost niewyobrażalny chaos.

- Świetnie - pochwaliła go Zina. - Ciągle w formie. Myślałam, że już totalnie zszedłeś na psy.

- Jak to?

- Widziałam twoje okładki. Wiktor Godunow to modny pismak. A co akurat jest w modzie? Banał, bezguście. Powiedz szczerze, po co ci to? Czy naprawdę już tylko kasa się liczy?

- Cholernie duża kasa, Zina - roześmiał się drwiąco. - Powoli osiągam poziom przeciętnego pracownika małej, niezbyt dobrze prosperującej firmy.

- Nie mów! Jesteś przecież strasznie popularny. Powinieneś zarabiać krocie.

- Żeby dużo zarabiać, to zamiast pisać książki, powinno się od rana do wieczora liczyć pieniądze. Ale piszę chętniej, a interesy przekazuję w ręce moich wydawców. Niech każdy robi swoje.

- Ale to oni zbijają kokosy na twoich książkach.

- Nie tylko. Mają mnóstwo autorów. Pamiętasz jeszcze znaną odzywkę radzieckiej ekspedientki? „Was jest wiele, a ja tylko jedna”.

- Wydawnictw też jest mnóstwo.

- Silnych, naprawdę dochodowych, zaledwie garstka. Skoro potrafiły się takimi stać, to znaczy, że naprawdę znają się na rzeczy. A jeśli udaje im się przy tym pozyskać mnie za mniej, niż jestem wart, to ze mnie jest dureń, a oni są sprytni.

- Ale skoro nie robisz na tym wielkich pieniędzy, to po co to wszystko?
- A po co ty malujesz?
- Bo jestem malarką.
- A ja jestem pisarzem, więc piszę powieści.
- Kryminały. Tanią papkę! Nigdy bym nie powiedziała, Rakitin, że zostaniesz autorem kryminałów, Wiktorem Godunowem. Ja nie znam tego Godunowa i wcale nie chcę go poznać.
- A zajrzałaś kiedyś do którejs z moich książek?
- Ma się rozumieć, że nie. Nie zabieram się za taki chłam.
- Przeczytaj przynajmniej kilka stron, a dopiero potem oceń.
- Nie mam zamiaru czytać Wiktora Godunowa. Zupełnie mnie nie interesuje ten pan. Jego książki to tanie rzemiosło. Ale Nikitę Rakitina kocham całym sercem i chętnie znowu poczytam.
- Dziękuję za pamięć - uśmiechnął się Nikita. - Posłuchaj, nie znasz może kogoś, kto mógłby wynająć mieszkanie na miesiąc albo przynajmniej na dwa tygodnie?
- Komu?
- Mnie.
- Taak... - Zina chodziła w tę i we w tę po małym pokoju z rękami założonymi za głowę, gwizdząc pierwsze akordy *Marsza tureckiego*. Potem nagle zatrzymała się, pytając: - Trawki?
- Nie, dziękuję.
- A ja sobie zapalę.

Wysypała tytoń z papierosa na spodek, dodała do tego rozdrobnioną trawkę i całość z powrotem wysypała do bibułki. Nikita, któremu na wyliniałym fotelu, pod zatłuszczonej pikowaną kołdrą zrobiło się ciepło, spał już prawie i miał uczucie, jakby przeniósł się w czasie piętnaście lat wstecz, a na zapchlonej leżance siedziała chuda, wyprostowana i ubrana w czarny golf jego Nika, wówczas jeszcze nie zdrązyczyni, jeszcze nie żona Griszy Rusowa.

- Jutro wieczorem jadę do Petersburga. Jeśli chcesz, możesz u mnie pomieszkać. Nie będzie mnie przez miesiąc.
- Trzysta dolarów cię urządza?
- Daj spokój, Rakitin! - gwizdnęła i popukała się w czoło. - Odbiło ci?

- A jeśli by ci dał te pieniądze w prezencie, tak po prostu?
- Nogi do góry! - rozkazała Zina. - Tak - podstawiła mu stołek pod nogi.
- Dopóki tu jestem, będziesz musiał spać na fotelu, przykro mi. Mam tylko tę leżankę. A pieniędzy nie wezmę. Możesz tu mieszkać, jak długo zechcesz. Nie chcę też wiedzieć, dlaczego, to bez znaczenia. Wiem, że jeśli uznasz to za konieczne, to powiesz. A jeśli nie, to nie.

- Opowiem ci - mruknął Nikita. - Ale najpierw muszę się trochę przespać.
Wystarczyło, że tylko przelotnie pomyślał o Nice i już nie mógł przestać. Nagle poczuł pragnienie, by ujrzeć ją przynajmniej we śnie.

Trzydziestosiedmioletnią smukłą, surową damę z ciężkim kokiem na karku i zimnymi, piwnymi oczami. Zdrajczynię Nikę, żonę Rusowa. Matkę syna Rusowa. Weronikę Siergiejewną Jelaginę, lekarza medycyny, chirurga urazowego. Dziewczynę Nikę, jego pierwszą i ostatnią miłość.

Zanurzył się w sen jak w przepaść i miał obłąkańcze wizje. Dziesiąty już raz przeżywał bardzo realny koszmar, że strzelają do niego na Leningradz- kim Prospekcie. Poza tym widział też białe wykafelkowane ściany oddziału psychiatrii dziecięcej, a na ich tle bladą jak kreda twarz chłopca, Fiedki Jegorowa, jego przeraźliwie puste, błękitne oczy i satanistyczny pentagram na zaognionej skórze pod wystającym dziecięcym obojczykiem, zaś w jego głowie kołatały się wypowiedane monotonnym głosikiem słowa: Żółty Wąwóz, Słoneczne Miasto.

Nie na darmo polecał na zachodnią Syberię, nie na darmo odszukał tam straszne miejsce, zapijaczone osiedle: Żółty Wąwóz.

Rozdział 5

Lotnisko syberyjskiej stolicy było wielkie i pompatyczne, zbudowane na wzór moskiewskiego portu Szeremietiewo, z tym, że bez powiewu wielkiego świata. Twarze, wystawy i tablice reklamowe miały w sobie coś prowincjonalnego, coś, co w szarym świetle poranka szczególnie rzucało się w oczy.

W ustach zaspanej ekspedientki walutowego supermarketu błysnął złoty siekacz, opuchnięty bufetowy układał na ladzie poszarzałe wczorajsze kanapki, wykafelkowana na czarno toaleta wydzieląa niemiłosierny odór.

Gdy Nikita przechodził obok stoiska z książkami, machinalnie zarejestrował pośród sadystycznie zaprojektowanych wydań kieszonkowych również kilka własnych tytułów, odwrócił się jednak i przyspieszył kroku. Księgarze najszybciej mogli rozpoznać Wiktora Godunowa.

Bezszelestnie otwarły się szklane drzwi, wyszedł na zewnątrz i natychmiast ze wszystkich stron naparli na niego krzepcy mężczyźni w skórzanych kurtkach.

„Cześć, chłopaki”, pomyślał ironicznie, próbując wyobrazić sobie, jak zaradni bohaterowie jego kryminałów zachowaliby się w takiej sytuacji.

- Taksy? - mrugnął do niego pierwszy typek w skórze.
- Dokąd, szefie? - zainteresował się drugi, niedbale kręcąc przy tym kluczami.

Tymczasem, oferując swoje usługi, pojawił się i trzeci.

Jesteś idiotą, panie pisarzu - zgañił samego siebie Nikita. - Twoi bohaterowie są od ciebie znacznie mądrzejsi. Zastanów się, kto tu może od ciebie czegoś chcieć? Jesteś w końcu w Turcji, w szemranym hotelu w Antalyi, i wypakowujesz właśnie swoje rzeczy.

- Na dworzec - wyjaśnił.
- Pięćset - odpowiedzieli wszyscy trzej naraz.
- Trzysta - zaproponował Nikita.

Dwóch się odwróciło, z trzecim umówili się na czterysta.

Poranna droga świeciła pustkami. Na prawo i lewo rozpościerała się tajga. Słońce powoli wschodziło, ostre promienie wdzierały się między brązowe jedliny i blade niskie mgły. Nikicie, po pięciu godzinach płytkiego snu w samolocie, oczy same się zamykały, jednak dziarski ptasi świergot i wilgotne, świeże powietrze nie pozwalały zasnąć. A okna nie chciał zamknąć - zapach tajgi tego majowego poranka dobrze mu robił.

Dotarli do przemysłowych przedmieść: pustynia pięciopiętrowych budynków, czarne fabryczne kominy. Na skraju drogi - wielki pstrokaty plakat. W regionie właśnie zakończyła się kampania wyborcza. Jeden z trzech kandydatów spoglądał na przejeżdżających zamyślonym wzrokiem. U dołu widniały ogniste litery: „Honor i sumienie”. Wszystkie media trąbiły o zwycięstwie tego kandydata, który zostawił swoich konkurentów daleko w tyle.

Nikita zapłacił za kurs, wszedł do starego, zbudowanego w poprzednim stuleciu dworcowego budynku i znów natknął się na uprzejme spojrzenie zwycięskiego kandydata. Tym razem miał on na sobie rozpiętą marynarkę i zamiast szarego, krawat w kratę. Tekst nie był czerwony, tylko niebieski, ręczne pismo, za to w dziesięciokrotnym powiększeniu „Pożyjemy, przyjaciele!”. Czyste, okrągłe, proste litery, a obok ładny podpis.

Tablica informacyjna nie działała. W poczekalni znajdowało się tak niewiele ludzi, że Nikita przestraszył się, iż pociągi w ogóle nie kursują.

- Kiedy odchodzi najbliższy pociąg do Kołpaszewa? - zapytał przy jedynym czynnym okienku.
- Za pół godziny - odpowiedziała kasjerka, uprzednio ziewnąwszy. - Dwieście rubli.

Gdy pociąg zatrzymał się na niewielkiej stacji Kołpaszewo, już zmierzchało. Nikita z miejsca udał się na przystań. Była pusta. Przed okienkiem

kasy wisiała wielka zardzewiała kłódka. Nigdzie nie mógł dostrzec czegoś, co mogło być rozkładem jazdy. Koło kasy telepała się na wietrze tablica ze sklejk. Przepisy BHP dla ruchu śródlądowego.

- Statek do Pomchi odchodzi dopiero jutro po południu - wyjaśnił mu stojący nieopodal w wodzie samotny wędkarz obuty w wysokie gumki.

W pochmurnym zmierzchu, podczas mżawki miasteczko Kołpaszewo sprawiało wrażenie sennego i bezludnego. Zmurszałe krawężniki, sporadyczne, zdemolowane latarnie, wysokie płoty z grubych, nieheblowanych desek. Na głównym placu, przed betonowym budynkiem dawnego komitetu partii, Iljicz wyciągał ubrudzoną ptasimi odchodami rękę na wschód. Cichy rynecek: kilku mieszkańców Kaukazu z jabłkami i granatami, wyglądającymi jak atrapy, z pół tuzina Chińczyków z tandetą, babuleńki z kiszonymi ogórkami, kwaśną kapustą, wełnianymi skarpetami i mechatymi chustkami na głowę. W drewnianych budkach nieopodal sprzedawano pieczywo i wędliny z importu. Na pytanie o nocleg babuleńki napomknęły o dawnym hotelu partyjnym - do domu towarowego, potem w prawo.

Kupił ogórki, chleb, opakowanie importowej szynki i butelkę wody mineralnej.

Dawny hotel partyjny okazał się trzypiętrowym ceglanym domem, najwyższym po dawnej siedzibie partii budynkiem w mieście. W środku było względnie czysto. W foyer hotelu przechadzali się mieszkańcy Kaukazu w dresach i klapkach, a zza niedomkniętych drzwi restauracji dobiegała skoczna muzyka i pijackie śmiechy.

- Jedynek już nie ma - wyjaśniła szefowa hotelu. - Jeśli chce pan mieszkać sam, musi pan opłacić dwójkę. Sto pięćdziesiąt za dobę.

Nareszcie sam, Nikta opadł na łóżko i zamknął oczy.

- Dlaczego ja to wszystko robię? - zapytał sam siebie ochrypłym szeptem. - Żeby wyrównać własne rachunki? W imię sprawiedliwości? A może zarazilem się głuchą rozpaczą tego pilota, rozpaczą, która każe najpierw działać, a potem myśleć? Wydałem kupę pieniędzy. Ryzykuję życie, bo jeśli moje podejrzenia się potwierdzą, to na bank mnie ukatrupią. Osobiste porachunki? Tak, ma się rozumieć, to też.

Nikita zerwał się i boso podszedł do okna. Wiatr wyl, niebo nad tajgą wydawało się doskonale czarne. W oddali się błyskało.

Wyłożył żywność na stół. W środku nocy, w hoteliku na krańcu świata, gdy na zewnątrz mrok, zimny wiatr chłoszcze szyby, a ty nie wiesz, co

wydarzy się jutro, każde jedzenie wyda ci się niezmiernie, a co dopiero domowe ogórki kiszzone, z tym jedynym w swoim rodzaju zaściankowym rosyjskim chlebem, którego nie znajdziesz nigdzie indziej na świecie. Szary chleb z grubą, chrupiącą skórką, wewnątrz wilgotny i kleisty.

W torbie miał butelkę dobrego koniaku i paczkę ekspresówek Pickwicka. Tanieczka, zmyślna dziewczyna, zapakowała mu jeszcze słoiczek rozpuszczalnej kawy Tchibo.

„Zmyślna Tanieczka byłaby idealną żoną” - pomyślał, odrywając kawałek ciepłego chleba i podnosząc piersiówkę do ust. - Twoje zdrowie, dziewczyno! Wybacz, że nie mogę się z tobą ożenić”.

I w ślad za tą niewesołą myślą, wraz z palącym łykiem koniaku przeszło go niemal zakazane, prawie zniechęcone imię: Nika.

Bardzo dawno temu, w innym życiu, w niemal identycznym hoteliku jedli ogórki i chleb. A zamiast gumowatej szynki były jaja na twardo, zamiast herbaty Pickwicka, zwykła sypana. Tylko koniak ten sam - ormiański.

Nikita, który właśnie skończył studia, pracował jako korespondent popularnego czasopisma młodzieżowego, a Nika koniecznie chciała mu towarzyszyć w delegacji do Wołogdy, ponieważ było to miasto stare i ładne, i dlatego, że razem było tak pięknie, nieważne gdzie. Była połowa czerwca i niespodziewanie spadł śnieg. Leżał na trawie i zielonych liściach i nie chciał stopnieć. Mój Boże, kiedy to było? Nikita wciąż miał przed oczami szczupłą sylwetkę przy oknie hotelowego pokoju, za którym w migotliwym świetle latarni wirowały płatki czerwcowego śniegu. Miał jej nie wybaczyć. Nie wybaczyć i nie zapomnieć, ponieważ nadal ją kochał. Każda inna była tylko cieniem Niki, jego chudej dziewczyny o włosach ciemnoblonde, zdrajczyni Niki, pierwszej i ostatniej miłości jego życia.

* * *

Rano śnieg stopniał, był w końcu maj. Ale nadal pozostawało zimno i wilgotno. W przekrzywionej przez wiatr budzie z desek, z na wpół zdewastowanym szyldem „Port rzeczny” tłoczyli się ludzie. Siedząc lub leżąc na rozklekotanych ławkach, od bladego świtu czekali na statek. Nikita rozglądał się za wolnym miejscem, a wtedy zwrócił się do niego jakiś starszy głos:

- Siadaj, synu. Przesunę się.

- Dziękuję. - Nikita wcisnął się koło starego i zarejestrował w przelocie akurataną białą bródkę i długie siwe włosy z przedziałkiem, spięte z tyłu czarną recepturką. Cienki warkoczyk wetknięty był za kołnierz szarej, wytartej marynarki.

- Przyjezdny? - zapytał cicho starzec, lustrując Nikitę z uprzejmym zaciekawieniem. - Skąd, jeśli to nie tajemnica?

- Z Moskwy. Proszę powiedzieć, kiedy będzie statek?

- Powinien dziś przypląć. W delegacji czy prywatnie?

- W delegacji - skłamał Nikita i pomyślał, że niedobrze wdawać się w rozmowy z pierwszym lepszym. Stary był sympatyczny, najpewniej duchowny, prawdopodobnie pop z jakiejś wsi. Mimo to ostrożność nie zawadzi.

- A dokąd?

- Do Żółtego Wąwozu.

- Pięknie. Ja też tam. Jestem ojciec Paweł. A ty?

- Nikita.

Ojciec Paweł pogrzebał w przepastnej torbie w kratę, zaszeleścił gazetami.

- Masz, częstuj się... pierogi. Z kapustą.

- Dziękuję - uśmiechnął się Nikita.

- A co to za delegacja, jeśli to nie tajemnica? Nasza miejscowość leży przecież całkiem na uboczu. Prawie nie ma przyjezdnych.

- Jestem dziennikarzem.

- Dziennikarzem - z zadumą powtórzył stary. - A o czym chcesz napisać?

- O ekologii, ochronie środowiska. Doskonale pierogi.

- Tak, moja żona robi świetne, szczególnie z kapustą. A gdzie zamierzasz się zatrzymać? Przecież u nas nie ma hotelu.

- Planowałem wynająć pokój na kilka dni.

- No to przyjmujemy cię przy chramie, służbówka stoi pusta. Ochrzczony?

- Tak.

Z oddali dobiegło ochryple trąbienie. Zmęczeni długim czekaniem ludzie natychmiast zerwali się z miejsc i tłumnie ruszyli do wąskich drzwi.

- Idź już, synu, zajmiesz mi miejsce. Ale i nie spiesz się za bardzo, bo cię rozdepczą - powiedział.

Statek był mały i przedpotopowy, i Nikita przestraszył się, że taka łajba nie pomieści tak dużej liczby pasażerów. Pod pokładem znalazł miejsce dla siebie i swego towarzysza. Ten zaś wszedł jako ostatni, z ogromną kartonową walizką.

- Ojcie Pawle! - zawołał Nikita.

- Ach, pięknie - ucieszył się stary. - Nie jest zimno i nie będzie nam wilgotno. U góry, na pokładzie, wieje wiatr... Więc mówisz, że chcesz pisać o naturze?

- No, właściwie tak.

- Kiedy otwieram gazety, widzę tylko brud i ubóstwo, niech Bóg mi wybacz. W Siniedolsku oglądałem telewizję u mojego syna. Panie, co to za czasy! Już człowiek nie wie, kiedy gorzej. Za Sowietów czy teraz. Żonaty?

- Rozwiedziony.

- Grzech. Dzieci masz?

- Córkę, dwunastoletnią.

- Jak się nazywa?

- Masza.

- Ja mam trójkę. Synów. I pięciu wnuków. Ale dzieci się wyprowadziły, dwaj starsi do Siniedolska, najmłodszy do Murmańska. Jest oficerem na statku handlowym. I dobrze, że nie zostali w Żółtym Wąwozie. - Ojciec Paweł pochylił się w jego stronę i szepnął: - Paskudna okolica. Młodzież wpada w bagno, nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Wódka leje się strumieniami, tania jak barszcz, ile chcesz. Nie dalej jak wiosną trzech utonęło w Mołczan- ce, jeszcze dzieci, chcieli się po pijaku przeprowadzić łódką do kopalni. Jeden znalazł się po tygodniu, płynął martwy. Gdzie są tamci, Bóg raczy wiedzieć.

- A co to za kopalnia? - zapytał szybko Nikita i poczuł, że serce zaczyna mu mocniej bić.

- W sumie to nie prawdziwa kopalnia, tylko tak się nazywa. Wymarłe miejsce. Przed wojną był tam łagier, więźniowie szukali złota, ale teraz... Szkoda gadać. Widzisz - powiedział głośno i skinął głową na ogromną sfatygowaną walizę u swoich stóp - kupiłem dwie ikony. W Siniedolsku. Stare zniknęły. Wszystko pokradli. Ale teraz odnowiono stary chram, mamy kraty w oknach, nawet alarm, wyobraź sobie! Wprost nie mogę się nacieszyć, jaki teraz ładny nasz kościółek.

- Czy parafia jest duża?

- Ale gdzie tam! Dziesięć dusz.

„Ciekawe za czyje pieniądze wyremontowano w takim razie kościół i to w dodatku z systemem alarmowym, skoro parafia jest tak nieliczna. Zapijaczona osada, kopalnia... Myślę, że dobrze mi się wydaje”.

Statek dotarł do osady o zmierzchu. Pośród wysiadających pasażerów Nikita od razu dostrzegł dwóch ogolonych na zero mięśniaków w czarnych skórach. Byli podchmieleni i bez bagażu; a na brzegu czekał na nich wojskowy jeep.

- Ci tutaj rządzą - szepnął pop i wskazał ruchem głowy dwójkę osiłków.

- Dziwne, że przyłączyli się statkiem. Zwykle przylatują helikopterem. Choć w sumie pogoda dziś nie sprzyja, taka mgła.

Nikita sięgnął po walizkę ojca Pawła, która mimo swoich okazałych rozmiarów była zadziwiająco lekka. Ruszyli śliską gliniastą ścieżką w kierunku osady, do głównej drogi, jeśli tak można określić rząd czarnych drewnianych płotów.

Nieliczne latarnie rzucały mętne półświatło, jednak na końcu ulicy, pośród ciemności jaśniał biały szklany kwadracik, a na nim ognistoczerwone litery tworzące napis: „Spożywczy”. Przed budynkiem stała grupka mężczyzn i kobiet, którzy z trudem utrzymywali się na nogach. Bił od nich ostry zapach alkoholu.

- Dzisiaj sprzedają wódkę za pół darmo - wyjaśnił ojciec Paweł. - I tak jest śmiesznie tania, ale w wolne dni prawie za darmo.

- Kto wam to zapewnia? - zapytał Nikita obojętnie.

- Ach, lepiej nie pytaj, mój chłopcze - duchowny ciężko westchnął i szepnął Nikicie do ucha. - Ci bandyci, tak jest.

- Ale po co to robią?

- Oni już tam wiedzą, po co. Lepiej nie pytaj, mój synu. Niedobrze. Ani dla mnie, ani dla ciebie. Wiesz co, nie będziesz spał w stróżówce, przenocujesz u nas - oznajmił po dłuższej chwili milczenia. - Żona i ja i tak jesteśmy sami. Rano przygotujemy ci kąpiel. Musisz się tutaj z kimś spotkać? Albo chcesz sobie tylko poogłądać przyrodę sam?

- Jestem sam. I właściwie nie chcę oglądać przyrody, tylko być obozy.

- Ach tak. Z powodu ekologii! Tak się to teraz nazywa! - powiedział szybko pop i przyspieszył kroku. Za wzgórzem zajaśniała kopuła z krzyżem. Kościół wyglądał jak nowy. Również plebania robiła wrażenie. Domek z bali, z połyskliwym blaszanym dachem i ceglany kominem.

Żona popa, Ksenia Tichonowna, była okrągłąwą rumianą staruszką, ruchliwą i gadatliwą.

- Nasze życie jest monotonne. Synowie pojawiają się raz do roku, wnuki jeszcze rzadziej. Parafia jest mała. Czasami kościół podczas nabożeństw jest zupełnie pusty. Weź kapusty, spróbuj ryby. Sama wędziłam.

Nikita musiał ze szczegółami opowiedzieć o swoich rodzicach, byłej żonie Galinie i córce Maszy, a nawet wytłumaczyć, z jakiego powodu przed siedmiu laty się rozwiódł.

- Mielicie ślub kościelny?

- Nie.

- I dlatego nic z tego nie wyszło. Sakrament musi być. Więc mówisz, że o czym chcesz pisać?

- O dawnych obozach.

- Tutaj w okolicy nadal pracują więźniowie. To nie były obóz. Cały czas działa.

- No, matka, a ziemniaki ci się tam czasem nie przypalają? - odezwał się ojciec Paweł, podnosząc głos i lekko uderzając ręką w stół.

- Już nic nie mówię, ojciec, już nic nie mówię. - Staruszka z przestrawieniem zasłoniła sobie usta dłonią i pognała do pieca.

- Ach, to ci baba, gada, co jej ślina na język przyniesie - warknął ojciec Paweł. - Powiem ci bez ogródek, Nikita: trzymaj ty się lepiej z dala od tych obozów. Jeśli ci życie miłe. Widziałeś przecież tych dwóch w przystani, co? Właśnie tacy tu rządzą. Tak jak mówiłem, bandyci. - Stary zniżył głos do szeptu i nachylił się nad stołem. - Jeśli się dowiedzą, że jesteś z Moskwy i że w dodatku chcesz coś pisać i fotografować, to na pewno nie wypuszczą cię żywego z powrotem. Dobrze ci z oczu patrzy. Nie wiem, co tam w rzeczywistości zamierzasz, może jesteś z milicji albo z prokuratury, nie obchodzi mnie to. Ale mógłbyś być moim synem. Więc radzę ci, po ojcowsku: trzymaj się od tego z daleka. Nic nie działasz. Mają tam ochroniarzy i ogrodzenie pod napięciem.

- A więc jednak kopalnia? - zapytał Nikita w zamyśleniu. - Złoto?

- Złoto? Gdzie tam, dawno się skończyło - powiedział stary i szybko się przeżegnał. - Zmiłuj się, Panie.

- A wy sami tam byliście?

- Nie zmuszaj mnie do grzechu, nie mogę kłamać. - Stary boleśnie się skrzywił. - Ale mówić też mi nie wolno. Teraz widzisz, jak mi zatkali głowę.

Odremontowali kościół, dali pieniądze na dom i wyposażenie parafii. Tu masz, popie, i trzymaj głębę na kłódkę. Byłem tam. Co prawda nie całkiem blisko, ale widziałem ich.

- Kogo?!

- Tych nieszczęśników. Niewolników. Widziałem ich. Przyleciał właśnie helikopter i ich wyprowadzali. Lądowisko jest nie przy samej kopalni, tylko kawałek dalej. Wysiedli i zobaczyłem, że są jacyś dziwni, żadni tam nielegalni robotnicy ani więźniowie. Kobiety, nieletni, garstka mężczyzn. Wszyscy dobrze ubrani, miastowi. Tylko twarze jakieś dziwne, oczy nieruchome i wszyscy bardzo bladzi. I jeszcze sobie pomyślałem: „Co to w ogóle za robotnicy?”. Chciałem nawet podejść bliżej, wtedy jeszcze nie było ochrony z prawdziwego zdarzenia, wówczas wszystko dopiero się zaczynało, przed pięcioma laty. Byłem u leśniczego, Nikołaja. Leżał w agonii, chciał się wypowiedzieć, przyjmując sakramenty. Ich dom był zaraz obok lądowiska. Zauważyli nas, żonę leśniczego Kławdię i mnie. Myśleliśmy najpierw, że nas zabiją. Nic nam się, co prawda, nie stało, ale potem szło za mną aż do kościoła dwóch takich i chciało porozmawiać. Dostaniesz wszystko, powiedzieli, ale nikomu ani słowa. I widzisz, a teraz papłę jak stary dureń. To grzech. Milczenie to grzech, ale brak milczenia - też grzech. No i opowiadam ci to wszystko i myślę: „Stanie mu się co, to ja będę winien”.

Ksenia Tichonowna, która cały czas w milczeniu krzątała się przy piecu i tylko co jakiś czas wzdychała, w końcu się wtrąciła.

- Wystarczy, ojciec. Może ktoś ich już szuka, biednych męczenników, a my, starzy, będziemy milczeć jeszcze sto lat, ze strachu przed grzechem. Wczoraj była tu Kławdia, po chleb, wypłukało tam zbiorowy grób, poniżej rzeki, co najmniej dwadzieścioro ludzi, świeć panie nad ich duszami. Jeszcze dało się rozpoznać, kobiety i dzieci.

- Kławdia, żona leśniczego?

- Zgadza się - skinął głową ojciec Paweł. - Przenieśli jej dom z dala od lotniska. Mieszka sama.

- Jak do niej trafić?

- Daj spokój! - stary pokręcił głową.

- Ciągłe tu jest - mruknęła Ksenia Tichonowna, nie patrząc na nikogo. - Nocuje u swojej synowej. Jutro o świcie chce wracać. Jakby co, to Kławdia może przecież powiedzieć, że jesteś jej krewniakiem z Siniedolska.

Rozdział 6

- Ej

kapitanie, żyjesz jeszcze? - Głos dobiegał z bliska i dudnił w głowie jak tępy ból. Jegorow z trudem odemknął powieki. Poprzez śnieżny welon ujrzał przed sobą dwie duże ciemne plamy.

- Co, kolego, za dużo się wypilo? Wstawaj, bo zamarzniesz.
- Nie piłem - powiedział ochryple Jegorow. - Zostałem napadnięty.
- Wezwać karetkę?
- Nie trzeba. Która godzina?
- Dwunasta.

W dali skrzyły się dwie kolumny-akwaria, pełne ogromnych pstrokatych ryb. Jegorow spróbował wstać, jednak tylko niezgrabnie się poruszył i znów upadł.

Przez dwa następne dni leżał z wysoką gorączką w domu. Raz zajrzał do niego Fiedka, przynosząc mu herbatę z cytryną. W ostatnim czasie bywali w domu tylko nocą.

Potem Jegorow wyruszył w rejs, a kiedy wrócił, Oksany z chłopcami już nie było.

Był środek nocy, za oknami szalała zamieć. Przeszukał całe mieszkanie. Brakowało dwóch walizek oraz ciepłych ubrań. Poza tym wszystko zostało na swoim miejscu. Mieszkanie było czyste i strasznie ciche.

Odczekał do rana i pognął do domu kultury, gdzie ostatnio spotykała się grupa.

- Wynajęli jakiś inny lokal - powiedziano mu. Adresu, naturalnie, nikt nie znał.

Z domu kultury poszedł na milicję.

- Moja żona wyszła dzisiaj w nocy z domu i zabrała dzieci.
- Czy zginęło jakieś mienie? - wypytywał dyżurny milicjant.
- Nie. To jest, owszem. Zabrali ze sobą ciepłe rzeczy.
- Zrozumiałe. Jest w końcu zima.
- To znaczy, że nie będziecie jej szukać?
- Czy pana żona jest matką pana dzieci?
- Tak - Jegorow smutno pokiwał głową. - Rozumiem. Wszystko rozumiem.
- A ja rozumiem pana - dyżurny roześmiał się. - Proszę sobie tego nie brać do serca. Wróć, cóż im innego pozostaje. Proszę obdzwonić wszystkich członków rodziny i przyjaciółki żony.
- Tak zrobię.

Prosto z komendy udał się do agencji detektywistycznej. Podwórce willi zastawione było materiałami budowlanymi, a budynek spowity zieloną siatką.

- Mamy remont - oświadczył cudzoziemiec w białym roboczym ubraniu, Turek albo Jugosłowianin.

Jegorow pognął do prawnika i dowiedział się, że wyemigrował on do Ameryki.

* * *

W małych sąsiednich mieszkankach, za cienkimi ścianami całymi dniami i nocami toczyło się burzliwe życie. Weseli sąsiedzi Ziny ryczeli, kłócili się, śpiewali i bili nawzajem. Kiedy robiło się za głośno, Zina waliła w ścianę starą połamaną sztalugą, co zawsze kwitowane było kanonadą przekleństw.

Przed wyjazdem Zina zgodziła się na przyjęcie od Rakitina pewnej sumy i wróciła z dwiema ogromnymi siatkami pełnymi zakupów.

- To powinno wystarczyć na cztery dni - powiedziała. - Potem będziesz musiał sam wyjść. Lodówka nie działa jak trzeba, zamrażalnik jest zepsuty. Trudno więc zrobić większe zapasy.

Następnie Nikita otrzymał szereg instrukcji na temat funkcjonowania w jej norze.

- Zamek się zacina. Jeśli włożysz do niego klucz, musisz najpierw naprzeć, o tak, widzisz? Nie nerwowo, z wyczuciem. Z lodówki cieknie, więc

trzeba tam zawsze podkładać szmatę. Jedynym wartościowym przedmiotem w całej chacie jest pralka. Ale uważaj, przy załączaniu musisz włożyć kalosze. Jest nieuziemiona, mogłaby cię zabić.

- Jak to? - zapytał Nikita, nic nie rozumiejąc.

- No jakbyś, na przykład, dotknął wilgotnymi rękami, to mogłaby cię zabić - wyjaśniła Zina.

- To dlaczego nie zawołasz elektryka?

- Jeśli zawołam elektryka, będę musiała zostać przez cały dzień i na niego czekać. A na to nie mam ani czasu, ani ochoty. Skup się, Rakitin. Tego tu gniazdka pod żadnym pozorem nie używaj, śmierdzi stopionym plastikiem i mogłoby się zapalić.

- Ale koło stołu nie ma innego - zauważył Nikita. - A muszę gdzieś podłączyć mój komputer.

- Żaden problem, weźmiesz przedłużacz.

- Skąd?

- Gdzieś tu jakiś mam. Na pewno znajdziesz. *A propos* komputera. Masz naładowaną baterię?

- Chyba tak. Dopiero co kupiłem. A dlaczego?

- Bo tu są problemy z prądem. Czasami cały dzień, czasami tylko przez pięć minut, czasami przez godzinę. Mam lampę naftową i świece. Tu masz naftę.

- Po co aż tyle? - zdziwił się Nikita.

- Po pierwsze: dobrze po tym złazi farba olejna, po drugie: do lampy, a po trzecie: w zeszłym roku miałam wszy.

- Wszy?

- Tak - Zina skrzywiła się. - W sąsiedniej norze mieszka ochlaptus, i co miesiąc ma nową kochankę. Ostatnią była babka z pięcioletnią córką. Ta dwójka idiotów całymi dniami okładała małą, to czasem ją brałam do siebie, i w ten sposób złapałam wszy. Któregoś dnia zniknęła gdzieś, razem z matką. A sąsiad ma nową, bez dziecka. No i co się tak gapisz? Już nie mam wszy, nie bój się. Poza tym uważaj, żeby tu każdemu schodzić z oczu.

- Aa, rozumiem.

- Guzik rozumiesz. Ale jak sąsiad zacznie ci walić do drzwi i będzie chciał ci dać wpierdol, to zrozumiesz. Aha, nigdy nie otwieraj drzwi, nawet jeśli ktoś wrzeszczy: „Pomocy, morderca!”.

- Dlaczego? Tak często ktoś tu kogoś morduje?
- Nie. Ale krzyczy się o tym codziennie. I jeszcze jedno: na wszelki wypadek miej zawsze jakąś rezerwę wody, w trzylitrowych butelkach. Czasami wyłączają wodę, to zimną, to ciepłą. Tak, myślę, że to już wszystko. - Zina omiotła pokój spojrzeniem. - Jeśli cię najdzie chęćka na sprzątanie, to się nie obrażę. Swoje papiery wsadź najlepiej do tej puszki - wskazała na pudło po francuskich ciastkach. - To jedyne bezpieczne miejsce. Na wszelki wypadek zostawię ci mój petersburski numer. Tu ci piszę, wielkimi literami, wkładam świstek do puszki, żebyś nie musiał długo szukać.

* * *

Żona leśniczego, Kławdia Siergiejewna, była skrajnie małomówna. Na pytania Nikity odpowiadała w najlepszym razie „tak” lub „nie”. Mimo swoich siedemdziesięciu trzech lat, zaskakująco lekko przedzierała się przez tajgę. Przed zieloną polanką, która po usianej pniami drzew przesiece wyglądała wielce kusząco, żona leśniczego odwróciła się do Nikity.

- Uważaj, trzymaj się zaraz za mną, krok w krok, tam jest grzęzawisko.

Jakim cudem odróżniała twardy grunt od bagnistego, pozostawało dla Nikity zagadką, ale ani razu się nie pomyliła. Od czasu do czasu jej obuta w kozaki ze skaju noga zamierała na moment, by zaraz pewnie stąpać dalej. W ciągu pięciu godzin mieli tylko dwa postoje. Jedli chleb, gotowane ziemniaki na zimno, jaja na twardo i popijali studzienną wodą z piersiówki.

Niedobre było to, że oprócz ojca Pawła, jego żony Kseni i Kławdii, widziała go również jej synowa, ciekawskie babsko około czterdziestki, niemiłosiernie gadatliwe i - sądząc po czerwonej, nalanej twarzy - chętnie zaglądał do kieliszka.

- Dlaczego twój krewniak nigdy tu nie był? Popatrz tylko, Kławdia, toż to jakiś wykształcony, czyj on jest? Dziwne, bo Borys ma tylko Pietkę, ale temu brakuje trzech palców, które odrąbał sobie po pijaku siekierą, a Ninka ma dwie dziewczynki...

- To nie krewniak Kławdii - ratowała sytuację Ksenia - tylko mój. Dalsza rodzina. Źle zrozumiałaś, pijesz od samego rana, to potem nie rozumiesz, co się do ciebie mówi.

- Aha! - szybko odparta synowa. - Ale po co on lezie do Kławdii?
- Naprawić dach - warknęła żona leśniczego.
- Aa, dach? Ale przecież mój Sańka go już naprawiał za pół litra. Taki miastowy, patrzcie tylko na jego ręce, czy taki potrafi w ogóle coś naprawić?
- Uczyłem się na stolarza - wtrącił się Nikita.

W którymś momencie spławili wreszcie synową, ale niesmak pozostał - i słusznie. Podczas gdy Nikita z żoną leśniczego przedzierali się przez tajgę, stała klientela przeszklonego sklepu spożywczego już wiedziała, że żonę popa odwiedził krewniak. Wykształcony, chudy, jasnowłosy mieszczuch, którego jak dotąd nigdy nie widziano w gospodarstwie duchownego. A do tego teraz idzie dwadzieścia kilometrów przez las do Kławdii, żeby jej rzekomo wyremontować dach.

Nad tajgą zapadł zmrok. Chłód bił od wieczornej rosy. Żona leśniczego obejrzała się za siebie.

- Zmęczony?
- Troszeczkę - przyznał Nikita.
- Boisz się trupów?

Już od pewnego czasu czuł dziwnie słodkawy i zupełnie nietypowy dla tajgi zapach, który z każdym krokiem przybierał na sile i powodował narastające mdłości. Tajga przerzedziła się i stali teraz na brzegu Mołczanki. Ziemia była wilgotna i plaskała im pod stopami jak bagno.

Nikita wyjął aparat. Ręce mu się trzęsły. Nie mógł patrzeć w tamtą stronę, nie mógł oddychać. Żona leśniczego została z tyłu. Przez obiektyw ujrzał twarze: dzieci, kobiety. Dobrze zachowane ciała, leżały kilka miesięcy w zamrożonej ziemi, potem w lodowatej wodzie, niedźwiedzie jeszcze ich nie zwęszyły, zresztą tu i tak żadnych nie ma, mówiła żona leśniczego. Bardzo głośno - słychać helikoptery, a czasami strzelaninę. Ochrona kopalni chętnie poluje w wolnym czasie, więc zwierzyna omija to miejsce szerokim łukiem.

Trzaskała lampa błyskowa. Aparat uwiecznił nie tylko twarze. Przez obiektyw Nikita zauważył młodą kobietę w poszarpanym ubraniu. Na jej piersiach, zaraz pod obojczykiem, widniał pentagram, pięcioramienna gwiazda wpisana w koło.

- Helikopter! - Nikita usłyszał krzyk Kławdii. - Biegiem, w las!

Opuścił aparat i zdezorientowany obejrzał się za siebie. Bezpośrednio znad wierzchołków drzew skierowano na niego trzy jaskrawe snopy światła. Stał na nieosłoniętym brzegu i nie mógł oddychać. Nogi zapadły mu się aż do łydek w lodowatej, rozmoczonej ziemi.

- Biegiem, synu! - zawołała żona leśniczego, ale słaby głosik zawiódł ją i krzyk okazał się ochrypłym szeptem, którego Nikita nie mógł usłyszeć przy hałasie helikopterów. Do lasu pobiegł instynktownie, żeby ukryć się przed snopami jaskrawego światła. Naturalnie nie zauważył, że upadło mu przy tym kolorowe, błyszczące opakowanie filmu Kodaka.

- Wszystko dobrze, mój drogi, uspokój się. - Żona leśniczego pogłaskała go po policzku. - Pójdziemy do domu i napijemy się gorącej herbaty. I wódki. Jutro rano zaprowadzę cię do szosy, na pewno ktoś cię zabierze okazją do Pomchi, a stamtąd dostaniesz się promem do Kołpaczewa. Do Żółtego Wąwozu już nie wracaj. Nie wiem, czy cię zauważyli, ale lepiej tam już nie chodź.

Nie pamiętał, w jaki sposób udało im się trafić do leśniczówki. Lampa naftowa migotała, wesoło strzelały polana w kominku. Staruszka wręczyła mu szklankę; zęby zaszczekały o brzeg. Po wódce dreszcze i mdłości trochę zelzały.

- Właż na piec. Jejku, ale się trzęsiesz... Śpij. Masz, łyknij sobie jeszcze i idź spać.

Napił się i zapadł w ciężki, podobny do omdlenia sen, jak w lodowate bagno. Śniły mu się jaskrawe, oślepiające światła i upiorne masowe groby.

O świcie staruszka obudziła go i poczęstowała herbatą. Do szosy szli dwie godziny. Nikt ich nie śledził. Najpewniej jego pobyt nad brzegiem Mołczanki pozostał niezauważony.

Na pożegnanie dał żonie leśniczego pięćset rubli.

- Bóg zapłać - wzięła pieniądze i po krótkim milczeniu dodała cicho: - Gdybym знаła imiona tych zmarłych, to mogłabym się pomodlić za ich dusze.

- Znam tylko dwa: Oksana i Stanisław - powiedział powoli Nikita. - A może powinienem jednak wrócić i pójść na milicję.

- Lepiej nie, mój synu.

- Dlaczego?

Długo milczała, mamrocząc coś zapadłymi wargami, a potem powiedziała:

- Nigdzie się nie zatrzymuj. Wracaj do Moskwy. I niech Bóg ma cię w swojej opiece. - Zrobiła mu krzyżyk na drogę i poszła, zniknęła w tajdze, ani razu się nie odwracając.

Szosa była pusta. Nikita ruszył w kierunku Pomchi. Dopiero po półgodzinie ciężarówka z drewnem podwiozła go na przystań.

Tym razem nie musiał długo czekać. Już po chwili palił papierosa na rufie, przyglądając się, jak światło słoneczne załamuje się w kroplach wody - parowiec rozpinał za sobą cieniutką połyśliwą tęczę.

Mając wypoczęty umysł, zastanawiał się, kiedy i gdzie mógł zostawić jakieś ślady. Dane personalne w hotelu w Kołpaczewie i gadatliwa synowa. Poza tym nic. Z helikoptera nie mogli go zauważyć. Staruszkowie, ma się rozumieć, nic nie powiedzą. O kolorowym pudełku po filmie oczywiście nic nie wiedział.

* * *

W metrze było ciepłutko. Czasami można się było troszkę zdrzemnąć na którejś z ławek. Jeśli nawet ktoś poskarży się szefowej, to trudno. Było jej obojętne, ile godzin się pracuje. Byłe wyrobić normę.

Najlepsze godziny do pracy to późne przedpołudnie i wieczór, od dziewiątej. A w godzinach szczytu spokojnie można się troszkę przespać. I tak się człowiek nie wciśnie do żadnego wagonu. Poza tym ludzie w tłoku byli zawsze podminowani, wrzeszczeli, przesuwali się i tręcali. Kiedy wygodnie się rozsiadali, czytając gazetę, wtedy było okay. Koniec spania, można się było wziąć do roboty.

„Drozy pasażerowie, proszę wybaczyć, że się do państwa zwracam. Moja mama nie żyje, mieszkamy w piątce u babci. Pieniądzy wystarcza tylko na jedzenie. W imię Chrystusa, proszę o tyle, ile możecie dać” - Ira wypowiadała swój tekst z lekkim zaśpiewem, akcentując poszczególne słowa. Wiedziała, że jeśli ktoś za dużo lamentuje i płacze, niweczy efekt. Trzeba robić tak, jakby się człowiek wstydział żebrać.

Ale każdy ma swoje metody. Cygan Borka od razu rzucał się na kolana i obłapywał ludzi za nogi. Czepiał się jakiejś możliwej najgrubszej kobiety i zaczynał: „Cio-ciociu, jestem głodny, biedna sierota prosi o pieniążki na chleb!”. I Borka zawsze coś dostawał, ale mało. Dawali nie z litości, ale

żeby go spławić, żeby nie pobrudził płaszcza swoim zasmarkanym nosem.

Ira nigdy nie padała na kolana, a dostawała więcej. Nad nią ludzie się litowali. Jej największym atutem było niemowlę na plecach. Sama była jeszcze mała, mimo czternastu lat wyglądała na dziesięć, a co dopiero z niemowlakiem na plecach, bladym i brudnym. Dobrze, jeśli był lekki i mały. Czasami musiała brać rocznego dzieciaka, a taki ważył co najmniej dziesięć kilo. Niemowlaki wymieniano raz w miesiącu. Początkowo Ira współczuła tym brzdącom. Cały czas chciała je karmić i czymś opatulać. Wtedy była jeszcze głupia. Nie wiedziała, że można się litować tylko nad sobą, nie nad innymi.

Niemowlaki wylapywano na dworcu, czasami kupowano za bezcen od prostytutek, pijaczek albo dziewcząt, które już od dziecka dawały sobie w żyłę i zdążyły zapomnieć, jak się nazywają. Szefowa miała do tego oko. Jeśli zauważyła jakąś pijaczkę z wielkim brzuchem, od razu płaciła jej zaliczkę. Zresztą, co to było za dziecko! Pewnie miało w żyłach wodę zamiast krwi.

Od początku dzieci dostawały mleko z płynną „substancją” albo rozgniecionymi tabletkami. Żeby spały i nie krzyczały. Jak krzyczały, to się nie dało pracować. Wtedy ludzie w metrze denerwowali się.

Niektóre niemowlęta były tak słabe, że same z siebie spały przez cały dzień. To była oszczędność. Z drugiej strony, takie słabizny długo nie żyły. Dlatego Ira nie brała ich zbyt chętnie. Raz taki niemowlak umarł jej na plecach. Była przestraszona, mając martwe dziecko na plecach, ale co było robić? Tak długo, jak nie wykonała dziennej normy, musiała biegać po wagonach.

Teraz miała na plecach roczną dziewczynkę, objedzoną jak bąk. Wierzyła i kopała przez sen. Ira snuła się pochylona po wagonach, spoglądała pasażerom w oczy i cały czas niespokojnie rozglądała się za nowym chłopakiem. Szefowa kazała jej na niego uważać. Był dziwny, ociężały, chudy i kompletnie pomyłony. Nie umiał mówić, gapił się tylko nieruchomo, ale rozkazy rozumiał i grzecznie je wypełniał. Trzeba mu było po prostu powiedzieć: „Idź, wyciągnij rękę, to wrzucą ci pieniążek. A potem dasz go mnie”.

Znaleźli go przed dwoma dniami na dworcu Kazańskim. Siedział w kącie, na podłodze. To Ira zauważyła go pierwsza i zaczęła obserwować. Nie

było w pobliżu żadnego dorosłego. Może się zgubił, a może ktoś umyślnie go porzucił.

Chociaż w zasadzie był już na to za duży. Porzucą się niemowlaki, które nie mogą za kimś pobiec. Ira spodziewała się, że zaraz nadadzą komunikat przez megafon: „Uwaga, zaginął chłopiec!”. Ale nic takiego nie nastąpiło. Więc nikt go nie szukał. I nikomu na nim nie zależało.

Chłopiec był dobrze ubrany - droga kurtka, dżinsy, buty - typowe dziecko mające dom. Ira poczuła chętkę na jego kurtkę. Od dawna o takiej marzyła: cieplej, lekkiej, z prawdziwym puchem. Przykłęka i zajrzała mu w twarz.

Był bladej, zielonkawy i miał zamknięte oczy. Może był naćpany albo chory. Nawet nie zauważył, że ktoś mu coś zdjął. I właśnie, kiedy majstrowała już przy zamku błyskawicznym, przybiegł Cygan Borka, a za nim dziadek Kosucha, jedna z prawych rąk szefowej. Zamarła i przestraszyła się, że kurtka jej przejdzie koło nosa, więc syknęła Borce:

- Kurtka jest moja, żebyś wiedział. Na ciebie i tak jest za duża.

U szefowej Ira udąca, że dopiero teraz zauważyła chłopca. Świetne znalezisko, idealny do biznesu. Błękitne oczy jak spodki, budząca żalność twarz, a przede wszystkim - nie mówił. W ciągu dwóch dni jadł tylko dwa razy - po- żuł trochę suchego chleba i popił wodą. Ira zauważyła, że pod obojczykiem ma tatuaż: gwiazdę stojącą na jednym ramieniu, a wokół niej koło. Zapytała:

- Co tam masz?

Nie odpowiedział. No tak, pytanie takiego prowadzi donikąd. Nie pisał ani słówkiem i był świrem. Ira nadała mu przydomek: Gość z Tatuazem.

Szefowa pochwaliła Irę i dała jej jego kurtkę, ale poleciła trochę ją pobrudzić i naderwać. A o Gościu z Tatuazem powiedziała:

- Uważaj na niego, jest dziwny, chyba walnięty.

Więc Ira uważała. Przez dwa dni wszystko było w porządku. Nowy dużo dostawał. Rzeczywiście serca miękły na jego widok: łąził jak jakiś lunatyk, wyciągał rękę, nie mówił ani słowa, tylko patrzył wielkimi, niebieskimi oczami.

Pociąg dojeżdżał do stacji Komsomolskaja. Ira zbliżyła się do nowego i szepnęła mu do ucha, że muszą wysiadać. Nagle wyskoczyła jakaś babcia i zaczęła się wydzierać:

- Fiedka! Co ty tu robisz? Ludzie, znam tego chłopaka! Musimy zadzwonić na milicję! Został porwany! Fiedka, nie poznajesz mnie? To ja, Maria Daniłowna, wasza sąsiadka z trzydziestki dwójki!

Pociąg wyjechał z tunelu. Ira wypadła z wagonu, nie odwracając się za siebie. O Cygana Borkę się nie martwiła, był co prawda mały, ale cwany. Od razu wiedział, kiedy trzeba wiać. A nowy? Cóż, co można zrobić? Znaleźli go. Miał szczęście. Głupi zawsze ma szczęście.

Rozdział 7

Czarny jeep pędził piatnicką szosą sto pięćdziesiąt na godzinę. Była ponura, mglista noc. Przerzedzone podmoskiewskie laski w tych ciemnościach wydawały się nieprzebytymi borami. W miejscowościach za stolicą nie jaśniało żadne okno.

Jeep pędził w stronę Sołecznogorska. Gruba warstwa błota pozaklejała tablice rejestracyjne, ale nie miało to żadnego znaczenia - numery i tak były nieprawdziwe.

W wozie siedziało trzech mężczyzn. Młodych, wytrenowanych, ze złotem na palcach, przegubach rąk i grubych karkach. Światła jadących z naprzeciwka samochodów przesuwają się po ich ponurych twarzach.

Mężczyzna siedzący obok kierowcy trzymał w ręku krótkofalówkę.

- Tak, sprzątniemy go, bez obaw. Ale sprawa kasy musi się jeszcze wyjaśnić. Nie my nawarzyliśmy tego gówna, to twoje informacje były do dupy. Wystawiłeś nas. Jak? Nie udawaj, dobrze wiesz. Po pierwsze, chłoptaś ma fantastyczny refleks, a twierdziłeś, że to jakaś łajza. Jasne, za łajzę wystarczyłoby dwadzieścia pięć. Mówisz, że w Wychinie? Tak. Numer domu? Wszystko jasne. Do jutra załatwimy.

- Co, wnerwił się? - zainteresował się kierowca, gdy kolega odłożył słuchawkę.

Kumpel zaśmiał się.

- Bystry dupek z tego starego. Wiesz, po co zadzwonił? Wywęszył, gdzie facet się mógł zaszyć i kazał nam tam teraz jechać.

- Pewnie se myśli, że jesteśmy jakimis̄ jego pachol̄kami! Niech się lepiej upewni. Bo inaczej zapłaci nam podwójn̄ą stawkę - wyraził swoj̄ą opinię siedzący na tylnym siedzeniu najmłodszy z całej trójki.

Za zakrętem rozciągał się rozległy, otwarty teren, zabudowany potężnymi dwupiętrowymi willami. Osiedle dopiero co powstało i nikt tu jeszcze nie mieszkał. Domy były przewidziane dla zamożnych klientów. Każdy z domów miał ogród i - zgodnie z zachodnią modą - kilka łazienek, a poza tym specjalne pomieszczenie do fitnessu, w którym jedna ze ścian wsuwała się w całości do góry, na wypadek, gdyby właścicielowi przyszła ochota troszkę potrenować mięśnie na wolnym powietrzu.

Jednak na razie osiedle było puste i ciche. Tylko w jednej willi, na skraju dębowego lasku, w oknie na drugim piętrze paliło się słabe światło. W jednym z pustych pokoi płonęła romantycznie świeca. Właściciel willi, biznesmen w średnim wieku, zaprosił nową sekretarkę, żeby pozwiedzała z nim dom, nie zawiadomiwszy o tym nikogo, nawet swojej ochrony. Bardzo to nierozsądne, ale co robić? Biznesmen potrzebował trochę relaksu i miał zamiar bliżej poznać swoj̄ą współpracownicę, a jego żona, dama czujna i dosyć impulsywna, mogłaby się zdrowo rozsierdzić, gdyby któryś z ochroniarzy się wygadał.

Trójka w jeepie już od dłuższego czasu czekała na stosowną okazję, żeby omówić z biznesmenem kilka drażliwych kwestii. Był im winien pieniądze, których nie chciał oddać.

Kierowca zwolnił tempo i wyłączył światła.

- Podejdz̄ tam bliżej, Siewa i sprawdź, kto jest w środku - polecił najmłodszemu.

Siewa był bardziej zdenerwowany niż pozostali dwaj kumple. Trafne strzały już mu się zdarzały, ale ściąganie długów to jednak coś innego niż seria z kałasza do ruchomego celu.

Miał przed oczami porywające sceny z fantastycznych filmów akcji: trzęsący się i zlany zimnym potem dłużnik z plastikowym workiem na głowie, a na podłodze, ma się rozumieć, piękna naga dziewczyna z kneblem w ustach. Obrazy, które zarazem przerażały i podniecały. Siewa wysunął się z samochodu i pochylony zbliżył się do willi.

Było spokojnie. Pusty ciemny saab stał pod dębowym laskiem za willą. U góry, za ogromnym, nieosłoniętym oknem zatańczył jakiś cień. Długie rozpuszczone włosy, uniesione do góry ręce. Obok zamajaczył kształt męskiej

głowy na grubej szyi i z odstającymi uszami. Byli więc oboje, i to sami.

Siewa bezszelestnie zakradł się na wysokie schody, umiejętnie szarpnął drzwi, przekonał się, że zamknięto je jedynie na prosty do otwarcia zamek i wrócił do jeepa.

Na drugim piętrze nadal migotał płomień świecy. Oba cienie, mężczyzny i kobiety, jeszcze raz ukazały się na krótko na tle okna. Trzech mężczyzn uzbrojonych w karabiny maszynowe zbliżało się do willi skrajem lasu. Nawet się nie pochylali, szli pewnym krokiem i cieszyli się już z przerażonej miny śmiertelnie wystraszonego dłużnika i rozpaczliwych krzyków dziewczyny.

Szybka seria powaliła całą trójkę w jasnym kręgu powstałym dzięki snopowi reflektora oświetlającemu posesję. Strzały padły z sąsiedniej willi.

Biznesmen zawsze sumiennie płacił swoje zobowiązania i dobrze wiedział, że nic nie jest winien żadnemu z trzech panów z jeepa. Ani centa. Ale porzucił nadzieję na to, że zdoła im to wyjaśnić. Dlatego pozostała mu taka alternatywa: albo zapłacić niebagatelną sumę, albo sprzątnąć nierozgarnię- tych oponentów z drogi. Zdecydował się na to drugie wyjście i zwałił trzech zawodowców do prymitywnej pułapki.

Po suchych trzaskach serii znów zrobiło się cicho. Trzej mężczyźni leżeli na schodach. Za jakiś czas znajdzie się jeep z trzema ciałami. Oczywiście, gdzie indziej.

Ciszę przerwał dzwonek komórki dobiegający z kieszeni jednego ze zmarłych. Był to pośrednik. Zgłosił się facet, który miał w Wychnie potwierdzić swoje przypuszczenia: cel rzeczywiście tam przebywał. Pośrednik zamierzał powiedzieć, że jeśli niezwłocznie tam pojadą i wreszcie sfinalizują zlecenie, to natychmiast otrzymają swoją zapłatę. I to - licząc razem z wypłaconą już zaliczką - nie trzy, lecz trzy i pół tysiąca dolarów.

* * *

Dopiero na czwarty dzień po wyjeździe Ziny Nikita zdecydował się na sprzątanie. W zlewie piętrzyły się wszystkie naczynia, jakie posiadała jego koleżanka, zabrakło już czystych szklanek. A po podłodze w biały dzień biegały żwawo karaluchy wszystkich kolorów i rozmiarów, od malutkich, czarnych jak noc, aż do ogromnych, czerwobrunatnych, z czułkami grubymi

jak miedziany drut. Środka na insekty nie udało mu się nigdzie znaleźć. Podobnie jak miotły i sensownej szmaty. Jedyne plastikowe wiadro było pęknięte. A do tego skończyło się jedzenie.

Nikita naciągnął sobie czapkę na czoło i wyszedł na zakupy. Na ulicy nieprzytulnej wielkopłytkowej dzielnicy poczuł lodowaty cios w brzuch. Jakiś przechodzień, potężny blondyn, spojrzął na niego zbyt natarczywie.

„Stop - przykazał sobie w duchu Nikita. - Gdyby cię namierzyli, to nie gapiliby się na ciebie na środku ulicy, tylko po prostu przyszli do mieszkania i tam cię zabili, bez wcześniejszych gierki w wyjaśnianie czegośkolwiek”.

Spokojnie spojrzął typkowi prosto w oczy, lecz tamten odwrócił wzrok. Zbliżyli się do siebie. Z daleka mężczyzna był podobny do Nikity: ten sam wzrost, budowa ciała, kolor włosów, nawet rysy twarzy. W jego oczach było jakieś szaleństwo, ale Nikita przypuszczał, że jego własny wzrok również nie mógł wyglądać na normalny. Prawdopodobnie ten facet tak spojrzął, bo też się bał. Albo dlatego, że byli tacy podobni.

Gdy znaleźli się na tej samej wysokości, Nikita zorientował się, że podobieństwo było tylko pozorne i ograniczało się jedynie do wzrostu i koloru włosów.

- Przepraszam, może mi pan powiedzieć, gdzie tu jest sklep spożywczy?
- zapytał.

Ten drugi zamarł, rozejrzał się nerwowo na wszystkie strony i zaczął przeczesać kieszenie dżinsowej kurtki. Ulica była pusta. Hulał po niej wiatr, który zerwał Nikicie z głowy czapkę i rzucił ją na jezdnię. Nikita pobiegł za nią, a facetowi dziwnie drgnęła ręka. W tej samej chwili rozległy się dziecięce głosy i stadko uczniów wyłoniło się zza rogu. Piąta, może szósta klasa w drodze powrotnej z pływalni albo jakiejś wycieczki. Dzieci gdakały, ciągle wyrwały się przed szereg, a dwie nauczycielki pokrzykiwały na nie niemrawo, żeby przywrócić porządek i dyscyplinę. Ciemnowłosa dziewczynka w szerokich spodniach podniosła czapkę, zamachała nią nad głową i zawołała:

- Ej, kto ją zgubił?
- Ja - zgłosił się Nikita.
- Musisz sobie przyszyć sznureczki - zachichotała dziewczynka i kilkoro dzieci też się zaśmiało.

- Dziękuję. - Naciągnął sobie daszek aż na brwi i zwrócił się do jednej z nauczycielek: - Przepraszam, gdzie tu jest najbliższy sklep spożywczy?

Otrzymał obszernie wyjaśnienie, nie tylko ze strony obu nauczycielek, ale również dzieci - i to chórem. Zapomniał o blondynie, nawet nie obejrzał się za nim. Za to tamten ciągle się rozglądał na boki, aż w końcu sobie poszedł. W dziale artykułów gospodarczych Nikita nabył całą kupę gąbek, szczotek, miotłę, wiadro, kilka preparatów na insekty, proszek do czyszczenia, a nawet gumowe rękawice.

Potem kupił zapas jedzenia na trzy dni. Poza tym zaopatrzył się w papierosy, zapalniczki i opakowanie jednorazowych maszynek do golenia.

Już w domu włożył kasetę z Armstrongiem do przedpotopowego magnetofonu Ziny i zabrał się za sprzątanie. Tak zmasowanego ataku ta nora zapewne jeszcze dotąd nie przeżyła. Czego się Nikita nie tknął, wszystko kwiczało, jęczało żałośnie, odlepiało się lub odpadało jak farba ze stołu.

Za oknami zrobiło się ciemno, padał deszcz. Nikita otworzył okno na oścież, zaciągnął się wilgotnym nocnym powietrzem. Dzień minął jak z bicia strzelił. Do pracy Nikita jeszcze nie zdążył się zabrać i pewnie nie miałby sił, żeby po tym sprzątanu jeszcze siadać do komputera. I dobrze. Potrzebował trochę odpoczynku. Walka z brudem jest co prawda zajęciem nudnym i niewdzięcznym, ale znakomicie nadaje się jako psychiczna odskocznia. Kiedy człowiek szoruje zapaskudzony piec albo naprawia regał, to rzadko myśli o śmierci.

Wyjrzał przez okno. Strumień wody wlał mu się za kołnierz. Bezwiednie zanotował w myślach, że bez trudu zdołałby osiągnąć rynny - ewentualna droga ewakuacji. Mieszkanie znajdowało się na najwyższym piętrze. Można by się wdrapać po rynnie na dach albo zejść po niej na dół. Wychylił się i na wszelki wypadek potrząsnął rynną, żeby sprawdzić, jak mocno przytwierdzona jest do ściany. Tak, wytrzyma.

Nikita zapalił papierosa i omiół krytycznym wzrokiem pokój, potem przypomniało mu się, że musi jeszcze załączyć pralkę, inaczej nie będzie miał się w co ubrać. Nowiusieńki półautomat wyglądał pośród tych wszystkich rupieci jak statek kosmiczny. Nikita zgasił papierosa, włożył wtyczkę do gniazdka i otworzył klapę pralki. Poraził go prąd. Przypomniał sobie o gumiakach, nałożył je. I już po chwili pralka zaczęła się miarowo telepać.

Pokrzętał się jeszcze przez dwie godziny, aż w końcu poczuł się śmiertelnie zmęczony. W domu było cicho, tylko zza cienkiej ściany dobiegało chrapanie sąsiada. Deszcz przybrał na sile, bębnił o dach i szumiał w rynnach. Niebo przecięła długa błyskawica. Grzmot był tak głośny, że sąsiad przestał chrapać. Pierwsza prawdziwa majowa burza w tym roku. Kilka sekund później zaległa doskonała cisza, tylko deszcz nadal szumiał i postukiwała pralka.

- Skończy wreszcie prac, czy nie? - mruknął pod nosem. Oczywiście same mu się zamykały.

Nagle zgasło światło. Zina wprawdzie mówiła, że prawie codziennie wyłączają prąd, ale jak dotąd mu się to nie przydarzyło. Nikita wymacał lampę naftową. Była pusta.

Napełnianie lampy naftą z kanistra po ciemku było niełatwe i Nikita dużo porozlewał; pod oknem zrobiła się kałuża nafty. Nikita wymacał szmatę i potracił przy tym stopą kanister.

Coś nad nim huknęło. Najpierw myślał, że to burza, a potem załaskotało raz jeszcze, gdzieś w pobliżu. Błasany odgłos, pewnie podmuch wiatru zerwał antenę telewizyjną.

Okno wychodziło na nieużytki, nie było tu ulicznych latarni i w pokoju panowała nieprzebrana ciemność. Nikita spróbował zapalić lampę naftową, ale knot za nisko się zsunął. Zapalka wypaliła się, parząc mu palce. Zatrzasnęło się okno, a wtedy Nikita usłyszał ciężkie, mokre plaśnięcie. W końcu udało mu się wykręcić knot i ujrzał na tle okna czarną sylwetkę.

Z lampą w ręku Nikita był pierwszorzędnym celem, więc długo się nie zastanawiając, cisnął ją przed siebie. Usłyszał brzęk szkła, słaby płomyczek zamigotał gwałtownie. Czarna sylwetka rzuciła się do światła. Nikita zdołał uskoczyć w bok. Kołatało mu w głowie, że ma tylko jedną drogę odwrotu: wybiec na korytarz. Jednak mieszkanie było zamknięte na klucz, a zamek się zacinał - zanim poradziliby sobie z tym w ciemności, morderca byłby już po robocie.

Pokój znów rozjaśniła błyskawica. Teraz Nikita wyraźniej zobaczył mordercę i rozpoznał go: był to typek, którego spotkał na ulicy i którego z daleka wziął za swojego sobowtóra.

Kompletnie mokre włosy sprawiały wrażenie czarnych. Biała twarz z czarnymi zapadniętymi oczami nie przypominała już Nikicie własnej.

Mężczyzna dzierżył w dłoni pistolet, celując z niego do Nikity, który już poczuł, jak przesywa go kula i jak czaszka eksploduje mu w potężnych bólach. Nagle pokój rozjaśnił się dziwnym czerwonym światłem. Zapaliła się nafta na podłodze. Morderca się cofnął. Jednak ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie. Z kanistra wyciekł prawie cały płyn. Plastikowy pojemnik zapalił się tuż pod nogami mordercy. Odskoczył na bok i coś z głuchym odgłosem upadło na podłogę. „Być może pistolet” - pomyślał z nadzieją Nikita.

Wtedy światło w pokoju znów się zapaliło i rozległ się hałas działającej pralki. Kanister stał w ogniu. Płomienie chciwie podpełżyły do nylonowych zasłon i skrzynki z farbami Ziny.

Tylko przez sekundę mężczyźni zamarli w płonącym pokoju z obłędem w łzawiących od dymu oczach. Mokra ręka, szukając oparcia, natknęła się na metalową obudowę trzęsącej się pralki.

* * *

- Pańskie dziecko cierpi na ciężkie niedożywienie i ma poważne zaburzenia psychiczne, nieodwracalne, jak sądzę. Jak pan mógł na to pozwolić? Jest pan w końcu ojcem. Znalazła go sąsiadka. Żebrał. Jak do tego doszło?

- Moja żona wyprowadziła się z dziećmi z domu. A ja byłem w rejście.

Trójka lekarzy i dwie przedstawicielki urzędu ds. nieletnich spoglądali na Jegorowa jak na zbrodniarza, któremu wszystko jest obojętne. Stał przed nimi na środku pokoju ze spuszczoną głową.

- Proszę nam powiedzieć, Iwanie Pawłowiczu, dlaczego pana żona zabrała dzieci i odeszła od pana? Czy były jakieś konflikty?

- Moja żona przed rokiem trafiła do sekty i zaciągnęła tam również dzieci. Przestały chodzić do szkoły.

- A gdzie pan wtedy był, Iwanie Pawłowiczu? Dlaczego pan nie interweniował? Jest pan w końcu ojcem. Twierdzi pan, że pana żona trafiła do sekty i wciągnęła tam dzieci. Jakiej sekty? Jak się nazywa? Nie wie pan? Oczywiście! Nawet się pan nie postarał, żeby się tego dowiedzieć. Nie, rozumiemy, że ze względu na obowiązki służbowe często bywa pan przez kilka dni poza domem. Ale przecież nie można być w takim stopniu obojętnym w stosunku do własnych dzieci! Gdzie jest pana drugi syn? Słyszysz pan, Iwanie Pawłowiczu, dlaczego pan milczy? Nie chce pan z nami rozmawiać? W dalszym

ciągu nalegam, by pozbawić obywatela Iwana Pawłowicza Jegorowa praw rodzicielskich. Dziecko jest w straszliwym stanie. Starszy syn i żona obywatela Jegorowa zniknęli. Sądzę, że to sprawa dla prokuratury.

- Ależ Galino Borysowno! Jeśli tu rzeczywiście chodzi o sektę, to obywatel Jegorow nie mógł nic zrobić. Uważam, że nie powinniśmy podejmować pochopnych decyzji.

- To nie jest pochopna decyzja. Tu mamy oficjalną odpowiedź dyrektorki szkoły numer 137: „W odpowiedzi na państwa pismo informujemy, że od maja do września 1993 sala gimnastyczna w godzinach wolnych od zajęć lekcyjnych wynajmowana była grupie »Zdrowa Rodzina«, kierowanej przez dr Zoję Astachową. W załączeniu: kopie zgody władz miejskich, umowy najmu i potwierdzeń zapłaty. Ponadto...”.

Przed oczami Jegorowa zamigotały papiery, pieczętiki i podpisy. Doktor Zoja Astachową oficjalnie potwierdzała, że na jej zajęcia nie chodził nikt o nazwisku Jegorow. Załączona była również lista wszystkich uczestników, zawierająca trzy stempelki. Rzeczywiście, nie widniało tam jego nazwisko.

Jako główny argument wysunięto opinię biegłego. Jej autorem był przewodniczący komisji ds. współpracy z alternatywnymi stowarzyszeniami kulturalnymi i zdrowotnymi, wiceminister kultury, Rusow.

„Grupa »Zdrowa Rodzina«, kierowana przez dr S.A. Astachową, nie jest związana z żadnym zarejestrowanym w naszym kraju nielegalnym stowarzyszeniem religijnym. Celem grupy jest promocja zdrowego stylu życia - wspieranie kultury fizycznej, porzucanie szkodliwych nawyków, hartowanie i wzmacnianie systemu odpornościowego. Do programu zajęć należą: gimnastyka korekcyjna, jak również kurs racjonalnego odżywiania. Grupa działa legalnie, osoby prowadzące szkolenia legitymują się dyplomami uczelni medycznych i pozwoleniami Ministerstwa Zdrowia”.

- Był tam mężczyzna - powiedział powoli Jegorow - nazywał się Shanli. Koreańczyk albo Turkmen. Zahipnotyzował ich. Mają tatuaże na piersi, pięcioramienne gwiazdy w kole. Dzieci głodowały, były coraz chudsze i praktykowały jakieś bzdury, coś w rodzaju modlitwy do tego Shanli, którego nazywały Guru i traktowały jak Boga. Poza tym była tam jeszcze kobieta. Jego ochroniarz. Ogromna, wygolona na lysa. Być może to właśnie ta

Zoja Astachowa, ale nie wyglądała na kogoś z dyplomem lekarza w kieszeni. Dwa razy mnie pobiła jak profesjonalny mistrz karate.

- Świetnie - Galina Borysowna znacząco wydeła karminowe usta. - Więc doktor Astachowa w dodatku pana pobiła. - W takim razie dlaczego pan nie poszedł na milicję?

Jegorow nic na to nie odrzekł. Chciał tylko jednego: tak szybko, jak to tylko możliwe, zobaczyć Fiedkę. To, co się właśnie rozgrywało, wydało mu się majakami, owocem własnego chorego umysłu.

Posiedzenie komisji trwało jeszcze godzinę. Galina Borysowna uparcie trwała na stanowisku, by pozbawić Jegorowa praw rodzicielskich.

Druga urzędniczka myślała o tym, że w zakładowym bufecie sprzedawali dzisiaj kilka skrzyń francuskich kurczaków, a ona musi tu siedzieć, przez co może nie zdążyć dotrzeć tam, zanim zamkną. W sklepie takie kurczaki kosztowały dwa razy tyle.

Trzej lekarze też myśleli o swoich sprawach i ukradkowo zerkali na zegarek.

- Od czego w końcu są przepisy? - grzmiała Galina Borysowna. - Niedopełnienie obowiązku sprawowania opieki nad nieletnimi, paragraf sto pięćdziesiąty szósty...

- Niechże pani już przestanie! - psychiatra stracił cierpliwość. - Jeśli w tej sytuacji trzeba by pozbawiać kogoś praw rodzicielskich, to raczej matkę, Oksanę Jegorową.

Pediatra, starsza kobieta o oczach zaczerwienionych z chronicznego niedospania, zdobyła się na odwagę i powiedziała:

- Koledzy, do rzeczy! Dziecko jest upośledzone i najlepiej zostawić je z ojcem. Bo kto będzie chciał wziąć takie dziecko?! - podniosła głos. - Pani? Ja? Sama mam dwójkę. A może państwo? Osobiście nie widzę żadnego powodu, by pozbawiać Jegorowa praw rodzicielskich. Zagłosujmy. Jest już późno.

Wszyscy poza Galiną Borysowną zagłosowali za niepozbawianiem Iwana Pawłowicza praw rodzicielskich. Jegorow poprosił o dokumenty, które tak pieczołowicie zebrała Galina Borysowna.

Jegorow wziął urlop i prawie cały miesiąc spędził u Fiedki w szpitalu. Oficjalnie odwiedziny na intensywnej terapii były zabronione. Rodzice mogli tu przebywać wyłącznie w roli pielęgniarzy lub salowych.

Jeśli chcesz zobaczyć swoje dziecko, to bądź tak dobry i umyj podłogę lub wynieś brudne naczynia i zatroszcz się o dzieci, których nikt nie odwiedza. I pomyśl o drobnych upominkach dla personelu, od którego w końcu zależy, czy jutro wejdiesz do dziecka, czy usłyszysz: „Nie wolno”.

Późnym wieczorem, wracając do domu, często przesypiał swoją stację w metrze. Ale nie było to złe. Zmęczenie usypia strach. Jeszcze po tygodniu lekarze nie dawali mu gwarancji, że Fiedka przeżyje. To, czy kiedykolwiek będzie zdrowy na ciele i umyśle, było teraz nieważne.

Jegorowa nieustannie dręczyło poczucie, że musi coś zrobić, żeby odnaleźć Oksanę i Sławika. Na instytucjonalne wsparcie nie miał nawet co liczyć. Ale nie mógł się też rozerwać. Rankiem, zaraz po przebudzeniu, pędził do szpitala. Stałe miał uczucie, że jeśli dzisiaj tam nie pójdzie, jeśli zostawi tam chłopca samego, to może się stać coś strasznego. Więc odsuwał szukanie Oksany i Sławika na później.

Pewnego dnia, gdy siedział w metrze, dobiegł go pełen skargi dziecięcy głosik. - Drodzy pasażerowie! Przepraszam, że państwu przeszkadzam, ale...

Otwarł zaczerwienione oczy i ujrzał dziewczynkę lat około dwunastu. Szła przygarbiona. Na plecach miała niemowlę. Jegorow sięgnął machinalnie do kieszeni. Dziewczynka dostrzegła to i zdecydowanym krokiem ruszyła w jego stronę. Gdy stanęła przed Jegorowem, przeżył taki wstrząs, że aż wypadło mu kilka monet. Dziewczynka miała na sobie kurtkę Fiedki.

Przed dwoma laty w jakimś droгим sklepie w Oslo kupił synom pierwszorzędne puchowe kurtki - zieloną dla Sławika i niebieską dla Fiedki.

Niebieska puchówka dziewczynki była brudna i porozrywana i razem z pogniecioną spódnicą do kostek nadawała dziewczynce wiarygodny wygląd żebraczki, chociaż kosztowała prawie czterysta dolarów.

Dziewczynka pochyliła się i zręcznie pozbierała wszystkie monety. Dziecko na plecach prawie jej przy tym upadło na głowę, ale nadal spało twardym snem.

- Uważaj, bo zaraz ci wypadnie - powiedział cicho Jegorow.

Dziewczynka spojrzała na niego złym, dorosłym spojrzeniem i pognała do drzwi. Pociąg właśnie zajeżdżał na stację. Jegorow wstał i wystudiowanym, powolnym krokiem zbliżył się do drzwi. Nie miał konkretnego planu.

Wiedział tylko, że musi być bardzo ostrożny. Dziewczynka oczywiście nie działała w pojedynkę. Na stacji mogli na nią czekać jacyś dorośli - gdzieś czytał, że żebracy są zorganizowani i że każde dziecko proszące w metrze o pieniądze zawsze ma jakichś dorosłych, zawodowych opiekunów. Odbierają oni potem dzieciom zarobek, oferując im w zamian nocleg, jedzenie, ubranie i względne bezpieczeństwo. Zwracanie się do milicji było bezcelowe. Żebracy przekupywali funkcjonariuszy ze swojego terenu znacznymi sumami.

Otworzyły się drzwi. Dziewczyna wysiadła i szybko pobiegła na koniec peronu.

- Wiesz może, jak się dostać na stację Domodiedowskaja? - zapytał głośno Jegorow.

- Sprawdź se na planie - warknęła, nie odwracając się.

- Poczekaj, jestem przyjezdny, u nas nie ma metra i nie znam się na waszym planie. Zgubiłem się, jeżdżę już od godziny, pomóż mi, proszę, bądź taka dobra, zapłacę, ile będziesz chciała.

- Wytlumaczę ci za pięćdziesiąt.

W jej oczach czaiło się tak dorosłe i tak bezcelne szyderstwo, że Jegorow poczuł się niewyraźnie.

- Dostaniesz sto - powiedział szybko - jeśli mi powiesz, skąd masz tę kurtkę. Nie bój się, nie zabiorę ci jej, chciałbym tylko wiedzieć.

- Dwieście - powiedziała dziewczynka cicho i bardzo poważnie, ani na chwilę nie spuszczać wzroku z Jegorowa.

- Niech będzie dwieście. Wiem, że zabrałaś tę kurtkę pewnemu chłopcu, który tu z tobą żebrał. Gdzie go znaleźliście? Nic więcej nie chcę wiedzieć.

- Dawaj forszę!

Jegorow wręczył jej dwa banknoty. Brudna, wychudła ręka natychmiast je złapała ze zręcznością żonglera.

- A reszta? - przełknęła nerwowo dziewczyna.

- Resztę dostaniesz potem.

- Tego małego znaleźliśmy na dworcu. No dawaj stówę!

- Na j jakim dworcu?

- Na Białoruskim! Człowieku, dawaj forszę!

Jegorow wręczył jej setkę. Nie odwracając się, dziewczyna wskoczyła przez zamykające się drzwi do środka wagonu.

„Drodzy pasażerowie...”.

Powoli przechodząc przez wagon, pomyślała, że jednak jest w czepku urodzona. Nie tylko miała kurtkę, ale w dodatku trafił jej się ten walnięty leszcz. Od razu czuła, że facio kłamał. Że niby przyjezdny. Ira w końcu dorastała na dworcu i nikt by jej nie wcisnął takiego kitu. Najpierw się wystraszyła - a co, jeśli jednak zabierze kurtkę? Ale nie, nie zabrał, i jeszcze zapłacił jej dwieście rubli, tak po prostu. A w dodatku była taka sprytna, żeby nie powiedzieć o dworcu Kazańskim, na którym każdy ją znał, lecz o Biełoruskim, gdzie nie znał jej nikt. W każdym razie Irka miała szczęście, bo była sprytna. Szkoda tylko, że niemowlę na plecach znowu umarło.

Rozdział 8

Rusow prawie nie sypiał i cierpiał na brak apetytu. Był blady, stracił na wadze, miał nadciśnienie i często miewał bóle głowy, czego do tej pory nie znał.

Do inauguracji jeszcze tylko dzień. Chciał go właściwie spędzić z żoną, wyjechać do domku myśliwskiego; na szczęście była znakomita pogoda, pierwsze majowe słońce ogrzewało tajgę, a komary jeszcze się nie obudziły.

Ale Nika mimo jego nalegań nie zgodziła się przełożyć szpitalnych zajęć. Rusow poczuł się głęboko dotknięty. Pojechał na daczę bez żony i sprowadził sobie masażystkę Ritę, platynową blondynkę, soczystą jak świeże jabłko.

Doktor Jelagina przyjmowała pacjentów. Wszystko przebiegało jak zwykle. Ale krótko po drugiej pojawiła się młoda kobieta ze zmierzwioną fryzurą i w białym fartuchu, zwisającym na jej wymizerowanym, wątłym ciele. Wparowała do środka, rzucając się lekarce na szyję i wołając:

- Nika, mój Boże, nareszcie! Przed szpitalem stoją ochroniarze, musiałam przejść przez płot. Pokaż no się! Wyglądasz świetnie, nic a nic się nie zmieniłaś.

Siostra i asystent zerwali się, by przywołać niewychowaną osobę do porządku.

- Musimy porozmawiać w cztery oczy, to pilne - szepnęła dziewczyna Nice do ucha.

Nika cofnęła się o krok, ale nie od razu zorientowała się, że stoi przed nią szkolna przyjaciółka Zina Rieznikowa. Zrozumiała tylko, że to nie nieletnia dziewczyna, lecz dorosła, zniszczona życiem kobieta, niska i wychudzona. Dopiero gdy przyjrzała się bliżej, zauważyła błyszczące niebieskie oczy, wciąż jeszcze żywe, zadarty nosek i wysklepione czoło pod rzadkimi blond włosami.

Nie widziały się dokładnie osiem lat, lecz mimo to wprost nie do wiary było, żeby człowiek mógł się aż tak zmienić.

- Nikita nie żyje - powiedziała Zina, ledwie wydając z siebie głos. - Dlatego tu jestem. - Spojrzała z ukosa na pielęgniarkę i asystenta. - Posłuchaj, chodźmy dokądś. Kończysz chyba o trzeciej, prawda?

- Nie żyje? Jak, kiedy? - Nika cofnęła się jeszcze o krok i spoglądała na Zinę z dziwnym, nieruchomym uśmiechem. Raczej grymasem niż uśmiechem - jakby ktoś zadał jej cios, i zanim zdołała sobie uświadomić, co się stało, poczuła straszny, niewyobrażalny ból.

- Trzy dni temu. Mieszkał u mnie jakiś czas. Był pożar. Znaleźli zwęglone zwłoki. Pogrzeb będzie w środę. Jego rodzice są w Waszyngtonie, dlatego to przesunęli.

- U ciebie? Zwęglone zwłoki? A jak doszli do tego, że to Nikita? - zapytała głucho Nika.

- Chodźmy gdzieś - odparła Zina - to ci wszystko opowiem. Ale nie do ciebie - dodała cicho. - Musimy porozmawiać na osobności. Rozumiesz?

Nika nie pytała już, dlaczego nie do domu, i nie wsiadła z nią do czekającego przed szpitalem czarnego mercedesa. Powiedziała siostrze i asystentowi, że wróci za dwadzieścia minut i, kryjąc się przed wzrokiem szofera i ochroniarzy, wyszła razem z Ziną przez dziurę w płocie.

* * *

„Ależ poruszająca scena: First Lady przełaząca przez dziurę w płocie! Uwaga, madame, podrze sobie pani pończoszki, gwóźdź tu sterczy. No, no, ależ pani jest błada! Pani przyjaciółka to mądra osóbką, od razu przyszła i wszystko pani opowiedziała. Boli panią, Wiktorio Siergiejewno? Tak, widzę, że panią boli! Tak, musi pani to przejść. Przyzwyczała się już pani do oszukiwania samej siebie. Wypłenię ten brzydki nawyk. W pani świecie, świecie tak zwanych normalnych ludzi, wszyscy kłamią. Okłamują siebie, obcych,

bliskich, urząd skarbowy i samego Boga”.

„Madame, w imię Chrystusa, proszę wspomóc biednego kalekę...”.

Nika drgnęła i spojrzała w dół. Uderzył ją niemiłosierny odór. Przy płocie siedział żebrak, przywiązany rzemieniami do płaskiego wózka na czterech kółkach. Beznogi korpus. Twarz czarna, jakby uwędzona. Czerwone, głęboko osadzone oczy, gęsta szczecina na policzkach. Na głowie jakiś łachman - stary bandaż albo kobieca chustka. Trzęsąca się ręka owinięta brudną szmatą. Nika wyjęła drobniki z kieszeni płaszcza i położyła mu na rękę.

- Jeśli pan będzie tak dłużej siedział, to rzeczywiście prędzej czy później straci pan nogi - powiedziała szybko. - Lepiej niech pan da spokój.

- Stokrotne dzięki - wymamrotał żebrak i wrzucił monety do wysłużonej futrzanej czapy leżącej obok wózka.

- Co? On naprawdę ma nogi? - Zina obejrzała się za żebrakiem, który już odjeżdżał, umiejętnie odpychając się długimi, małpimi rękami od ziemi.

- Jasne - Nika w roztargnieniu pokiwała głową. - Podkurcza je i przypina się do wózka. Zresztą do diabła z nim. Dokąd pójdziemy? W tym mieście zna mnie każde dziecko.

- Mam na myśli jedno takie miejsce - powiedziała Zina i mrugnęła wesoło. - Tam na pewno nikt cię nie pozna.

- Byłaś tu już kiedyś? - zapytała zaskoczona Nika.

- Nie. Nigdy. Przyjechałam dopiero wczoraj wieczorem. Ale mam nosa do obskurnych, przytulnych miejsc.

Była to pierogarnia za dworcem, jakiś cudem ocalały oszklony pawilon z późnych lat siedemdziesiątych. Szybaj najbardziej prawdopodobnie nie myto od tamtych czasów.

- Dwa anonimy. Jeden do ciebie, jeden do mnie - powiedziała tajemniczo Zina, przykładając palec do ust. - Twojego nie czytałam. Koperta jest zalakowana.

- Co? - zapytała Nika, spoglądając nieobecny wzrokiem. Wciąż nie mogła otrząsnąć się z szoku.

- W moim był bilet lotniczy. Z prośbą, żeby cię odwiedzić.

Była to normalna koperta, bez znaczków i adresu. W rogu widniały litery W.J. napisane czarnym atramentem. Na widok tych liter, jej inicjałów, Nika poczuła, że serce zaczyna jej bić szybciej.

W kopercie była kartka papieru, tekst napisano na starej maszynie do pisania.

„Weroniko Siergiejewno! Pani stary znajomy, Nikita Rakitin został znaleziony martwy w mieszkaniu Zinajdy Rieznikowej. Milicji łatwiej było uznać jego śmierć za wypadek. Ale został zamordowany. Zleceniodawcę pani zna. To pani mąż. To od pani zależy, czy ta zbrodnia pozostanie »wypadkiem«. Myślę, że z własnej woli zechce pani wyjaśnić tę sprawę i udać się do Moskwy”. Bez podpisu.

Zina, która z wyraźnym apetytem pałaszowała drugą porcję pielmieni, wyciągnęła z kieszeni kartkę zmiętego papieru, trochę już zatłuszczonego.

- A ten był do mnie.

Do Ziny nadawca pisał sucho i rzeczowo, punkt po punkcie wyliczając, co ma robić:

„1. To siedemset dolarów. Wystarczy na przelot do Siniedolska i z powrotem. Resztę proszę zachować.

2. Proszę się skontaktować ze swoją dawną znajomą, Weroniką Jelaginą i wręczyć jej zamkniętą kopertę, nie przy świadkach. Znajdzie ją pani w miejskim szpitalu, na oddziale chirurgii. Przyjmuje we wtorki i czwartki, od dziewiątej do trzeciej, w pokoju zastępcy ordynatora oddziału.

3. Żaden z listów pod żadnym pozorem nie może trafić w ręce osób trzecich. Proszę o ostrożność i rozwagę”.

Bez daty i podpisu.

Listy napisano na przedpotopowej maszynie do pisania, małą czcionką. Taśma była prawdopodobnie nowa. Nika zauważyła kilka plam, niektóre litery były zbyt wytłuszczone i rozmyte. „K” i „L” zjeżdżały niżej.

Rzeczowo i z dystansem rozważała, czy nie pokazać anonimowi Igorowi Zimkinowi, szefowi ochrony męża. Mógłby stwierdzić obecność odcisków palców. Na wszelki wypadek.

Dziwne, ale Nika odczuła coś w rodzaju ulgi. Skupienie się na własnych myślach zawsze przychodziło jej łatwiej niż zmierzenie z własnymi uczuciami. A w tej chwili jej jedynym uczuciem był straszliwy, niewyobrażalny

ból. Anonim miał niezwykle potencjał, mógł odwrócić jej uwagę. Więc powinna się skoncentrować właśnie na nim - wszystko to pachniało szantażem i prowokacją. Z czyjej strony i z jakiego powodu? Grisza był osobą publiczną, a osoby publiczne zawsze przyciągają wszelkiej maści psychopatów. Ale skąd ten szalaniec miałby pieniądze? Sytuacja wymagała pozbawionej emocji analizy. Tym lepiej. Rodzaj miejscowego znieczulenia.

- To teraz wyjaśnij mi jeszcze raz spokojnie i po kolei, co się właściwie stało? - Nika przeniosła wzrok z wesołych, niebieskich oczu Ziny na mętną szybę.

- Dziesięć dni temu przyszedł do mnie Nikita i chciał przez chwilę u mnie pomieszkać. Miałam o tym nikomu nie mówić.

- Wyjaśnił ci, dlaczego?

- Oczywiście. Powiedział, że musi pobyć jakiś czas sam.

- Czekaj, przecież on i tak cały czas mieszka sam. Rodziców ma od pół roku w Waszyngtonie, ogromne mieszkanie jest tylko dla niego.

- Powiedział, że ma kryzys twórczy i musi zmienić otoczenie. Rozumiałam to. Poza tym i tak wyjeżdżałam do Petersburga i moja nora miała stać przez miesiąc pusta.

- Może on się przed kimś ukrywał? - zapytała cicho Nika.

- Tak. Przed samym sobą. Mówiłam ci, że miał kryzys twórczy! - zirytowała się Zina - Nie jestem przecież z dochodzeniówki, żeby go przesłuchiwać! Dlaczego nie miałby sobie u mnie pomieszkać, jeśli miał taką potrzebę?

- Nie, no jasne. A co dalej? - skinęła głową Nika.

- No. A potem był ten pożar. U nas w budynku ciągle wyłączają prąd, miałam w domu dużą ilość nafty. Wylała się. W każdym razie Nikita został znaleziony martwy. Spalony aż do kości. Z trudem go zidentyfikowano. Jego dokumenty były nietknięte - dowód osobisty, karty kredytowe.

- Jakim cudem ocalały z pożaru? - zapytała szybko Nika.

Zina gwizdnęła przeciągle i z dezaprobatą pokręciła głową.

- Nie no, Jelagina, mocna jesteś, naprawdę. Myślałam, że uronisz przynajmniej leżkę po Rakitinie, a ty siedzisz tu jak kloc i zadajesz mi podchwytliwe pytania.

- Jestem pod narkozą - mruknęła Nika.

- Też coś, przecież tu siedzisz.

- Nie to miałam na myśli. Te anonimy. Muszę się tego dowiedzieć. Potem będzie czas na łyzy.

- No tak. To w twoim stylu. Naprawdę się nie zmieniłaś przez te osiem lat.

- No więc, w jaki sposób papiery ocalały z pożaru?

- Wszystkie dokumenty przechowywałam w solidnej blaszanej puszcze. Namówiłam Nikitę, by włożył tam również swoje. W mojej norze panuje taki chaos, że trudno tam cokolwiek znaleźć i jedynym bezpiecznym miejscem jest blaszana puszka. No i w ten sposób mnie znaleźli. Numer telefonu znajomych z Petersburga też tam był. Facet prowadzący tę sprawę zadzwonił do mnie wczesnym rankiem i od razu wróciłam do domu. A tam - koszmar. W każdym razie udało mi się zidentyfikować Nikitę.

- W jaki sposób? Po zwęglonych zwłokach?

- Po krzyżyku. Pamiętasz, Nikita cały czas nosił złoty krzyżyk. Nigdy go nie zdejmował. Ale przede mną zidentyfikowały go również Galina i ciotka Nadia.

- One też poznały go po krzyżyku?

- A skąd ja mam to wiedzieć? Słuchaj no, co to za pytania? Co, nie wierzysz, że to był Nikita? - Zina zmrużyła oczy i spojrzała na Nikę badawczo.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - Nika uniosła brwi i odwróciła się.

- Też najpierw nie mogłam w to uwierzyć. Ale kto by to w takim razie mógł być? Nikita był sam, a do pożaru doszło w środku nocy. Zwłoki mężczyzny tego samego wzrostu, w tym samym wieku i z krzyżykiem na szyi.

- I nic więcej poza krzyżem?

- Co?

- Czy podczas identyfikacji pokazali ci jeszcze jakiś inny metalowy przedmiot poza krzyżem?

- Nie. Tylko krzyżyk na łańcuszku.

- Czy były j jeszcze j akieś ekspertyzy?

- Ekspertyzy? Po co? Przecież wszystko było jasne.

- Pięknie. I co dalej?

- Wprowadziłam się do mamy, na jakiś czas. I wtedy pojawił się ten zabawny facet. Głuchoniemy żebrak. To on dał mi listy.

- Głuchoniemy żebrak?

- No, tak. Na Arbacie. Sprzedawałam tam moje obrazy, które namalowałam w Petersburgu. Reszta się spaliła. I wtedy pojawił się ten typek.

- Jak wyglądał?

- A jak wygląda ktoś ze znamieniem na pół twarzy? Rzuca ci się w oczy coś poza tym znamieniem?

- Całe mnóstwo rzeczy. Jesteś w końcu malarką. Przypomnij sobie dobrze: wzrost, wiek, budowa ciała, włosy, ręce.

- Wysoki, chudy, przygarbiony. Żałoba za paznokciami. Strasznie brudne ręce. Trzęsły mu się.

- A jak był ubrany?

- A jak są ubrani moskiewscy kłoszardzi?

- Nie zdziwiło cię, że list napisano na maszynie? Skąd taki żebrak miałby maszynę do pisania? I taką ilość pieniędzy?

- To przecież nie on napisał i to nie jego pieniądze. Ktoś poprosił tego bezdomnego, żeby mi to przekazał.

- Taką sumę? - Nika potrząsnęła głową.

- Właściwie to się nad tym nie zastanawiałam. Jakiś włóczęga zabawił się w kuriera, przekazał mi listy i pieniądze. To w sumie bez znaczenia, jeśli pomyśleć, że - pociągnęła nosem, wybuchając zniechęcającą histerycznym szlochem, zupełnie jak dziecko - że Nikita nie żyje.

- I więcej już nie spotkałaś tego głuchoniemego?

- Nie - Zina ciężko westchnęła. - Panie komisarzy, czy mogę już przestać opowiadać o tych strasznych szczegółach? Nawet mnie nie zapytałaś, co u mnie, jak sobie radzę. W końcu spaliło mi się mieszkanie. I mój przyjaciel z młodości stracił życie. W przeciwieństwie do ciebie, trudno mi teraz przychodzi myślenie. Jest mi smutno, rozumiesz? Poza tym aż do śmierci Nikity całkiem mi się powiodło. Mam szalony romans z jednym petersburżaninem, koło pięćdziesiątki, genialny muzyk...

- Czekaj - Nika skrzywiła się boleśnie - nie mówiłaś, jak trafiłaś na Nikitę. Czy on cię szukał?

- Nie. Natknęliśmy się na siebie przypadkowo w pierogami. Właśnie sprzątałam, a tu jakiś facio mówi do mnie nagle: „Ej, młoda damo, czy pani nie może poczekać z tym sprzątaniami? Pani szmata cuchnie jak diabli”. Chciałam się już na niego wydrzeć, że wycieram stoły, kiedy mi pasuje, ale patrzę: mój Boże, toż to Nikita!

- Zaraz Zina, pracujesz jako sprzątaczką w barze? - zapytała cicho Nika.
- Dorywcz. - Zina zawstydzona spuściła wzrok, a potem roześmiała się wesoło. - Znasz moją słabość do pierogów. Poza tym potrzebuję bodźców. Kręcą się tam różne oryginały - po prostu odjazd. Jeden taki dał mi trzysta dolarów za akwarelę.

- Powiedz no, dlaczego nie zwróciłaś się do milicji? Dlaczego nie pokażałaś tego listu? - przerwała jej Nika.

- Ty znowu swoje! Tłumaczyłam ci, że proszono mnie o dyskrecję. W liście wyraźnie napisano: dla milicji wygodniej jest potraktować śmierć Raki- tina jako wypadek. Poza tym nawet nie ma żadnej sprawy. Nie wszczęto postępowania. Zleceniodawca jest zbyt wysoko umocowany. I tak nie trafi na ławę oskarżonych.

Nika zwróciła uwagę, że Zina niemal słowo w słowo cytuje list, którego rzekomo nigdy nie czytała.

- Gdzie mieszkasz?

- W najlepszym hotelu. Biletu powrotnego jeszcze nie mam. I tak przecież polecimy do Moskwy razem. Prawda?

- Tak. Oczywiście.

W domu, korzystając z nieobecności męża, wykonała kilka telefonów do Moskwy. Najpierw mechanicznie zadzwoniła do Rakitina - melancholijny dzwonek, nikt nie odebrał. Potem drżącymi palcami przewertowała starą książkę telefoniczną i wybrała numer byłej żony Nikity, Galiny. W odpowiedzi odezwał się dziecięcy głos. Była to Masza, dwunastoletnia córka Nikity.

- Już pani wie o tacie? Pogrzeb będzie w środę, na cmentarzu Wostrjako-
kovo.

Głos dziewczynki brzmiał, jakby był z drewna. Nika nie mogła się zmusić do męczenia tego dziecka dalszymi pytaniami.

Rusow wrócił późno. Miał zaczerwienione policzki i wyśmienity apetyt.

- To wielki błąd, że tu zostałaś - powiedział i soczyście pocałował ją w usta.

- Nikita Rakitin zmarł trzy dni temu - powiedziała cicho Nika.

Uśmiech natychmiast zniknął mu z twarzy. Rusow długo milczał, a w końcu przybrał poważną, troskliwą minę.

- Tak, wiem. Szczerze mówiąc, nie chciałem cię martwić przed objęciem urzędu, ale jak widzę, ktoś cię powiadomił. Ciekawe, kto, jeśli wolno wiedzieć?

- Miałam telefon z Moskwy. - Jeszcze nie podjęła decyzji, czy opowiedzieć mężowi o wizycie Ziny i anonimach, czy raczej to przemilczeć. Skłamała zatem, uznając, że tak będzie lepiej.

- Kto do ciebie zadzwonił? Jego rodzice, z tego co wiem, są w Waszyngtonie.

- Masza.

- Dziwne. Tak nagle? Skąd ma nasz numer?

Nika milczała. Rusow spojrział na nią z czułością i uwagą, więc zrobiło jej się trochę wstyd. Mogła od razu powiedzieć mu prawdę. Chociaż w sumie miał tyle problemów w związku z wielomiesięczną kampanią wyborczą i tyle pewnie kłopotów w przyszłości w związku z objęciem urzędu.

- Wybierasz się na pogrzeb do Moskwy?

- Oczywiście. A ty?

- Wiesz przecież, że nie mogę. - Potarł policzkiem o jej policzek i westchnął: - Straszne to wszystko i takie bezsensowne. W wieku trzydziestu siedmiu lat...

- Trzydziestu ośmiu - poprawiła.

Tego wieczoru nie zamienili już na ten temat ani słowa. Dopiero kiedy leżeli w łóżku, szepnął jej do ucha:

- Powiedz, skarbie, dokąd poszłaś ze szpitala?

- Miałam ochotę się przespacerować.

- Mogłaś powiedzieć kierowcy. Biedak zaczął się już martwić. A właśnie, co to była za kobieta, która wparowała do gabinetu?

- Była pacjentka z Moskwy.

- Jaka, jeśli wolno spytać?

- Miałam całe mnóstwo pacjentów. Nie znasz jej.

- Jesteś pewna, że chcesz jechać na pogrzeb?

- Mówiłam ci przecież, że tak.

- Ale to już nie Nikita. Tylko zamknięta trumna. Uważam, że nie powinnaś.

Jesteś wyczerpana, twoje nerwy...

- Nic mi nie jest, Grisza.

- Co, znów będziesz zgrywać silną?

- Przestań.
 - Niech ci będzie. Co włożysz na uroczystość?
 - Czy to takie ważne?
 - I to jak! - Poszukał jej dłoni i przycisnął ją sobie do policzka. - Niebieską sukienkę. Tę, którą ci przywiozłem z Londynu. Tak?
 - Wybacz, Grisza, chce mi się spać, jestem zmęczona. - Odwróciła się do niego plecami i wymamrotała jak w półśnie: - Kiedy właściwie ostatnio widziałeś Nikitę?
 - O, dawno temu - westchnął Rusow. - Będzie ze trzy lata. Dokładnie nie pamiętam.
- Milczała. Wiedziała, że skłamał.

* * *

Dworzec Białoruskij okazał się ślepą uliczką. Jegorow mógł tylko zgadywać, dokąd pojechali Oksana i Sławik. Z tej stacji odchodziło mnóstwo pociągów, Rosja była ogromna.

Gdyby Ira powiedziała mu prawdę i wspomniała o dworcu Kazańskim, miałby może jakąś szansę - ktoś przypadkiem mógłby sobie przypomnieć.

Fiedkę przeniesiono z intensywnej terapii do normalnej sali. A jemu któregoś dnia udało się złapać Rusowa, jak wysiadał z samochodu na dziedzińcu ministerstwa.

- Dokąd ich zabrali? - zapytał, kureczowo uczepliwszy się ręki Rusowa.
 - Kogo? O kim ty mówisz?
 - Już ty tam wiesz, Rusow. Chcę wiedzieć tylko jedno. Gdzie są moja żona i syn?
 - Słuchaj, stary, rozumiem, że masz kłopoty, żona od ciebie uciekła. Bardzo mi przykro, ale wybacz, jak ja ci mogę pomóc?
 - A czy to nie twój podpis? - Jegorow pokazał opinię biegłego na temat grupy Astachowej.
- Rusow przytaknął
- No i co? Grupa „Zdrowa Rodzina” spotyka się teraz w byłym kinie »Wostok”, w pobliżu stacji metra Akadiemiczeskaja. Możesz tam pójść i sprawdzić.
 - W takim razie to była grupa, która z Astachową nie ma nic wspólnego. Szefował jej Azjata zwany Shanli. Znasz go, Grisza. Miesiąc temu widziałem was razem przed restauracją „West”.

- Kompletnie ci już odbiło. Jegorow, uważaj, żeby Aeroflot nie wyrzucił cię z powodu stanu zdrowia.

- Daruj sobie! Gdzie oni są? U tego Shanli było ze dwadzieścia osób. Pewnie wszyscy gdzieś zniknęli. Kto potrzebował tych ludzi i do czego?

- Jegorow, posłuchaj - Rusow zmierzył go lodowatym spojrzeniem. - Cenię sobie naszą dawną przyjaźń i bardzo mi przykro, że nie układa ci się życie osobiste. Ale zupełnie nie jestem w stanie ci pomóc.

- Zwykle sekta wymusza od ofiar pieniądze, mieszkania. Ale Guru Shanli chciał czegoś innego. Czego? Krwi? Organów? Darmowej siły roboczej?

- Jasne, jeśli ucieka od ciebie żona, to lepiej myśleć, że to jakieś łobuzy ją porwały - zaśmiał się szyderczo Rusow.

- We krwi Fiedki stwierdzono obecność silnych narkotyków. Lekarze mówią, że poddawano go nie tylko hipnozie, ale również elektrowstrząsom. Rusow, zabiję cię, jeśli mi nie powiesz, dokąd zabrali Oksanę i Sławika.

- Słuchaj Iwan, ugodowy i cierpliwy ze mnie człowiek, ale wszystko ma swoje granice. - Rusow zatrzaskał drzwiczki samochodu i dodał gazu.

Tego wieczoru Jegorow miał telefon ze szpitala: stan Fiedki się pogorszył. I znów spędzał całe dni w szpitalu, wracając do domu tylko na noc.

Tydzień później przypadał termin regularnej kontroli w poradni zawodowej.

- Iwanie Pawłowiczu, nie będzie pan mógł przez jakiś czas latać. Cierpi pan na poważne wyczerpanie na tle nerwowym. Pana kardiogram wykazał zaburzenia rytmu serca. Schudł pan siedem kilo. Powinien się pan poważnie zatroszczyć o swoje zdrowie.

- Dobrze. Tak zrobię - obiecał Jegorow.

- Proszę na siebie uważać. Nie może się pan tak zaniedbywać, bo inaczej będziemy musieli uznać pana za niezdolnego do pracy.

- Tak. Oczywiście.

Jegorow chciał jak najszybciej pojechać do szpitala i nie miał czasu na debatę na temat swojego stanu zdrowia.

Rozdział 9

Uroczyste wprowadzenie na urząd odbyło się w najbardziej okazałym budynku Siniedolska, w sali koncertowej na tysiąc miejsc. Tył sceny zdobiła mozaika w kolorach żółtym i ciemnoczerwonym, kompozycja z kłosów, kos i sztandarów z frędzlami. Imprezę transmitowała na żywo regionalna i ogólnokrajowa telewizja. Jedna z kamer pokazała twarz świeżo upieczonego gubernatora w trochę zbyt dużym zbliżeniu - nieładnie błyszczące krople potu na czole, ołowiana karnacja, świadcząca o nieprzespanych nocach, spuchnięte czerwone powieki. Kamera natychmiast się cofnęła i zaczęła pokazywać salę. W pierwszym rzędzie, między łysym bankierem i atrakcyjnym siwym panem w mundurze generała, siedziała żona gubernatora, Weronika Siergiejewna. Kamera niemal z ulgą zatrzymała się na jej twarzy. Malował się na niej, jak zawsze, spokój. Duże, wyraziste piwne oczy spoglądały prosto w oko kamery, chłodno i ze smutkiem. Szczupła, biała dłoń popłynęła w górę i poprawiła szpilkę podtrzymującą ciężki kok.

Na scenę wkroczył metropolita, mężczyzna przy kości, z gęstą szpakowatą brodą. Jego szerokie siwe brwi zmarszczyły się ze wstrętem, gdy wilgotne usta gubernatora musnęły go w rękę. Rusow przysięgał w imię Boga działać dla dobra publicznego, nie oszczędzać się i walczyć o rozkwit powierzonego mu regionu, dwa razy większego od Szwajcarii i biednego jak dziesięć afrykańskich prowincji pogrążonych w konfliktach zbrojnych.

Gubernator położył grubą dłoń o nabrzmiałych palcach na pozłacanym wierzchu Pisma Świętego.

- Przyrzekam - powtórzył głucho.

- W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen - przesadnie wyrazistym gestem duchowny uczynił znak krzyża nad spuszczoną okrągłą głową i wygolonym karkiem; wyszeptał przy tym bezgłośnie, nawet nie poruszając wargami: - Wybacz mi, Panie! - po czym zszedł ze sceny, pełen dostojeństwa licującego z pełnionym urzędem.

Rozległy się pierwsze takty nowego rosyjskiego hymnu narodowego. Wszyscy podnieśli się z miejsc. Rusow oblizał wargi.

Ogromny, porośnięty tajgą kawałek Syberii, pełen wymarłych wież wiertniczych, zdziczałych wiosek przekrzywionych przez wiatr, zapijaczonych osad i czarno-białych miast z wielkiej płyty, skrywający w czeluściach ziemi ropę naftową, złoto, cenne metale kolorowe i strategiczne surowce, znalazł się oto w jego rękach.

Hymn dobiegł końca. Po chwili ciszy z tylnych rzędów dobiegły pojedyncze oklaski, które zalały teraz salę niczym fala. Te brawa przeznaczone były dla Rusowa.

Zebrani urzędnicy, brzuchaci i barczyści bandyci, ojcowie miasta, kryminaliści, właściciele dużych banków, dyrektorzy bankrutujących przedsiębiorstw i strajkujących kopalń, królowie węgla i ropy bili brawo zaufanemu faworytowi, witali prawowitego następcę tronu. Niektórzy się uśmiechali.

W pierwszym rzędzie błysnęła blada, wielkooka twarz Niki. Kobieta z roztargnieniem bębniła palcami o zatrask niedużej torebki. Z zadartą brodą, wyprostowanymi drobnymi ramionami, stała jak inni, ale jej szczupłe dłonie nie rwały się do oklasków.

Widział, jak na jej szyi pulsują błękitne żyły i jak spowodowany aplauzem powiew porusza kosmyki na jej skroniach. Na próżno starał się złapać jej nieobecny, rozplwający się w świetle reflektorów wzrok.

Nieopodal sali koncertowej, w opustoszałej uliczce stał stary zaporoziec. Za kierownicą siedział chudy, przygarbiony mężczyzna. Miał przed sobą miniaturowy ekran zasilanego akumulatorem przenośnego telewizora Ju- nost. Antena nie nadawała się do niczego, czarno-biały obraz rozmywał się i trząsł. Jednak mężczyzna jak zaczarowany wpatrywał się w oczy Weroniki Jelaginy.

- Zmizerniało się, pani gubernator - mruknął pod nosem. - Wyglądamy na wyczerpaną. Zamiast cieszyć się gładkim zwycięstwem szanownego małżonka, płakała pani dzisiaj, madame. Nikt nie widział. I dobrze. Płakać powinno się raczej w ukryciu. Świat jest okrutny, i tak nikt by się nie zlitował. A teraz patrzy pani do kamery, prosto w moje oczy i zastanawia się, jak dalej żyć. To znaczy, właściwie już pani podjęła decyzję. Za dwadzieścia minut wymknie się pani ukradkiem z przyjęcia, wsiądzie do mojego samochodu, a wtedy ja, przypadkowy kierowca brzydkiego zaporozca, zawiozę panią gubernator na lotnisko. Już pani podjęła taką decyzję, choć nie przyznałaby się pani do tego nawet sama przed sobą. Nienawidzi pani ślepych uliczek. Uparcie szuka pani wyjścia, nawet jeśli wokół same grube mury. Ale w tak ślepej uliczce jeszcze się pani jak dotąd nie znalazła.

Transmisję przerwano, by nadać blok reklamowy. Mężczyzna w zaporozcu wyłączył telewizor i spojrzął na zegarek.

- No, na nas czas - mruknął. - O, zresztą już idzie.

Na końcu uliczki pojawiła się chudziutka postać w szerokim, workowatym swetrze i z plecakiem na ramionach. Kierowca włożył telewizor pod siedzenie i przykrył go szmatą.

- Już pan jest? - zapytała Zina Rieznikowa i wsiadła do samochodu.

- Tak jak ustaliliśmy - odparł kierowca. - Czy pani przyjaciółka przyjdzie na czas?

- Tak. Jest bardzo punktualna.

* * *

Bohater uroczystości omiół spojrzeniem salę bankietową: butelki szampana w zroszonych metalowych pojemnikach, góry kawioru otoczone kruchymi listkami sałaty, bladoróżowe prosiaki na owalnych półmiskach. Zaproszeni goście zajęli swoje miejsca i zaczęli hałasować sztućcami.

Gubernator kiwał w roztargnieniu głową, uśmiechał się i odpowiadał na pytania, nie słysząc własnego głosu. Kiedy w końcu wszyscy goście zajęli przysługujące im ze względu na rangę miejsca, nastąpiła długa, pełna napięcia i oczekiwania cisza. Wszyscy w ogromnej sali zwrócili uwagi, że honorowe miejsce przy stole obok gubernatora było puste. Tylko Rusow zdawał

się nie zauważać nieobecności swojej milczącej, spokojnej i pięknej żony.

Wzniesiono toasty, najpierw oficjalne, potem niewymuszone. Świetnie przeszkoleni kelnerzy uwijali się między stolami zwinnie i lekko jak zjawy. Twarze coraz bardziej różowiały, przybierały na sile śmiechy.

Ostatni raz cisza zapadła wtedy, gdy przy stłumionych dźwiękach pierwszej symfonii Czajkowskiego wniesiono do sali ogromny tort, ozdobiony wieżą wiertniczą z czekolady, gruszek i lukru oraz jaskrawozielonymi żel-kowymi listkami.

Przy histerycznym skrzypcowym solo gubernator bezlitośnie wetknął nóż w to arcydzieło cukiernika, zapalono światło, wieża wiertnicza runęła, gruszki rozpadły się na kawałki, a zupełnie już pozbawieni oporów goście rzucili się na owoce i desery.

Gubernator zapalił papierosa, napił się czarnej gorzkiej kawy i nieuważnie odpowiadał na pytania dopuszczonych do pańskiego stołu dziennikarzy.

- Grigoriju Pietrowiczu, gdzie jest pana małżonka? - Dopiero gdy ktoś po raz trzeci, uparcie i bez żenady zadał mu to pytanie, drgnął.

- Pewnie gdzieś wyszła na chwilę - powtórzył swoją odpowiedź i odwrócił się od błyskających fleszy.

Krzepka, dwumetrowa postać utorowała sobie drogę pośród tłumu i znalazła się obok niego. Był to Igor Zimkin, szef ochrony. Blady i spocony, szepnął mu do ucha:

- Pana żona właśnie wyleciała do Moskwy.

Rusow przełknął ślinę, oblizał suche usta i wyszedł z sali, nie patrząc na nikogo. Za nim podążył szef ochrony.

- Każ, żeby zawrócili samolot - wysyczał gubernator. - Nie... nonsens... tego zrobić się nie da. Zadbaj, żeby ją zgarnęli w Moskwie. Poślij za nią mój samolot, niech ją przywiozą z powrotem z Tuszyina, jeszcze dzisiaj.

- Miała przecież polecieć dopiero pojutrze, awionetką, a zamiast tego wybrała się zwykłym liniowym samolotem - mruknął zdezorientowany ochroniarz.

- Swoje przemyślenia zachowaj dla siebie - zgasił go gubernator. - Kto ją zawiózł na lotnisko? Kto kupił bilety?

- W sąsiedniej uliczce czekał na nią samochód.

- **Jaki?**

- Właśnie to wyjaśniamy. Mamy już świadka. Twierdzi, że to zaporozec.
- Numeru oczywiście nie pamięta.
- Było ciemno - Zimkin wzruszył ramionami.
- Zgarnąć w Moskwie i przywieźć z powrotem! - warknął i obróciwszy się na pięcie, skierował się do sali bankietowej.

- A jeśli...? - zaczął zmieszany Zimkin, drepcząc w ślad za nim.

- Jeśli na lotnisku źle się poczuje, to i tak trzeba ją będzie zawieźć do Tuszyna. Pomoc medyczną otrzyma na pokładzie mojego samolotu.

- Ale jeśli źle się poczuje - szef ochrony zaprotestował zdecydowanym szeptem - to, obawiam się, raczej nie unikniemy skandalu.

Stali już przy drzwiach.

- Moja żona to wrażliwa i podatna na stresy osoba - powiedział głośno do mikrofonu dziennikarza. - Mamy za sobą ciężki okres, kampania wyborcza była, jak pan wie, wyjątkowo zacięta i moja żona ciężko znosiła pomyje, jakie konkurencja wraz ze sprzyjającą jej prasą wylewała na moją głowę. Wy, dziennikarze, nie spuszczaście jej z oka ani na chwilę, co bardzo nadwerżyło jej zdrowie. Teraz wymaga natychmiastowej pomocy lekarskiej i odpoczynku. Planuję wysłać ją na kurację do Szwajcarii. Nasze zwycięstwo zbyt wiele ją kosztowało.

- Chce pan przez to powiedzieć, że małżonka przeżywa załamanie nerwowe?

- Moja żona jest po prostu wyczerpana. Ale pan, panie dziennikarzu, powinien się skontaktować z lekarzem. Cierpi pan na zaburzenie poczucia taktu.

Dwóch krzepkich ochroniarzy odsunęło szczupłego dziennikarza na bok. Nie bronił się. Wyszedł z sali bankietowej, opuścił budynek, szybko przeszedł przez plac przed salą koncertową, skręcił w ciemną uliczkę, rozejrzał się, a upewniwszy się, że nikt go nie obserwuje, wyjął z kieszeni komórkę i wykręcił numer do Moskwy - do dyżurnego redaktora krajowego działu rodzimej gazety.

- Natychmiast wyślij kogoś na lotnisko Domodiedowo, na samolot z Si-niedolska. Żona Rusowa właśnie nawiała z bankietu, pół godziny temu. Zróbcie tyle zdjęć, ile się da, a gdyby się udało zrobić wywiad, to byłoby super.

Przechodząc tam i z powrotem wzdłuż rzędów foteli, stewardesa za każdym razem zerknęła na dwie kobiety w piątym rzędzie. W ciągu półtora roku, odkąd latała, po raz pierwszy zdarzyło jej się widzieć tak różne osoby podróżujące wspólnie i pograżone w rozmowie jak najbliższe przyjaciółki.

Twarz jednej z nich wydała jej się znajoma; gorączkowo próbowała sobie przypomnieć, skąd zna tę zadbaną, szczupłą damę w prostej, nieprzyzwoicie drogiej, ciemnoniebieskiej sukience. Rzadko ktoś tak ubrany wsiadał do samolotu.

- Proszę się zapiąć - upomniała kobiety.

- Oczywiście - sąsiadka damy w niebieskiej sukni skinęła głową i posłała stewardesie szeroki uśmiech. Na górze brakowało jej dwóch zębów.

„Tej na pewno jeszcze nie widziałam - pomyślała stewardesa. - Ale co one mogą mieć ze sobą wspólnego?”

Towarzyszkę damy nazwała w myślach łączką. Sprawiała wrażenie, jakby od kilku nocy mieszkała na dworcu albo lotnisku, nie myła się i nie czesała. Wychudzona jak kostucha, niziuteńka, z zadartym, szpiczastym nosem, wypukłym czołem i rzadką blond fryzurą miała w sobie coś brzydkiego, niechlujnego, ale jednocześnie dziecięcego i wzruszającego.

Sprawiała wrażenie, jakby ktoś jej spletał brzydkiego figla i młoda dziewczyna obudziła się któregoś ranka jako podstarzała kobieta. I tak kroczyła przez życie, stara-malutka, wciąż w postrzępionych dżinsach nastolatki, dziurawych adidasach, wypłowiałym swetrze z łatami na łokciach. I jeszcze zanim dziecięca kanciastość zdążyła ustąpić miejsca kobiecym krągłościom, wszystko już przywiodło, zęby wypadły, włosy się przerzedziły, a pod naiwnymi niebieskimi oczami pojawiły się głębokie zmarszczki. Nie miała czasu, żeby dorosnąć. Ani siły, żeby zrezygnować z alkoholu, narkotyków i przygodnych znajomości z mężczyznami. Nie miała zamiaru tracić czasu na sen, była zbyt leniwa, żeby myć włosy czy szorować zęby po wesolej nocy.

Stewardesa doszła do wniosku, że kobiety znają się z dzieciństwa. Obie pochodziły z zamożnych, kulturalnych rodzin, prawdopodobnie moskwianki, sądząc po akcencie. Chodziły razem do klasy. Jedna dostawała zawsze piątki, a druga pały. Obie były ładne i mądre, każda miała swoją szansę. Ale piątkowa oprócz szansy miała jeszcze głowę na karku, dostała się na oblegany kierunek studiów, wyszła za mąż za właściwego człowieka, studiowała,

pracowała i nie dawała za wygraną. Ścisła dieta, każdego dnia gimnastyka, kremy, maseczki, witaminy.

Podczas startu stewardesa siedziała w pobliżu kobiet i usłyszała, o czym rozmawiają.

- Słuchaj, skąd ty właściwie wytrzasnęłaś tego geja w zaporózcju? - zapytała niebieska dama.

- A skąd ci przyszło do głowy, że to gej? - zachichotała łąęga.

- Był umalowany.

- Co? Nie zauważyłam.

- Jesteś wyśmienitą malarką. Może ten włóczęga ze znamieniem też był ucharakteryzowany?

- Przestań! Włóczęga był prawdziwy. Znamię też. A facet w zaporózcju - po co miałabym mu się przyglądać?

- Jak go zdobyłaś?

- Przecież umówiłyśmy się, żebym załatwiła taksówkę. No to poszłam do taksiarzy przed hotelem i po kolei pytałam, ile by wzięli za kurs spod sali koncertowej na dworzec. Żądali astronomicznych sum, więc dla zasady postanowiłam znaleźć coś innego. A ten z zaporózcjem okazał się po prostu tani.

Rozdział 10

Nika miała trzydzieści siedem lat, ale wyglądała dziesięć lat młodziej. Sprężysta, szczupła, lekka, bez jednej zmarszczki, czysta, gładka skóra. Gęste, aksamitnie czarne brwi, obywające się bez konturówki i tworzące ciekawy kontrast z jasnymi, orzechowymi włosami oraz piwnymi oczami, których kolor zmieniał się w zależności od oświetlenia. W pomieszczeniach wydawały się niemal czarne, w świetle słońca - przejrzyste jak miód. Rzadko się uśmiechała, wyraz jej twarzy był zbyt surowy, jak na kobietę, u której wszystko gra. Jednak jej oczy od urodzenia sprawiały wrażenie smutnych, nieustraszonych i mądrych.

- To dziecko ma niesamowite oczy - powiedział Siergiej Jelagin, gdy po raz pierwszy ujrzał swoją urodzoną prawie tydzień wcześniej córeczkę. Obawiał się trochę niemowlaków, nie wiedział, jak się je trzyma. Dziewczynka wydała mu się taka krucha i bezradna, a jego własne ręce tak toporne i niezgrabne, że za pierwszym razem tylko na nią patrzył. Dopiero po miesiącu odważył się wziąć córkę na ręce. Na prośbę dziennikarza. Miało to wzruszyć - słynny pisarz i scenarzysta ze swoją rodziną: żoną - młodą przepiękną aktorką Wiktoria Rogową i maluteńką dziewczynką o ogromnych, niesamowitych oczach.

Na czarno-białym zdjęciu Wiktoria Rogowa prezentuje swój słynny tajemniczy uśmiech. Siergiej Jelagin ma wzrok skierowany gdzieś w dal i trzyma dziecko niewprawnie na wyciągniętych rękach, jakby chciał je jak najdalej od siebie odsunąć. Malutka Nika spogląda prosto w obiektyw.

Później na widok zdjęcia w gazecie wiele osób mówiło: „Tak ogromnych i smutnych oczu nie ma żadne dziecko”.

Jako że ojciec nie miał wprawy i dziecku było niewygodnie, Nika zaczęła płakać.

- Gotowe? - zapytał pisarz i scenarzysta. - Mogę ją położyć?

Oddał dziecko Wiktorii, która odłożyła je do łóżeczka. Nika zaczęła jeszcze bardziej płakać, Wiktoria powiedziała: „Cii!”, a potem wszyscy udali się do kuchni, żeby napić się herbaty i wina, po czym do białego rana prowadzili rozmowy o filmie i poezji.

Gdy dziewczynka za głośno płakała, Siergiej zrywał się z miejsca, chwycił za głowę i krzychał:

- Zróbże coś, ucisz ją. Tu się nie da pracować!

- A co ja mogę?! Co ja mogę?! Też mi uszy pękają! - odkrzykiwała w odpowiedzi Wiktoria, zatrzasukiwała z impetem drzwi lodówki, hałaśliwie mieszała grudkujące się mleko w proszku, szła z butelką do pokoju Niki i wtykała jej do ust gumowy smoczek. Nika łapczywie wysysała sztuczne mleko i zasypiała.

Był to rok 1961. Jelagin był żywym symbolem owego krótkiego i osobliwego okresu określanego mianem odwilży. Każdy tomik jego wierszy okazywał się sensacją, a filmy według jego scenariuszy stawały się sukcesem. Miał wszelkie przywary geniusza: trudny charakter, roztargnienie, nieobliczalność, okresy głębokiej depresji, kryzysy twórcze, przelotne romanse, nocne popijawy w słynnych moskiewskich kuchniach.

Gdy ktoś wspominał o Siergieju Jelaginie, to od razu przychodził na myśl piękny, tajemniczy zwrot: „tragedia artysty”. Jelagin, tragicznym zbiegiem okoliczności, poślubił ładną i utalentowaną aktorkę Wiktorię Rogową, która - ma się rozumieć - do pięt mu nie dorastała. Co oznacza, że była po prostu zbyt prymitywna.

Jelagina drukowały najpopularniejsze gazety. Również to było na swój sposób tragiczne, ponieważ prawdziwy geniusz bywa zwykle prześladowany i nie znajduje uznania.

Dusza artysty zaczęła się błąkać, a wraz z nią spragnione doznań zmysłowych ciało. Nie pozostawiało to zbyt wiele czasu i sił na twórczość. Gdy przygoda się rozpoczynała, stawała na przeszkodzie pracy, gdy się kończyła, praca stawała się podwójnie ciężka. Prymitywna Wiktoria zupełnie nie

rozumiała i robiła mu sceny zazdrości. Któż w takich warunkach mógłby być twórczy?

Na sam widok jej lalkowatej twarzy i na dźwięk wysokiego, trochę łamiącego się głosu, Jelagin tracił koncentrację.

Wiktorija dosyć często udawała się na plan. Wtedy Siergiej zostawał sam i był taki głodny, że nie mógł napisać ani linijki. Więc zapraszał jakąś młodą, ładną wielbicielek, żeby coś mu ugotowała. Kiedy się nasycił, robił się senny i kapryśna wena gdzieś przepadała.

Narodziny dziecka dla obojga okazały się irytującym nieporozumieniem. Nika nikomu nie była w smak. Wiktorija musiała zrezygnować ze zdjęć, zbyt późno dowiedziała się, że jest w ciąży. Główna rola przypadła komu innemu. Siergiej zajęty był dramatem swojej poszukującej duszy. Dziecko? Po co? Dlaczego?

Oczywiście, byli i dziadkowie, i babcie. Jednak wciąż młodzi i dynamiczni. Nie zamierzali iść na emeryturę i zajmować się małą Niką. Poza tym stosunki rodzinne były zagmatwane. Od lat nikt tam z nikim nie rozmawiał, wszyscy obrzucali się wzajemnie oskarżeniami.

Roczna Nika trafiła do żłobka, później do przedszkola. Całe lato spędzała zawsze w jego wakacyjnej filii.

- Wszyscy obracają się na prawy bok. Ręce pod policzek!

Nika Jelagina potrafiła spać tylko na brzuchu.

- Jelagina! Połóż się na prawym zboku!

- Na boku, nie na zboku... - mruzczała Nika do poduszki.

- Cicho, smarkata! Po prostu kładź się, jak mówię!

Nikita naciągała kołdrę na głowę. Zrywano ją z niej i musiała iść do kąta. Żeby się nauczyć, jak się rozmawia z dorosłymi. Mała przemądrzała! Tylko się gapi tymi wielkimi oczami. Skaranie boskie z tym dzieckiem!

- W dwuszeregu zbiórka! Nie ociągać się!

Jelagina nie potrafiła chodzić parami. Zawsze wyrwała się przed szereg lub marudziła gdzieś z tyłu. Nie chciała trzymać spoconej rączki innego dziecka.

- Jelagina, ustaw się w szeregu. Czy mam wysłać ci specjalne zaproszenie?

Nie potrzebowała specjalnego zaproszenia. Chciała tylko jednego: Żeby nikt na nią nie krzyczał i zostawił ją w spokoju.

- Wszyscy śpiewają! Razem... trzy, cztery! Jelagina, dlaczego nie śpiewasz z innymi?

Nie umiała śpiewać w chórze. Po prostu nie umiała.

Pewnego dnia wymknęła się ukradkiem przez dziurę w płocie. Zdawało jej się, że gdzieś tam z tyłu, na polu jęczmienia widzi jasnowłosą głowę mamy. Biegła boso po wilgotnym ściernisku, przedzierała się przez wysokie źdźbła jak przez dżunglę. Tak, oczywiście, to mama przyjechała, żeby zabrać ją do Moskwy.

- Co ty tu robisz, mała? - zapytała obca blondynka zdziwiona widokiem czteroletniej dziewczynki.

Wiktoria kręciła właśnie zdjęcia do filmu znanego reżysera, którego do dzisiaj chętnie puszcza się w telewizji. Dramat miłosny młodych geologów.

Zdjęcia kręcono na Uralu, więc, co zrozumiałe, odtwórczyni głównej roli, Rogowa, nie miała możliwości odwiedzania córki w przedszkolu w Moskwie.

Gdy Nika jako siedmiolatka poszła do szkoły, była wystarczająco samodzielna, by już nie przeszkadzać rodzicom i nie zwracać na siebie uwagi bardziej, niż to konieczne. Potrafiła sama zrobić zakupy i ugotować proste potrawy - pierogi lub makaron. Później, przez resztę życia będzie odczuwała awersję do potraw męczyńskich.

Gdy rodzice akurat nie byli skłóceni, każdego wieczora zbierali się goście i siedzieli w kuchni do białego rana. Nikt nie wysyłał Niki do łóżka. Siedziała w kącie i słuchała dorosłych. Tatuś czytał swoje wiersze. Potem w zadymionej kuchni rozlegał się szum: „Genialne!”. Grano na gitarze, śpiewano. Nika zasypiała na siedząco, co najczęściej goście zauważali wcześniej niż rodzice. Obcy ludzie zanosili ją do łóżka, kładli, głaskali po głowie.

Gdy tatuś zapadał na niemoc twórczą, całymi dniami polegiwał na kanapie w kalesonach i kapciach, a obok niego stała popielniczka pełna petów. W takich chwilach lepiej było się do niego nie odzywać. Natychmiast wrzeszczał i człowiek czuł się winny jego niemocy twórczej. W kuchni zbierały się baterie pustych butelek.

Okresy domowego spokoju stawały się coraz krótsze, kłótnie trwały coraz dłużej, czasami tydzień, czasami miesiąc. W takich wypadkach rodzice miewali ciche dni i nie zapraszali gości.

I tak minęły szczęśliwe lata sześćdziesiąte i nastały nowe czasy, do których nie pasowały już stare symbole. Siergiej Jelagin coraz częściej zauważał rysy na swojej sławie. Popadł w zapomnienie. Z jednego kryzysu twórczego płynnie przechodził w drugi. Nie był w stanie napisać ani linijki, a winę za ten stan ponosili wszyscy i wszystko: żona, córka, epoka, deszcz i słońce, zima i lato.

Wiktorija Rogowa dostawała coraz mniej ról. Tymczasem pojawił się popyt na inny rodzaj kobiety.

W zimną, śnieżną noc, w styczniu 1975 roku Nikę obudziło głośnie trzaskanie drzwiami. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Rodzice znów się pokłócili i któreś z nich wyszło z domu. Nika przystawiła krzesło do okna, żeby zobaczyć, kto tym razem - mama czy tata. Z trzeciego piętra wyraźnie widziała, jak mama w rozpiętym płaszczu, bez czapki na głowie wychodzi z domu i wsiada do białego moskwicza jej nowego przyjaciela, wujka Wołodii Bołdina. Moskwicz odjechał. Nika wróciła do łóżka. Właściwie przyzwyczaiła się już do kłótni rodziców, ale i tak chciało jej się płakać. W końcu zasnęła z twarzą przytuloną do mokrej od łez poduszki. We śnie dobiegł ją dziwny hałas.

O siódmej zadzwonił budzik. Nika otworzyła oczy, musiała wstawać do szkoły. Na paluszkach, żeby nie obudzić taty, poszła do łazienki, umyła się, wyszorowała zęby. Drzwi do pokoju rodziców były uchylone. W środku paliło się światło, lampka na biurku. „Czyżby tatuś pracował?” - pomyślała Nika i zajrzała do środka.

Na podłodze leżał przewrócony taboret i białe odłamki szkła z górnej lampy. Wysoko pod sufitem Nika ujrzała gołe nogi, muskularne i owłosione. Czarne, satynowe bokserki, białą koszulę i wielką niebieską kulę rozmiarów głowy z okrągłymi oczami. Oczy spoglądały na Nikę. Nabrzmiała twarz, wyciągnięty język.

Nika przez minutę stała jak sparaliżowana. I dopiero gdy spostrzegła znajome jasnobrażowe znamię na dłoni mężczyzny, zaczęła krzyczeć.

Przez jakiś czas samobójstwo Siergieja Jelagina było popularnym tematem. W domu literatów i w domu filmowców odbyły się okolicznościowe uroczystości.

Po przeczesaniu archiwów okazało się, że gotowych wierszy uzbierało się zaledwie na jeden tomik. Wszystkie trzy ukończone scenariusze już dawno

wykorzystano. Poza tym nic. Kilka notatek, rozpoczęte czterowiersze, plany nienapisanych scenariuszy.

Naturalnie mówiło się, że to wina Wiktorii. Był geniuszem, a ona tylko ładną, banalną kołtunką. Nie rozumiała go. Winne były też czasy. Stagnacja, w której geniusz się dusił.

Podczas pogrzebu przyjaciel mamy, Wołodia Bołdin, mocno przytrzymał Nikę za ramiona.

Jeszcze długi czas potem Nikę prześladował w snach obraz nóg wysoko pod sufitem, twarz wyglądająca jak jeden wielki, spuchnięty siniak z wybałuszonymi martwymi oczami. Wspomnienie ojca istniało niezależnie od tego straszliwego obrazu. Ojciec spoglądał z licznych fotografii, oprawionych i powieszonych na ścianie.

Czternaście dni po śmierci Jelagina wypadał dzień jego urodzin. Mieszkanie pękało w szwach. W kuchni siedziała babcia Serafima, matka taty, surowa, młodzieńcza, z twardą, mądrą twarzą. Nika rzadko ją widywała i trochę się jej bała. Nie odważyła się nazwać ją babcią, ale podobnie jak mama zwracała się do niej zawsze „Serafimo Pietrowna”.

Po śmierci Jelagina chodziły słuchy, że jego matka skomentowała wiadomość słowami:

- To całkiem w jego stylu. Można się tego było spodziewać.

- Gdzie jest cedzak? Wyciągnij jeszcze jeden słoik majonezu - mówiła do Niki, która pomagała jej w kuchni. - Gdzie trzymacie otwieracz do puszek? No, wystarczy. Zanieś miskę na stół. Ostrożnie.

Mama przechadzała się pośród gości z papierosem w ustach, jakby sama była gościem i nie mogła się połapać w obcym domu. Chciwie spijała kondolencje, podstawiała dłonie do pocałunków, co jakiś czas zaszlochała, a potem znienaćka wybuchała spazmatycznym śmiechem. Śmiech ten płynnie przechodził w łzy i histerię.

Około północy, kiedy zostali już tylko najbliżsi krewni i przyjaciele, a ktoś znów zaczął przebąkiwać o „tragedii artysty”, rozległ się nagle wysoki, płaczliwy głos mamy:

- Tragedia? Niby jaka? Nikogo nie kochał poza sobą. Częściej chodził na baby niż pisał. Było mu kompletnie obojętne, co się stanie z jego dzieckiem, kiedy to zobaczy. Teraz mała krzyczy w nocy przez sen. Będzie miała uraz na całe życie. Zrujnował nam życie - jej i mnie...

Po twarzy mamy płynęły łzy. Rozmazana, jaskrawoczerwona szminka wyglądała jak krew.

Serafima Pietrowna bez słowa wstała, poszła do przedpokoju, założyła futro i trzasnąwszy drzwiami, wyszła z mieszkania.

- I to ma być matka?! - krzyczała za nią Wiktorcia. - To ma być matka?!

- Przestań, Wiktorio - wujek Wołodia Bołdin chciał ją objąć, ale mu się wyrwała.

- Zostaw mnie w spokoju! Wiem, wszyscy myślicie, że to moja wina. Wiadomo, byłam dla niego za prymitywna, nie dorosłam do jego genialności. Chciałam normalnej rodziny, zdrowego dziecka.

- No cóż. Z pani też żaden anioł, Wiktorio Nikołajewna - odezwała się władczy basem ostatnia z przyjaciółek taty, ciocia Natasza.

- Jakim prawem ta kobieta jest tutaj?! - ryknęła mama. - Niech się wynosi! I biada jej, jeśli kiedyś choć raz przestąpi próg tego domu!

- Skoro tak, to i Władimir Leonidowicz powinien stąd wyjść - odparła Natasza z zimną krwią. - Mówi pani, że dziecko było samo. A gdzie pani była, Wiktorio Nikołajewna?

- To podłość - skomentował wysoki męski głos.

- Wiem, że wszyscy czujecie do mnie wstręt! Ale posiedźcie tu chwileczkę, trochę sobie popijecie, pogruchacie o tragedii artysty, a potem wróćcie do swoich mężów i żon, do swych dzieci i własnych spraw. A ja? Kto mnie potrzebuje? Trzydziestopięcioletnią wdowę. Biedną wdowę z dzieckiem! Z czego ja będę żyła? Od trzech lat nie dostałam żadnej roli, w teatrze też mnie nie chcą. Jestem aktorką! Wszyscy o tym zapominają, ale jestem, nawiasem mówiąc, nawet dość utalentowana. I co ja mam teraz robić? Nie zostawił mi ani kopiejki, rozumiecie?! Ani trochę! Ten geniusz... Niech go diabli!

- Ohyda! - warknęła ciocia Natasza. - Tak kalać pamięć o nim!

- Jak pani śmie? Wynocha! Wynocha mi stąd! - Krzyki mamy przerodziły się w ostre skrzeczenie. Huk przewracającego się stołka, szybkie kroki w przedpokoju, trzaśnięcie drzwi.

- Wiktorio, uspokój się, proszę cię!

- Zostaw mnie w spokoju! Nienawidzę go! Dlaczego nam to zrobił? Za co? Nika, dziecko, chodź do mnie! Nika! Gdzie jesteś, dziecko?

Nika uciekła i ukryła się w garderobie, zamknęła oczy i zatkała sobie uszy, jednak krzyki mamy i tak docierały do jej mózgu, kłując jak igły.

- Poszukajcie jej! Proszę was! Gdzie jest moje dziecko?

Mocne ramiona Wołodii Bołdina wyciągnęły Nikę z szafy.

- Spokojnie, spokojnie, moje dziecko, idź do mamy, nie jest dziś w sosie. Zlituj się. Okaż cierpliwość. Przejdzie jej.

Mama przycisnęła głowę Niki do piersi, gwałtownie i boleśnie.

- Moja dziewczynka, córunia, moja ty biedna, jedyna. Nikt nas już nie potrzebuje. Jesteśmy samiuteńkie jak palec.

Wzięła głowę Niki w drżące ręce i całowała raz po raz jej czoło i oczy, brudząc ją przy tym szminką i dmuchając jej w twarz alkoholowymi wyziewami.

- Wiktorio, puść ją już. Dziecko musi iść spać. - Wujek Wołodia Bołdin przerwał pełne zakłopotania milczenie.

- Wybacz jej, mała - mówił potem, siedząc na skraju łóżka i głaszcząc ją po włosach. - Przeżywa załamanie nerwowe. Wiem, że się jej wstydzisz i brzydzisz. Nie ma nic gorszego, niż wstydzić się własnej matki. Ale to minie. Zapomnisz i wybaczysz jej, a życie znów potoczy się swoim torem.

- Wybaczyć... tak - mruknęła Nika. - Ale zapomnieć na pewno nie potrafię.

- Zastanów się, jak się teraz musi czuć. To w sumie dobry człowiek i bardzo cię kocha. Wierzysz mi?

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo ona gra. Cały czas gra.

- Nie oceniaj jej tak surowo, Niko. To taki twój dziecięcy radykalizm. Jest twoją matką. Jedyną, jaką masz i kiedykolwiek będziesz miała. To w sumie dobry człowiek.

Rozdział 11

„ Mój Grisza to w sumie dobry człowiek” - pomyślała Nika, spoglądając nieruchomym wzrokiem przez okno.

W samolocie zapaliło się światło. Niebo powoli się rozjaśniało. Zina spała. Z otwartymi ustami, jak dziecko. Przez sen jej twarz wydawała się gładsza, policzki się zaróżowiły. Znow wyglądała jak nastolatka, jakby tych ośmiu lat, które tak straszliwie zmieniły jej twarz, nigdy nie było.

Potrafiła zasnąć na zawołanie, w każdych warunkach, mimo hałasu, w najbardziej niewygodnych pozycjach. I równie nagle się obudzić. Otwierała euforycznie niebieskie oczy i nie myjąc się, wychodziła lub sięgała po ołówek.

Nigdy nie próbowała wystawiać ani sprzedawać swoich obrazów w galerii. Przywykła odstępować małe arcydzieła za bezcen. Na prośbę dawała też swoje obrazy w podarunku. Gdy obraz został skończony, traciła zainteresowanie nim. Raz Zina na oczach Niki rozłożyła na stole piękną akwarelę, przedstawiającą martwą naturę, żeby wyczyścić na niej sztukfiszka.

- Zwariowałaś! - ryknęła Nika, wyrwała jej akwarelę i pieczołowicie oczyściła ją z resztek ryby.

- A co to jest? - zdziwiła się Zina. - Kiedy ja to namalowałam?

- Dwa dni temu. Zajęło ci to prawie dwa dni. I dobrze ci wyszło. Popatrz, ta cytryna na talerzu wygląda jak prawdziwa, a talerzyk z...

- Przestań gadać głupstwa. Nie mogłam poświęcić dwóch dni na takie badziewie - roześmiała się wesoło Zina. - Słuchaj, gdzie ta ryba? Piwo mi zwietrzeje. Daj przynajmniej jakąś gazetę.

Gdyby oprócz talentu miała jeszcze odrobinę rozsądku, zapału i ambicji, stałaby się renomowaną malarką. Ale „gdyby” nie ma w życiu racji bytu i Zina Rieznikowa stała się dokładnie tym, kim chciała się stać.

Nika i Zina przyjaźniły się od pierwszej klasy. Ale któregoś dnia obie poczuły, że nie znajdują już wspólnego języka. Nice przykro było patrzeć, jak przyjaciółka ze szkolnej ławy wypala się w płomieniach nocnego życia oraz topi w portwajnie i wódce nie tylko swój talent, ale również młodość, zdrowie i urodę. Wkrótce nadarzyła się formalna okazja, by zerwać kontakty.

Zina poprosiła Nikę, by ta pożyczyła jej trzy tysiące rubli. Nika doskonale wiedziała, że nie odzyska ich z powrotem, a mimo to dała. Wiedziała, że Zinie będzie z tego powodu wstyd i więcej się nie pokaże. Zina też to przeczuwała, mimo to poprosiła o pieniądze. Mogła się zadowolić skromniejszą sumą, jak to bywało już w przeszłości. Nika kupowała po prostu za dwieście, trzysta rubli obraz od Ziny, widząc, że przyjaciółce gorzej się powodzi, na przykład nie ma butów na zimę albo jej lodówka świeci pustkami. Jednak zimowe kozaki pozostawały niezakupione, a lodówka nadal pusta.

Dając Zinie trzy tysiące, Nika wiedziała, że wykreśla przyjaciółkę ze swojego życia. I tak się stało. Zina mieszkała na skraju miasta, bez telefonu - ich kontakty zawsze były jednostronne. Tyle, że teraz Zina przestała dzwonić. Nika mogła się o nią dowiadywać przez rodziców, ale nie robiła tego ze strachu przed głupimi, pośpieszными usprawiedliwieniami, dziecinnymi kręctwami i nieuchronnym obustronnym napięciem.

- Nigdy nie pożyczaj przyjacielowi pieniędzy, jeśli nie masz pewności, że odda - uczyła Nikę jej znająca życie babka. - Inaczej stracisz nie tylko pieniądze, ale i przyjaciela. Darowałabyś mu ten dług, ale on nigdy nie spojrzalby ci w oczy. Nikt nie wybaczy komuś tego, że jest jego dłużnikiem.

Jakiś głos oznajmił przez megafon, że samolot przystępuje do lądowania i Nika drgnęła gwałtownie, jakby obudziła się z głębokiej narkozy.

Ucieczka z bankietu, przylot do Moskwy wcześniej niż się planowało, wszystko to było jak głęboka narkoza. Nikita zginął i Nika po prostu nie potrafiła żyć dalej tak, jakby nic się nie stało.

Nika ani przez moment nie wierzyła, że jej mąż może mieć cokolwiek wspólnego ze śmiercią Nikity. Nie miała zamiaru czegokolwiek wyjaśniać, szukać. Chciała tylko trochę pobyc sama. W Moskwie, w pustym mieszkaniu, schowana przed oczami i uszami innych ludzi, będzie mogła wreszcie wypłakać swój ból.

Odwróciła się. Z ciemności wyłonił się jakiś straszliwie wychudzony mężczyzna około pięćdziesiątki. Całkiem łysy. W takim wieku być może był to efekt przebytej chemioterapii. „Rak - pomyślała machinalnie Nika. - Pewnie już długo nie pociągnie”. Łysy odwrócił wzrok. Jego ruchy zdradzały nerwowość, jakby się gdzieś spieszył, nawet tu, w samolocie. Nagle odniosła wrażenie, że już gdzieś widziała ten profil.

Iwan Pawłowicz Jegorow zamknął oczy i oparł się o siedzenie. Musiał koniecznie odprężyć się choćby na kilka minut, żeby całkiem nie opaść z sił.

Przed odlotem umył się w brudnej toalecie na lotnisku. Zasmarkany bachor przypatrywał się drwiąco, jak starszy pan ściera sobie szminkę z ust. Dobrze, że tym razem wystarczyła szminka i że nie musiał zakładać cuchnącego stroju włóczęgi. Ale zapach to ważna rzecz. Kloszard nie może pachnieć mydłem.

Gdzie ja to czytałem? Ach tak, oczywiście - u naszego wspólnego znajomego, Nikity Rakitina, to jest wyśmienitego pisarza - Wiktora Godunowa. W jednej z powieści bohaterka rozpoznaje maskaradę właśnie po zapachu. A pani, Weroniko Siergiejewna, też nie w ciemną bita. Dobrze, że odkupiłem śmierdzącą kurtkę od bezdomnego za butelkę wódki. A trik z przywiązаныmi nogami też pani zauważyła. W przyszłości muszę być ostrożniejszy.

* * *

Noc w Moskwie była jasna, ciepła i zdumiewająco spokojna. Dyżurny rejonowego komisariatu milicji mógł policzyć noce takie jak ta na palcach jednej ręki. Rejon znajdował się w Wychinie, jednej z najbrzydszych części Moskwy. Robotnicza dzielnica, czteropiętrowe bloki z wielkiej płyty.

Mieszkańcy byli biedni, pili, stale dochodziło tu do awantur, rozrób, bijatyk, draśnięć nożem i drobnych kradzieży.

W bogatszych dzielnicach Moskwy dyżurni też rzadko miewali spokój, ale przy bankach, kasynach, restauracjach i otwartych przez całą dobę centrach handlowych były to wypadki całkiem innego kalibru: zabójstwo bankiera, showmana z telewizji, posła do Dumy. O tym można było po- opowiadać kolegom przy piwie.

Za to tutaj, na robotniczych przedmieściach nigdy nie działo się nic interesującego. Wszystko było mizerne, brudne i zwyczajne. Jeden obwieś z drugim wzięli się za łby, wytarzali we własnym gównie - i weź tu człowieku dochodź, kto kogo i z jakiego powodu? Na pytanie: „dlaczego go pobiliś?”, patrzy jeden z drugim mętnym wzrokiem i głosem przerywanym pijacką czkawką bełkocze: „żeby się wreszcie zamknął, świnia jedna”. Piękny motyw.

Albo facet przyłożył raz swojej żonie żeliwną patelnię w głowę. W ich szczęśliwym pożyciu małżeńskim takie rzeczy zdarzały się już wcześniej, ale tym razem zrobiła się taka błada, upadła i miał wrażenie, że zabił swoją Piękną. Z żalu, smutku albo ze strachu przytwierdził sznurek do rury gazowej pod sufitem i powiesił się. Po kilku minutach Piękna doszła do siebie, ujrzała małżonka na stryczku i długo się nie zastanawiając, wychyliła duszkiem całą butelkę esencji octowej. I tak oto mamy Romea i Julię w Wychi- nie.

Ot, pospolite wykroczenia. Nudne, brudne i żalosne. Nie ma kogo żałować, nikt się tym nie zainteresuje.

Ale ta majowa noc mijała spokojnie. Tylko jakaś stara babcia weszła na komisariat, rozsiadła się na ławeczce w poczekalni i nie chciała wyjść. Właściwie dyżurny powinien ją wyrzucić albo nawet wezwać pogotowie psychiatryczne. Babcia ewidentnie miała nie po kolei w głowie: grube rysy, kolorowe naszyjniki i bransolety, postrzępione na skraju spódnice ze starych obrusów, na głowie cała kolekcja tanich dziecięcych spinek - kwiatuszków i wstążeczek.

- Powinniście iść do domu, mateczko - powiedział po raz drugi porucznik.
- Nalegam, żeby naczelnik osobiście zajął się moją sprawą - powiedziała zdecydowanie staruszka i zamilkła, patrząc tępo przed siebie i krzyżując na podolku nabrzmiałe, szorstkie dłonie z luszczącym się czerwonym lakierem do paznokci.

- Jaki tam naczelnik - westchnął dyżurny. - Jest piąta rano. Idźcie do domu spać, mateczko.

- Nie, ja poczekam.

Raisa Michajłowna Kudijarowa, rocznik 1928, emerytka, zamieszkała w Moskwie, Sriednie-Zagorskij Pieriełok 40/65, zarejestrowana w rejonowej przychodni zdrowia psychicznego, stosowny wpis w dowodzie osobistym, oświadczyła, że dziesiątego maja bieżącego roku jej konkubent Antosik, rocznik 1962, wyszedł z domu i jak dotąd nie wrócił.

- A jak ten Antosik ma na nazwisko? - zapytał dyżurny, kiedy przed trzema godzinami otrzymał na biurko zgłoszenie o zaginięciu.

- A bo ja wiem? Od tego jesteście milicją, żeby sami ustalać nazwiska.

- Być może pani konkubent odszedł z osobistych powodów.

- Na pewno nie. Niby dokąd? A żadnych osobistych spraw nie ma, tylko naszą miłość - wyjaśniła cierpliwie starszka.

Nie, musiał jak najszybciej ją splawić. Ale dyżurny czuł, że nie może jej tak po prostu wyrzucić.

- Od jak dawna zna pani swojego - dyżurny odchrząknął i skrzywił usta - konkubenta?

- Od siedmiu dni.

- Zatem dopiero od siedmiu dni?

- Uważa pan, że to za krótko, by kogoś poznać? - stara zamrugła. - Mam wystarczająco bogate doświadczenie życiowe, a pan jest jeszcze zbyt młody, by móc oceniać takie rzeczy.

- Nawet nie próbuję - uspokoił ją dyżurny. - Gdzie i jak się państwo poznali?

- W aptece. Chciał kupić swoje lekarstwa, a z receptą było coś nie tak. Ale tłumaczył, że koniecznie ich potrzebuje. W każdym razie pomogłam mu je zdobyć, dziewczyna z apteki mnie zna. Był mi taki wdzięczny, taki wdzięczny... Wyszliśmy razem, a potem okazało się, że nie ma gdzie spać, biedaczyna.

- I zabrała go pani do siebie.

- Od razu go pokochałam. Od pierwszego wejrzenia. Nawet pan sobie nie wyobraża. Taka pełna doświadczenia namiętność, dojrzałe uczucie...

- Więc nie zna pani jego nazwiska, ale datę urodzenia tak?

- Od niego. Powiedział mi, że ma trzydzieści sześć lat.

- A pani siedemdziesiąt, zgadza się? I jest pani konkubentem?

- Dlaczego nie? Proszę na mnie popatrzeć! Czyja wyglądam na swój wiek? - Kudjarowa podniosła się z ławki, pokręciła głową w tę i w tę i kokietyjnie pogładziła sobie włosy. - Mam wciąż młodą duszę. I mój drogi Antosik to czuł. Miłości, jak mawiał pewien generał z opery Czajkowskiego, można się oddawać w każdym wieku.

- Świetnie - powiedział dyżurny. - A gdzie mieszka ukochany Antoś, widziała pani jego dokumenty?

- Proszę go tak nie nazywać. To bardzo intymne. Dla pana to po prostu Antoni. - Stara podparła brodę i zamknęła oczy. Miała na powiekach jaskrawy, turkusowy cień. - Mieszka u mnie, a jego dokumenty mnie nie interesują. Kocha mnie. I wypraszam sobie, by ktoś obciążał wzniosłe uczucie biurokratycznymi formalnościami. Dlaczego pan nie zapyta, jak wyglądał? Podejrzewam, że nie traktuje mnie pan poważnie i wcale nie ma zamiaru go szukać.

- Dobrze - westchnął dyżurny. - Więc jak wyglądał?

- Wysoki. Bardzo urodziwy. Szerokie ramiona, męska, szlachetna twarz. Oczy błękitne jak niebo. Włosy jak dojrzałe żyto. Miał na sobie spodnie i sweter, taki ze ściągaczem, a na tym czarną dżinsową kurtkę. Znajdźcie go, towarzyszu milicjancie, błagam was! - Kobieta tragicznie załamała ręce. - Czuję, że coś mu się stało. Jest taki niewinny, taki łatwowierny.

Noc minęła, a staruszka w dalszym ciągu siedziała na miejscu. Dyżurny prawie już o niej zapomniał, gdy nagle się odezwała, jakby myślała na głos.

- Strasznie tak umrzeć młodo. Szczególnie spłonąć żywcem. A może już nie żył, kiedy wybuchł pożar? Wie pan?

Dyżurny przestraszył się.

- Co?

- W naszym domu był pożar, w sąsiedniej klatce - wyjaśniła staruszka. - Zginął młody człowiek. Mieszkał u tej hipiski, malarki. Nazywa się Zina, taka mała ćpunka. Był w sumie całkiem spokojny, ale potem sfajczył jej całe mieszkanie. I sam siebie przy okazji, biedaczek.

- Kiedy pani konkubent zginął? Dziesiątego maja? - Senność natychmiast go opuściła.

- Właśnie, dziesiątego. Kilka godzin przed pożarem.

- Pani adres to Sriednie-Zagorskij Pierieułok 40, tak?

Ten dom był najgorszy ze wszystkich. Dawny hotel robotniczy, z grubsza odremontowany i przekształcony w dom z mieszkaniami komunalnymi. Żył tam półświatek. I właśnie tam dziesiątego maja był pożar. Zginęła w nim jedna osoba. Po przybyciu straży pożarnej zwłoki znajdowały się w strasznym stanie, ale z identyfikacją nie było żadnych problemów. W blaszanej puszcze na parapecie leżał dowód osobisty Nikity Juriewicza Rakitina, urodzonego w roku 1960. Kryminolodzy nie stwierdzili żadnych przesłanek, że było to zabójstwo. Nieszczęśliwy wypadek. Co prawda na skroni poszkodowanego znajdował się ślad po uderzeniu ciężkim przedmiotem, jednak biegły zapewniał, że nie była to robota osoby trzeciej. Przyczyną pożaru była rozlana nafta. W domu często nie było prądu i mieszkańcy trzymali w mieszkaniach lampy naftowe. Rakitin doznał porażenia prądem, które albo natychmiast doprowadziło do śmierci, albo do utraty przytomności - w takim wypadku śmierć nastąpiła na skutek uduszenia czadem. Upadając, huknął się o kant kamiennego parapetu.

- Posłuchaj, kochanieńki - staruszka podniosła głos. - Mój adres wpisałam w zgłoszeniu. Ale pan jeszcze nawet go nie przeczytał, co?

- Ależ tak, to proste...

- Nic tu nie jest proste, młody człowieku! Mój Antosik zginął tego samego dnia i o tej samej godzinie, o której wybuchł pożar. To znak. Pożar strawił mój skarb. - Kobieta wybuchła teatralnym szlochem.

„A może to twój Antosik zabił Rakitina - pomyślał melancholijnie dyżurny. - Cholera, morderstwo w rejonie! Tego nam tu jeszcze brakowało!”. Dyżurnego rozboleły zęby. Oczywiście to nie on będzie musiał rozpracować beznadziejny przypadek. Ale koledzy z wydziału zabójstw nigdy mu nie wybaczą, że nie udało mu się splawić szurniętej babci. A na domiar złego, nie była do końca szurnięta, była wystarczająco normalna, by uznać ją za poczytalną i zdolną do przesłuchania.

Rozdział 12

W sierpniu 1975, pół roku po samobójczej śmierci Siergieja Jelagina, wdowa po nim, Wiktoria Rogowa poślubiła kamerzystę Władimira Bołdina, z którym jeszcze za życia męża miała romans.

Nika zamarła na progu, widząc wujka Wołodię rozpartego wygodnie w ulubionym fotelu tatusia. Był wyższy od ojca i szerszy w ramionach, nie chodził po domu w satynowych bokserkach i rozciągniętej koszulce. Nosił świetnie dopasowane dżinsy i flanelową koszulę. Wszystko czyste i wyprasowane.

Sam sobie prał i prasował koszule, zanosił garnitury do czyszczenia, przyszywał metki do pościeli i oddawał ją do magła. Nie pił, palił mało i tylko w kuchni. Przychodził do domu z torbami pełnymi jedzenia, gotował obiady i zmywał.

Wcześniej w mieszkaniu Jelaginów panował wieczny bałagan, ciekło z wszystkich kranów, nie działały kontakty, kuchenne drzwi nie trzymały się na zawiasach. Teraz wszystko zaczęło działać, nic nie ciekło, nic się nie chwiało.

Wujek Wołodia wstawał wcześniej, żeby zrobić Nice śniadanie do szkoły. Czasami pojawiał się na krótko koło południa, żeby podgrzać jej obiad. Właściwie już od dawna sama umiała gotować, prać i sprzątać, ale wujek Wołodia nie miał własnych dzieci i chętnie się nią zajmował.

Mama rzadko bywała w domu; wychodziła, gdy Nika była jeszcze w szkole, a wracała późną nocą, kiedy już spała.

- Jak człowiek chce dostać rolę, to musi bywać - mawiała.

Tak więc co dnia bywała w Mosfilmie lub Studiu Gorkiego - włączyła się po korytarzach, przeglądała scenariusze, przesiadywała w garderobach. Wieczory spędzała w Domu Filmowca - wypijała kawę, odchyłała głowę i poprawiała włosy, skoro tylko pojawiał się ktoś znajomy, zaczepiała znanych reżyserów.

- Witaj, mój drogi, kopę lat cię nie widziałam. Świetnie wyglądasz. A jak tam plany? Nakręcimy coś razem?

Początkowo ludzie zatrzymywali się i przysiadali do niej. Otaczająca ją aura przeżytej tragedii zobowiązywała do współczucia. Jednak to szybko minęło i została tylko uprzejmość, a i ta wkrótce się skończyła. Starzy znajomi, szczególnie zaś reżyserzy, zaczęli jej unikać. Rzucali tylko okiem na jej piękną twarz, witali się w końcu już tylko skinieniem głowy, odpowiadali jej półsłówkami i niechętnie. Garderobiane i bufetowe krzywo na nią patrzyły. „Znowu przyszła”.

Obok filiżanki kawy coraz częściej pojawiał się kieliszek - najpierw wina, potem koniaku, a w końcu wódki. Warstwa makijażu na twarzy była coraz grubsza, sukienki stawały się coraz krótsze. Czasami śmiała się głośno do swoich wcale przecież niewesołych myśli. Wtedy wszyscy w bufecie milkli i spoglądali w jej stronę. Pewnego dnia po premierze przysiadł się do niej podstarzały reżyser, w którego najlepszych filmach swego czasu grywała.

- Wiktorio, czy mam cię odwiedzić do domu?

- A co, przeszkadzam tu komuś? - Rozejrzała się zarozumiale. - Czyżbym tu była źle widziana?

- Nie, Wiktorio, nie o to chodzi - powiedział cicho reżyser. - Ale wydaje mi się, że nie czujesz się najlepiej. Pojedziemy do domu, dobrze?

- Do domu? - zapytała głośno Wiktorcia. - Do ciebie? I tej twojej starej jędzy? Czy znowu jest na daczce, jak wtedy, przed dziesięcioma laty?

- Wiktorio, proszę cię, przestań! - Reżyser próbował ściągnąć ją z krzesła, ale obroniła się łokciem i to tak gwałtownie, że wszystko przy tym zrzuciła ze stołu - filiżankę z resztką kawy, pusty kieliszek. Pełna popielniczka wylądowała jej na kolanach.

- Posłuchaj, daj mi jakąś rólkę - powiedziała Wiktorcia, w zamyśleniu spoglądając na swoją usianą popiołem i petami białą spódniczkę. - Weź mnie choćby na statystkę. Bądź człowiekiem...

- Oczywiście, bez dwóch zdań. Ale teraz pojedziemy do domu. - Reżyser wytarł chusteczką spódniczkę i kolana.

Wyszła z nim i wsiadła do jego łady.

- Więc przyslesz mi scenariusz?

- Oczywiście, Wiktorio. Zadzwońię do ciebie.

- Kiedy?

- Jutro.

Zawiózł ja do domu, odprowadził do drzwi, ale odmówił jej wypowiedzianej poprzez pijackie łyż prośbie, by wszedł na herbatkę. Przekazał ją w ręce chudej, mrukliwej Niki, mówiąc z przelotnym uśmiechem:

- Ależ ty urosłaś. Kiedy cię widziałem ostatni raz, byłaś taka malutka i siedziałaś jeszcze w wózku. Masz już chyba ze dwanaście lat.

- Czternaście.

- Co? Ale ten czas leci! No to cześć, dziewczyny.

- Czekam na twój telefon i scenariusz - zawołała Wiktorcia, zanim zamknęły się za nim drzwi.

Nie zadzwonił. Ani następnego dnia, ani za tydzień. Wiktorcia zrywała się na każdy dźwięk telefonu, rzucała się do aparatu. Jednak zawsze na linii był ktoś inny.

- Co to za chlew! - wrzeszczała na Nikę. - Nie jestem twoją służącą! Chyba zapomniałaś, że twoja matka jest aktorką, a nie sprzątaczką!

Nika w milczeniu ustawiała krzesła, zamiatała podłogę i myła ogromne linoleum w kuchni.

- Odrobiłaś zadanie? Dlaczego ciągle jesteś taka ponura? Dlaczego włożyłaś taki brzydki sweter? Wyglądasz tak, że rzygać się chce.

Wujek Wołodia przebywał na planie filmowym w Azji. Nika czuła się kompletnie osamotniona. Chociaż mama nawet przed nim nie miała oporów, żeby na nią krzyknąć. I robiła to wszędzie. Na ulicy, w sklepie, kiedy były u kogoś z wizytą. Widzowie byli dla mamy wręcz zachętą.

- Popatrz tylko, jak ty łązisz! Jak facet. Wstydzę się koło ciebie iść - oznajmiała i zatrzymywała się nagle na samym środku zatłoczonej ulicy. - Czy możesz mi przynajmniej wyświadczyć przysługę i przestać machać rękami? Jesteś w końcu dziewczyną, a nie sierżantem! - Jej głos stawał się coraz donośniejszy i przechodnie zaczęli się odwracać.

- Popatrz tylko, jak się trzyma widelec! - mówiła do niej przy gościach. - Można by pomyśleć, że dorastała w oborze. A jak się krzywi! Twoja kwaśna

mina odbiera mi apetyt. Dlaczego nic nie mówisz? Odpowiedz z łaski swojej, kiedy matka do ciebie mówi!

- Twojej mamie zależy na tobie, chce dla ciebie jak najlepiej - tłumaczyli jej inni.

Wujek Wołodia nigdy nie odważył się wtrącić, wstawić za Niką, ponieważ wiedział, że takim sprzeciwem tylko dolałby oliwy do ognia. Współczuł jej, powtarzał przyjazne słowa, głaskał po głowie, tłumaczył, że to nie jej wina, że mama po prostu przeżywa trudny okres. Ale często wyjeżdżał i wtedy Nika zostawała z mamą sama, i za każdym razem było coraz gorzej.

- Nie mogę już patrzeć na ten kucyk! - krzyczała mama. - No, dalej, zrób coś z tym! - Ciągnęła ją gwałtownie za włosy i piętrzyła na głowie coś wyrażanego i, według Niki, straszliwie brzydkiego.

- Nie mogłabyś przynajmniej od czasu do czasu się uśmiechnąć? Żyć mi się odehciewa, kiedy widzę twoją minę. Gdybyś była normalnym, wesołym dzieckiem, twój ojciec by się powiesił!

Nice skamieniały mięśnie twarzy. Była przekonana, że już nigdy się nie uśmiechnie.

Mama krzyczała tak długo, aż Nika zaczynała płakać. Potem nagle uspokajała się i kompletnie ignorowała Nikę. Taki bojkot trwał trzy dni, a czasami nawet tydzień, i za każdym razem kończył burzliwym pojednaniem. Mama obejmowała Nikę i całowała, powtarzając:

- Moja dziewczynka, najlepsza, jedyna, życie ty moje, szczęście jedyne...

Nika miała wrażenie, że gdzieś w kącie ukryta jest kamera i suche oczy mamy chciwie zezują w stronę niewidzialnego obiektywu.

W 1976 roku znany włoski reżyser postanowił sfilmować *Wiśniowy sad* Czechowa. Rola Raniewskiej miała przypaść rosyjskiej aktorce. Wśród kandydatek znalazła się też Wiktoria Rogowa. Zaskoczyło to wszystkich, również ją samą.

- Zawsze wiedziałam, zawsze... - dyszała do słuchawki, obdzwaniając wszystkich znajomych z tą niesłychaną nowiną.

Natychmiast przestała pić. I jeść, bo do roli musiała w ciągu tygodnia schudnąć osiem kilo. Tanecznym krokiem przechadzała się po mieszkaniu, słowiczym głosikiem wyśpiewując zapomniane francuskie szansony i rosyjskie dumki, i ani razu nie nakrzyczała na Nikę.

Z powodzeniem przeszła zdjęciowe castingi; ostatnim etapem była próba roli. Została jeszcze tylko ostatnia konkurentka. Włoch zaprosił Wiktorię i jej męża do restauracji. Z dobrze poinformowanych źródeł wiedziała, że konkurentka nie została zaproszona.

Mama i wujek Wołodia przygotowawali się do wyjścia, a Nika szła na urodziny do przyjaciółki, Ziny Rieznikowej. Mama była tak podekscytowana, że nawet zapomniała zadać swoje sztandarowe pytanie: „Co zakładasz?”. Nie kazała jej się inaczej uczesać ani nie określiła mianem szarej myszy. Pocałowała ją na pożegnanie.

Był wczesny wrześnieowy wieczór, przejrzysty i ciepły. Nika ruszyła z ogromnym pluszowym misiem w torbie. Zina kończyła piętnaście lat, ale wciąż miała bzika na punkcie pluszaków. Nika trzymała misia na rękach jak dziecko i myślała, że teraz wszystko będzie dobrze. Mama dostanie rolę i minie jej ciężki okres. Na podwórku przed wejściem do domu Ziny minął ją mniej więcej szesnastoletni jasnowłosy dryblas. Niósł ogromny bukiet białych chryzantem, kwiatami na dół, i zamiatał nim jak miotłą.

- Kupiła sobie pani prezent? - zapytał i spojrzał na nią z idiotycznym uśmiechem.

Nika nic na to nie odrzekła, tylko wyniośle wzruszyła ramionami. Chłopiec wyrwał się do przodu i z galanterią otworzył jej drzwi.

- Bardzo proszę, *mademoiselle!*

Uklonił się i odchylił głowę. Długa blond czupryna opadła mu na czoło.

- Które piętro, *my lady?*

- Siódme.

- Zdumiewający zbieg okoliczności. Ja też

W windzie było lustro. Nika przyglądała włosy i z ukosa spojrzała na zaskakującego towarzysza. Jego twarzy prawie nie było widać spod burzy włosów.

„Nie znoszę takich dziecinnych dowcipnisiów - pomyślała Nika - ani długich włosów u chłopców”.

Podszedł z Niką do drzwi Ziny i zadzwonił.

- Zaraz zostaniemy sobie przedstawieni - oznajmił tajemniczo. - Będzie mi przyjemnie panią poznać.

Drzwi się otworzyły i na progu stanęła Zina, z loczkami na głowie, w mini i pomarańczowym golfie.

- No, no, przyszlście razem? - zapytała zdziwiona. - Kiedy się poznaliście?
- Jeszcze się nie poznaliśmy. Ale nie możemy się doczekać - powiedział chłopiec, wręczając Zinie bukiet kwiatów.

Nika pocałowała Zinę i dała jej pluszowego misia. Zina rzuciła kwiaty na komodę i rozpakowała misia.

- Dziękuję! Jest w dechę! Nazwę go Czunia.

- Właściwie to ja też mam dla ciebie prezent, o wiele lepszy niż Czunia - odezwał się z przechwałką w głosie chłopiec. I z kieszeni sztruksowej kurtki wyciągnął białe kartonowe pudełko.

- A niech mnie: Chanel numer 5! - Zina wydała z siebie gwizd. - Rakitin, skąd to masz?

- Wywierciłem matce dziurę w brzuchu. Ale, pani gospodyni, zapomniała nas pani sobie przedstawić.

- Nika pozwól, że ci przedstawię - to też Nika. - Zina zamrugała skonsternowana oczami, a potem roześmiała się i nie potrafiła już przestać. - Powiedz, no i co my teraz zrobimy? Weronika i Nikita, imiennicy.

Imiennik chwycił Nikę za rękę i cmoknął ją w nią pospiesznie

- Cieszę się, mogąc panią poznać, *senorita*. - Zdjął wymaginowany kapelusz, machnął ręką i zrzucił przy tym rzeźbę z komody.

- Rakitin, co jest grane, upiłeś się? - zapytała Zina, ciągle się śmiejąc.

- A nie przyszło ci do głowy, że jestem nieśmiały?

- Nigdy się tak nie zgrywałeś. Przecież robisz tu za ponurego i tajemniczego młodzieńca. Zapomniałeś już?

- Bywam różny. - Potrząsając głową, odrzucił włosy do tyłu i zmarszczył szerokie, ciemne brwi. - Ze mną nigdy nie jest nudno.

- Skąd go wytrzasnąłeś? - zapytała Nika Zinę, kiedy razem poszły do łazienki.

- Jego guwernantka jest zaprzyjaźniona z moją babcią. Znamy się od dziecka. Jest o rok starszy.

- Miał guwernantkę? - zapytała zdziwiona Nika.

- Ciągle ma. Wiesz, kim jest jego tatuś? Tym słynnym Rakitinem. Pianistą. Jak miałam sześć lat, to byłam w nim zakochana. Pierwsza niepohamowana namiętność. Zostawiłam dla niego czekoladę, a kiedy przyszedł z guwernantką, to z nadmiaru uczuć włożyłam pod stół. Ale szybko mi przeszło. Potem był Dimka Ponomariow.

- Tak. Przypominam sobie - uśmiechnęła się Nika. - Ta miłość trwała całe trzy miesiące, w pierwszej klasie.

Przy stole Nikita usiadł obok Niki. Już nie błaznował, milczał, wbił wzrok w talerz i z roztargnieniem grzebał widelcem w sałatce. Kiedy ich ramiona lub kolana przypadkowo się zetknęły, robił się czerwony i spuszczał głowę.

Niewielkie, dwupokojowe mieszkanie pełne było nastolatków, którzy niecierpliwie czekali, aż wreszcie zmyją się dorośli. Mogli wtedy przynieść słodkie wino i bułgarskie papierosy z toreb w przedpokoju, zgasić światło i włączyć muzykę. Jednak babcia, uzbrojona w książkę *Gry i zabawy pioniera*, nieprzerwanie zabawiała dzieci szaradami, zagadkami i wesołymi zawodami. Zawiesiła na żyrandolu jabłka, które trzeba było na wyścigi obgryzać, nie używając rąk. Potem musieli przeskakiwać pokój w poszewkach na kołdrę. Zasoby pionierskich płasów wydawały się niewyczerpane. Ale w końcu mama Ziny zlitowała się i zabrała babcię na telewizję do sąsiadów.

Nikita z ponurą miną poprosił Nikę do powolnego tańca. Przy zgaszonych światłach kołysali się przy muzyce Celentano, oboje milczący i sztywni jak drewniane lalki.

Wiele lat później Nikita próbował ubrać w słowa to, co wydarzyło się tamtego wieczora. Serce mu biło, ale to czyniło zawsze, sześćdziesiąt razy na minutę, jak w zegarku. Ale wówczas, na urodzinach Ziny, szalało - gdyby zmierzył puls, to okazałoby się, że napracowało się kilka lat na zapas.

Wciąż miał w pamięci, jak ciepły, szorstki głos włoskiego piosenkarza przeniknął przez jego splot słoneczny, i nagłą lodowatą pustkę, jaka go ogarnęła, kiedy kawałek dobiegł końca i Nika wysunęła się z jego ramion.

Przy kolejnej piosence poprosił ją do tańca kolega z klasy, a Nikita wyszedł na klatkę schodową, żeby zapalić i nie musieć patrzeć, jak tańczy z jurnym, czarnowłosym pozerem w pomarańczowych skarpetkach, który oczywiście już dawno miał na nią oko, a potem bezczelnie upierał się, żeby odprowadzić ją do domu. Poszli w trójkę, mokrym wieczornym bulwarem; pozer cały czas próbował ukradkiem chwycić Nikę za rękę, a Nikita cały czas coś paplał, próbując wedrzeć się między tych dwoje. Siąpił deszcz, Nice zsunęła się z szyi jedwabna chustka i Nikita do końca drogi trzymał w ręku mokry jedwab.

Nika pożegnała kolegów przed drzwiami. Pozer, długo się nie namyślając, poleciał na trolejbus. Nikita też udawał, że odchodzi, obszedł dom i usiadł na mokrej ławce przed drzwiami do budynku. Musiał zrobić głęboki wdech. Wiedział tylko jedno: jest po uszy zakochany w tej dziewczynie i nie będzie w stanie bez niej żyć. Sięgnął do kieszeni po papierosy. Razem z pudełkiem wysunęła się z niej jedwabna chustka. Przytulił twarz do zimnego, cienkiego materiału. Potem pobiegł do automatu na rogu i zadzwonił do Ziny. Zina nie bardzo się zdziwiła, kiedy zapytał ją o numer mieszkania jej przyjaciółki Niki.

- Ale od razu ci powiem, Rakitin. Nic z tego nie będzie. Jej się jeszcze żaden nie podobał. Ciągle się jacyś za nią uganiają, a ona...

- Dzięki Zina, udanej końcówki urodzin!

Krótko po tym zadzwonił do drzwi. Nie wiedział, co robi. Miał tylko jedno pragnienie: zobaczyć ją, już, natychmiast, chociaż dopiero co się rozstali. Jakby chciał się upewnić, że Nika nie przyśniła mu się tylko, że wszedłszy na klatkę schodową, nie zaginęła na wieki.

Serce tak mu waliło, że zupełnie nie zarejestrował krzyków za drzwiami ani nie zorientował się, że z jedwabną chustką i swoim szczeniackim zakochaniem może wydać się śmieszny.

W domu czekano na karetkę. Włoski reżyser tylko po to zaprosił Wiktorię z mężem do restauracji, żeby przekazać jej niepomysłną wieść, że Ra- niewską zagra ta druga.

W drodze powrotnej, w taksówce Wiktoria nie wydała z siebie ani słowa, w domu wysypała, jakby wcale nie było przy niej męża, garść pigułek na rękę, włożyła je do ust i popiła solidnym łykiem herbaty, prosto z dzbanka.

- Nie chcę żyć! - wrzeszczała. - Zostaw mnie w spokoju, ty gnojku!

Wujek Wołodia próbował jej podać lekkie środki prowokujące wymioty. Ale broniła się, prawie się pobili, różowa substancja rozbryzgnęła się na wszystkie strony. Mimo takiej ilości tabletek, Wiktoria wiała się jak piskorz, klnąc przy tym jak szewc. I właśnie w takim stanie zastała ją Nika.

Dziesięć minut później ktoś zadzwonił do drzwi. Jednak zamiast spodziewanego lekarza pogotowia, stał w nich wysoki, jasnowłosy Nikita Rakitin z chustką Niki w rękę.

- Proszę cię, idź stąd - powiedziała Nika.

- Czy to pogotowie, kochanie? - ryknął ktoś z pokoju.

- Nie, to do mnie - odparła Nika, spojrzała na Nikitę i powtórzyła: - Proszę, idź już, wydarzyło się tu nieszczęście.

- Nika, przynieś mi szybko miskę!

Nika pobiegła do łazienki, a potem z miską do pokoju.

- Mamusiu, proszę cię - usłyszał Nikę.

- Córeczko, kochanie, wybacz mi, nie potrafię już dłużej, nie potrafię dalej żyć, tylko cię unieszczęśliwiam, ciągle na ciebie wrzeszczę, wybacz mi, jestem straszną matką!

- Nika, wyjdź, nie patrz na nią!

Nika wyszła z pokoju i szybko zamknęła za sobą drzwi. A potem wybuchła płaczem.

- Jeszcze tu jesteś? - zapytała cicho. - Proszę cię, idź stąd!

Nikita tylko pokręcił głową i zdjął buty.

- Zostaw mnie, ty idioto! Nie chcę już żyć! Zabieraj miskę! Po co dzwoniłeś na pogotowie? Żeby mnie zabrali do wariatkowa? I tak nie będę żyć! - skrzeczał kobiecy głos.

Nikita natychmiast pojął, co się stało, spojrzał na płynące po twarzy Niki łzy i usłyszał, jak jej matka szaleje.

- Nie pójdę, dopóki nie przestaniesz płakać. Co wzięła?

- Relanium. Około dwudziestu tabletek - odparła machinalnie Nika.

- Nie bój się, nie umrze. Musi dostać tylko coś na wymioty, kwaśny węglan sodowy.

- Skąd to wiesz?

- Nasza sąsiadka z naprzeciwka też czasem robi takie rzeczy. Moja babcia już dwa razy stawiała ją na nogi, bez lekarza, płukaniem żołądka. Pomagałem jej.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Pogotowie - starsza lekarka z walizeczką i młody sanitariusz pobiegli szybko i zwinnie do pokoju. Nika chciała pójść za nimi, ale Nikita ją przytrzymał.

- Lepiej tam nie wchodzić.

Już chciała oburzona zaprotestować, ale z pokoju dobiegł ich niesłychany stek przekleństw, który zaskoczył nawet Nikę.

- Chodź do kuchni. Musisz się napić herbaty. - Objął Nikę ramieniem, a ona, ku zaskoczeniu chłopca, przytuliła policzek do jego ręki.

Posadził ją na szerokiej kuchennej ławie, napełnił czajnik wodą i zapalił gaz. Wypalona zapalka wpadła w szparę między piecem i stołem. Schylił się, żeby ją podnieść i spostrzegł kilka białych tabletek. Sześć. Na kuchennym stole leżały dwa puste opakowania relanium. W każdym mieściło się najwyżej osiem pigulek.

- Mówisz, że ile wzięła?

- Około dwudziestu.

- Dziesięć. Najwyżej. Nie ma o czym mówić. - Podał jej puste opakowania i znalezione tabletki. - Policz. Dobra jesteś z rachunków?

Nika uśmiechnęła się blado. Z pokoju wciąż dobiegały krzyki.

- Czym się zajmuje twoja mama?

- Jest aktorką. Od kilku lat nie grała w żadnym filmie, a teraz miała dostać jakąś rolę. - I opowiedziała mu o włoskim reżyserze, ale urwała, kiedy wujek Wołodia i lekarze wyszli z pokoju.

- Czy jest pan pewien, że nie chce jej pan umieścić w szpitalu? - zapytała mruklawie lekarka.

- Całkowicie. Przecież powiedziała pani, że to nie zagraża jej życiu.

- Mimo to zabrałabym ją na tydzień. Mają państwo przecież dzieci - skinęła głową w stronę kuchni, gdzie Nika i Nikita cichutko siedzieli na ławie.

- Może już do tego nie dojdzie - powiedział niepewnie wujek Wołodia. - Może zobaczy, że tak nie można...

- Niczego nie zobaczy - pokręciła głową lekarka. - Wystarczająco dużo już się naoglądałam takich damulek. Histeria plus absolutny brak zahamowań. Takiej to najbardziej przydałyby się srogie baty.

Na słowo „baty” Nika, która dotąd przysłuchiwała się wszystkiemu ze spuszczoną głową, zerwała się z miejsca i głośno zawołała:

- Jak pani nie wstyd! W końcu jest pani lekarzem. Moja mama przeżyła tragedię. Przecież nic pani o niej nie wie.

Lekarka spojrzała na Nikę ze współczuciem i bez słowa wyszła z sanitariuszem z mieszkania, cicho zamykając za sobą drzwi. Wujek Wołodia usiadł przy stole i zapalił papierosa.

- Jak się czuje? - zapytała cicho Nika.

- Śpi. Dali jej coś na uspokojenie.

- Na uspokojenie? Przecież połknęła tyle relanium - zapytała wystraszona Nika.

- Właśnie, że nic nie połknęła. Tabletki były w jej kieszeni. Dziesięć sztuk. Co się stało z resztą, nie wiem. Ale lekarka powiedziała, że absolutnie niczego nie połknęła, poza wodą.

- Tu jest reszta. - Nikita pokazał tabletki, które wsypał do koniakówki. - Znalazłem je przy piecu.

- Czyli je zrzuciła - powiedział obojętnie wujek Wołodia.

- Ale przecież sam wujek widział. Mówił wujek, że widział - szeptała Nika.

- To, co widziałem, to przedstawienie cyrkowe - zaśmiał się gorzko Wołodia, zgasił papierosa i wyciągnął rękę do Nikity. - Poznajmy się, młody człowieku.

Rozdział 13

Złość i konsternacja rozwiały się bez śladu i Rusow odwołał swoje zarządzenia w związku z przedwczesnym wyjazdem Niki. Naprawdę, jakież by to miało sens? Zatrzymywać ją na lotnisku, przechwytywać, przywozić z powrotem? Czyżby mu odbiło?

To znaczy, odebrano ją, ma się rozumieć, z lotniska; kiedy wysiadła z samolotu, już na nią czekał samochód. Rusow wiedział, że bezpiecznie i wygodnie dotarła do swojego moskiewskiego mieszkania. Jednakże doniesiono mu również, że wraz z nią z samolotu wysiadła dziwaczna, niechlujna postać. Podjął już stosowne środki, żeby ustalić jej tożsamość.

Ci idioci byli kompletnymi nieudacznikami. Krótco przed inauguracją pozwolili, żeby ta kobieta wdarła się do gabinetu Niki, nikt z ochrony jej nie zatrzymał. Może to faktycznie była pacjentka? Nika mówiła przecież zawsze prawdę. To jej główna słabość. A do słabości Rusow już od dziecka miał niezłego nosa.

Potem Nika razem z tą pacjentką zwały - na spacerek, jak powiedziała. W każdym razie, bez wątplenia nie wyszła ze szpitala główną bramą, a jednocześnie obie bez śladu gdzieś przepadły. Również to przeoczyła ochrona. A zaporożec? Skąd się wziął? Gdzie był? I dlaczego zawiózł jego żonę na lotnisko? Jakim prawem ktoś ingerował w jego prywatne życie, zostawiając po sobie brudne ślady?

Ale najohydniejsze były drwiące spojrzenia niższych rangą, kiedy on, gubernator, wydawał dyspozycje dotyczące jego żony. W końcu była jedyną osobą na ziemi, której bezwzględnie ufał. Poza nią nie miał nikogo.

„Dobrze, muszę się uspokoić, opanować - postanowił Rusow. Jak dotąd, nic złego się nie stało. Nika robi ceregiele, a ja nie zdążyłem się jeszcze do czegoś takiego przyzwyczać. Wcześniej nic podobnego się nie zdarzało”.

Oczywiście, to nieładnie z jej strony, że tak po prostu zniknęła przed inauguracją. Ale z drugiej strony, to zrozumiałe. Po pierwsze - była wykończona, wyczerpana nerwowo, po drugie - wstrząśnięta śmiercią Rakitina. Jakkolwiek niechętnie to przyznawał, ale tak właśnie było.

Inna na jej miejscu wyplakałaby się w rękaw małżonkowi, a potem uspokoiła. Ale tego Nika nie potrafiła. Jeśli idzie o wyrażanie uczuć, była specyficzna. Osobom postronnym wydawała się chłodna i rozsądna. Miała opory, by choćby na chwilę zaabsorbować kogoś sobą, zadrećcać własnymi problemami.

Zawdzięczała to swojej świrniętej mamusce. Nika była idealną partnerką do wspólnego życia. Była przekonana, że nikt nie jest jej nic winien, i wdzięczna za najmniejsze oznaki troski i uwagi. Ale trzeba ją było dopiero rozgryźć. Rusowowi się to udało, znalazł się na ludziach.

Nikt, nawet Rakitin, nie przeczuwał, że trzeba było ją tylko pogłaskać po główce i od razu pękała ta lodowa skorupa. Już wtedy, gdy byli jeszcze młodzi, ta niezwykła kombinacja lodowatego opanowania na zewnątrz oraz czułego i namiętnego ognia wewnątrz doprowadzała go do szaleństwa, i nadal tak było.

Nika miała wszystko - siłę i słabość, czystą i niezaprzeczalną kobiecość i twardy męski intelekt. Kiedy po raz pierwszy zobaczył tę delikatną, szczupłą dziewczynę z dorosłymi oczami, wydała mu się nieosiągalna dla niego, prowincjonalnego niezdary. Od razu obudził się w nim pradawny instynkt łowcy.

Skończyła osiemnaście lat, on dwadzieścia dwa. W przytulnej jadalni Rakitinów, w której stale przebywało co najmniej tuzin gości, rzucił ukradkowe spojrzenia na długą, smukłą szyję, wyniośle zadartą brodę, wysokie, blade czoło i gładkie, zaczesane do tyłu i splecione w krótki gruby warkocz włosy w kolorze blond.

„Ta dziewczyna - przykazał sam sobie - będzie moją żoną”. Miał rację. Jednak nie stało się to od razu, ale po długich dziewięciu latach. Ale potrafił czekać i być uparty, gdy szło o osiągnięcie jakiegoś celu. A poza tym - nigdy się nie mylił. Nigdy.

Grisza Rusow wiedział, że syn słynnego pianisty kochał się w Nice Jela- ginie od szesnastego roku życia, słyszał nawet, że rzekomo mieli kościelny ślub, co miała podobno zaaranżować religijna babcia Nikity, i że nikt nie mógł sobie wyobrazić, iż tych dwoje mogłoby się rozstać. Jednak Rusow, milczący i nieco zakompleksiony facet z Syberii, który zupełnie przez przypadek trafił do gościnnej kuchni Rakitinów, od razu zobaczył ich osobno, dwa czule gołąbki, Nikę i Nikitę. Tak jasno i wyraźnie, że zmrużył oczy, gwałtownie przełknął ślinę i oblizal wargi. Przyzwyczajenie z dzieciństwa: przełykanie i oblizywanie ust. Jego stosunek do życia determinowała przemożna żądza kulinarnych uciech.

Przyszły gubernator zaczął się najpierw z zapalem zalecać do Ziny Rieznikowej. Była najlepszą przyjaciółką Niki i od czasu gwałtownego konfliktu z rodzicami mieszkała u niej.

Nika i Nikita szli powoli opustoszałym bulwarem Gogola i zostali w tyle. Zina, której zawsze gdzieś było pilno, wysforowała się do przodu. Wiatr szumiał jej w uszach i rozwiewał jej włosy, jaskrawożółte jak pióra pisklęcia, tak że wyglądała, jakby jej dziecięcą twarz otaczały złote promienie.

Zaraz pierwszego wieczoru dowiedział się, że Nika Jelagina od szesnastego roku życia mieszkała sama. Była sierotą. Miała piękne dwupokojowe mieszkanie w centrum Moskwy, była na drugim roku medycyny, nocami pracowała jako salowa w szpitalu, na intensywnej terapii. Sama musiała zarabiać na swoje utrzymanie.

Gdy Rusow zapytał o jej rodziców, na wesołej, rozgadanej buzi Ziny za- gościła pochmurna mina.

- Lepiej o tym nie mówmy, co? Nika prosiła mnie, żeby nie opowiadać o tym obcym.

- Tak, jasne - uśmiechnął się dobrodusznie Rusow. „Wciąż jestem przecież obcy. Ale już niedługo”. Jego mocne białe zęby błysnęły w ciemności. Przełknął ślinę i oblizal wargi, po czym objął Zinę.

- Skąd ta pewność?

- Zina, super facet ze mnie. Jeszcze się przekonacie.

Rusow potrząsnął głową, żeby przegonić niemiłe wspomnienia i zapalił papierosa. Siedział w swoim nowym gubernatorskim biurze, był jasny majowy poranek roku 1998. Przed nim na biurku leżały świeże gazety.

Kolorowymi markerami zaznaczono tytuły artykułów, na które chciał mu zwrócić uwagę sekretarz prasowy.

Naraz zdał sobie sprawę, że tępo wpatruje się w zdjęcie, które ukazało się w szmatławym, choć straszliwie popularnym moskiewskim dzienniku. Duże zdjęcie Niki przed budynkiem lotniska. Jednak nie ona go teraz zajmowała, lecz osoba znajdująca się obok niej. Była prawie o głowę niższa od Niki i chuda jak anorektyczna nastolatka. Na chudej, ptasiej szyi osadzona była rozczochrana, jasnowłosa głowa. Trzymała Nikę pod ramię i w uśmiechu odsłaniała niekompletne uzębienie.

Oparł się na miękkim skórzanym fotelu i przez kilka chwil siedział z zamkniętymi oczami - jego twarz była nieruchoma i martwa, jak woskowa maska. Jeden z telefonów na biurku zadzwonił przeraźliwie. Rusow drgnął gwałtownie, otworzył oczy, ale nie sięgnął po słuchawkę. Wiedział, że w sąsiednim pokoju telefon odbierze zaraz jego sekretarka.

- Natasha, nie ma mnie dla nikogo przez dwadzieścia minut - powiedział przez interkom.

- Dobrze, Grigoriju Pietrowiczu - odparł miły kobiecy głos. - Czy ma pan może ochotę na kawę?

- Później.

Wyłączył telefon, wstał gwałtownie i zaczął się przechadzać po pokoju; zapalił papierosa i natychmiast go zgasił. Ręce lekko mu się trzęsły.

* * *

Wiktoria lubiła, kiedy wokół niej szalały namiętności, gdy ktoś się o nią bał czy zamartwiał. Była prawdziwą, urodzoną aktorką i nadmiar jej scenicznej energii jak kipiąca woda wylewał się na jej najbliższych.

Po relanium przyszła kolej na pętlę zmajstrowaną z dwóch starych pończoch i przymocowaną do haka podtrzymującego lampę u sufitu. Po powrocie ze szkoły Nika zastała mamę ubraną w suknię wieczorową - stała na stołku ze sznurem na szyi i patrzyła na Nikę. Lampa nad nią kołysała się złowieszczo.

Nika, długo się nie namyślając, sięgnęła po nożyczki, które na szczęście leżały na maminej toalecie, złapała za krzesło i szybko odcięła stryczek.

Wiktoria, wciąż jeszcze tkwiąc na taborecie, zaniosła się dzikim płaczem.

- Dlaczego to zrobiłaś? Ze strachu, że będziesz mieć wyrzuty sumienia? Tylko dlatego to zrobiłaś. Wszystko robisz tylko dla siebie.

- Proszę cię, zejdź na dół - powiedziała Nika i wyszła z pokoju.

Potem poczuła się bardzo źle. Strzyżek i stółek przypomniały jej inny obraz, który nie był spektaklem ani farsą.

- Zupełnie, jakby chciała ze mnie zadrwić - powiedziała tego wieczora do Nikity, kiedy siedzieli razem na ławce przed domem. - Wciąż dokładnie pamiętam śmierć taty. Czemu miało służyć to przedstawienie?

- Czy mam rozumieć, że, twoim zdaniem, specjalnie czekała, aż wrócisz ze szkoły?

- Jestem tego pewna.

- Chodź, przenocujesz u nas - zaproponował Nikita i pocałował ją w skroń.

- Nie chcę, żebyś wracała do tego horroru. Twoja gwiazda filmowa jest już pewnie pijana w sztok.

- Nie. Głupio mi. Poza tym jutro muszę być w szkole.

- Tata cię zawiezie.

- Wtedy musiałyby specjalnie wstawać o siódmej, a w ogóle...

- Co w ogóle?

W rzeczywistości niczego nie pragnęła bardziej, niż pojechać z Nikitą. Ale nie zrobiła tego. Co prawda wiedziała, że mama nie powtórzy swojego przedstawienia bez publiczności, ale mimo to bała się.

Wiedziała, że rodzice Nikity ucieszyliby się, spałaby w pokoju babci Ani, a ona, prawdziwa babcia z bajki, o jakiej Nika marzyła przez całe dzieciństwo, opowiedziałaby jej jakiś rozdział ze swojego życia. A potem szybko i bezszelestnie, jak w niemym filmie, przez jej sny przemknęliby wszyscy porucznicy i damy dworu ostatniej carycy. Oraz srogi, choć nie budzący grozy bohater pierwszej wojny światowej, pułkownik szpitala polowego Wikientij Rakitin, który z zazdrości ugodził żonę tego samego dnia, kiedy w Sarajewie zamordowano księcia Ferdynanda. Rozpętała się wojna, zazdrośnik został ułaskawiony i wysłany na front. Jego brat-bliźniak, Iwan, przepuścił prawie cały rodzinny majątek, grając w ruletkę, a potem się zastrzelił. Młodsza siostra bliźniaków, Walentyna, legendarna piękność, w wieku czterdziestu lat poślubiła trzydziestoletniego bogacza, Szwajcara, po tym, jak kupiła sobie sfałszowany paszport, który czynił z niej rówieśniczkę męża. Ich potomkowie odziedziczyli niewyobrażalną fortunę i mieszkali w zamku pod Bernem.

W Nice babcia znalazła wdzięczną słuchaczkę. Rodzina знаła te legendy na pamięć, za to Nika słuchała ich z zapartym tchem. Dla babci Ani i rodziców Nikity szybko stała się członkiem rodziny, narzeczoną Nikity. Tylko dawna opiekunka Nikity traktowała ją z rezerwą.

- Ta dziewczyna ma niesamowite oczy - mówiła - oczy dorosłego, którego zdradzono i który nie potrafi już nikomu zaufać ani wybaczyć.

- Od kiedy to stałaś się jasnowidzem, Nadiu? - zapytała poirytowana babcia Ania. - Nika rzeczywiście miała straszne dzieciństwo. A tak po prawdzie, żadne. Znałam jej ojca, widziałam matkę. To nie byli źli ludzie, zdolni, ale tacy nie powinni mieć dzieci. Dziewczyna na gwałt potrzebuje ciepła i miłości i jest wdzięczna za każdy drobiazg, wspólna herbata wypita w rodzinnym gronie to dla niej święto.

Babcia Ania miała rację. Jeszcze nigdy i nigdzie Nika nie czuła się tak dobrze i bezpiecznie jak u Rakitinów. Radość sprawiała jej najnormalniejsze rzeczy. Rozmawiało się tu spokojnym tonem, nikt nie podnosił głosu. Przed pójściem spać babcia Ania robiła jej krzyżyk i całowała w czoło. Dzieciństwo Nikity wydawało jej się niewyobrażalnym rajem, na który ona - dziecko odsunięte i skazane na przedszkole, ktoś, kogo nikt nie potrzebował - mogła zaledwie rzucić okiem.

Czasami bała się tego, że tak bardzo kocha Nikitę, tego, że i on kocha ją nie mniej mocno. Ze względu na tło rodzinnych koszmarów miłość i szczęście wydawały jej się wręcz bluźnierstwem. W głębi ducha ciągle czuła wyrzuty sumienia.

Jako dziecko zawsze wszystkiemu była winna: kryzysom twórczym ojca, temu, że padało i mamie zepsuła się fryzura, że buty były już za małe i potrzebne były pieniądze na nowe, że wyglądała ponuro i że miała okropny chód. Również za samobójstwo ojca ponosiła w dużej mierze winę - jak geniusz miał pracować w domu, skoro baraszkowało tu i hałasowało małe dziecko?

Jako szesnastolatka Nika zdała sobie sprawę, że cała ta jej winna to okrutny mit. Ale nic nie jest bardziej długowieczne i przekonujące niż okrutne mity.

Nika zrozumiała, że mama powoli się zapija. Wujek Wołodia coraz rzadziej bywał w domu, jego delegacje się przedłużały. Domyślała się, że kogoś ma i nie odchodzi ostatecznie tylko z litości.

Miesiąc po historii ze stryczkiem Wiktoria otworzyła okno, wdrapała się na parapet i oznajmiła:

- Nie chcę więcej żyć.

W pokoju siedzieli Nika, wujek Wołodia i Nikita. Wiktoria wrzeszczała, szalała, ale nie broniła się, gdy zdjęto ją z parapetu i zamknięto okno.

- Nie bójcie się o nią - zaśmiał się gorzko Nikita. - Jeśli naprawdę ma taki zamiar, wybierze bardziej stosowny moment.

Potem powtórzyła się historia z tabletkami. Tym razem leżały w toalecie. Czasami, dla urozmaicenia, Wiktoria odgrywała nie samobójstwo, lecz atak serca. Musieli się potem wstydzić przed lekarzami, usprawiedliwiać, przeproszać.

Wujek Wołodia sprowadził psychiatrę.

- Bezgranicznie ją państwo rozpuściliście - pokręcił głową lekarz. - Egoizm i zły charakter tylko wtedy stają się chorobą, kiedy te cechy wspierają najbliżsi. Przypuszczam, że zawsze znajduje wdzięcznych widzów.

- A może są na to jednak jakieś lekarstwa? - zapytała nieśmiało Nika.

- Po prostu proszę ignorować ten teatr. To, czego potrzebuje, to surowość, a nie współczucie. Rozpuściliście ją. To wasza wina.

„A więc to też” - pomyślała smutno Nika.

W 1977 roku Nikita skończył szkołę i rozpoczął studia w Instytucie Literackim imienia Gorkiego.

Rok później zdała maturę Nika. Zbierała w szkole same dobre oceny i mogła liczyć na świetne świadectwo. Od tego egzaminu wiele zależało. Nika chciała dostać się na studia do Pierwszego Instytutu Medycznego, a tam była silna konkurencja. Miała przed sobą ciężkie lato - najpierw egzaminy maturalne, potem egzaminy wstępne.

Uczyła się w bibliotece lub u Nikity, ale zostawały jeszcze wieczory i noce. W domu nie miała spokoju. Wiktoria nie wytrzymywała bez scen dłużej niż tydzień. Przedstawienia samobójcze stały się zwyczajem. A co pół godziny chwytala się za serce.

Nikita zaproponował Nice, żeby się do nich wprowadziła.

- Przenocować u was od czasu do czasu to jedna sprawa, ale przeprowadzić się na dobre, to nie to samo - wzbraniała się Nika.

- Prędzej czy później, i tak nie pozostanie ci nic innego.
- Babci Ani na pewno się nie spodoba, że będę przez cały miesiąc spała w jej pokoju.
- Babcia z Nadią jadą na cały miesiąc na daczę. A rodzice za trzy dni wyjeżdżają do Bułgarii.
- I wiedzą, że będziemy sami w domu?
- I tak się domyślają, że nie tylko się całujemy - wyszczerzył się Nikita. - Ale babcia Ania powiedziała, że musimy wziąć ślub.
- Co?
- No wiesz, dla babci cały ten urząd stanu cywilnego, czy jakieś tam sowieckie instytucje, są całkowicie bez znaczenia. Dla niej pobrać się, to znaczy wziąć ślub kościelny.

Wujek Wołodia nie miał nic przeciwko temu, żeby Nika wprowadziła się do Nikity. Na czas egzaminów chciał wziąć stres z Wiktorią na siebie.

Ciężkie lato było dla Niki tym najszcześniejszym. Przedsmak małżeńskiego życia przypadł jej do gustu. Zdała maturę i dostała się na studia.

Babcia Ania wróciła na kilka dni do miasta i wszyscy w trójkę pojechali do cerkwi. Krótco przed tym zabytkowa broszka powędrowała do jubilera i przerobiono ją na dwie obrączki z małym prostokątnym szafirem.

Pop był jej starym znajomym i zgodził się nie wprowadzać ich nazwisk do akt parafii. O legalnym ślubie poinformowano by natychmiast władze samorządowe, stamtąd informacja trafiłaby do organizacji partyjnych i Komsomołu w miejscu pracy lub na uczelni nowożeńców.

Najpierw ochrzczono Nikę. Matką chrzestną była babcia Ania. A potem w pustym kościele, przy zamkniętych drzwiach, Nika i Nikita wzięli ślub.

Przeszcześnie, z ogromnym tortem i butelką tokaju pod pachą, pojechali do Niki do domu. Nika weszła do pokoju. Jej matka leżała w pikowanej starej podomce, odwrócona twarzą do ściany.

- Mamo, wstań, napij się z nami przynajmniej herbaty. W końcu zdałam na studia.

Mama nie poruszyła się. Nika usiadła na łóżku, dotknęła jej ramion. Uderzył ją intensywny zapach alkoholu.

- Ile właściwie wypila? - zapytała wujka Wołodii.

- Najwyżej dwieście gramów - pokazał na półlitrowkę wódki, z której nie wypito nawet połowy.

- Długo już tak śpi?

- Będzie ze trzy godziny. Nie patrzyłem na zegarek.

- Mamo, obudź się! - Nika próbowała ją odwrócić. Nagle zamarła i chwyciła mamę za przegub - nie wyczuwała pulsu.

- Pogotowie, szybko! - krzyknęła.

Wujek Wołodia rzucił się do telefonu. Nika odwróciła matkę na plecy i zrobiła jej sztuczne oddychanie. Nikita gwałtownie naciskał obiema dłońmi na jej klatkę piersiową. Przeszali dopiero, kiedy przyjechało pogotowie.

Lekarz stwierdził zgon.

- Nie żyje co najmniej od godziny. Najpewniej zatrucie alkoholowe - powiedział i skrzywił się na ostry odór alkoholu.

- Nie wypła dużo - powiedział powoli wujek Wołodia.

- Ale chyba jej wystarczyło. - Lekarz spojrział na napoczętą butelkę, obejrzał ją pod światło i poskrobał etykietę. - Czasami trafi się wódka gorszej jakości. Wykaże to obdukcja.

Jego monotonny głos był spokojny, zwyczajny. Nika stała bez ruchu w pokoju i patrzyła przed siebie. Jej oczy wyglądały jak dwie czarne dziury. Nikita spuścił głowę i machinalnie obracał swoją obrączką.

Babcia Ania nie utrafiła z rozmiarem obrączek - Nice trafiła się za duża, za to Nikita z trudem wkładał swoją na palec. Po latach, kiedy ręce mu zgrubiały, nie był już w stanie zdjąć obrączki. Nawet nie próbował. Nosił ją dalej. Mimo wszystko.

Rozdział 14

Mówiłam panu przecież, że Antosik nie mógł mieć żadnych osobistych spraw poza naszą miłością! - Raisa Kudijarowa spoglądała na kapitana Leontiewa z obłędem w oczach i tak krzyczała, że z jej ust trysnęła struga śliny.

- Nie o to pytałem - kapitan otarł sobie twarz chusteczką. - Chcę wiedzieć, czy pani towarzysz w ciągu tych siedmiu dni choć raz opuścił mieszkanie?

- Nie, przecież już to mówiłam!

- Czy oznacza to, że przez cały ten czas, dzień i noc, był u pani?

- Dzień i noc! To wzniosłe uczucie. Pan tego nie zrozumie.

- No dobrze. A pani, czy pani również przez ten czas nie opuszczała mieszkania?

- I owszem. Ma się rozumieć, że opuszczałam. Musieliśmy przecież coś jeść. Mój kochany Antosik dawał mi pieniądze i szłam na zakupy.

- Czy on mógł w tym czasie wychodzić?

- Po co?

- No, nie wiem. Ale pozostawać przez siedem dni pod kluczem, to chyba nie jest normalne dla zdrowego mężczyzny.

- Tylko nie pod kluczem! My się kochaliśmy!

Podczas rewizji w jej mieszkaniu znaleziono cały arsenał broni: kałasznikow, tetetka - obie nówki, worek naboí, materiał wybuchowy. Poza tym w jednej z puszek po kawie natknięto się na biały proszek o charakterystycznym

zapachu - silny syntetyczny narkotyk. A w kopercie paski papieru nasączone LSD.

Kudijarowa miała zwyczaj zbierać na śmietniku wszystko, co jej przypadło do gustu: ubrania, kolorowe reklamówki, zagraniczne puszki, butelki po szamponie, kawałki zepsutych mebli.

Kiedy funkcjonariusze wyciągnęli z kupy śmieci kałasznikowa, Kudijarowa nawet nie mrugnęła okiem.

- Czy to należy do pani?
- Tak - skinęła głową.
- Czy pani wie, co to jest?
- Tak, pistolet i karabin maszynowy.
- W jaki sposób weszła pani w ich posiadanie?
- Znalazłam.
- Gdzie? Kiedy?
- W kontenerze na śmieci.
- W którym konkretnie?
- A bo ja wiem?
- Czy pani sobie zdaje sprawę, że posiadanie broni palnej bez zezwolenia jest karalne?
- Powinniście raczej poszukać Antosika, a nie grzebać w cudzych rzeczach, tyle wam powiem.
- Obywatelko Kudijarowa, zacznijmy jeszcze raz, od początku. Kiedy i gdzie poznała pani obywatela Antosika?
- Drugiego maja tego roku. W aptece - powtórzyła niewzruszona staruszka jak wyuczoną lekcję, po raz dziesiąty. - Nie chcieli mu sprzedać lekarstw.
- Raiso Michajłowna, drugiego maja apteka była zamknięta - powiedział cicho kapitan, dziwiąc się, że dopiero teraz na to wpadł.
- Tutaj, zaznaczyłam w kalendarzu - Kudijarowa dziabnęła palcem w ścienny kalendarz z Japonką w barwnym kimono. Był to, co prawda, kalendarz na rok 1995, ale otwarty na stronie z majem - drugi dzień tego miesiąca zaznaczony był grubym sercem.
- Sama pani to zaznaczyła?
- Tak - Kudijarowa spuściła wzrok. - Ja to zrobiłam. To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu.
- No dobrze - skinął kapitan. - A co było dalej?

- Potem przyszła miłość - stara westchnęła smutno. - Pan tego nie zrozumie.

Nie zatrzymano jej. W końcu istniała nikła nadzieja, że Antosik jeszcze wróci, żeby zabrać swój sprzęt. Kapitan Leontiew postanowił na wszelki wypadek pozostawić budynek pod obserwacją.

W aptece znano Kudijarową. Stara spędzała tam stosunkowo dużo czasu i nikt jej nie wyganiał.

- Ależ nie, to w ogóle nie wchodzi w grę - żywo broniła się kierowniczka apteki. - Nie można przecież na prośbę osoby chorej psychicznie sprzedać komuś leku bez recepty. Bo chodzi pewnie o psychotropy?

- A skąd pani to przyszło do głowy?

- Bo tylko chory psychicznie człowiek zaczynałby rozmowę z Kudijarową. Ktoś taki jak ona. Mam na myśli poważną rozmowę.

- Dobrze, dziękuję - zaśmiał się gorzko kapitan i pomyślał: „Zgadza się, trzeba mieć nie po kolei w głowie, żeby poważnie rozmawiać z tą starą. I mieć jeszcze bardziej nie po kolei, żeby rzucać się na oślep w przypadek, którego jeszcze wczoraj nie było”.

W tym samym domu, w sąsiedniej klatce miał miejsce wypadek. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby podejrzewać tu jakieś przestępstwo. W domu często wysiadało światło. Prawie w każdym mieszkaniu są świece albo lampy naftowe. Ludzie ze straży zaręczali, że pożar wybuchł z winy rozlanej nafty. Zmarły doznał ciężkiego porażenia prądem, stracił przytomność i podczas upadku uderzył skronią w parapet, a potem spłonął doszczętnie.

Ale do tej „czystej” ofiary wypadku dołączył teraz nieszczęsny Antosik, z bronią i prochami w plecaku.

Chyba mu rozum odjęło, że wystarał się u prokuratora o nakaz rewizji u Kudijarowej, która zgłosiła zaginięcie swojego konkubenta Antosika, co już samo w sobie było szaleństwem - taka babcia i konkubent!

W domu numer czterdzieści przy ulicy Sriednie-Zagorskiej Pierieułok milicja była stałym gościem. Ciągłe coś się tu wydarzało: pożary, zalania, eksplozje gazu, awarie instalacji elektrycznej, co rusz tu kogoś mordowano, dźgano nożem lub wyrzucano z okna.

Wszystkie mieszkania wyglądały podobnie. Zaraz za drzwiami była miniaturowa łazienka z prysznicem i ubikacją. Znajdowała się tam również umywalka, służąca jednocześnie za zlew. Pokój o powierzchni ośmiu metrów kwadratowych miał jedno jedyne okno.

Do tych klitek spekulanci mieszkaniowi kierowali samotnych starszych ludzi i alkoholików. Nazywano to zamianą mieszkań na mniejsze za dopłatą. Przy czym „dopłatę” natychmiast przejadano lub przepijano i wtedy najemcy brali do siebie, kogo popadło: drobnych kaukaskich handlarzy, Cyganów, tanie prostytutki wraz z klientelą. Albo wynajmowali swoje lokum w charakterze magazynu chrzczonych wódek z markową etykietą, narkotyków lub broni. Tu zawsze znalazło się coś interesującego.

W przeciwieństwie do innych mieszkańców, Raisa Kudijarowa nigdy nikogo nie przyjmowała ani niczego nie przechowywała. Wiedzieli o tym nie tylko sąsiedzi, ale i odpowiedzialny za rejon milicjant. Skoro rzeczywiście pojawił się u niej nagle mężczyzna, a do tego młody, to z pewnością plotkowało już o tym całe piętro, jeśli nie cała klatka.

Jednak sąsiedzi kłęli się na Boga, że w mieszkaniu Kudijarowej nie było żadnego mężczyzny. Ani młodego, ani starego. Przy takim układzie korytarzy w budynku nie było możliwe, żeby wszedł, a potem wyszedł niezauważony. Chyba jedynie przez przypadek. Ale nikt go również nie słyszał. Ściany były tu tak cienkie, że nawet lekkie kaszlnięcie niosło się echem przez pięć mieszkań. Zakładając nawet, że nadobny Antosik przez cały czas nie kaszlał, nie kichał ani nie mówił, że poruszał się niczym cień i że w ogóle był wytworem erotycznej wyobraźni staruszki, to jednak broń i narkotyki nie mogły mieć nic wspólnego z czyjąkolwiek erotyczną wyobraźnią. Ktoś musiał je u niej ukryć - nie mogła ich znaleźć na śmietniku.

No ładnie, ktoś jej to dał na przechowanie. Nie Antosik, tylko ktoś prawdziwy. Prawdziwy, ale równie stuknięty jak sama Kudijarowa - tu farmaceutka może mieć rację. Ale skąd u psychologa nowiuteńka broń? I narkotyki w takich ilościach? Co, też je znalazł na śmietniku?

Była jeszcze inna możliwość. Kudijarowa wcale nie była taka stuknięta. Chciała zarobić trochę grosza i wzięła na przechowanie broń i narkotyki. Tylko po kiego grzyba zgłaszałaby coś na milicji?

I w końcu - jaki miała związek z pożarem, który wybuchł w dniu, kiedy zniknął drogi Antosik? I ze zmarłym pisarzem. Czy to wszystko było tylko przypadkiem?

Oba mieszkania - Kudijarowej i Rieznikowej - znajdowały się na najwyższym, czwartym piętrze. Obok okna Kudijarowej umocowany był piorunochron - można było po nim zejść na ulicę albo wdrapać się na dach.

Obok okna Rieznikowej biegła rynna, przytwierdzona stabilnie do ściany. Ten sam efekt: można było uciec na dół i na dach. W najgorszym razie w ciągu pięciu minut człowiek trafiał z jednego mieszkania do drugiego, nie natykając się na żadnego z sąsiadów. Również z dołu nikt by nie zauważył. Oba okna wychodziły na nieużytki, zaczynające się zaraz za domem, z wieloletnią i nieukończoną budową. Nocami nie było tam nikogo.

W głowie kapitana Leontiewa krążyły coraz to nowe wersje, jedna bardziej absurdalna od drugiej. W takich chwilach pocieszał się słowami wielkiego Sherlocka Holmesa: Podczas dedukcji można posłużyć się metodą, która nigdy nie zawodzi. Kiedy wykluczy się wszystkie możliwe wyjaśnienia, to, co nam pozostaje, jest zawsze odpowiedzią na pytanie, jakkolwiek szalona by się wydawała.

* * *

Gdy Grigorij Pietrowicz usłyszał w słuchawce spokojny, wyważony głos swojej żony, natychmiast poczuł się lepiej.

- Jak się masz, Niko?

- Wszystko w porządku, Grisza. Wybacz, że się tak niegrzecznie zachowałam. Uciekałam, nic ci nie mówiąc. Dziękuję za samochód.

- Nie, to ja cię przepraszam. Jestem w tej chwili tak bardzo pochłonięty własnymi sprawami. Rozumiem, że po tym, co się stało, nie mogłaś po prostu pić szampana na bankiecie, jak gdyby nigdy nic. Kiedy wracasz? Zaraz po pogrzebie? Czy zostaniesz na parę dni w Moskwie?

- Jeszcze nie wiem. Zadzwoń.

- Nie czujesz się samotna w pustym mieszkaniu?

Chciała odpowiedzieć: „Nie jestem sama. Jest ze mną Zina Rieznikowa. Pamiętasz ją?”. Jednak zamiast tego powiedziała:

- Nie, Grisza. Wręcz przeciwnie. Chętnie pobędę chwilę sama.

- Oczywiście. Bardzo cię kocham, Niko. Już tęsknię.

- Nie będziesz miał pewnie na to czasu.

Pożegnali się czule. Przed nią na kanapie leżały dzisiejsze gazety. Wczoraj na lotnisku pojawił się jakiś reporter z prasy kolorowej. Spozrzęła na jego kurtce identyfikator z nazwiskiem i nazwą tygodnika i odmówiła udzielenia wywiadu, nie mogła się jednak ukryć przed obiektywem.

Jeszcze na lotnisku Zina zapytała, czy mogłaby u niej pomieszkać - w końcu jej mieszkanie spłonęło i kto wie, jak długo jeszcze przyjdzie jej

koczować u matki. Kilka dni u Niki byłoby wybawieniem. Tym bardziej, że nie widziały się od ośmiu lat, a w dodatku ta smutna sprawa...

- Tak, oczywiście. Grisza w najbliższym czasie nie pojawi się w Moskwie.

Gdy samolot wylądował, Nika ujrzała czarnego mercedesa zbliżającego się do schodków, po których pasażerowie mieli za chwilę zejść na płytę lotniska.

- Odwiozą mnie. Ty lepiej przyjedź do mnie taksówką.

Zina nie protestowała. Nie zadawała też żadnych pytań. W jakiś sposób było dla nich oczywiste, że Rusow nie powinien się dowiedzieć o ich spotkaniu.

Jednak wyszły razem z lotniska i natychmiast natknęły się na tego reportera.

Wczesnym rankiem Nika specjalnie pobiegła do kiosku po gazety. Ujrzała zdjęcie i pomyślała, że jej mąż też ma pewnie tę gazetę na biurku. I teraz wie, że poleciała do Moskwy razem z Ziną Rieznikową. Domyśli się, że to ona była rzekomą pacjentką, która wdarła się do jej gabinetu.

Na bezpośrednie pytanie by mu odpowiedziała, wszystko wyznała, również to o anonimowych listach. Ale nie zapytał, więc nic nie powiedziała - zresztą to nie było na telefon.

Ale właściwie dlaczego nie? Przez telefon kłamstwo przychodzi łatwiej. Przynajmniej jej. Grisza potrafił jej łąć prosto w twarz, całkiem po prostu, z taką miłością i czułością, że chętnie się pozostawało naiwną gąską.

Kiedy w wieku dwudziestu lat po raz pierwszy spostrzegła szczególny wzrok Griszy, uśmieła się szydyczko w duchu. „Podobam ci się? Tak zauważyłam. To dobrze, ale co z tego?”

Nic z tego. Odkąd skończyła piętnaście lat, kochała Nikitę Rokitina. A on kochał ją. Mimo to jakoś nie potrafili wieść prawdziwego małżeńskiego życia.

Nika wciąż miała przed oczami swoje dzieciństwo, ojca, matkę, i niczego nie bała się bardziej, jak stać się winną kryzysów twórczych, nawet jeśli u Nikity zdarzały się bardzo rzadko, i to zawsze z przemęczenia.

Nikita, rozpuszczony przez matkę, babkę i opiekunkę, nie miał żadnego wyobrażenia o tym, czym jest proza życia. Nika wiedziała to o wiele lepiej i ciągle się bała, nie potrafiąc dokładnie powiedzieć, czego.

Byli wprowadzić ze sobą, ale żyli osobno. Prędzej czy później staliby się wreszcie normalnym małżeństwem, w końcu bardzo się wzajemnie kochali.

Grisza pojawił się początkowo bardzo niedostrzegalnie. Z czasem wpadał zarówno do Rakitinów, jak i do Niki, najpierw jako przypadkowy gość, potem jako przyjaciel Ziny i w końcu - tak po prostu. Miał ten dar, że zawsze był w danym miejscu we właściwym momencie.

Gdyby ktoś jej wtedy powiedział, że ten ponury milczek z prowincji, ten syn grubej ryby z Syberii będzie jej mężem, przeraziłaby się i prawdopodobnie wyśmiałaby to. Kto? Grisza? Nigdy w życiu!

Zresztą, nie był znowu taki powierzchowny. Studiował w końcu psychologię. Miał też mieszkanie w Moskwie.

Nigdy nie przychodził z pustymi rękami, w eleganckiej zagranicznej torbie miał zawsze różne delikatesy z partyjnych sklepów. Gdy w domu coś się psuło, naprawiał to, cicho i spokojnie. Podczas imprezy Nika zastała go raz przy zmywaniu. Na taki pomysł Nikita nigdy by nie wpadł.

Kiedyś wysiadł bojler w łazience i następnego dnia Grisza przyniósł nowy, z importu, i zamontował go. Nikita w wieku dwudziestu trzech lat nie wiedział nawet, co to jest śrubokręt i ile trzeba dać w łapę sprzedawcy w sklepie z wyposażeniem łazienkowym, żeby odpalił bojler spod lady, ani dlaczego te z importu były lepsze niż krajowe.

To wszystko były drobiazgi, ale w przeciwieństwie do Nikity, Nika wiedziała, jakie są ważne.

Nikita stał się słynnym pisarzem. Jego wiersze stosunkowo rzadko ukazywały się drukiem, bo zawierały wątpliwe ideologicznie treści, za to w samizdacie cieszyły się wielką poczytnością, młode czytelniczki powielaly je na maszynach do pisania lub uczyły się ich na pamięć. Nikita uśmiechał się do młodych kobiet z roztargnieniem. Ten uśmiech coraz mniej podobał się Nice.

Pewnego dnia jedna śliczna jak obrazek miłośniczka jego talentu wciągnęła go w rozmowę o akmeizmie. Było to na imprezie sylwestrowej u znajomych i Nikita tak był pochłonięty rozmową i tak długo siedział z tą młodą damą, głowa przy głowie, ze wzrokiem wbitym w książkę, że wiele osób zaczęło już rzucać w jego stronę znaczące spojrzenia. Nika wstała i wyszła bez słowa. Grisza poszedł za nią.

Nikita dosyć szybko się zorientował i wybiegł za Niką, ale nie mógł ich dogonić, bo Grisza złapał taksówkę.

- Wyłumacz mi, co się stało? - zapytał ją w domu Nikita.
- Nic - odparła Nika
- No to dlaczego wyszłaś po cichu, nie mi nie mówiąc.
- Bolała mnie głowa. Nie chciałam ci przerywać.
- Czego?
- Interesującej rozmowy.
- Co? Z kim?
- Już dobrze. Nie ma sprawy. Nie mówmy już o tym. - Nika była wściekła na siebie. Musiała być stuknięta, żeby być poważnie zazdrosna o każdą młodą kobietę, z którą jej mąż zagada w kącie.

Po studiach Nikita pracował jako specjalny korespondent młodzieżowego czasopisma i ciągle wyjeżdżał. Grisza przychodził prawie codziennie i zawsze upewniał się, czy Nika ma co jeść, uzupełniał jej lodówkę, zawsze na czas wiedział, kiedy kończy się cukier, sól, zapalki, zanosił buty do szewca, załatwiał ulubione francuskie perfumy, i to nie na urodziny, lecz bez okazji, bo właśnie skończył się flakonik. I wszystko to bez słów, jakby to było oczywiste.

Z zewnątrz wyglądało to na banalny trójkąt miłosny, ale Nice i Nikicie nigdy nie przyszło do głowy, żeby przyglądać się temu z boku. Nikita zupełnie nie był zazdrosny, a przy tym cechowała go wręcz dziecięca łatwowierność. Miał zaufanie i do Niki, i do Griszy.

Nika przyzwyczała się do koleżeńskiej obecności jej cichego adoratora.

- Dlaczego ty się nie ożenisz, Grisza? - zapytała go któregoś dnia.
- Czekam na ciebie - odpowiedział.

Roześmiała się, pewna, że żartuje.

Jednak coraz częściej, kiedy zostawali sami, czuła pewne napięcie. Coraz dłuższe i coraz bardziej znaczące robiły się chwile milczenia podczas rozmów, coraz bardziej uparcie szukał jej wzroku, a raz chwycił dłoń Niki i namiętnie pocałował jej palce z miną, jakiej wołałaby nie widzieć.

A Rakitina nieustannie otaczało stadko młodych kobiet, wielbicielki poezji. W końcu był atrakcyjny, przystojny i niezwykle błyskotliwy. Był coraz bardziej popularny i Nika znów słyszała szeptane tak dobrze znajome słowa: geniusz i dramat twórcy.

- Czy Rakitin ciągle spotyka się z tą swoją doktorką? - usłyszała przypadkiem podczas pewnego wieczoru. - Wiesz, wieczny dramat twórcy, jego banalna i ograniczona żona.

- Ależ, przestań - pokręciła głową druga młoda osobka. - A cóż taka lekarka z pogotowia może wiedzieć o poezji?

Młode rozmówczynie nie uznały z stosowne, żeby się rozejrzeć.

Grisza czule ujął lodowatą dłoń Niki. Nie powiedział ani słowa, ale delikatnie pogłaskał ją po ręce.

Po studiach Nika pracowała na pogotowiu i ciągle konfrontowana była z brudem, bólem i brutalnością. Czasami po dwudziestoczęternogodzinym dyżurze chętnie znalazłaby wsparcie w czymś ramieniu. Ale Nikity albo nie było, albo siedział w pokoju i coś pisał - za to ramię Griszy zawsze było pod ręką.

Pewnego dnia Nika i Nikita po raz pierwszy ostro się pokłócili. Jeszcze dzisiaj, po tylu latach Nika nie potrafiła myśleć o tym, jak się rozstali. Oboje nie mieli racji, a oficjalny powód okazał się tak żałosny, że nie było możliwe, aby w spokoju go omówić czy wyjaśnić.

Nika wyszła bez słowa. Nikita nie widział powodu, żeby się usprawiedliwić. A Grisza oczywiście był pod ręką.

- Nie wystarczyły ci kryzysy twórcze rodziców? Nie miałaś prawdziwego dzieciństwa, teraz marnujesz młodość. Kolejnego geniusza już nie zniesiesz - powiedział rozsądny Grisza i otarł jej łzy z oczu. - Będziesz zawsze tylko nie niewartym dodatkiem do jego talentu i sławy. Staniesz się częścią jego kuchni, dosłownie i w przenośni. Będziesz mu gotować, nosić siatki z zakupami i prac mu majtki. A on będzie obserwować twoje uczucia, myśli, przyzwyczajenia i przelewać je na papier. Jest mu zupełnie obojętne, kto przy nim jest. Dla niego ludzie to albo potencjalni bohaterowie literaccy, albo słuchacze. To znowu ty będziesz ponosić winę za jego twórcze kryzysy, a kiedy poczuje inspirację, będziesz mu przeszkodą w pracy. I wtedy znajdzie sobie inny obiekt twórczych obserwacji.

Tak otwarcie Grisza rozmawiał z nią po raz pierwszy. Nika słuchała tego i nie mogła uwierzyć, że słucha i że jest wściekła na Nikitę. Najgorsze było to, że i ona mogłaby powiedzieć dokładnie to samo, ale się nie odważyła. Grisza jasno i szybko ubrał w słowa jej nieświadomione lęki i dawne rany.

Nikita nie dzwonił, nie bywał. Tymczasem ona ciężko się rozchorowała. A Grisza cały czas był przy niej i łyżeczką karmił ją mięszem grejpfruta z miodem, jak urodzona gospodyni domowa.

Zostawał na noc i spał grzecznie na starej wysłużonej sofie w sąsiednim pokoju. Czasami Nika budziła się w nocy, a on był przy niej, siedział przy łóżku, kładł rękę na czole i gładził koldrę, pytał, czy nie chciałaby się czegoś napić, albo jak się czuje i czy nie ma nic przeciwko temu, że chwilę przy niej posiedzi, bo nie może spać.

Nie miała nic przeciwko temu. Była mu bardzo wdzięczna. Nie zauważywszy tego, przyzwyczała się - jeszcze nie do samego Griszy Rusowa, ale do jego cichej, ciepłej obecności w swoim życiu.

Ręka Griszy wędrowała z czoła na usta, jego wargi dotykały jej szyi i szeptały, że gorączka spadła i prawie wcale nie kaszlała. Nika przyzwyczała się do jego dłoni, ust, zapachu, ciepłego oddechu i nie miała nic przeciwko temu, gdy któregoś dnia wślizgnął się pod koldrę i szepnął:

- Wybacz mi, już dłużej nie wytrzymam, Kocham cię tak bardzo, że chyba oszaleję.

A po tym poczuła lekkość i pustkę, lekki zawrót głowy, jak po przejeździe karuzelą.

Później dowiedziała się, że w tym czasie Nikita był za kołem polarnym, by napisać reportaż o marynarce wojennej. Po powrocie przyszedł prosto do niej, ale nie chciała go już widzieć, mówiąc, że między nimi wszystko skończone.

Potem ktoś jej powiedział, że pewna kobieta o imieniu Galina, bujna brunetka, koleżanka Griszy, będzie miała dziecko z Nikitą Rakitinem. Zdradzono jej nawet, w którym Galina jest miesiącu i Nika wyliczyła, że jej drogi Nikita w tym czasie, kiedy ona leżała z wysoką gorączką i strasznym kaszlem, bynajmniej nie próżnował.

Niemal dotykalnie czuła, jak osnowa jej losu, całego życia, rozpada się na kawałki. Ale za nic w świecie nie zrobiłaby pierwszego kroku; nie mogła tak po prostu sięgnąć po słuchawkę i zadzwonić do Nikity. A kiedy on zadzwonił, odpowiadała mu ostro i z niechęcią, jednocześnie przeklinając samą siebie za lodowaty i fałszywy ton. Wewnątrz cała się trzęsła, miękły jej kolana, jednak usta wypowiadały obce, złośliwe i sarkastyczne słowa.

- Powinniśmy się wreszcie pobrać - powtarzał coraz częściej Grisza.

Zwlekąła z odpowiedzią. Ostateczne „tak” padło dopiero wtedy, gdy zorientowała się, że jest w ciąży. To było dziecko Griszy.

Kobieta o imieniu Galina dużo wcześniej urodziła dziewczynkę. Córkę Nikity. Nika zrozumiała, że to rzeczywiście koniec.

Wiedli z Griszą normalne, zdrowe życie małżeńskie. On robił urzędniczą karierę, dobrze zarabiał, przynosił wszystkie pieniądze do domu, był cudownym ojcem dla małego Mitii. Idealny mąż. Prawdziwa podpora.

Wciąż jeszcze, tak samo jak dawniej, czule na nią spoglądał, interesował się jej problemami, znał jej rozmiar buta i ubrań, wiedział, jakich używa kremów i szamponu, a z delegacji zagranicznych przywoził całe mnóstwo rzeczy, który były nie tylko dobre i drogie, ale również pożyteczne. Miał żyłkę do wszystkiego, co dotyczyło się nużącej i skomplikowanej codzienności i Nika często sobie powtarzała, że gdyby nie Grisza, to wszystkie te sprawy musiałaby dźwigać na własnych barkach. Nie mogłaby zrobić doktoratu i tak dużo pracować.

Po trzech latach dowiedziała się przypadkiem, że Grisza od czasu do czasu zdradza ją ze swoją sekretarką, ale przyjęła to ze spokojem. Gdy Grisza spojrzal na jakąś ładną buzię, to cała się gotowała, ale kiedy wracał do domu nad ranem i pachniał francuskimi perfumami, pozostawała obojętna. No i co? Który wysoki urzędnik nie zabawi się czasem ze swoją sekretarką?

Miała spokojne i wygodne życie.

Pewnego dnia, kiedy kończyła pracę, pojawił się u niej Nikita. Oświadczył jej, że rozwiódł się z żoną, że nie potrafi bez niej, Niki, żyć, a ona odparła, że jest jej to już obojętne.

Grisza był właśnie na delegacji w Finlandii, a Mitia z opiekunką na daczcy. Ani się nie obejrżeli, a wylądowali w pustym mieszkaniu Rakitina. Bez zbędnych wyjaśnień rzucili się na siebie.

Jednak potem zobaczyła, jakie to mieszkanie jest brudne: w zlewie piętrzył się stos naczyń, po kuchni biegały karaluchy. Rodzice Nikity, babcia i opiekunka byli na daczcy, a Nikita pisał i zapomniał o bożym świecie.

Gazeta miała teraz nowego redaktora naczelnego, z którym Nikita nie mógł się dogadać, więc odszedł. Poza tym miał już dosyć komsomolskich i produkcyjnych reportaży - pracował nad książką o wojnie domowej, której rzekomo nikt nie chciał wydać.

Przeczytała jej fragment, powieść była świetna, ale słuchając Nikity pomyślała, że ci wszyscy wymyśleni ludzie byli dla niego ważniejsi niż ona i

że wydarzenia z książki odgradzały go od czegoś poważnego, realnego, co wydarzyło się przed półgodziną.

Poza tym wyobraziła sobie wielkie, zdziwione oczy swojego synka. Mitu i wzrok tej nieznaney dziewczynki, Maszy, o której Nikita nie zająknął się nawet słowem, jakby nie istniała.

- Co robi właściwie twoja córka? - zapytała Nika w przerwie między dwoma rozdziałami.

- Rośnie - odparł. - Jest do mnie podobna. Więc dalej: rozdział dziesiąty... „W porządku - pomyślała - postąpiłam rozsądnie”.

- Może powinnaś tutaj zostać? - zapytał głosem ochryplym od czytania.
- I w ogóle, koniec z tym przedstawieniem.

- Zgadza się, koniec - powiedziała twardo. - To nie ma sensu. Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki.

- Przestań kłamać. Wiem, że go nie kochasz. Jesteś moją żoną, a nie jego, nie puszcze cię. - Nikita ścisnął ją tak mocno, że nie mogła się bronić.

Ale w końcu poszła. Nie potrafiła zapomnieć. Powtarzała sobie, jak automat, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, powtarzała to Nikicie, kiedy dzwonił, i sobie samej.

Jakieś pół roku po tym zadzwonił w środku nocy, bardzo zdenerwowany, i poprosił, żeby przyszła.

- Masza mieszka teraz z nami. Dzisiaj rano wdrapała się na drzewo i spadła, raniąc sobie nogę o żelazny płot. Byliśmy w szpitalu, zszyli ją, ale teraz noga spuchła i Masza ma trzydzieści dziewięć stopni gorączki.

Nika natychmiast przyjechała. Dziecko miało zakażenie. Na słowo „szpital” dziewczynka zaczęła histerycznie płakać. Nika zrobiła, co trzeba, i została u Rakitinów do rana. A potem przychodziła cały tydzień i zmieniała opatrunki.

- No dobrze, dziecko to świętość - skomentował dobrodusznie Grisza.

Nie powiedział nic więcej, ale Nika czuła, jak bardzo jest rozdrażniony.

Potem już się nie widzieli, jednak w głębi duszy tliła się bezsensowna, daremna nadzieja. Próbowwała z nią walczyć, wmawiała sobie, że to nonsens, szaleństwo, że musi to sobie wybić z głowy. Życie toczyło się spokojnie i rozsądnie. Nie można było dwa razy wejść do tej samej rzeki. Nawet, jeśliby człowiek usychał na brzegu z samotności, jak ryba bez wody.

Rozdział 15

- Fiedka śpi - powiedział lekarz - i pośpi jeszcze co najmniej pięć godzin. Miał dzisiaj dziwny atak. Trzeba mu było podać silny środek uspokajający i podłączyć kroplówkę. W ogóle jego stan od pana ostatniej wizyty pogorszył się.

- Czy to oznacza, że znów grozi mu śmierć?

- Nie, tego nie powiedziałem. Może jeszcze długo żyć. Pytanie tylko... - zimne, połyskliwe, niebieskie oczy przyssały się do jego twarzy. - Chcę to panu za każdym razem powiedzieć, ale nie mogę się zdecydować. Sądzę, że powinien się pan przebadać u onkologa. Mogę panu polecić wybitnego specjalistę.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Jak pan uważa. A gdzie pan był, jeśli to nie tajemnica? Dzwoniłem do pana, ale bez skutku. Wyjeżdżał pan?

- Skąd panu to przyszło do głowy?

- Bo zwykle jest pan wieczorami po dziesiątej w domu.

- Pewnie coś tam z telefonem.

- Pewnie tak - zgodził się lekarz, choć widać było, że mu nie wierzy.

- Chciał mnie pan powiadomić, że Fiedka ma atak?

- Nie. Mówiłem już, że atak miał miejsce dzisiaj rano. Chodzi o coś innego. Fiedka ciągle powtarza niezrozumiałe słowa.

- Chwileczkę - Jegorow szybko przechadzał się z jednego kąta w drugi. - Co mówi? Muszę to wiedzieć dokładnie.

- No, w sumie to nic szczególnego - lekarz wzruszył ramionami. - Wymamrotał kilka słów. Bez sensu.

- Co? - Jegorow zapiał sobie kitel pod samą szyję, a potem znów go rozpiął; oderwał mu się przy tym jeden z guzików, który podał lekarzowi, a ten bez słowa schował go do kieszeni. - Nic szczególnego? - Jegorow podniósł głos. - W końcu od czterech lat milczał. Mruczał tylko te swoje „om”, a poza tym nic. A pan mi tłumaczył, że już nigdy nie będzie mówił. A teraz od dwóch tygodni znowu mówi, jasno i wyraźnie.

- Jasno i wyraźnie? - Lekarz zaśmiał się lekceważąco. - Coś o żółtym wąwozie i mieście słońca. Zwykle majaki.

- Już wcześniej pan tak mówił, twierdząc, że słowa tylko mu się przypadkowo wymasknęły i że nic nie znaczą, i że nie ma mowy, żeby je powtórzył. Gdyby powtórzył, to tak, wtedy może. A teraz przecież powtórzył!

- Tak, znowu żółty wąż i słoneczne miasto. Niech pan wreszcie zrozumie, że nic się nie zmieniło, przeciwnie. Od pana ostatniego pobytu ma się znacznie gorzej. A tak przy okazji, przed kilkoma tygodniami był pan tu z jakimś Rakitinem. Czy on nie pisze przypadkiem kryminałów?

- A skąd panu to przyszło do głowy? - zapytał Jegorow, odwracając się gwałtownie.

- Bo wygląda bardzo podobnie do tego pisarza Wiktora Godunowa.

- Nie, nie jest pisarzem. Jest moim przyjacielem i znał Fiedkę jeszcze jako ośeska, dlatego go odwiedził.

- Widziało go paru lekarzy i kilka pielęgniarek, i wszyscy powiedzieli, że wyglądał jak pisarz Godunow, dlatego pytałem. To wtedy, kiedy był tu pana przyjaciel Rakitin, Fiedka powiedział coś o żółtym wąwozie i słonecznym mieście. A wy obaj byliście bardzo poruszeni. Proszę mnie zrozumieć, nie chcę, żeby robił pan sobie złudne nadzieje. Pan sam jest bardzo chory i wyczerpany. Proszę się zastanowić, gdyby panu, uchochaj Boże, coś się stało, to Fiedka zostałby całkiem sam. Nikt poza panem go nie potrzebuje.

- Rozumiem - Jegorow skinął głową i wyciągnął z kieszeni banknot. - Dziękuję, panie doktorze. I bardzo proszę, gdyby znów zaczął mówić, to proszę do mnie zadzwonić, o każdej porze dnia i nocy.

- Jak najbardziej - lekarz z wprawą schował pieniądze.

Jegorow wyszedł do mokrego parku okalającego szpital, by odetchnąć zapachem świeżych lipowych liści. Lekarz mógł sobie myśleć, co chciał -

Fiedka przemówił, czyli wraca do zdrowia. Co do tego Jegorow nie miał już wątpliwości.

„I cóż mi po pańskiej okrutnej prawdzie, doktorze? Dlaczego raz po raz opowiada mi pan, że moje dziecko jest beznadziejnym przypadkiem, że jego umysł już nigdy nie będzie pracować i że w każdej chwili może umrzeć - myślał Jegorow, przechadzając się błotnistą aleją. - Ja nie chcę słuchać pana prawd. Mógł mi pan raczej coś nakłamać, wtedy łatwiej byłoby mi przeżyć miniony rok. Iść do onkologa? Jestem pewien, że pana specjalista znajdzie mi coś brzydkiego i taktownie oznajmi, że niedługo umrę”.

A zdrowia Jegorow potrzebował w tej chwili jak nigdy dotąd. I pieniędzy. Renta z Aeroflotu była mała. Miał jakieś oszczędności ze sprzedaży daczy, ale te kurczyły się z dnia na dzień. Oprócz mieszkania posiadał jeszcze ciemnofioletową ładę. Przed kilku laty zastanawiał się, czy nie sprzedać gdzieś tego złomu, ale potem postanowił, że z tym zaczeka. Przydawało mu się teraz to auto, szczególnie takie stare i nierzucające się w oczy.

Od czasu do czasu miewał złe myśli: czy nie lepszy byłby zwykły szantaż i wyciągnięcie od głównego zainteresowanego sumy, za którą mogliby z Fiedką żyć spokojnie do końca swych dni?

Gdyby Nikita nie stracił życia, Jegorow być może brałby jeszcze taką wersję pod uwagę. Jednak śmierć Rakitina obudziła w nim to, co już dawno umarło. Jegorow chciał zemsty. Przywrócenia sprawiedliwości. Tyle zła nie mogło pozostać bez kary.

Nie, nie życzył swojemu głównemu wrogowi publicznego zdemaskowania, sądu i więzienia. Nawet śmierć wydawała mu się zbyt łagodną karą. Dla Griszy Rusowa świat miał się skończyć dokładnie tak, jak wówczas dla niego samego.

- Myślisz, że masz rodzinę? - mruknął, idąc wzdłuż szpitalnego płotu i oczami wyobraźni widząc przed sobą zadowoloną z siebie twarz Rusowa. - Mylisz się. Nie masz nikogo. Jedyne człowiek na świecie, który coś dla ciebie znaczy, któremu ufasz, którego kochasz jak samego siebie, będzie ci sędzią i katem.

* * *

Nika odszukała w notesie numer dawnego kolegi ze studiów, Pietii Łukianowa. Pietia pracował w Zakładzie Medycyny Sądowej.

- Nika! Jak to, wróciłaś do Moskwy? Widziałem cię wczoraj w telewizyjnych wiadomościach. Transmitowali inaugurację. Cały czas pokazywali cię. Gratulacje, pani gubernator. Zawsze wiedziałem, że ten twój Grisza do czegoś dojdzie. Czy coś się stało?

- A dlaczego?

- Bo nigdy nie dzwoniłaś tak po prostu - roześmiał się Pietia. - W naszych czasach nikt już nie dzwoni ot, tak. Jak długo się nie widzieliśmy?

- Sto lat.

- Właśnie. Sto lat. Więc co się stało?

- Mój znajomy nie żyje. Nikita Rakitin - zaczęła Nika.

- Znajomy, dobre sobie - gwizdnął przeciągle Pietia. - To przecież twoja pierwsza miłość. Wszyscy w naszym instytucie czytają jego książki. Jestem dumny, że to mój znajomy. Naprawdę nie żyje? Zamordowany?

- Dlaczego od razu zamordowany? Podobno to wypadek. Pożar.

- Znamy takie wypadki. Ale nie rozumiem, twój Grisza ma tyle znajomości, dlaczego dzwonicz do mnie?

- Właśnie z powodu znajomości Griszy. Nie będę się zwracać do zastępcy prokuratora generalnego. I tak sam się tym nie zajmie, tylko przekaże sprawę swojemu zastępcy, a ten z kolei swojemu, a w końcu sama niczego się nie dowiem. Jedynym efektem będzie to, że sprawa nabierze rozgłosu i zaczną się plotki. Dla wielu okaże się to smakowitym kąskiem. Zlecą się dziennikarze...

- Dobra. Już rozumiem. Kiedy znaleziono zwłoki?

Nika pokrótce powiedziała wszystko, co wiedziała.

- Dobra. Zadzwoń do ciebie za półtorej godziny.

Odłożyła słuchawkę. W kuchni coś z łoskotem spadło na podłogę.

- Słuchaj, można sobie tu u ciebie połamać wszystkie kości - zawołała wesoło Zina. Stała boso pośrodku kuchni. Posadzka usiana była cukrem i odłamkami porcelany. - Wybacz, ale upuściłam cukiernicę. A tak w ogóle, w domu nie ma nic do jedzenia. Lodówka świeci pustkami. Pójdę coś kupić na śniadanie, dobra?

- Idź - odparła Nika. - Po drugiej stronie ulicy jest supermarket.

- A gdzie masz zastęp pokojówek, lokajów i kamerdynerów? Pani przyjechała, a ci nawet palcem nie kiwną.

- Specjalnie tu nikogo nie chciałam. Zresztą nie zabawię tu długo - odparła ponuro Nika, zamiatając skorupy i cukier. Zina poszła się ubrać.

Drzwi się zamknęły. Nika wrzuciła śmieci do kubła i przypomniało jej się, że zapomniała powiedzieć Zinie, żeby kupiła cukier. Sama pewnie o tym nie pomyśli i będą musiały pić gorzką kawę.

Wyszła na balkon. Mieszkanie było na trzecim piętrze, niezbyt wysoko. Zina powinna ją usłyszeć, jeśli krzyknie.

Balkon wychodził na ulicę. Nika zobaczyła, jak Zina wychodzi zza rogu budynku. Z góry wyglądała na bardzo malutką.

Nika chciała poczekać, aż Zina przejdzie na drugą stronę ulicy. Zina, nie patrząc w lewo ani w prawo, wbiegła w lukę między samochodami. Była już prawie na drugiej stronie jezdni, gdy najechał na nią duży, zielony jeep. Na pełnym gazie zrobił nagle dziwaczny skręt, zapisały hamulce, a do uszu Niki dotarł przeraźliwy krzyk i zrobiło się ciemno. Po chwili Nika uświadomiła sobie, że to ona sama krzyczała i że zrobiło się ciemno, bo zamknęła oczy.

Powinna je otworzyć, ale nie potrafiła, jakby dostała jakiegoś skurczu mięśni twarzy. Powinna była spojrzeć na dół, ale nie miała siły.

Wbiegła do pokoju i tak jak stała, w podomce i kapciach, wybiegła z mieszkania po schodach na dół, nawet nie pomyślawszy, że mogłaby zjechać windą.

- Dzień dobry, Weroniko Siergiejewna! Moje gratulacje, wczoraj widziałem... - zawołał za nią dozorca.

Nika skinęła mu w biegu, zatrzasnęła za sobą drzwi, wybiegła na podwórze i stanęła jak wryta, gdy skręciwszy, spojrzała na ulicę.

Samochody i piesi, szara, zimna mżawka. Żadnego tłumu gapiów, którzy zwykle się zbierają, kiedy...

- Twój mąż jest mordercą - usłyszała za plecami ochrypły szept; drgnęła gwałtownie, nastąpiła na skórę po bananie i omal się nie przewróciła. Ktoś przytrzymał ją mocno za łokieć.

Wysoka, chuda, starsza kobieta w słomkowym kapeluszu, ciemnych okularach, z jaskrawo umalowanymi ustami.

- Co pani powiedziała? - zapytała Nika, próbując dostrzec za szklami oczy nieznaną jej. Ale były to szkła lustrzane i widziała tylko własną twarz, pociągłą, białą, z ogromnymi oczami.

Starsza pani nadal mocno ją przytrzymywała. Nika wyrwała się i wtedy spostrzegła dokładnie pomalowane paznokcie niezgrabnych, szarych dłoni. Zobaczyła też na wierzchu tych dłoni sześć dziwnych blizn, okrągłych i

równych. Oparzenia, zanotowała w duchu Nika, jak od gaszonych papierosów. Grisza też takie miał. Jako jedenastolatek trenował wytrzymałość na ból. Jakiś głupi, szczeniacki zakład.

- Mówiłam, że ci mordercy pędzą jak szaleni - starsza kobieta wskazała na drugą stronę ulicy. - A jak pani rozumiała? - Miała niski, prawie męski głos. Szeptala głucho, szybko i jakby nerwowo.

„Może po prostu jakaś pomyłona” - pomyślała Nika i odwróciła się w stronę dziwnej, pergaminowej twarzy z jaskrawo uszmińkowanymi ustami.

- Nie, nie. Wszystko w porządku.

- Nic nie jest w porządku, moja droga - twardo zaprotestowała starsza pani. - Świat jest okrutny, nie ma litości. Proszę popatrzeć, proszę tylko popatrzeć! Nie jest to piękny widok.

Nika spojrzała w kierunku wskazanym przez jej kościsty palec i zobaczyła przejechanego czarno-białego kota.

„Czy tu w ogóle doszło do przestępstwa? - zastanawiał się kapitan Leontiew. - Co, poza bronią i narkotykami w norze babci, nie daje mi spokoju? Same przypadki, żadnej logiki ani motywu. Naprawdę, czym ja się tak podniecam? Sriednie-Zagorskij Pierieulok 40 tkwi po dach w gównie. Dwie nowiusieńkie spluwy i sto gramów prochów oraz koperta z paskami LSD - i co w tym nadzwyczajnego? Cóż to może mieć wspólnego z ciałem pisarza?”

Andriej Leontiew wezwał ekipę, która w nocy z dziesiątego na jedenastego była na miejscu pożaru. Gdy kapitan przeglądał dokumenty zgromadzone w puszcze ocalałej na parapecie i wprowadzał dane ofiary do protokołu, nie od razu skojarzył, dlaczego twarz ze zdjęcia w dowodzie wydaje mu się znajoma.

Rodzice Rakitina przebywali za granicą. Do identyfikacji wezwano byłą żonę zmarłego. Pojawiła się razem z dawną nianią Rakitina. Obie nie mogły początkowo pojąć, w jaki sposób Rakitin znalazł się w tym mieszkaniu. Jednak, kiedy poznały nazwisko właścicielki lokalu, od razu wszystko się wyjaśniło: obie od dawna znały Zinajdę Rieznikową i uznały to za prawdopodobne, że Rakitin mógł się u niej zatrzymać na jakiś czas.

A potem pojawiła się sama Rieznikowa, która oznajmiła, że faktycznie pod jej nieobecność Rakitin przebywał w tym mieszkaniu. Ona również zidentyfikowała zmarłego.

Jednak kapitan Leontiew dopiero teraz faktycznie go zidentyfikował, to znaczy zrozumiał, kto tak naprawdę stracił życie w płomieniach.

Gdy ludzie z ekipy dochodzeniowej wrócili z miejsca pożaru i siedząc w biurze, pili herbatę, palili i rozmawiali, kapitan spostrzegł nagle na biurku podpułkownika Wani Kaszina pstrokatą okładkę. Wziął ją do ręki i spojrzął na zdjęcie autora. Oczywiście, to dlatego zdjęcie legitymacyjne wydało mu się znajome!

- Wania, czy ty przynajmniej wiesz, czyje zwłoki nam się dzisiaj trafiły?
- zapytał kapitan, oddając mu książkę.

- A co? - nadstawił uszu Wania.

- To pisarz Wiktor Godunow - powiedział znacząco Leontiew i zapalił papierosa.

- A skąd panu to przyszło do głowy, panie kapitanie? Przecież ten zmarły - Wania zamrugał oczami - to Nikita Jurewicz Rakitin, rocznik tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty.

- A kogo teraz właśnie czytasz, głuptasie?

Wania wziął do ręki książkę, obejrzał okładkę, potem zdjęcie autora, a następnie powoli, sylaba po sylabie przeczytał: - Wik-tor Go-du-now, *Trium-fa-tor*. No i co?

- Rakitin to jego prawdziwe nazwisko - westchnął kapitan. - Godunow to pseudonim. A książka ci się podoba?

- Tak - przytaknął z zapalem Wania. - Jest świetna. Wczoraj czytałem do drugiej w nocy.

- Cóż. Teraz już nic nie napisze. Nie żyje.

- Zgadza się. I co?

- E, nic - machnął ręką Leontiew.

Kapitan jeszcze dobrze pamiętał, jak dokładnie przed dwoma miesiącami po raz pierwszy natknął się na książkę Godunowa. Na straganie przed metrem leżały wydania kieszonkowe w jaskrawych okładkach. Za każdym razem, kiedy Leontiew kupował sobie kryminał i przebiegał wzrokiem pierwsze strony, mówił sobie: „Nigdy więcej!”.

Od dziecka był mołem książkowym. Czytał przy jedzeniu, w metrze, nawet do ubikacji nigdy nie poszedł bez książki, ku utrapieniu całej rodziny. Ale nie mógł czytać, co popadnie.

- Proszę wziąć Godunowa - poradziła sprzedawczyni.
- Czytała go pani? - zapytał kapitan, oglądając okładkę książki zatytułowanej *Ślepa uliczka*. Widniała na niej podobizna ponurego, łysego osobnika, a w tle naga kobieta w erotycznej pozie.
- Tak. Z tych tutaj - dziewczyna z odrazą wskazała na swój kramik - tylko to da się czytać.

Sprawiała wrażenie mądrej i wykształconej. Kapitan zaufał jej i nie pożałował. Połknął książkę w dwa wieczory.

Pisarzem Wiktoorem Godunowem był więc Nikita Rakitin, który w bezsensowny sposób stracił życie w zatęchłej budzie. Do której trafił najpewniej dlatego, że miał jakieś problemy.

Leontiew zadzwonił do wydawnictwa, przedstawił się i zapytał o możliwość wglądu w recenzje książek Godunowa.

- Jak to, czyżby nadal toczyło się postępowanie? - dopytywała się zdziwiona kobieta. - Myślałam, że to był wypadek?

- Decyzja o wszczęciu postępowania jeszcze nie zapadła - mruknął niewyraźnie kapitan.

Przed nim na stole leżało postanowienie prokuratora, stwierdzające, że śmierć Nikity Rakitina była wypadkiem i nie ma żadnych przesłanek, by sądzić, że popełniono przestępstwo, a w związku z tym brak powodu do wszczęcia postępowania.

- Może pan przyjść jutro, powiedzmy koło trzeciej? Będzie rzecznik prasowy wydawnictwa, on ma całą dokumentację.

Kapitan podziękował i odłożył słuchawkę. Pół godziny później przyniesiono mu wyniki ekspertyzy, którą objęto broń i narkotyki, skonfiskowane w mieszkaniu Kudijarowej.

Numery produkcyjne na broni były starannie spiłowane, skutecznie usunięto również wszelkie odciski palców. Jednak było kilka stosunkowo wyraźnych odcisków na puszcze po kawie, w której znajdowało się sto gramów syntetycznego narkotyku. Właśnie sprawdzono je w systemie komputerowym. W opinii ekspertów należały do niejakiego Antoniego Jewgieniewicza Sliwki, urodzonego w 1962 roku. W 1983 Sliwko został skazany na dziesięć lat odsiadki za morderstwo, zwolniony w 1993, mieszkał we wsi Powarowka niedaleko Moskwy.

- No, pięknie - mruknął kapitan. - Teraz musimy poszukać tego Sliwki, czy nam się to podoba, czy nie.

„Jak mogło mi przyjść do głowy, że to Grisza jest winny?” - Nika w dalszym ciągu stała jak słup na deszczu przy skrzyżowaniu i przyglądała się starszej pani w słomkowym kapeluszu. „Dlaczego miała na sobie kapelusz i okulary przeciwsłoneczne? Dlaczego nie mogę przestać myśleć o głupotach z tego podłego anonimu? Nie mogę sobie poradzić z tym, że Nikita nie żyje. Nie wierzę w to. Ale dlaczego koniecznie chcę znaleźć winnego? Grisza to dobry człowiek. Jest moim mężem. Ojcem mojego dziecka. To przecież zdrada. Nie mam prawa...”.

- Eee, co jest? Odbiło ci? - Zina przybiegła z dwiema torbami zakupów.

- Co ty tu robisz? I to w kapciach i szlafroku?

- Ten samochód - powiedziała Nika, z trudem przełykając ślinę - zielony jeep. Nie patrzyłaś w lewo ani w prawo, przebiegłaś przez ulicę. Mogli cię przejechać.

Zina chwyciła Nikę za rękę i pociągnęła na podwórze.

- Przejechali kota, świnię - powiedziała w zamyśleniu, otwierając drzwi domu. - Proszę cię, Nika, skończ już.

- Co?

- Płaczesz.

- Ja? Rzeczywiście.

- Słuchaj, czy ty myślałaś, że ten jeep mnie przejechał?

- Tak.

- Ty, Jelagina, nie widziałyśmy się od ośmiu lat. Skąd u ciebie nagle taki niepokój o mnie? Gdyby mi się to przydarzyło w ciągu tych ośmiu lat, nawet byś się o tym nie dowiedziała. Jestem prawie żebraczką. Narkomanką i pomywaczką w barze. A ty - wydała przeciągły gwizd i znacząco spojrzała na sufit windy - ty jesteś żoną gubernatora...

Winda zatrzymała się i otwarły się drzwi. Za nimi stała sąsiadka z naprzeciwka, żona wiceministra, bujna sześćdziesięcioletnia niewiasta. Najwyraźniej usłyszała ostatnie słowa Ziny w windzie. Wpatrywała się w Nikę i Zinę przez kilka sekund i nie ruszała się z miejsca, tak że obie nie mogły wysiąść.

- Dzień dobry, Weroniko Siergiejewna, gratuluję pani i Grigorijowi Pietrowiczowi. Więc jest pani w Moskwie? Tak szybko? No tak, Grigorij Pietrowicz ma przecież własny samolot. Dobrze, że pani jest, bo wie pani, jutro odbędzie się posiedzenie komitetu mieszkańców, chodzi o kanalizację. Ale pani nie jest, mam nadzieję, chora, Weroniko Siergiejewna? Nie wygląda

pani dobrze. - Małe oczka chciwie wpiły się w Nike, jej szlafrok i kaptcie oraz spływające na ramiona, rozczochrane włosy. Potem omiotły Zinę i zarejestrowały jej wysłuchane adidas.

- Pani pozwoli - powiedziała gburowato Zina. Sąsiadka zreflektowała się i cofnęła, wprawiając w ruch własną, nadmuchaną jak beza, tlenioną na biało fryzurę.

- Weroniko Siergiejewna, czy pani dobrze się czuje? Powiedziałam dzień dobry, a pani nic.

- Proszę wsiadać, drzwi zamykać - szepnęła Zina głosem automatu.

- Co? - sąsiadka zrobiła się czerwona jak piwonia.

- Przecież pani słyszała: drzwi zamykać! Proszę się pospieszyć, nie rozdziawiać gęby. To ostatnia przejażdżka dzisiaj. Na które piętro pani sobie życzy?

- Na pierwsze - wydusiła skonsternowana sąsiadka i wsiadła do windy.

- Szerokiej drogi! - Ręka Ziny wślizgnęła się między zamykające się drzwi i nacisnęła jedynekę.

- Ależ ty jesteś nieznośna - Nika roześmiała się przez łzy. - Dokładnie tak samo jak w pierwszej klasie.

W mieszkaniu Zina położyła torby z zakupami na stole i rozpakowała: francuski camembert, zafoliowany różowy łosoś, żółty jak bursztyn jesiotr, karton soku pomarańczowego, bułki, masło, opakowanie kawy Tchibo i kilo cukru.

- Ej, pani gubernator, znów się zamieniłaś w słup soli? Przynieś przynajmniej talerze z kredensu. Słuchaj, opowiesz mi wreszcie, co zaszło między tobą a Nikitą?

- Właściwie nic takiego - Nika skrzywiła się. - Po prostu tak wyszło.

- Nonsens - pokręciła głową Zina. - Zaczęło się od tego, że zginęły rękopisy twojego ojca. Potem odkryłaś, że w wierszach Nikity zaczęły pojawiać się wersy Siergieja Jelagina. Te nieopublikowane.

Nika drgnęła.

- Skąd to wiesz?

- A potem - Zina ciągnęła, otwierając camembert - potem pokazałaś Nikicie strony maszynopisu, na których jego nowe wersy mieszały się z ukradzionymi wersami z rękopisów ojca, a on bardzo się zdenerwował, powyciągał wszystkie szuflady, wysypał ich zawartość u twoich stóp, a pomiędzy

tym wszystkim znalazł się gruby, zielony zeszyt. Ten sam, który zginął ci z mieszkania i którego długo na próżno szukałaś.

- Proszę cię, przestań! - Nika ciężko opadła na krzesło. - Przestań, ranisz mnie.

Zina szczegółowo opisała decydującą kłótnię, której Nika za żadną cenę nie chciała sobie przypomnieć.

- Doprawdy, powinieneś był to lepiej schować - powiedziałaś do Nikity i wyszłaś, trzaskając drzwiami - opowiadała dalej Zina, jakby nie usłyszała słów Niki, próbując ukroić miękki camembert. - Może powinniśmy go zjeść łyżeczką? W ogóle się go nie da kroić, tylko brudzi nóż. Więc - w rzeczywistości Nikita nie napisał tych wierszy. Sam był mocno zdziwiony, widząc zielony zeszyt w swojej szufladzie. Wiesz, jak to naprawdę było?

- Stare dzieje - powiedziała prawie bezgłośnie Nika. - Teraz to i tak bez znaczenia.

- Nie opowiadaj mi tylko, że cię to nie interesuje. Więc słuchaj. Dwójka idiotów stworzyła coś w rodzaju poetyckiego koktajlu. Wyglądało to na zabawę. Skąd to wiem? To proste: tymi idiotami byliśmy my z Griszą. To znaczy, jak się teraz okazuje, to ja byłam idiotką. O kochanym małżonku raczej trudno to powiedzieć. A zaczęło się od jednego zakładu. Twierdziłam, że prawdziwego poetę można bez trudu rozpoznać po kilku wersach, a on na to: bzdura, nikt tak do końca nie wie, czym jest prawdziwa poezja. Każdy choć trochę wykształcony człowiek, jeśli tylko się postara, jest w stanie napisać jakieś dwanaście sensownych wersów. Nie wiedziałam tylko, że te wersy, które w pocie czoła wymyślił Grisza, w rzeczywistości pochodziły nie od niego, tylko od twojego ojca. Zacytował je z pamięci, dupek. A ja myślałam, że sam to wymyślił. I odpowiedziałam mu wersami Nikity, które znam na pamięć. Sama nigdy nie pisałam wierszy, za to twój Grisza, owszem. Starał się nawet o przyjęcie do Instytutu Literackiego, w tym samym roku, co Nikita, ale nie zdał egzaminu.

- Powiedz, po co ty mi to wszystko opowiadasz?

- Tak sobie - Zina wzruszyła ramionami. - Obie siedzimy tu na śniadanku ku czci. Kogo? Nikity Rakitina. Historię waszej kłótni poznałam całkiem niedawno, kiedy przypadkowo spotkałam się z Nikitą w barze. Przez cały czas nie wiedziałam, co między wami zaszło. Oboje nie chcieliście o tym

mówić. A ja byłam ciekawa. Nawiasem mówiąc, nie wybaczył ci, że tak szybko uwierzyłaś, że jest złodziejem. Skoro mogłaś tak pomyśleć, twierdził, to znaczy, że go nie kochałaś. Jeśli sobie dobrze przypominasz, nawet nie uznał za stosowne, żeby się wytłumaczyć. Jedno tylko pozostaje zagadką: kto spisał na maszynie poetycką miksturę, na każdej stronie podpisując nazwiskiem Nikity? Kto ci to podsunął i starannie ukrył zeszyt twojego ojca w szufladzie Nikity?

- Chcesz powiedzieć, że to mógł być tylko Grisza? - zapytała przeciągle Nika.

- Ja tego nie powiedziałam - zaśmiała się drwiąco Zina. - W każdym razie mógł to być tylko ktoś z nas dwojga. Bez wątplenia nie ja. A co się tyczy Griszy, znasz swojego męża lepiej ode mnie. Chyba że się mylę. No, ale to stare dzieje i może lepiej o tym zapomnieć. W końcu strasznie cię kochał. Mam na myśli Griszę. Ze mną kręcił tylko z twojego powodu. Nawiasem mówiąc, trochę mnie tym dotknął. Tak po prostu, jako kobietę.

- Czy przypominasz sobie jeszcze jakiegokolwiek szczegóły z rozmowy z Nikitą? - zapytała dosyć spokojnie Nika.

- Z trudem - wyznała z westchnieniem Zina. - Rozmowa była długa i bardzo emocjonalna.

- Mówiłaś, że miał kryzys twórczy - powiedziała w zamyśleniu Nika - że wprowadził się do ciebie, bo potrzebował zmiany otoczenia?

- Właśnie tak.

- Miał ze sobą komputer?

- Jasne. Nowiuteńki notebook.

- A po pożarze, czy coś zostało z tego notebooka?

- Ach, daj spokój - machnęła ręką Zina. - A co mogło zostać po pożarze?

- Coś. Plastikowa obudowa pewnie się stopiła, ale taki sprzęt nie pali się doszczętnie.

- Nie było nic - szepnęła zdumiona Zina. - Nic, co by wyglądało na resztki notebooka.

Igor Zimkin, dowódca ochrony gubernatora Siniedolska, siedział już od dziesięciu minut w fotelu, palił papierosa i niecierpliwie czekał, aż jego szef raczy podnieść wzrok znad swoich papierów.

„No, woda sodowa komuś odbiła - myślał Zimkin, obserwując, jak szef czyta jakieś bzdury. - Poczuleś się potężny i ważny i zaczynasz mnie ignorować. Wydaje ci się, że skoro mi płacisz, to kupiłeś mnie całego i dlatego o jedenastej, po ciężkim dniu pracy, muszę cierpliwie czekać, aż w końcu łaskawie raczysz na mnie spojrzeć? Czy nie pojmujesz, że moja irytacja wkrótce przerodzi się w nienawiść, zdrowe uczucie, na które nic nie będziesz mógł poradzić?”

- Tak, słucham? - powiedział w końcu Rusow.

- Mamy go, Grigoriju Pietrowiczu.

- Kogo?

- No, tego z zaporozcem, który zawiózł Weronikę Siergiejewną na lotnisko.

Rusow zamarł, tylko jego oczy błędziły w tę i we w tę. Zimkin wyciągnął papierosa z pudełka, zapalił go zamaszystym ruchem, zmiótł niewidoczny tytoń ze stołu, zamilkł na chwilę, a potem powiedział bardzo cicho, szybko i niedbale:

- Byliśmy na lotnisku, aby zebrać informacje o pasażerach wiadomego samolotu. Na pokładzie, tak jak przypuszczano, znajdowała się Zinajda Rieznikowa, na miejscu obok pańskiej żony. Potem na wszelki wypadek rozejrzałem się na parking i znalazłem zaporozca. Rzadko już się trafia taki grat. Po godzinie pojawił się właściciel. Ustaliliśmy personalia: Konstantin Władimirowicz Sudarczenko, zamieszkały w Siniedolsku. Postanowiliśmy na razie zostawić go w spokoju, żeby nie robić szumu. Od drogówki wiemy, że Sudarczenko jakiś czas temu wystawił pełnomocnictwo na Iwana Pawłowicza Jegorowa, urodzonego w 1957 w Siniedolsku, obecnie zamieszkałego w Moskwie. Mamy adres i wszystkie dane. A zainteresowany również znajdował się na pokładzie.

- Proszę znaleźć stewardesę - wydusił po chwili Rusow.

- Już znalazłem - skinął głową Zimkin. - Dobrze pamiętała Weronikę Siergiejewną i tę Rieznikowa. Siedziały obok siebie i przez cały lot rozmawiały. Jegorow siedział w innym rzędzie i, według stewardesy, nie zamienił słowa ani z Rieznikowa, ani z pana żoną.

- A...ha - powiedział przeciągle Rusow. - Coś poza tym?

- Nie, to wszystko - wzruszył ramionami Zimkin. - Czy panu mówi coś to nazwisko, Grigoriju Pietrowiczu? - zapytał obojętnym tonem.

- Tak... Nie, nieważne - mruknął Rusow.

- Jakież dyspozycje odnośnie do Sudarczenki? Na wszelki wypadek dowiedziałem się, że jest dalekim krewnym Jegorowa. Pracuje jako inżynier w kombinacie. Żonaty, dwójka dzieci.

- Już dobrze - skrzywił się Rusow.

- Czyli żadnych dyspozycji odnośnie do Sudarczenki? - upewnił się Zimkin.

- Dowiedzieć się czegoś bliższego o tym Jegorowie? W Moskwie?

- Nie trzeba.

W gabinecie cicho zadzwoniła komórka.

- Możesz już iść, Igor - Rusow zniecierpliwiony machnął ręką. - Tak, proszę?

„Mógłbyś przynajmniej podziękować! Człowieku, ale ty jesteś zdenerwowany. Rączki ci się trzęsą” - pomyślał Zimkin i zamknął za sobą drzwi.

- Znowu trzy ciała - powiedział do Rusowa przez telefon ciężki bas. - Mrą jak muchy. Niedługo nikt nie zostanie. Potrzeba nowych.

- A skąd mam ich wziąć?

- Niedługo nie będzie komu pracować.

- To lepiej traktujcie tych, co zostali. Lepsze jedzenie, cieplejsze ubrania.

- Czy się będzie ich karmić, czy nie, długo nie pociągną. Potrzebujemy świeżej dostawy. Dawno żadnej nie było. I jeszcze coś. Czy twoi ludzie znaleźli tego faceta, który zostawił papiery nad rzeką?

- Tak, wszystko już załatwione.

- Naprawdę? W takim razie, kim był ten fotograf?

- Nic nieznaczący dziennikarz z Moskwy.

- Czyli problem jest rozwiązany. Jesteś pewien?

- Całkowicie.

- Dobra. To zorganizuj mi jakoś tych ludzi. Inaczej kiedyś, dziś czy jutro, kopalnia mi stanie.

- Dobra, pomyślę o tym.

- Byle szybko!

Rusow jeszcze przez kilka sekund trzymał przy uchu buczącą słuchawkę.

Nikt nie pozwalał sobie na taki ton w rozmowach z bossem Siniedolska. Nikt - poza innym bossem: mafijnym szefem Szeryfem.

Rozdział 16

Proszę wejść i usiąść. Mogę zerknąć na pańskie dokumenty? - Redaktor naczelna wydawnictwa „Kaskada”, Zoja Anatoliewna Astachowa, hoża, młodo wyglądająca kobieta o rudych włosach, przyjęła kapitana Leontiewa niezbyt przyjaźnie.

- Zoju Anatoliewno, to ja wczoraj prosiłem o wyszukanie recenzji i innych publikacji na temat Wiktora Godunowa.

- Zamierza pan szukać mordercy wśród krytyków i dziennikarzy? - zapytała drwiąco.

Ten ton nie spodobał się kapitanowi. Oczekiwał przynajmniej elementarnej uprzejmości. Na więcej nie miał na razie nadziei. Formalnie postępowanie nie zostało jeszcze wszczęte, nie miał więc podstaw do przesłuchania pracowników wydawnictwa.

- Interesuje mnie osobowość zmarłego - powiedział łagodnie. - A to, kim jest morderca, wykaże postępowanie.

- Ale z tego, co wiem, nie zostanie ono wszczęte, śmierć Rakitina to był wypadek.

- Właśnie wyjaśniamy okoliczności tego wypadku - oznajmił szybko kapitan.

- Więc to przesłuchanie? - upewniła się redaktorka bez cienia uśmiechu.

- Gromadzę jedynie istotne dla sprawy informacje - kapitan rozsiadł się wygodnie w fotelu.

Redaktorka nerwowo wyluskała papierosa z pudełka. Leontiew podsunął jej zapalniczkę i również wyjął papierosa. Przez chwilę oboje milczeli. W końcu Astachowa zamyśliwszy się, powiedziała ugodowo:

- Nikita Juriewicz był skrytym człowiekiem. Prawie nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy. Przynosił dyskietkę z gotową książką, a potem odbierał korekty. Dzień dobry, do widzenia, to wszystko.

- Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- O, już dawno. Ponad miesiąc temu. Przyjechał po pieniądze za dodatkowy nakład.

- I honorarium wypłacono mu w księgowości?

- Tak. Zgodnie z przepisami - warknęła Astachowa i Leontiew zrozumiał, że nie ma zamiaru rozmawiać o honorariach autorskich. No dobrze, zostawmy to na razie.

- Pracował nad nową powieścią?

- Tak, prawdopodobnie.

- Prawdopodobnie? - zdziwił się Leontiew. - Nie miał żadnej umowy?

- Nie zawieraliśmy żadnej wstępnej umowy.

- Ale przecież macie państwo jakieś plany wydawnicze. Musicie wiedzieć, czy autor nad czymś pracuje i kiedy mniej więcej skończy.

- Tak. Zwykle tak właśnie robimy. Ale w przypadku Rakitina było inaczej - odparła kobieta szybko. Trochę za szybko. „Najpewniej kolejna drażliwa kwestia - zarejestrował Leontiew. - No pięknie, w takim razie zmieńmy temat” - powiedział sobie i zapytał:

- Zoju Anatoliewna, proszę mi powiedzieć, co jest nie tak w nazwisku Rakitin?

- Chciałby pan wiedzieć, dlaczego Nikita Juriewicz wydawał pod pseudonimem?

- Tak. Oczywiście, jeśli to nie tajemnica.

- Żadna tajemnica - redaktorka westchnęła znużona i spojrzała na zegarek.

- Mamy już autora Nikitę Rakitina, ukazuje się w tej samej serii. Dlatego zaproponowaliśmy Nikicie Juriewiczowi, żeby przybrał pseudonim. Ale dlaczego pan pyta? U nas prawie wszyscy autorzy pisują pod innym nazwiskiem.

- Ten drugi Nikita Rakitin też?

Redaktor naczelna zaczerwieniła się jak piwonia, co rzucało się w oczy, mimo grubej warstwy pudru, ale tylko przez chwilę. Odrzuciła do tyłu swoje jaskraworude, długie, zadbane włosy.

- Tak. To też pseudonim.

Rozmowa coraz bardziej zaczynała przypominać przechadzkę po polu minowym. Leontiew ponownie zmienił temat.

- Kto pierwszy czytał rękopis nowej książki?

- Robiliśmy zawsze dwa wydruki. Jeden trafiał do mnie, drugi do prezesa wydawnictwa. Ale do czego pan właściwie zmierza? Wśród pracowników wydawnictwa Rakitin nie miał wrogów. Śmierć tak poczytnego autora jest dla nas dużą stratą.

- Tak, rozumiem - skinął głową kapitan. - Do niczego nie zmierzam. Ale krąg osób, które mogłyby nam udzielić jakichś informacji na temat Rakitina, jest bardzo wąski. Jak pani sama słusznie stwierdziła, Nikita Juriewicz był niezwykle skrytym człowiekiem. Z żoną rozstał się przed siedmiu laty, rodzice nadal nie wrócili z zagranicy, a poza tym bardzo trudno będzie z nimi rozmawiać. W końcu stracili jedyne go syna.

- Miał bardzo dobre relacje ze swoją córką - powiedziała szybko redaktorka.

- Skąd pani to wie?

- Od czasu do czasu przyprowadzał ją do wydawnictwa. Dziewczynka często u niego mieszkała. Wiem to stąd, że regularnie odbierała telefon. Chcę tylko powiedzieć, że taki całkiem samotny to on nie był. Prawdopodobnie była też jakaś kobieta. Wolny, młody mężczyzna, interesujący, tak, można by nawet powiedzieć atrakcyjny, w dodatku znany pisarz. Ma się rozumieć, musiała być również jakaś kobieta. Z tego, co wiem, to pożar wybuchł nie u niego, lecz w mieszkaniu jakiejś znajomej, u której mieszkał. Proszę powiedzieć, tak między nami... Wiem, że panu nie wolno, dobro śledztwa i tak dalej, ale mimo to: czy to było morderstwo?

Jeszcze przed chwilą kapitan miał przed sobą bezpłciową urzędniczkę, heroicznie broniącą najdelikatniejszych tajemnic służbowych i ze wszystkich sił starającą się, by nie powiedzieć niczego zbędnego. Jednak tak nagle odsłonięcie zwykłej kobiecej ciekawości wydawało się wręcz dziwne. Do tej pory Astachowa przemawiała jak robot, teraz w jej głosie zabrzmiały ludzkie tony. Uśmiechnęła się lekko, chyba po raz pierwszy od początku rozmowy.

- Właśnie to badamy - powiedział kapitan z szerokim uśmiechem. - A, właśnie, co z tymi materiałami prasowymi? Oczywiście możemy też na własną rękę poszukać wszystkiego, co ukazało się w prasie na temat Wiktora Godunowa, ale niechętnie tracimy czas nadaremno.

- Wie pan, wcale nie ukazało się tego aż tak dużo. - Na takie pytanie Zo-ja Anatoliewna wyraźnie nie była przygotowana.

- Ale macie przecież szefa działu prasowego, który śledzi wszelkie publikacje. Może nie powinienem już pani zabierać czasu, tylko zwrócić się do niego?

- Nie ma go. Dam panu numer jego komórki. Niech pan z nim porozmawia.

Gdy Leontiew zamknął za sobą drzwi, Astachowa sięgnęła po słuchawkę, potrzywała ją przez chwilę w rękę i znów odłożyła na widelki. Wstała, podeszła do okna, popatrzyła w ślad za odchodzącym kapitanem i odwróciła się wystraszona, gdyż miała wrażenie, że mężczyzna w każdej chwili może się obejrzeć. Potem wyjęła papierosa; przez chwilę na próżno pstrykała zapalniczką - trzęsły jej się ręce.

- Co za idiota - mruknęła i pokręciła głową. - Mój Boże, jaki idiota! Od razu mu mówiłam...

Gdy papieros wreszcie się zapalił, zaciągnęła się łapczywie, podeszła zdecydowanym krokiem do biurka, sięgnęła po słuchawkę i wybrała numer, który jednak nadal był zajęty.

* * *

Minęły już ponad dwie godziny i Pietia Łukianow nadal nie oddzwaniał. Nika wybrała jego numer.

- Wiesz co, Jelagina - powiedział po dłuższej pauzie - nie będę się mieszał w tę sprawę. I ty też nie powinnaś.

- Co? - zapytała, niczego nie rozumiejąc, Nika.

- Twoją pierwszą miłość skremowano.

- Jak to? Kiedy?

- Dzisiaj w nocy. Przez pomyłkę. Koniec, kropka. Nie mogę o tym mówić. W każdym razie nie przez telefon.

- Musimy się spotkać.

- Mam dwójkę dzieci.

- Wiem. Ale czy z tego powodu nie wolno ci się spotkać z koleżanką ze studiów? Jeśli kryje się za tym coś niebezpiecznego, zrzucisz to na mnie. Już ja się tym zajmę.

- Dobra. Wybacz. Wiem, że to nienormalne. To mów, kiedy i gdzie? Może w „Amerykańskim Barze” na placu Majakowskiego?

- Bardzo sprytnie - Nika uśmiechnęła się do słuchawki. - Za półtorej godziny.

To naprawdę było sprytnie. W restauracji istniało niebezpieczeństwo, że mogliby natknąć się na któregoś ze znajomych Rusowa. Poza tym nie można było wykluczyć, że rozmowa byłaby podsłuchiwana przez kogoś z bezpieki albo przez jakichś bandziorów. Za to „Amerykański Bar” był skromnym, a w dodatku gwarowym miejscem.

Gdy godzinę później Nika w ciemnoniebieskiej toyocie skręcała na Sadowoje Kolco, ze zdziwieniem stwierdziła, że śledzi ją szary mercedes.

- No, dzień dobry - mruknęła, zjechała na prawy pas i zwolniła. - Tego mi tylko brakowało.

Odczekała, aż mercedes odpowiednio się zbliżył, zahamowała ostro i wysiadła. Mercedes też się zatrzymał. Siedziało w nim dwóch młodych mężczyzn, Stasik i Kostik. Obaj z ochrony męża. Ci sami, którzy odebrali ją z lotniska.

- Co jest grane, chłopaki? - rzuciła zirytowana przez otwartą szybę.

- Rozkaz Grigorija Pietrowicza - wzruszył masywnymi ramionami Kostik.

- Anulowany - oświadczyła energicznie Nika.

- Co anulowane?

- Rozkaz Grigorija Pietrowicza.

- Nie wolno nam, Weroniko Siergiejewna - westchnął Stasik. - Ale bez obaw, nie będziemy pani obciążać.

Nie wchodząc w dyskusję, Nika wróciła do swojego samochodu, wyjęła z torebki komórkę i wybrała numer specjalnego telefonu Rusowa, który zawsze odbierał osobiście.

- Niko, moja dziewczyno, gdzie jesteś? - zapytał, nie zdziwiony wcale jej telefonem.

- Grisza, powiedz swoim goryłom, żeby zostawili mnie w spokoju. Nie podoba mi się to.

- Ale co się stało, słońce? Dlaczego jesteś taka nerwowa?
 - Ze mną wszystko w porządku. Tylko odwołaj tych ochroniarzy.
 - Ani myślę.
 - Jak mam to rozumieć, Grisza?
 - Jesteś teraz żoną gubernatora i w takim wypadku ochrona jest obowiązkowa. Dlaczego nagle stałaś się taka narwana. Przeszkadzają ci? A może masz randkę? - zaśmiał się krótko, ale było to sztuczne i wymuszone.
 - Tak, Grisza. Mam randkę - westchnęła Nika.
 - A z kim to?
 - Ze starym znajomym ze studiów - powiedziała Nika tak obojętnie, jak to tylko możliwe. - Pewnie go nie będziesz pamiętać.
 - Jak to? Świetnie pamiętam wszystkich twoich kolegów ze studiów, z którymi utrzymujesz kontakt. No to z kim ta randka?
- „Nie mogę podać nazwiska.... ale nie mogę też skłamać. I tak się dowie. Całkiem możliwe, że domowy telefon jest na podsłuchu. Mój Boże, co to wszystko ma znaczyć” - pomyślała Nika i zagruchala do słuchawki:
- Och, Grisza, strasznie się spieszę, i tak już jestem spóźniona. Buzi!
- Nigdy nie uderzała w takie tony, nie było to w jej stylu. Uważała, że to ohydne.
- Czekaaj, jeszcze nie skończyliśmy - głos Rusowa brzmiał teraz ostrzej. - Wsiadaj do wozu chłopaków, porozmawiamy po drodze. Więc z kim masz tę randkę?
- „Wie, z kim się spotkam i gdzie, wie, o czym chcę porozmawiać z Pietią, całkiem możliwe, że już dzisiejszego wieczoru otrzyma faksem wydruk podsłuchanej rozmowy. Co jest, czyżbym uważała, że to mój mąż zabił Nikitę? Czy naprawdę tak myślę? Czyżbym wierzyła w ohydny anonim?”. To wszystko w jednej chwili przemknęło jej przez głowę, a potem całkiem spokojnie, bez gruchania i drżenia głosu powiedziała:
- Spotykam się z Pietią Łukianowem. Pamiętasz go?
 - Oczywiście. Czy to nie ten, który został patologiem?
 - Tak. Wybacz, że się tak uniosłam. Ciągle nie mogę się przyzwyczaić do roli pani gubernator i jestem strasznie wykończona. Sam rozumiesz.
 - Kocham cię. Bądź mądrą dziewczyną. Oszczędzaj nerwy i uważaj na siebie.

Spodziewała się, że zapyta o Zinę Rieznikową, ale nie zrobił tego, a na opowiadanie czegoś w rodzaju: „Aha, jeszcze ci nie mówiłam...” nie miała po prostu siły. Wyjęła torebkę z toyoty, wsiadła do mercedesa i uśmiechnęła się przyjaźnie do Stasika i Kostika.

- Do „Amerykańskiego Baru” przy placu Majakowskiego. Tak szybko, jak się da. A potem niech któryś odprowadzi moją toyotę do garażu.

* * *

Kapitan Leontiew chciał jeszcze raz zebrać szczegółowe informacje na temat właścicielki spalonego mieszkania. Ich pierwsza rozmowa była krótka i pobieżna.

W dniu pożaru Zinajda Rieznikowa niezwłocznie wróciła z Petersburga i bez wahania zidentyfikowała ciało przyjaciela z młodości. Na pytanie, dlaczego Nikita Rakitin, posiadający trzypokojowe mieszkanie w centrum Moskwy, wprowadził się do jej ciasnej nory, Rieznikowa pouczającym tonem oznajmiła, że kreatywne jednostki potrzebują od czasu do czasu zmiany otoczenia. I tym wyjaśnieniem wszyscy się zadowolili. A niby czemu nie? To był wypadek, więc po co się w tym babrać. Ci pisarze mają swoje dziwactwa. Jednak teraz kapitan musiał koniecznie porozmawiać z Rieznikową. A ta zniknęła.

W domu kapitana zadzwonił telefon.

- Andriusza, do mnie, ale już! - polecił naczelnik, podpułkownik Zaj-dow.

Podpułkownik Zajdow Anwar Zajdowicz nie wzywał swoich podwładnych z byle powodu. Przyjazny i towarzyski, urodzony w Moskwie Azer lawirował jak umiał w skomplikowanym świecie stosunków między milicją a mafią. Każdy wiedział, że ma trochę grzechów na sumieniu, ale nie ponad dopuszczalną normę, wynikającą z jego stanowiska.

Łapówki brał Zajdow ostrożnie i z głową; ma się rozumieć, osłaniał rodaków prowadzących wątpliwe interesy, ale możliwie taktownie i z umiarem. Nigdy bezpodstawnie nie uraziłby podwładnego. Ogólnie rzecz biorąc, dobry był z niego człowiek i znośny szef.

Mięsisty tłuścioch z bujną śnieżnobiałą grzywą i czarnymi jak smoła brwiami a la Breżniew, Zajdow rozpierał się w swoim fotelu jak sułtan. Był ponury i oficjalny.

- Proszę, wejdź. Najwyraźniej masz za dużo czasu, co? - powiedział Zajdow, nie patrząc na kapitana i nie proponując mu, by usiadł, po czym energicznie zgasił ledwie zaczętego papierosa. - Prowadzisz sobie prywatne dochodzenia, co?

- W jakim sensie?

- W jakim celu byłeś w wydawnictwie?

Kapitan usiadł i wetknął sobie papierosa do ust.

- Anwarze Zajdowiczu, zajmuję się sprawą o nielegalne posiadanie broni. Ścigam niejakiego Antona Jewgieniewicza Sliwkę, skazanego za zabójstwo...

- Bądź cicho i posłuchaj! - Zajdow uderzył dłonią w stół. - U kogo znaleziono broń i narkotyki? U tej.... jak jej tam?

- Kudijarowej - odpowiedział kapitan.

- Zgadza się. U Kudijarowej. To czego, u diabła, chcesz od tego Sliwki? On nie istnieje. Stara nimfomanka świruje. Jest stuknięta, ma to na piśmie. Broń i narkotyki zostały już skonfiskowane. Możemy w każdej chwili przymknąć tę babcię. Więc po co robisz taki szum?

- A odciski palców, Anwarze Zajdowiczu? Stwierdzono, że odciski palców na puszcze należą do tego Antoniego Jewgieniewicza Sliwki, skazanego za zabójstwo...

- Przed piętnastoma laty - przypomniał mu Zajdow. - I w całości odsiedział swój wyrok.

- To prawda. Ale zniknął.

- A skąd wiesz, że istnieje? Ze słów starej? Może ten twój Sliwko od dawna nie żyje i tylko się naszej babci przyśnił.

- A te odciski palców na puszcze z narkotykami to też sen? - spytał ponuro kapitan.

- Słuchaj no, nie odgrywaj mi tu niewiniątka! Gadaj krótko i na temat. Co to ma znaczyć?

- Przypuszczam, że Nikita Rakitin został zamordowany. Ten wypadek został upozorowany, i to przez zawodowca. A tym zawodowcem mógł być Antoni Sliwko.

- Aha, rozumiem, chcesz... - Zajdow westchnął ciężko. - Już mi tu zrobili sajgon z twojego powodu, Leontiew. Co cię podkusiło, żeby węszyć w wydawnictwie?

- Co to znaczy, węszyć? Uznałem za konieczne porozmawiać z pracownikami wydawnictwa, które publikuje książki ofiary. W ramach działań operacyjnych.

- Jeśli ten twój pisarz naprawdę został zamordowany na zlecenie, to sprawa całkiem innego kalibru. Słuchaj, czy ty tego nie rozumiesz?

- Nie.

- Ktoś z wydawnictwa zadzwonił do samego Czuriczenki, i to wnerwiony jak cholera. Że co to ma być, że przylazł jakiś kapitanek i przeszukiwał redaktor naczelną. Czuriczenko zaraz zasięgnął języka i dowiedział się, że tam w ogóle nie ma sprawy o morderstwo. I za to zmył mi dzisiaj głowę jak smarkaczowi. Czy teraz mnie zrozumiałeś, Andriusza? Czy może potrzebujesz dalszych wyjaśnień?

- Zrozumiałem - kiwnął Leontiew. - Wie pan co, Anwarze Zajdowiczu? Uważam, że powinniśmy wnioskować w prokuraturze o nakaz obdukcji.

- Mało ci niewyjaśnionych przypadków? W co ty się mieszasz? A przede wszystkim - po co?

- No przecież mówiłem. Mam podstawy, żeby sądzić, iż Rakitin został zamordowany. I uważam, że w związku z nowymi okolicznościami należałoby wszcząć postępowanie. A przede wszystkim należy przeprowadzić obdukcję.

- Co to za nowe okoliczności? - Zajdow zmarszczył czoło.

- Wszystko jest w moim raporcie. Raport leży na pana biurku.

- To, co tu rozważamy, wygląda jak kiepski film. - Podpułkownik zapalił papierosa i rozsiadł się w fotelu. - Zły szef trzyma z mafią i powstrzymuje bohatera, swojego podwładnego, by ten nie zdemaskował sprawcy. Ale to nie jest film, Andriusza. Nie jestem łobuzem, i jeśli w tej sprawie z pisarzem rzeczywiście mamy do czynienia z morderstwem na zlecenie, to jestem po twojej stronie. W takim wypadku będziemy musieli poszukać mordercy i zleceniodawcy! Ale wiem, że nie znajdziemy żadnego z nich. I ty też to wiesz. Profesjonalne upozorowanie mówi samo za siebie. Jeśli teraz narobimy szumu, to może w obliczu nowych okoliczności rzeczywiście zostanie wszczęte postępowanie, przy czym się tak bardzo upierasz. Ale jedyne, co z tego wyniknie, to kolejny niewyjaśniony przypadek w statystykach. Chcesz tego? Ja nie. W naszym rejonie i tak Wyjaśniamy maksymalnie czterdzieści

procent spraw. I co my zrobimy z kolejną niewyjaśnioną sprawą, a w dodatku z takim klopsem? Komu to potrzebne? Komu się od tego zrobi lepiej? Martwemu pisarzowi? Nie jesteśmy w kinie, Andriusza. Tu nie ma lajdaków i bohaterów. Tylko zwykłe niechlujstwo.

- Niechlujstwo?

- Właśnie - pokiwał głową Zajdow. - Ciało twojego pisarza zostało skremowane dziś w nocy.

- Skremowane? Ale rodzice przyjeżdżają dopiero dzisiaj, więc jak mógł zostać już skremowany? Przecież to niedozwolone bez zgody najbliższych!

- U nas wszystko jest możliwe. - Zajdow zmarszczył brwi. - Został zarejestrowany jako „niemający krewnych” i jakimś matołowi w kostnicy coś tam się pomieszało. Cóż, typowy chlew.

- Anwarze Zajdowiczu, czy ja dobrze pana rozumiem? Zabrania mi pan zbierania informacji w związku z narkotykami i bronią?

Zajdow długo milczał. Tak długo, że kapitan zaczął podejrzewać, iż jego szef zasnął. Nisko spuścił głowę, a jego oczy zniknęły pod krzaczastymi brwiami. W końcu powoli i beznamiętnie, nie patrząc na niego powiedział:

- Ależ zbieraj, zbieraj, jeśli ci to sprawia frajdę.

Gdy Leontiew otworzył drzwi, usłyszał jeszcze, jak szef mamrocze:

- Ale obawiam się, że dużej frajdy z tego mieć nie będziesz. Podobnie jak ja.

Rozdział 17

Witaj, Nika. Miło cię znowu zobaczyć. Co prawda okazja paskudna, ale i tak się cieszę, że się spotykamy. - Pietia Łukianow objął i pocałował Nikę.

Jako student był chudy jak szkielet, na długim cienkim nosie miał przedwojenne okrągłe okulary, a na głowie kasztanowe, sięgające do ramion loki, ubierał się w bryczesy ze skórzanymi łątami na kolanach, prehistoryczną półwojskową kurtę i ciemnozielony filcowy kapelusz. Wyglądał jak skrzyżowanie inteligenta z anarchistą.

Teraz stał przed Niką wysoki grubas w porządnym ciemnoszarym garniturze, z krótko ostrzyżonymi włosami, okrągłą bródką i w całkiem zwyczajnych okularach - przydymionych szklach w drogich włoskich oprawkach.

Gdyby nie regularne zjazdy absolwentów, Nika nigdy by go nie poznała.

- Powiedz, dlaczego ty się właściwie wcale nie zmieniłaś? Trzymasz na strychu jakiś portret, jak Dorian Gray, i on starzeje się za ciebie?

Poszli za kelnerem do stołu na rogu i zabrali się za studiowanie długiej karty dań.

- Słuchaj, czy tu naprawdę nie ma jakichś pluskiew pod stołem? - zapytał strapiony Pietia ze wzrokiem wbitym w kartę.

- Chyba nie - wzruszyła ramionami Nika. - Ale jeśli się boisz, to pogadajmy sobie o wszystkim, a potem spacerujemy się po bulwarze.

- A twój szofer z barami jak Schwarzenegger będzie jechał za nami w tempie marszowym?

- Nie. Zaczeka na rogu. Co z tobą, Pietia? - spostrzegła na jego czole krople potu.

Pojawił się kelner.

Pietia przestraszony podniósł głowę.

- Dla mnie jakieś owoce morza, nie tuczą. I wytrawne wino.

- Proszę dwa razy sałatkę z małży, świeże warzywa, dwa razy krewetki w sosie czosnkowym i butelkę białego wina, wybór pozostawiamy panu.

- A do krewetek? Ryż czy frytki?

- Dla mnie nic - Pietia zdecydowanie pokręcił głową. - Właśnie próbuję zrzucić.

Kelner pokiwał wyrozumiale głową i spojrzał pytająco na Nikę.

- Dla mnie też bez niczego.

Gdy kelner sobie poszedł, Pietia otarł czoło papierową chusteczką, a potem rzucił Nice szybkie spojrzenie.

- Bardzo mi przykro z powodu Godunowa. Oczywiście żaden ze mnie ekspert, ale uważam, że ten autor był jednym z lepszych. Lecz jeszcze bardziej szkoda mi Nikity Rakitina, chłopaka, który codziennie odbierał cię z instytutu. Sam nie wiem, dlaczego tak dobrze go pamiętam. Może dlatego, że trochę mu zazdrościłem.

- Zazdrościłeś?

- Zobaczyłem raz jego oczy, kiedy wyszłaś mu na spotkanie. Miał ten dar bycia szczęśliwym. Rozumiesz, co mam na myśli? Być nieszczęśliwym, to potrafi każdy. Większość ludzi czuje się pewniej, jeśli ma trudności lub problemy. Jedni potrzebują ich jako napędu, inni jako usprawiedliwienia. Za to bycie szczęśliwym jest niewygodne i niestosowne. Można zostać uznanym za pijanego albo po prostu za idiotę. Tylko nieliczni bywają szczęśliwi nie z głupoty lub nietrzeźwości, tylko z głowy. Do tego potrzeba nie tylko rozumu, ale i talentu, żeby umieć rozpoznać, jakim cudownym w gruncie rzeczy prezentem jest życie. Każde życie, również ostatniego dziada czy miłośnika tanich win. Brzmi to pewnie trochę zabawnie w ustach kogoś, kto codziennie grzebie w zwłokach, co?

- Nie - pokręciła głową Nika. - Akurat w twoich ustach brzmi to całkiem przekonująco.

Przyszedł kelner. Podczas gdy rozkładał talerze, Pietia w milczeniu palił papierosa, zerkając przelotnie na Nikę, odgradzony od świata swoimi przydymionymi okularami.

- Pietia, jeśli się boisz, że nas podsłuchują, w co raczej wątpię... - powiedziała Nika, kiedy kelner odszedł.

- Nie żebym się bał - Łukianow wzruszył ramionami - ale wolałbym porozmawiać gdzieś na zewnątrz. Stałem się tchórzem, Niko. Mężczyźni wstyd się do tego przyznać, ale nie przyznawać się i robić z tego tajemnicę to jeszcze większy wstyd.

- Jesteś jakiś nerwowy. Zmęczony?

- Moi zmarli to bardzo przyjazny ludek. Nie to, co na urazówce.

- Żałujesz, że zdecydowałeś się na medycynę sądową? Pamiętam, że na pierwszym roku w kostnicy zrobiłeś się biały jak kreda.

- A na ostatnim roku jeszcze bledszy. Ale nie w trakcie sekcji. Im głębiej wchodzę w medycynę, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że nic nie wiem.

- Byłeś jednym z najlepszych na roku. Byłby z ciebie dobry diagnosta.

- Też tak myślę. Mam niewiele błędów na koncie. I od moich błędów nikt jeszcze nie umarł. Za to codziennie stykam się z błędami innych. Wiesz, co mnie najbardziej dobija? Nie roztrzaskane czaszki i pokawałkowane ciała, bo one stanowią powszedni horror. Tu przynajmniej wiadomo, że to dzieło mordercy. I że za to odpowie, oczywiście pod warunkiem, że zostanie znaleziony. Dobijają mnie zmarli, którzy mieli szczęście. Których leczono rzetelnie i sumiennie, przy użyciu najnowszej techniki i najdroższych preparatów, zgodnie z regułami sztuki. A i tak umarli w wieku trzydziestu pięciu lat.

- Ależ, Pietia, o czym ty mówisz? Medycyna nie jest wszechmogąca. Nikt nie jest zabezpieczony przed błędami i wypadkami. A w onkologii i tak nic nie działa...

- Wiesz co, Nika, muszę ci powiedzieć coś straszego. Na szóstym roku studiów zdałem sobie sprawę, że prawie wszystkie obszary medycyny to abstrakcyjne, martwe dziedziny, bez jakiegokolwiek praktycznego zastosowania. A dzisiaj dzień po dniu mi się to potwierdza. Dlaczego tak na mnie patrzysz? Bez obaw, nie zwariowałem jeszcze przy moich nieboszczykach.

- Pietia, moja urazówka to nie jest żadna abstrakcyjna, martwa nauka.

- Wiem, Nika, dobra z ciebie lekarka. Bo jesteś mądra i odpowiedzialna. Plus wiedza i doświadczenie. Pracujesz rękami i głową, nigdy byś nie leczyła kataru końską dawką sulfonamidu i glikokortykoidu.

- Powiedz, zdarza ci się coś takiego?

- Na każdym kroku. Choćby wczoraj przywieziono mi kobietę, trzydzieści dwa lata, dwójka małych dzieci. Przeglądam jej historię choroby i stwierdzam, że wcale nie była chora. Patrzę na akt zgonu i zdaję sobie sprawę, że uśmiercono zupełnie zdrową osobę. Oczywiście niechęć i bez żadnej żądzy zysku. Miała prostą neurozę. Żyła ze swoją teściową w kawalerce. Potrzebowała po prostu odpoczynku, zmiany otoczenia. Ale nie miała ani czasu, ani pieniędzy, poza tym dzieci były jeszcze małe. A do tego wiara w dobrego wujka doktora, który wszystko naprawi i wyleczy. Tyle że trafiła nie na dobrego wujka doktora, tylko na głupią gęś. Ta bez jakiegokolwiek badania zapisała jej górę psychotropów i hormonów. W końskich dawkach. W tkankach zaczęła gromadzić się woda, ale lekarka swoje: „W porządku, ko- chaneczko, tylko trochę przybierzesz na wadze”. Tymczasem nadnercza już szlag trafił. Robiłem jej obdukcję i wiesz, to było gorsze niż badanie poćwiartowanego ciała ofiary szaleńca. O wiele gorsze, wierz mi. Kiedy widzę, jak młody, zdrowy organizm jest niszczone od środka, i to nie przez truciznę, kwas siarkowy, tylko przez niewinnie wyglądające tabletki, które można kupić w aptece bez recepty... Bez tej idiotki z przychodni rejonowej pożyłaby pewnie jeszcze z pięćdziesiąt lat.

- No pięknie, to co proponujesz?

- Nie wiem. Powiem ci tylko jedno. Żal mi tej kobiety. Była młoda i piękna. Oczywiście, głupia i po części sama sobie winna. Musiała przecież wiedzieć... Chociaż nie, nie musiała. Stary dureń ze mnie, nie mogę się odzwyczaić od współzucia. Porusza to we mnie jakąś czułą strunę. Ale w ten sposób jeszcze nigdy nie udało mi się przywrócić kogoś z zaświatów.

- Powinieneś być raczej zostać praktykiem. Wtedy przynajmniej od czasu do czasu mógłbyś sprowadzić kogoś z zaświatów.

- Już dobra, Nika. Nie słuchaj tego, co tu gadam. Po prostu kiepsko się czuję. Bo w raporcie wszystko sformułowałem dość oględnie, żeby nie robić koleżance koło pióra. I upieczę jej się, nawet nie podejrzewa, co narobiła. I czuję się kompletnie do dupy. Wiesz, gdyby nie ta historia, to nie odważyłbym się pewnie powiedzieć ci czegośkolwiek o twoim Nikicie.

- Jeszcze nic mi nie powiedziałaś - przypomniała mu Nika.
- Przecież uzgodniliśmy, że nie tutaj. Tylko jedno ci tu powiem: został zamordowany. To nie był wypadek, tylko zabójstwo na zlecenie, profesjonalnie wykonane i uporzokowane na wypadek.

- Chwileczkę, to jednak była obdukcja? - zapytała Nika słabym głosem i wypła łyk mineralnej.

- Nie - pokręcił głową Pietia - i już nie będzie.

- Ale skąd w takim razie możesz wiedzieć...?

- Już mówiłem, później. Nie tutaj. - Pietia zamilkł. Do ich stolika zbliżał się ochroniarz Kostik.

- Proszę wybaczyć, Weroniko Siergiejewna. Zostawiła pani komórkę w samochodzie, zadzwonił Grigorij Pietrowicz i mówi, że musi z panią pilnie porozmawiać.

- Nika, słońce moje - usłyszała nieco podenerwowany głos męża - wybac, że ci przeszkadzam. Mítia dzwonił.

- Czy coś się stało? - zapytała wystraszona Nika. Syn rzadko rozpieszczał ich telefonami ze Szwajcarii.

- Nie, wszystko w porządku. Po prostu się stęsknił. Niedługo zaczną się egzaminy. Pomyślałem sobie: może powinnaś tam pojechać? Mogłabyś się zatrzymać w jakimś spokojnym hotelu koło szkoły, troszkę sobie wypocząć i zobaczyć się z synem.

- Dobrze, Grisza. Pomyślę o tym. Dziękuję za telefon.

- Pozdrów ode mnie Pietię Łukianowa. Powiedz mu, że bardzo dobrze go pamiętam.

- Zrobię to. Całuję.

Zamknęła telefon i oddała go ochroniarzowi.

- Proszę go lepiej zatrzymać, Weroniko Siergiejewna. Jeszcze tu pani pewnie chwilę posiedzi. - Rzucił okiem na nietknięte potrawy. - Kto wie, może ktoś jeszcze zadzwoni.

- Dobrze, Kostia - Nika skinęła głową i wsadziła telefon do torebki. - Dziękuję.

Do momentu, kiedy ochroniarz wyszedł z restauracji, oboje się nie odzywali, a Pietia skupił się na krojeniu krewetek widelcem.

- Serdeczne pozdrowienia od mojego męża - powiedziała Nika i zapaliła papierosa.

- O? Kiedy zdążyłaś mu powiedzieć o naszym spotkaniu?

- Rozmawiałam z nim w drodze.
- Szczerze mówiąc, twój Grisha nigdy nie wydawał mi się sympatyczny - powiedział zamyślony Pietia i wetknął sobie połówkę krewetki do ust.
- Widziałeś go najwyżej dwa razy. Na naszym weselu, a potem jeszcze raz, na zjeździe absolwentów przed pięcioma laty. A właśnie, kazał ci powiedzieć, że cię dobrze pamięta.

Twarz Łukianowa spochmurniała. Spojrzenie na chwilę znieruchomiało. Znowu wydawało się, że jest odgradzony od świata swoimi przydymionymi szklami.

- Zakładam, że nie muszę cię specjalnie prosić, żebyś nie powtarzała mi naszej rozmowy? Jeszcze raz cię przepraszam, ale mam sporo do stracenia - kąciki ust zadrżały mu znacząco.
- Ma się rozumieć, Pietia. Ani jemu, ani nikomu innemu.

Kiedy w końcu zjedli ostygłe krewetki, a potem jeszcze wypili kawę i wyszli z restauracji, już zmierzchało. Niebo było teraz bezchmurne; przejrzyste, spokojny wieczór.

- Weroniko Siergiejewna! - jeden z ochroniarzy wyskoczył z auta i rzucił się w jej stronę.

- Nie tak gwałtownie, Kostik. - Nika pokręciła głową. - Usiądź sobie, rozluźnij się. Przespacerujemy się jeszcze trochę bulwarem. Za czterdzieści pięć minut będę w aucie.

- Co za życie - westchnął Pietia. - Czy ta ich troska nie jest przesadna?

- Wcześniej nie mieliśmy ochrony. Ale żony gubernatorów obowiązkowo muszą ją mieć. - Nika roześmiała się szyderczo. - Tak, to trochę uciążliwe.

- Więc co się tyczy twojego Nikity... - Pietia mówił teraz cicho i pośpiesznie. Nika musiała wziąć go pod ramię i iść tuż przy nim. - Najważniejsze już powiedziałem. To było zabójstwo na zlecenie. Kto to zlecił, nie wiem. Z dokumentów wynikało, że nieboszczyk nie ma krewnych i ciało przeznaczono do kremacji w trybie przyspieszonym. Formalnie wszystko jest czyste. No, prawie.

- Czyste? Kremacja bez zgody krewnych? I to w przyspieszonym trybie? To przecież rażące wykroczenie przeciwko przepisom. Jutro przyjadą rodzice i będzie to dla nich dodatkowy szok. Jestem pewna, że tego tak nie

zostawią. Są prawosławni i nigdy by się nie zgodzili na kremację.

- Powiedzą im: „Przepraszamy, to było niedopatrzenie”. Gdyby byli w Moskwie, ale on tu nie miał żadnych krewnych, nikogo, kto w przeciągu trzech dni zażądałby wydania zwłok, a chłodni jest mało. Jakiś wykończony, bezradny typ w rejestracji, pijany facet od mycia zwłok, bałagan w papierach, ogólne niedbalstwo. Nie ma winnych. Powszechna praktyka przy tuszowaniu upozorowanych morderstw na zlecenie.

- Czy ty nie przesadzasz, Pietia? Może to jednak naprawdę było zwyczajne niedbalstwo.

- Teoretycznie możliwe - skinął głową Pietia. - Ale nie w tym zakładzie, do którego zabrali Nikitę. Tam wszystko jest na najwyższym poziomie, bardzo starannie dobrano pracowników. Nawet jeśli z zewnątrz wygląda jak typowy postsowiecki chlew. Przypominasz sobie przypadek bandy morderców i spekulantów mieszkaniowych?

- Tak, słyszałam o tym. Przymuszali starych ludzi, pijaków i niepełnosprawnych do podpisania pełnomocnictw, a potem wyprawiali na tamten świat. Z tego, co wiem, współdziałali tam z nimi jacyś lekarze, którzy załatwiali klonidynę. Ale trafili przecież za kratki. I co to ma wspólnego z zakładem pogrzebowym?

- Zgadza się, trafili za kratki, ale nie wszyscy. Było kilka osób w zakładzie, którzy na skutek rzekomych błędów w papierach i przepelnionych chłodni przedwcześnie skremowali ofiary. Na aktach zgonu znajdował się albo zawał, albo udar. Za to podczas obdukcji stwierdzono zatrucie. I te kremacje przez pomyłkę ciągle mają miejsce. Tyle, że zleceniodawcy się zmienili.

- Chwileczkę, nie rozumiem. Przecież większość morderstw na zlecenie w naszych czasach nie jest pozorowana. Zatrudnia się strzelca wyborowego albo wysadza w powietrze samochód i nie znajduje się ani mordercy, ani jego zleceniodawcy. Procent wyjaśnionych przypadków jest znikomy.

- Mimo to wypadek jest zawsze lepszy. Przy zabójstwie na zlecenie bardzo szybko ustala się krąg podejrzanych, ale ciężko wskazać winę konkretnej osoby. Ale należenie do kręgu podejrzanych nie jest przyjemne. Szczególnie, jeśli człowiek nie jest kryminalistą, tylko porządnym i wysoko postawionym urzędnikiem państwowym. To psuje opinię, prowadzi do

brzydkich plotek i wścibskich pytań dziennikarzy, a co za tym idzie, do triumfu przeciwników i konkurentów. Więc inscenizuje się wypadek. Im droższy i bardziej skomplikowany, tym lepiej. - I myślisz, że tak właśnie było w przypadku Nikity?

- Mógłbym uwierzyć, że pisarz Godunow stracił życie przez lekkomyślne używanie urządzeń elektrycznych albo zginął w pożarze, ale wtedy jego zwłoki nie zostałyby przewiezione akurat do rzeczonoego zakładu pogrzebowego, a potem przez nieuwagę spalone. Nie wierzysz mi? - Pietia nagle przystanął i zdumiony spoglądał na Nikę jasnoszarymi oczami.

- Owszem, owszem, wierzę w każde twoje słowo - uspokoiła go.

Nagle ogarnęła ją gęsta i przytłaczająca obojętność. Wyobraziła sobie gorliwych mężczyzn w zakładzie pogrzebowym, otrzymujących pieniądze od równie gorliwego mężczyzny za usunięcie zwęglonego ciała Nikity Rakitina, wszystkiego, co zostało z jej pierwszej i w istocie jedynej miłości. Założywszy nawet, że - nie bacząc na własne życie - byłyby w stanie zidentyfikować sprawców, co by to zmieniło?

- Rozumiem cię - powiedział cicho Pieria. - Myślisz sobie teraz, że i tak nie wrócisz mu życia. Już jestem cicho. Prowadzisz bezpieczne, uporządkowane życie: mąż, syn, dużo pieniędzy, troskliwa ochrona. Nie powinnaś się bawić w prywatnego detektywa. Kiedy wetkniesz w to swój nos, to nie uratuje cię nawet twoja ochrona.

Rozdział 18

- Co

-Co? Skremowany?! - Rakitin wpatrywał się w okrągłą, uprzejmą twarz dziewczyny z domu pogrzebowego i poczuł, że jeszcze chwila, a rzuci się na tę kędzierzawą kożę z pięściami.

- Ależ, Jurij, nie unoś się - Olga Rakitina położyła lodowate palce na dłoni męża.

- Miejsce w chłodni ma swoją cenę. Jeśli zmarły trafia tu z zakładu pogrzebowego, to firma przelewa nam konkretną sumę. Jeśli z milicji lub karetki - zatrzymujemy go do dyspozycji prokuratury. Jeżeli nie otrzymujemy dyspozycji, zawiadamiamy krewnych, i to z nimi ustalamy warunki i okres przechowywania zwłok. Z tego, co mi wiadomo, przebywali państwo za granicą. Poza państwem zmarły nie miał innych krewnych. Powtarzam jeszcze raz, pragnę państwa bardzo przeprosić. Urnę otrzymają państwo w krematorium Nikolo-Archangielskim.

- Nie może być! Proszę jeszcze raz sprawdzić w papierach, pani się na pewno myli! Coś takiego nie zdarza się w żadnym kraju świata, to barbarzyństwo, żeby kremować kogoś bez zgody krewnych.

- W papierach mam to czarno na białym. Już raz sprawdzałam. Administracja wyśle państwu oficjalne przeprosiny.

- Do diabła, cóż mi po państwa przeprosinach? Jak coś takiego mogło się zdarzyć? Jak? Gdzie jest pani przełożony?

Rakitin nie krzyczał. Od trzech dni jego struny głosowe odmawiały mu posłuszeństwa. Wydawał z siebie tylko ochryply szept.

Kiedy otrzymał w Waszyngtonie telefon, że jego jedyny syn Nikita zginął w pożarze, początkowo nie uwierzył.

- Nie, to niemożliwe - powiedział zimno i spokojnie.

- Juriju Pietrewiczu, sama go widziałam - powiedziała płacząc Galina, była żona Nikity.

- Ale co widziałaś? Sama mówiłaś, że były tam tylko zwęglone szczątki, bez twarzy. I dlaczego w czyimś mieszkaniu?

- Mieszkał u Ziny Rieznikowej. Pamięta pan ją jeszcze? Nie wiem, dlaczego, ale prosił ją, by pozwoliła mu u siebie pomieszkać. Kiedy zobaczyłam krzyżyk, od razu wiedziałam, że to on. Były tam też jego dokumenty....

- Przyjedziemy jutro, żeby to wyjaśnić. Jestem pewien, że to jakieś idiotyczne nieporozumienie.

Mimo tej pewności, zaraz po odłożeniu słuchawki Rakitin poczuł gwałtowne ułknięcie w sercu. Włożył nitroglicerynę pod język i zamknął oczy. Nie mógł dopuścić do siebie takiego horroru. Jeszcze nic nie wiadomo. Po pierwsze: musiałby zadzwonić ktoś oficjalnie, z prokuratury lub ministerstwa spraw wewnętrznych. Po drugie: Nikita miał zadzwonić pojutrze i dać znać, na kiedy ma zamówić bilety - tak uzgodnili przed dwoma tygodniami.

- Jura, co z tobą? Dlaczego nie śpisz? Czemu siedzisz po ciemku?

W drzwiach, wsparta o futrynę, stała jego żona. Co prawda w ciemności nie mógł dojrzeć jej oczu, ale poznał po głosie, że coś przeczuwa.

- Nie dzwonił przypadkiem telefon? - Włączyła stojącą lampę i usiadła naprzeciwko Rakitina, na leżance. - Telefon z Moskwy? Z kim rozmawiałeś?

- Olga, rozumiesz.... - szepnęła łagodnie, wstał z fotela i usiadł obok niej.

- Głupia historia. Tylko się nie denerwuj. Nie chciałem cię budzić. Jestem pewien, że to wszystko jakiś bezsens, nieporozumienie.

- Jurij, daruj sobie te wstępy. Wiesz, że nic mnie bardziej nie denerwuje.

Rakitin skrzywił się z powodu gorzkiej nitrogliceryny i powiedział szybko:

- Dzwoniła Galina. Powiedziała, że w jakimś obcym mieszkaniu znaleziono zwęglone zwłoki, to znaczy nie w obcym, tylko u Ziny Rieznikowej. Pamiętasz jeszcze tę dziewczynę, malarkę? I że to niby Nikita. Kompletny

absurd - zaśmiał się nerwowo. - Gala zawsze była histeryczką i panikarą.

- Bardzo dobrze pamiętam Zinę Rieznikową - odparła spokojnie Olga. - Ale dlaczego Zina? Dlaczego w jej mieszkaniu? Nikita miał przecież przyjechać pierwszego czerwca, z Maszą. - Sięgnęła po słuchawkę i wykręciła numer moskiewskiego mieszkania. Razem z Rakitinem usłyszeli głuche dzwonki.

- Nie ma go w domu. Wiadomo, w Moskwie jest teraz jedenasta. Już wyszedł. Jura, masz gdzieś numer Galiny?

Rakitin poszedł do gabinetu i wrócił z grubym notesem. W mieszkaniu byłej żony Nikity prawie od razu odebrano.

- Masza! - zawołała Olga. - Gdzie jest mama? Przed chwilą do nas dzwoniła.

- Nie ma jej. Nie dzwoniła z domu - głos dziewczynki brzmiał dziwnie głucho.

- Dziecko, dlaczego nie jesteś w szkole? Chyba nie jesteś chora?

- Babciu, ty nie wiesz? Mama ci nie mówiła?

- O czym, Maszo? Ze przyjeżdżasz z tatą w czerwcu? Już wiemy.

- Babciu, nie mogę ci tego powiedzieć. Po prostu nie mogę - jej głos stał się nagle histeryczny, jakby mówiła w gorączce.

Rakitin siedział koło żony i słyszał każde słowo. Wyrwał jej słuchawkę z ręki.

- Halo, Masza, słuchaj mnie. To nieprawda z twoim tatą.

- Dziadku, to wy już wiecie?

- Jesteś sama? Co teraz robisz?

- Nic. Nic nie jestem w stanie robić. Przyjedziecie niedługo z babcią?

- Tak, Masza, niedługo. I dowiemy się, co się naprawdę stało.

- Wszyscy mówią, że to był tato. Ale ja w to nie wierzę.

- To dobrze, Maszeńka. Oczywiście, że to jakaś pomyłka i wkrótce wszystko się wyjaśni.

- Też tak powiedziałam mamie, a ona na to, że zabili go, zabili!

- Bzdura! Kto by miał go zabijać i dlaczego?

- Mama mówi, że to wszystko jej wina. Wiesz, wplątała się w taką głupią historię, podpisała jakiś świstek, że niby pożyczyła mnóstwo pieniędzy i miała za to dostać pracę. Ale potem się okazało, że to byli jacyś bandyci. Żądali zwrotu pieniędzy i grozili. Ale mama przecież niczego nie pożyczyła,

tylko podpisała ten świstek. Ciągłe wydzwaniali, a raz to nawet do nas przyszli, do domu. A przed szkołą stało auto. Powiedzieli, że jeśli mama pójdzie na milicję, to mnie zgwałcą i zabiją na jej oczach.

- O, Boże, Masza! I mama ci to wszystko powiedziała? Skąd to wiesz?

- Słyszałam, jak mama z tatą rozmawiali o tym w kuchni. Była u taty prosić o pomoc. Ale to było tyle pieniędzy. Nawet gdyby sprzedawała mieszkanie, a tata oddał całe honorarium, to i tak by nie wystarczyło. W każdym razie tata niczego nie obiecał, ale po kilku dniach załatwił te pieniądze. I wtedy zostawili nas w spokoju. A teraz coś takiego...

- Masza, kiedy to było?

- Jakiś czas temu. Pod koniec lutego. Dziadku, ale nikomu o tym nie mów. Mama strasznie się boi.

Rakitin jak zaczarowany słuchał swojej wnuczki i nie zauważył, że żona przygląda mu się szklanym wzrokiem i siada sztywno na leżance z rękami grzecznie złożonymi na kolanach.

- Olga, powiedz coś! - Potrząsnął ją za ramiona. Upadła na leżankę jak kłoda.

Dziesięć minut później wezwany lekarz stwierdził, że chodzi o „szok psychogeny”, rodzaj reakcji hipokinetycznej. Nic poważnego, dostanie serię zastrzyków, ale potrzebuje dwóch, trzech dni absolutnego spokoju.

- Jeśli nie da się wykluczyć czynnika traumatycznego, jak w tym przypadku - powiedział lekarz - to istnieje ryzyko próby samobójczej. Chora może wydawać się całkowicie apatyczna i bezsilna, ale pozostawiona sama sobie, bez opieki, może targnąć się na swoje życie. Radziłbym wysłać żonę do szpitala.

Klinika odmówiła Rakitinowi przyjęcia. Poprosił Joy, ich pomoc domową, żeby pomieszkała u nich kilka dni. Zadzwoił na uczelnię, wyjaśnił sytuację i musiał wysłuchać kilku zwykłych w takich razach słów współczucia.

- Dzisiaj w nocy przyszedł faks do pana, po rosyjsku - powiedziała sekretarka na wydziale muzycznym. - Zaraz zawołam kogoś ze sławistów, żeby panu przeczytał.

Po chwili profesor slawistyki, Jeremy Wood, przeczytał: „Szanowny Panie, Juriju Pietrowiczu! Z głębokim żalem zawiadamiamy pana, że pański syn, Nikita Juriewicz Rakitin, dziesiątego maja tego roku zginął w wypadku.

Szef dochodzenia Prokuratury Rejonowej dla północno-wschodniej Moskwy, G.K. Konowałow.

- To pomyłka - wyszeptał Rakitin - to nie może być prawda.
- Przepraszam - powiedział Jeremy - czy może pan mówić głośniej?

Ale Rakitin nie mógł mówić głośniej. Głos odmówił mu posłuszeństwa.

Dwa dni później Olga doszła do siebie. Nic jej nie powiedział o faksie.

W samolocie były rosyjskie gazety. Rakitin przewertował jedną z nich i natknął się nagle na zdjęcie swojego syna. Na ostatniej stronie czasopisma dla młodzieży w rubryce: „Niezwykłe wydarzenia” informowano, że na ulicy Sriednie-Zagorskij Pierieulok w nocy z dziesiątego na jedenastego w pożarze stracił życie popularny autor kryminałów Wiktor Godunow. Milicja oświadczyła, że poniósł on śmierć na skutek wypadku. W mieszkaniu stwierdzono wadliwą instalację elektryczną.

Rakitin nerwowo zerknął na swoją żonę i szybko odłożył gazetę na bok.

Na lotnisku Szeremietiewo odebrał ich stary przyjaciel i sąsiad, Ilja Bernstein, swoją starą ładą.

- Już od dawna nie widziałem Nikity - powiedział. - Ale pewnej nocy, krótko po święcie majowym usłyszałem dziwne odgłosy. Tak jakby ktoś przesuwiał meble. I kroki. Potem, po dwudziestu minutach znowu były kroki, ale inne. Najpewniej kilka osób. Wtedy zupełnie się nad tym nie zastanawiałem, ale potem wydało mi się to dziwne. Milicja wcale nie oglądała mieszkań. Nie pytała też o nic sąsiadów. Wygląda na to, że wszyscy wierzą w ten wypadek. Nawet nie sprawdzają, z jakiego powodu zwiął z domu.

- Zwiął? - zapytała Olga.

- Właśnie - kiwnął głową sąsiad. - Na ile znam Nikitę, a znam go od urodzenia, nigdy by z własnej woli i przy zdrowym umyśle nie uciekł ze swojego domku do obcej nory. Potrzebuje komfortu, otoczenia, do którego jest przyzwyczajony, szczególnie teraz, kiedy tyle pisze. I swego komputera, bez którego przecież nie może się obejść.

Rakitin z wdzięcznością zauważył, że Ilja mówi o jego synu w czasie terazniejszym.

W mieszkaniu panował względny porządek. Żadnych śladów włamania, przeszukiwania czy walki, w każdym razie na pierwszy rzut oka. Rakitin postawił walizkę i od razu zadzwonił do prokuratury. Tam uprzejmie go poinformowano, że ciało jego syna znajduje się w domu pogrzebowym szpitala numer 22 i podyktowano mu adres.

Ilja zaoferował się, że go tam zawiezie. Nie przebrał się, nie wypił nawet herbaty, natychmiast tam pojechali. Czterdzieści pięć minut później dowiedzieli się, że ciało już skremowano. Nie mieli sił, żeby wyklócać się z powściągliwą pracownicą, nie miałyby to zresztą sensu.

- Muszą państwo odebrać jego odzież i wartościowe przedmioty i pokwitować odbiór. - Sięgnęła po słuchawkę i szybko podała kod numeryczny. Kilka minut później pojawił się ponury olbrzym w zielonym kitlu i bez słowa położył na stole plastikowy woreczek z brązową przywieszką z ceraty.

Znajdował się w nim staroświecki złoty krzyżyk i kawałek złotego łańcuszka. Krzyżyk był wygięty i w widoczny sposób osmolony. Należał niegdyś do Siergieja Sokowina, pradziadka Nikity. Pozwalał na jednoznaczną identyfikację. Nikita nigdy go nie zdejmował - z tego powodu jego rodzice byli nawet parokrotnie zywani do szkoły.

Olga zacisnęła ręce na krzyżyku. Jej mąż podpisał we wskazanym przez fioletowy paznokieć miejscu. Potem coś przemknęło mu przez myśl. Że był jeszcze inny przedmiot, z którym Nikita nigdy się nie rozstawał i który powinien wyjść cało z pożaru. Chciał o niego zapytać, ale zaniechał tego.

* * *

Materiał w puszcze po kawie należał do najnowszej generacji narkotyków syntetycznych o nazwie psylocybina, dosyć rzadki specyfik w Rosji.

W wydziale do walki z narkotykami Leontiew dowiedział się, że z racji małej popularności brak tam informacji o jego pochodzeniu.

Jak większość syntetycznych narkotyków, psylocybina działa szybko, gwałtownie i od razu uzależnia. Po tygodniu regularnego zażywania następuje lekkie upośledzenie umysłowe, w mózgu i ośrodkowym układzie nerwowym dochodzi do nieodwracalnych zmian. Przy minimalnym przedawkowaniu może natychmiast dojść do śmierci. Psylocybina świetnie

rozpuszcza się w wodzie, jeszcze lepiej w alkoholu. Dawka dziesięciu miligramów może posłużyć jako błyskawicznie działająca trucizna.

- Sto gramów psylocyminy to okrągłutkie tysiąc dolarów - powiedział specjalista od narkotyków.

„Stosowna zaliczka dla killera - pomyślał Leontiew. - Jeśli rzeczywiście był tu zaangażowany płatny morderca, w dodatku uzależniony, to prawdopodobnie już nie żył. Więc może nie ma sensu szukać Antoniego? Zawodowy zabójca nigdy by nie szukał kwatery w sąsiednim mieszkaniu, a w każdym razie nie przechowywałby tam broni i narkotyków”. Zatopiony w myślach, Leontiew prawie przejechałby swoją stację. W ostatniej chwili wyskoczył z metra i rzucił się biegiem, choć właściwie nigdzie mu się nie spieszyło. Była żona Rakitina, Galina, czekała na niego o wpół do piątej, a była dopiero czwarta. W spokojnej uliczce zwolnił tempo i zmusił się do spokoju, żeby móc się skupić na czekającej go rozmowie.

Otworzyła mu wysoka, dość pulchna brunetka. Wielkie, jaskrawo pomalowane usta, wylupiające mokre oczy.

- Zabili go - oznajmiła głośno i uroczyście, gdy tylko za kapitanem zamknęły się drzwi. - Wiem to na pewno.

- Dlaczego pani tak uważa? - zapytał Leontiew, ściągając i wieszając płaszcz.

- Nie chodzi o to, co ja uważam. Niech pan wejdzie, to wszystko panu opowiem.

W mieszkaniu panowała idealna, niemal sterylność czystości. Ani pyłku kurzu. Najwyraźniej niedawno je remontowano. Było tu mało mebli, ale wszystko nowe, praktyczne i wygodne, z prawdziwego drewna. Kapitan zarejestrował mechanicznie, że była żona pisarza, żyjąca samotnie i niepracująca, w żadnym wypadku nie cierpiała biedy.

- Proszę założyć pantofle - powiedziała wystraszona, kiedy zamierzał wejść na jasną, lakierowaną podłogę salonu.

- Tak, oczywiście, przepraszam. - Kapitan wrócił do przedpokoju i założył miękkie pantofle, które w liczbie dziesięciu par wisiały w filcowym pojemniku.

Jak w muzeum” - pomyślał i usiadł w aksamitnym fotelu, tuż obok niewielkiej kanapy.

- U nas się nie pali - oznajmiła gospodyni, choć zupełnie nie zdradzał zamiaru wyjęcia papierosów.

Usiadła naprzeciwko i zmierzyła go zimnym, taksującym spojrzeniem, potem głęboko westchnęła, a jej twarz przybrała naraz smutny, żalosny wyraz. W wylupiastych oczach zalśniły łzy.

- Takie nieszczęście - szepnęła. - Wie pan, rozwiedliśmy się już dawno temu, ale nadal byliśmy sobie bliscy.

- Tak. Rozumiem - skinął głową kapitan. - Galino Iwanowna, kiedy po raz ostatni widziała pani Nikitę Juriewicza?

- Proszę niech mi pan nie przerywa - szepnęła szybko i w obronnym geście uniosła korpulentną dłoń. - Najpierw wszystko panu opowiem, a potem może mi pan zadawać pytania. Tak wolę.

- Proszę bardzo. Słucham.

- Jestem absolwentką psychologii, znam dwa języki obce, angielski i francuski, a mimo to nie mogę znaleźć pracy - zaczęła. Jej głos był przesadnie spokojny, co podkreślało skrywaną histerię. - W tych okropnych czasach nikt nie potrzebuje profesjonalistów. Ale mam dziecko. Ma pan dzieci?

- Nie.

- Ale pewnie i tak mnie pan rozumie. Zatem... Bardzo długo starałam się znaleźć odpowiednią pracę w zawodzie. Na próżno. Trzy miesiące temu otrzymałam wreszcie ofertę, która wydała mi się poważna i godna zainteresowania. Chodziło o nowo zakładaną firmę, spółkę z o.o. Handel nieruchomości. Zaproponowano mi nie tylko stanowisko, ale też zostanie udziałowcem. Miałam nabyć część akcji, i to na nadzwyczajnie korzystnych warunkach. Ma się rozumieć, nie posiadałam potrzebnej sumy - bo skąd. Ale pojawiła się możliwość, która wydała mi się do przyjęcia. - Jej monotony i pozornie spokojny ton w każdej chwili mógł przerodzić się w szloch.

- Wybacz pani, Galino Iwanowna - przerwał jej kapitan. - Chętnie dowiedziałbym się, kiedy ostatni raz widziała pani Nikitę Juriewicza.

- Miał mi pan nie przerywać! - Wydawało się, że nie zdoła już dłużej tłumić histerii, jej głos nabrał teraz niemilego, ostrego tonu. - Czy pan nie rozumie, jakie to dla mnie trudne? Nie wiem, dokąd się z tym udać. To potworna trauma. Proszę, niech mi pan pozwoli się wygadać. A potem zada mi pan swoje pytania.

- Dobrze, jeśli tak będzie pani łatwiej. Galino Iwanowna, słucham panią.

- Tak więc dostałam korzystną ofertę. Zamiast wpłacać pieniądze, miałam tylko podpisać dokument, że pożyczam sumę od innej firmy i w ten sposób mój wkład za akcje miał zostać wyrównany. Pokwitowanie było zwykłym świstkiem, nawet niewierzytelnionym notarialnie. Ludzie, którzy złożyli mi tę ofertę, budzili zaufanie. Jestem w końcu psychologiem i znam się na ludziach.

- A może coś konkretniejszego. Co to byli za ludzie? Gdzie i jak ich pani poznała? Nazwiska, numery telefonów?

- To oni zawsze do mnie dzwoniли. Moje dane są w Urzędzie Pracy.

- Czyli nikt ich pani nie polecił?

- Wie pan, gdyby czekać na polecenie, to człowiek byłby bezrobotny do emerytury. - Oburzona wzniosła ramionami. - W dzisiejszych czasach trzeba wykorzystać swoją szansę.

- Chwileczkę - przerwał jej Leontiew. - Czyli podpisała pani nieznanemu kwit dłużny, chociaż w rzeczywistości wcale nie pożyczyła pieniędzy? Jaka to była suma?

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Proszę posłuchać, panie.... proszę mi przypomnieć, jak pan się nazywa.

- Andriej Michajłowicz.

- Więc, Andrieju Michajłowiczu, wybaczy pan, ale proszę nie robić ze mnie idiotki. To wszystko sprawiało całkiem poważne wrażenie: wręczyłam podanie o pracę, wypełniłam formularz, zostałam zatrudniona, wypłacono mi zaliczkę, pięćset dolarów. Dopiero potem podpisałam kwit. Rozumie pan, to miała być czysta formalność. Zapewniali mnie, że nikt nie będzie żądał ode mnie tych pieniędzy. A tak miałam dosyć tego szukania pracy, że byłam już u kresu sił. Wie pan, dla kogoś z moim poziomem, kwalifikacjami, doświadczeniem zawodowym...

- No, świetnie. - Kapitan zaczął tracić cierpliwość. - Czy ma pani jakiegokolwiek dokumenty?

- Nie. Wszystkie zabrał Nikita. Miałam kopię kwitu dłużnego, ankietę i całe mnóstwo papierów. Proszę mi nie przerywać, właśnie przechodzę do rzeczy. Po kilku dniach zadzwoniono do mnie. Nieuprzejmie zażądano zwrotu pieniędzy. Ma się rozumieć, od razu próbowałam skontaktować się z tymi ludźmi, ale oni zniknęli. Telefony były głuche - miałam dwa numery komórkowe, ale tam pojawiał się tylko komunikat, że wzywany abonent jest niedostępny. A pogróżki się nasilały. To był taki koszmar, tego się nawet nie da

opisać! Mężczyźni w jeepie zaczęli śledzić moją córkę.

- Zgłosiła to pani na milicję?

- Oczywiście, że nie.

- Dlaczego nie?

- Naiwne pytanie, wie pan. A kto w dzisiejszych czasach zgłasza coś na milicję? Przecież tam też siedzą sami bandyci.

- Dziękuję za komplement - zaśmiał się kapitan.

- Nie mówię o panu. Ale każdy przecież wie... Czego myśmy z Maszą nie przeszy! Listy z pogrózkami, ciągle telefony. Przyszli nawet do nas do domu. Musiałby pan zobaczyć tych mężczyzn!

- Czy ma pani jeszcze te listy z pogrózkami?

- Je też zabrał Nikita. Był jedyną osobą, do której mogłam się zwrócić. W końcu Masza jest jego córką. I wie pan, rzeczywiście szybko to wszystko załatwił. W każdym razie zostawili mnie i Maszę w spokoju.

- I nie zaciekało pani, w jaki sposób rozwiązał ten problem?

- Oczywiście, że tak! No co pan? Wiedziałałam przecież w końcu, że nie dysponuje taką sumą. Ale mi nie wyjaśnił. A potem poleciał do Antalyi. Powiedział, że na tydzień. I już go więcej nie widziałam.

- Chwileczkę. Do Antalyi? Kiedy?

Trzasnęły drzwi wejściowe i na progu mieszkania stanęła dwunastoletnia dziewczynka. Kapitan nigdy nie widział Rakitina na żywo, ale natychmiast stwierdził, że dziewczyna jest do niego uderzająco podobna. Wąska, nieco pociągła twarz, jasne włosy, wielkie szare oczy.

Szeroka dżinsowa kurtka była przynajmniej o cztery numery za duża i wyglądała na chudej dziewczęcej postaci dosyć zabawnie. Niezgrabne buty w paski na platformach wyglądały jak kopyta. Kapitan uważał dzisiejszą młodzieżową modę tych, jak oni się nazywali... raperów? rawerów?, za całkiem absurdalną, szczególnie na chudych, drobnych dziewczętach.

- Dokąd w tych butach? - zapytała szybko Galina. - Włóż pantofle, umyj ręce i podgrzej sobie zupę.

- Dzień dobry, mamó. - Masza zdjęła buty, weszła do pokoju i usiadła w fotelu. - Dzień dobry - skinęła Leontiewowi głową i obrzuciła go szybkim, zaciekawionym spojrzeniem spod długiej grzywki.

- Masza, co ja powiedziałam? Nie masz tu czego szukać. To pan z milicji. To rozmowa nie dla ciebie. Idź umyć ręce, zjedz coś i siadaj do lekcji.

- Tak, mamo, zaraz. Przyszedł pan w sprawie taty? - zwróciła się do kapitana.

- Tak, nazywam się Andriej Michajłowicz.

- Bardzo mi miło, Masza Rakitina. - Dziewczynka uśmiechnęła się słabo. - Próbuje pan rozwiązać ten przypadek?

- Masza! - Galina podniosła głos. - Przeszkadzasz. Zmykaj.

- Proszę wybaczyć, Galino Iwanowna, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, chętnie bym porozmawiał z Maszą - wtrącił się Leontiew.

- Czyli pan jest z milicji? - zapytała zamyślona Masza. - Mogę zobaczyć pana dowód?

- Masza! - krzyknęła zbulwersowana Galina. - Wynocha mi stąd, i to już! Jak ty się zachowujesz?

- Zachowuje się jak należy - uśmiechnął się Leontiew i wręczył Maszy legitymację służbową.

- Dziękuję, Andrieju Michałowiczu. - Dziewczynka uważnie przestudiowała legitymację i oddała ją Leontiewowi. - Wszyscy mówią, że to był wypadek.

- To jeszcze nie do końca jasne.

- I nigdy nie będzie, co?

- Nie, no to jest po prostu nie do wiary! - wybuchnęła Galina. - Po co się wtrącasz! To rozmowa między dorosłymi.

Masza zignorowała słowa matki, nadal siedziała i gapiała się na kapitana. Pojął, że rozważa jakąś decyzję. W końcu bez słowa wstała i wyszła z pokoju; po chwili wróciła i wręczyła Leontiewowi wielką, grubą kopertę.

- Niech pan to zobaczy.

Kapitan wyciągnął plik zdjęć. Był na nich czarny jeep, a obok trzech męskularnych typów pod różnym kątem. Zdjęcia wyglądały na robione ukrytą kamerą, przy czym obiektyw skupiał się głównie na twarzach.

Na dwóch ostatnich fotografiach Leontiew rozpoznał Galinę obok starszego, grubego mężczyzny. Sympatyczna twarz, ruda bródka, wieniec kędzierzawych rudych włosów i błyszcząca różowa łysina pośrodku. Stali przed nowiuteńką ładą. Na jednym zdjęciu mężczyzna szarmancko całował

Galinę w rękę. Na drugim rozmawiali - to zdjęcie wyraźnie zrobiono po to, żeby pokazać twarz mężczyzny *en face*.

- Ci w jeepie stali przed szkołą, potem jechali powoli wzdłuż chodnika, kiedy wracałam do domu. Później przyszli do naszego domu. Powiedzieli mamie, że na jej oczach zgwałcą mnie i zabiją, jeśli nie odda tych pieniędzy. A ten grubas przy aucie, to właśnie on namówił mamę do podpisania tego świstka. Tata zabrał filmy i zdjęcia razem z papierami, miałam nikomu nie mówić, że sfotografowałam tych ludzi. Ale na wszelki wypadek zrobił mi odbitki. I teraz, niech pan zobaczy, przydały się.

- Skąd robiłaś te zdjęcia? - zapytał cicho Leontiew.

- Z okna w kuchni. Zaciągnęłam zasłony i zostawiłam tylko wąską szparkę. Nic nie zauważyli.

- Dom wariatów! - zawołała nagle Galina i chwyciła się za głowę.

Cały czas siedziała w milczeniu. Zdjęcia były dla niej najwyraźniej taką samą niespodzianką, jak dla kapitana.

- Wiedziałam, że to się tak skończy - powiedziała Galina stłumionym głosem, kryjąc twarz w dłoniach. - Tyle razy ostrzegałam Nikitę!

- Proszę wybaczyć, ale o czym pani mówi?

- Wie pan, Nikita zawsze czytał jej na głos każdy napisany przez siebie rozdział, prosto z komputera - wybuchnęła gwałtownie. - Dosłownie faszcerował ją swoimi kryminałami. Masza często u niego mieszkała i była jego pierwszą i najważniejszą słuchaczką. A poza tym ciągle grali w te głupie gry logiczne. Zawsze mówiłam, że to szkodliwe. Wiem lepiej, jestem w końcu psychologiem. Wymyślał dla niej krótką scenkę, sytuację bez wyjścia i Masza miała znaleźć rozwiązanie. Kazał jej ryzykować życie, wprawdzie w zabawie, na niby, ale mimo to coś takiego może mieć szkodliwy wpływ na psychikę dziecka! Mój Boże, a jeśli ci bandyci zauważyli, że Masza robi zdjęcia? Wybacz pan... - Galina wstała gwałtownie i wybiegła z pokoju. Od płaczu rozmazał jej się tusz, a po policzkach spływały czarne strużki.

Rozdział 19

Feliks Wikiuik, korpulentny sześćdziesięciolatek, zawsze był szarmancki. Każdą damę całował w rękę, każdego mężczyznę witał mocnym uściskiem dłoni, patrząc rozmówcy prosto w oczy i zawsze uśmiechając się przy tym łagodnie, krzepiąco, empatycznie, z zachwytem - zależnie od sytuacji.

Ten prawnik z zawodu zaczynał niegdyś w małej kancelarii. Wysłuzone biurka, zakurzona sztuczna palma na parapecie. A za oknem nogi przechodniów i głośne przekleństwa, ponieważ nogi te niezmiennie, czy to zimą, czy latem, wdeptywały w niewysychającą kałużę.

Kancelaria znajdowała się w suterenie, przy spokojnej uliczce w centrum Moskwy. Miała niewielu klientów, przypadki były z reguły nudne i przynosiły niewielki zysk, zespół był mały i nadzwyczaj skłócony. Słaba czarna herbata z piernikami z sąsiedniej cukierni, kosze zakurzonych papierzysk, czarne nałokietniki, a w charakterze pozywających - babcie z okolicznych domów spółdzielczych. Szczególna, niedająca się wyplenić kolonia roztoczy, od których człowiek dostawał wysypki, hemoroidy od ciągłego siedzenia, wczesna łysina (spadek po ojcu lub może raczej wynik zwykłej beznadziei), miękki brzusek - wszystko to razem wzięwszy sprawiło, że Wikiuik, dobiwszy do czterdziestki, był już w zasadzie stary.

Kiedyś marzyła mu się błyskotliwa kariera adwokacka. Ale jego niskie, otłuszczone ciało, wąskie ramiona, cichy falset oraz matowe i wodniste oczy

miały w sobie niewiele błysku. Jedynym lśniąącym elementem była jego łysina, poza tym wszystko miał matowe i nijakie, nawet zapach - jakiś kwaśna- wy i niezdrowy, zapach starca.

Na nikim nie robił dobrego wrażenia, zwłaszcza na sobie. To, że ten cichy i nieśmiały człowiek wygłosił kiedyś na sali rozpraw porywającą i przekonującą mowę, po prostu nie mieściło się w głowie.

Wiktiuk mógł tak przevegetować w zatęchłej kancelarii resztę swoich dni, za marną pensję i przy słabej herbacie i piernikach. Ale stało się inaczej.

Obok kancelarii znajdowało się bezpieczne i podupadłe pomieszczenie, które należało do spółdzielni i nazywane było czerwonym kącikiem lub pokojem Lenina.

Pod zakurczonymi portretami pierwszych sekretarzy i partyjnych notabli oraz plakatami ostrzegającymi przed ryzykiem zaprószenia ognia i niebezpieczeństwami wynikającymi z lekceważenia przepisów BHP odbywały się zebrania administracji, zaś nocami elektryk z hydraulikiem przesiadywali tu przy butelce wódki.

Pewnego dnia gorącego i parnego lata 1987 roku prawnik, wychodząc wieczorem z kancelarii, usłyszał za drzwiami cichy, melodyjny pomruk i zaciekawiony zajrzał do pomieszczenia.

Na porysowanym linoleum siedziało w kręgu około dziesięciu osób, głównie starsze, brzydkie kobiety, lecz wprawne oko Wiktiuka spostrzegło również kilka młodszych i dość ładnych. Zamiast ubrań miały na sobie białe prześcieradła. Pośrodku kręgu siedział jakiś skośnooki, ogolony do zera osobnik o płaskiej twarzy.

- A teraz wszyscy podnosimy w górę ręce - powiedział ten osobnik wysokim, łamiącym się głosem - zamykamy oczy i powtarzamy: Wielki Dzan woła, wzywa mnie do królestwa wiecznej sprawiedliwości. Moim przewodnikiem do królestwa prawdy, moim światłem jest Guru...

- Moim światłem i moją radością jest Guru - zawtórowało dziesięć osób.

- Opuścić ręce, wdech, wstrzymać oddech. Nikt nie oddycha - zakomenderował Guru o płaskiej twarzy.

Wiktiuk zdumiony spostrzegł, że rzeczywiście przestali oddychać. Odliczał w myślach. Dziesięć sekund, dwadzieścia, minuta...

- Wydech! - czknął naraz Azjata i Wiktiuk zaskoczony drgnął, orientując się przy okazji, że i on sam, jak na komendę, wstrzymał oddech. - Szybko! Wszyscy się kładziemy - polecił Azjata i Wiktiuk poczuł nagle, że jego kolana się uginają. Bardzo chętnie położyłby się na brudnym linoleum, stanie kosztowało go dużo wysiłku. Jednak ciekawość wzięła górę. Przez szparę przyjrzał się bliżej Azjacie. Nic szczególnego. Odstępująca twarz.

Azjata wstał, okazało się, że jest niski i ma krzywe nogi. Powoli obszedł krąg. Wszystkie dziesięć osób leżało z zamkniętymi oczami.

„Światło i Radość” podszedł do jednej z młodych kobiet, przykląkł obok i pogłaskał ją rękami po ciele i wysokim, jędrnym biuście. W zakurzonej ciszy rozległ się wyraźny jęk i namiętny szepot:

- Kocham cię, Guru! Bierz mnie!

„Co za kundys - pomyślał Wiktiuk szyderczo. - Jak on to robi?”

- Otwieramy kosmiczne czakramy - ochryplym szepceniem skomentował Azjata swoje niesłychane manipulacje. Tak był zajęty obmacywaniem młodej siostry, że nie od razu zauważył matowe i zazdrosne spojrzenie, które przewierało go przez szparę w drzwiach. Kiedy się zorientował, zmarszczył lekko czoło i szybko się odwrócił.

„Ty psie, czy ty wiesz, że na to są paragrafy? - zapytał prawnik w myślach. - Molestowanie seksualne...”

Jednak po krótkim zastanowieniu zrozumiał, że sobie coś wmówił. Azjata nie działał wbrew jakiemukolwiek paragrafowi. Młode kobiety były pełnoletnie i z własnej woli chodziły na kurs Guru.

- Nie - mruknął Wiktiuk zaskoczony - musi być na to jakiś paragraf. Nielegalne praktyki medyczne, oszustwo. Coś takiego nie jest przecież normalne.

Jego zmieszanie było ze wszech miar zrozumiałe. W tym pomieszczeniu działo się coś niemożliwego i całkowicie niezgodnego z prawem - i to jawnie, drzwi nie były przecież zamknięte. Ale z formalno-prawnego punktu widzenia nie było na to haka.

Wiktiuk był zdeklarowanym materialistą. Nie wierzył ani w żadne nadzwyczajne moce, ani w strumienie energii, ani nawet w starą, dobrą hipnozę. Jako wykształcony i ciekawy świata człowiek przeczytał jednak to i owo o indyjskiej jodze, tybetańskich lamach i kulcie wudu na Haiti.

Wyznawcy wudu wierzyli nie tylko w duchowe zmartwychwstanie zmarłych, ale praktykowali je również na co dzień, a nawet wykorzystywali do swoich partykularnych celów.

Potrzebny jest, po pierwsze, kandydat na zmarłego, po drugie - okrągła ryba, którą należy wysuszyć na słońcu, a następnie sproszkować. Jeśli akurat brak okrągłej ryby, można wziąć i ropuchę agę, którą jednakże przed wysuszeniem należy przez jedną noc przechowywać w słoiku, razem z krwiozerczą pijawką. Pijawka wpija się długo i boleśnie w ropuchę, aż jej gruczoły wydziela duże ilości wartościowej bufotoksyny.

Poza tym potrzebny jest jeszcze pęcherzyk żółciowy martwego muła, biały talk, czarny proszek, a także różne zioła. Gotowy proszek dodaje się do jedzenia lub napoju, albo po prostu dmucha garść tego proszku kandydatowi na zombie prosto w twarz. Umiera w sposób naturalny, oplakiwany przez najbliższych, grzebany, ale potem nagle budzi się - żywy, ale nie do końca.

Był to w zasadzie najrozsądniejszy rodzaj zabójstwa. Ofiary nie zabijano się ot, tak, po prostu, nie - po śmierci nieużyteczne martwe ciało mogło jeszcze wyświadczyć idealną przysługę, nic nie kosztowało i pozostawało wierne.

Jednak to, co obserwował Wiktiuk w tym momencie, wydawało się jeszcze bardziej niewiarygodne. Obywając się bez okrągłych ryb czy ropuch, krzywonogi osobnik czynił cuda; owinał sobie ludzi na podłodze wokół palca i mógł ich użyć, do czego chciał.

Gdyby Guru tego zażądał, wybiegliby na ulicę i obrabowali najbliższy bank albo przepisałiby na niego swoje dobra ruchome i nieruchome.

Wiktiuk przez całe życie zajmował się zagadnieniami prawnymi i miał się za człowieka wykształconego i doświadczonego. Wiedział, że można obejść przepisy, ale było to mozolne i trudne, poza tym zawsze istniało ryzyko, że zostanie się przyłapanym. A teraz zobaczył, że istnieje rodzaj oszustwa, przy którym ryzyko jest praktycznie zerowe.

Później, kiedy krzywonogi został jego przyjacielem, reagował na te historie o karmach, czakrach i astralach z pobłażliwym uśmiechem.

„Światło i Radość”, znany pod nazwiskiem Kim Shan Li, z pochodzenia Koreańczyk, był jednym z pierwszych moskiewskich emisariuszy wielkiej koreańskiej sekty „Maya, Światło i Radość”, która przed laty oddzieliła się od Sekty Moona i od tego czasu werbowała na własny rachunek. Na jej czele

stał żywy bóg, były artysta cyrkowy, dwukrotnie skazany za gwałt, osiemdziesięcioletni milioner Sej Bon Dzan. Kościół „Światło i Radość” miał swą główną siedzibę w Seulu oraz wiele filii w Europie i w Stanach, i aż trzysta tysięcy członków na całym świecie; Rosja była dla niego jak dotąd ziemią dziewiczą.

Kim Shan Li, apostoł Sej Bona, został wysłany na barbarzyńskie ziemie jako pionier, żeby zwerbować wyznawców i nawiązać kontakt z władzami. Mówił trochę po rosyjsku - jego dziadek pochodził z Brińska.

Mały koreański misjonarz, ćwierć krwi Rosjanin, ani myślał o mistyce. Mozolnie podporządkowywał sobie innych, wykorzystując ich odwieczne, niedające się wykorzenić słabości. Był cynicznym racjonalistą.

- Najpierw trzeba ich zaatakować miłością - mawiał Shan Li. - Otaczam każdego czułą ojcowską miłością, nie pozwalam im oprzytomnieć. Trzeba najpierw każdemu wmówić, że jest kimś wyjątkowym, że ma całe mnóstwo ukrytych zalet. I mówię każdemu to, co chciałby usłyszeć. Jeśli jest spragniony ciepłego słowa, karmię go nim do syta. Zwątpić w moje słowa oznaczałoby dla niego zwątpić w samego siebie. Odzwyczajam go od myślenia. A ponieważ daję mu poczucie szczęścia, przychodzi znowu i znowu, a wkrótce już nie umie żyć bez ciąglego bycia zapewnianym, że jest nadzwyczajny i wyjątkowy. I wtedy dochodzimy do rozwiązania jego najbardziej palących problemów. Człowiek to w gruncie rzeczy zwierzę. Myślenie to dla niego ciężka harówka. Odbieram mu zdolność myślenia. I już czuje się szczęśliwy. Już się nie wstydi żyć jak zwierzę: przeżuwać trawę, patrzeć tęnym wzrokiem w niebo, muczeć i nie myśleć o niczym.

Przemyślenia Shan Li nie były ani trochę oryginalne i gdyby sceptyk Wiktiuk na własne oczy nie zobaczył, z jakim powodzeniem Guru realizuje te bezwstydnie banalne teorie w praktyce, nigdy nie uwierzyłby krzywono- giemu Azjacie na słowo. Ale zobaczył i w wieku sześćdziesięciu lat zdał sobie sprawę, jak przerażająco proste jest to skomplikowane życie.

Nie trzeba być zdolnym, mądrym, wykształconym, pięknym, nie trzeba odnosić sukcesów, nie trzeba sobie odejmować od ust, żeby coś osiągnąć. Wystarczy garstce szukających nadziei obiecać, że się ich uszczęśliwi, uleczy ich duchowe i cielesne ułomności, uchroni ich nie tylko przed obecnymi problemami, ale również przed przyszłymi, wliczając w to zbliżającą się apokalipsę, a w wyniku tych prostych psychologicznych manipulacji

otrzymuje się w zamian oddanych, gotowych na wszystko niewolników, których można użyć według uznania. Historia ludzkości obfituje w takich cwaniaków, którzy zaczadziili tysiące, a nawet miliony umysłów.

Pod koniec lat osiemdziesiątych Moskwę zalała fala najróżniejszych apostołów prawdy. Sekty rodzime i importowane działały prosto i bezpośrednio. Ośrodki Białych Bractw, Aum Shinrikyo - Najwyższa Prawda, Kościół Moona, Kościół Ostatniego Testamentu Wissariona, Scjentologia Ronalda Hubbarda i wiele innych.

Cichy prawnik z miejscowej kancelarii zaczął się nimi poważnie interesować. Nie mógł się nadziwić, jakie to proste, otrzymywać od życia to, czego się chce. Normalni ludzie, zdrowi psychicznie, wykształceni, mający rodziny, byli gotowi - tak po prostu, za kilka pogłaskań i obietnicę otrzymania kawałka tortu przyszłego szczęścia - przepisać komuś cały swój dobytek, opuścić rodzinę, głodować, całymi dniami nie spać i zgadzać się na pranie mózgu przez specjalne urządzenia, to znaczy przechodzić tak zwaną inicjację, wyruszać w bezludną tajgę, biegać nago, od świtu do nocy mamrotać jakieś bzdurne mantry i nie myśleć, o niczym nie myśleć.

Sama tylko sekta Aum zyskała w Rosji pięćdziesiąt tysięcy wyznawców wraz z ich mieniem. Pieniądze to tylko brud, którego należy się szybko pozbyć, a wszystko, co się posiada, przekazać wielkiemu ojcu i nauczycielowi.

Amerykański autor *science fiction*, wyznawca znanego satanisty Crowleya, średniej klasy pisarz, lecz uzdolniony szarlatan - Lafayette Ronald Hubbard miał rację, kiedy wyjaśniał: Jeśli chcesz stać się bogaty, musisz założyć nową religię.

A kto nie chce być bogaty?

Na początku lat dziewięćdziesiątych ludzie, którzy chcieli załapać się na swój kawałek tortu, tłumnie przybywali do Rosji. W telewizji przy dźwiękach monotonnej muzyki można było zobaczyć bosego i grubego Japończyka z prostacką, nalaną twarzą, kocią bródką i z niemytymi kudłami, który biegał w czerwonej pizamie po plaży. Był to Asahara, szalony kryminalista i terrorysta. Dokładna suma, którą ktoś skasował za ten klip, do dziś pozostaje nieznana.

Na Kremlu inny szalony kryminalista, przestępca seksualny i miliarder, w prostym czarnym garniturze, Koreańczyk Moon, ścisnął rękę Michaiła Gorbaczowa, a jego ładna okrągłutka żona głąskała zażyłe Raisę Gorbaczowa. Ile skasował ten, który zaaranżował to serdeczne spotkanie? A ile zarobił kto inny za prezentację książki Ronalda Hubbarda na Kremlu? Skromnemu prawnikowi Wiktiukowi kręciło się w głowie, gdy choćby w przybliżeniu próbował to policzyć.

W moskiewskich szkołach wprowadzono nowe kursy. Na przykład: „Sztuka stawania się człowiekiem” według metody okultystycznego ośrodka Universe (kierowanego przez niejakiego Jeana Gavera, pedofila, podającego się za Francuza). Również na tym ktoś zarabiał.

Nie mniej aktywni byli rodzimi „żywi bogowie”, rozmaici Wissarioni i Maryje Dziewice, choć zagraniczni mieli większe możliwości. Zwykle uzbierali już w swoich ojczyznach porządną kapitał i mieli czym posmarować rosyjskim obrońcom wolności wyznania.

To koryto dopiero powstawało i trzeba było być zręcznym. Koreańczyk, miły, kontaktowy, jak przystało na misjonarza, zaprzyjaźnił się bardzo z doświadczonym prawnikiem i bardzo szybko skontaktował go z człowiekiem, który go wspierał - wiceministrem edukacji Grigorijem Rusowem.

Rusow był jednym z aktywnych obrońców wolności wyznania, w walce o przywrócenie wiary w pogańskim postsowieckim społeczeństwie nie musiał się specjalnie wysilać. Pomagał przy kampaniach reklamowych w prasie i telewizji, wspierał rozprzestrzenianie się nauk religijnych wśród uczniów i studentów, organizował wystąpienia misjonarzy na moskiewskich uniwersytetach, przekonywał dyrektorów szkół do wprowadzenia obowiązkowych kursów, żeby zapoznać spragnione duchowości rosyjskie dzieci z naukami różnych nowych mesjaszów.

Dzięki jego staraniom, Moon i Asahara byli częstymi gośćmi na Kremlu - w latach 1991 i 1992 Rusow zorganizował dla Asahary przyjacielskie spotkania z sekretarzem Rady Bezpieczeństwa, Olegiem Łobowem, rosyjskim wiceprezydentem Aleksandrem Ruckojem, przewodniczącym Rady Najwyższej Ruslanem Chasbulatowem i innymi ważnymi osobistościami. Na pięknych kolorowych fotografiach, z uśmiechami na twarzach, w chwilach historycznych uścisków dłoni nie widać Rusowa. Zawsze grzecznie pozostawał w cieniu głośnych sław, wiodących bóstw, gromadząc przy tym skromny

kapitał, który później w rzeczywistości okazał się wcale pokąźny.

Wiktiuk, który już zbyt długo przesiedział w kancelarii, zarzucał wiceministra coraz to nowymi pomysłami. Na przykład przekonywał go, że dobrze byłoby założyć własne biuro detektywistyczne, które zajmowałoby się właśnie przypadkami osób trafiających do sekt. W końcu trzeba jakoś pomóc tym nieszczęśnikom i ich rodzinom. Kobiety, mężczyźni, dzieci - pewnego dnia znikali bez śladu, wraz z całym dobytkiem, oszczędnościami, a czasami nawet z mieszkaniem. Ich najbliżsi byli prawnie bezsilni. Wszystko działo się dobrowolnie, nie było przestępstwa i z tego powodu milicja z reguły nie wszczyniała poszukiwań.

Rusow uznał ten pomysł za wielce obiecujący; wkrótce przeprowadził nawet starego prawnika z jego ohydnej kancelarii do pięknej willi przy jednej z odnóg Arbatu. Teraz Wiktiuk miał własne biuro, a słabą herbatę i pierniki zastąpiło restauracyjne menu.

Już wkrótce w każdej moskiewskiej kancelarii adwokackiej leżały wizytówki reklamowe prywatnego biura detektywistycznego „Garantija”, do której adwokaci za małą opłatą kierowali ofiary totalitarnych sekt.

W ten sposób można było mieć pod kontrolą nie tylko sekty, ale również osoby, które interesowały się ich działalnością. Na mocy swych uprawnień prywatnych detektywów, jako „swoi ludzie”, pracownicy „Garantiji” mieli wgląd w sytuację majątkową żywych bóstw, obiecując im ochronę przed ingerencjami z zewnątrz.

Jednak w pewnym momencie działalność niektórych nauczycieli prawdy zaczęła zmierzać w niebezpiecznym kierunku. Ciekawski wzrok Wiktiuka spostrzegł, że moskiewski wysłannik sekty Aum założył własną spółkę ochroniarską, kierowaną przez Rosjan w randze dowódców z oddziału generała Korszakowa. Asahara zyskał dostęp do tajnego Instytutu Fizyki i Techniki - MIFI, szkolącego kadre rosyjskiego przemysłu atomowego. Poza tym moskiewska Najwyższa Prawda nawiązała przyjacielskie kontakty z weteranami słynnego oddziału Alfa i innych wydziałów specjalnych; jej zwolennicy szkoleni byli w strzelaniu, walkach bezpośrednich i podkładaniu bomb na placu ćwiczeń ministerstwa spraw wewnętrznych.

Wiktiuk przeanalizował zgromadzone informacje oraz własne złe przeczucia i porozmawiał o tym z Rusowem, który z niechęcią przyznał mu

rację, że nadszedł czas, by zwiększyć szczelność biura detektywistycznego „Garantija” i stopniowo zacząć się dystansować od nauczycieli prawdy.

Zaledwie trzy miesiące później, 20 marca 1995 roku światem wstrząsnęła informacja o zamachu gazowym w tokijskim metrze. Nikt nie wie, czy ważni ludzie z Kremla, którzy byli w tak zażyłych stosunkach z Asaharą, mogli po tym wydarzeniu spać spokojnie. Rusow musiał w każdym razie przez kilka tygodni brać tabletki nasenne.

Wiktiuk nie oczekiwał wdzięczności. Był skromny i pragnął tylko jednego: być dla Rusowa przydatnym i nieodzownym, bliskim przyjacielem i dobrym doradcą.

Rusow robił błyskotliwą karierę polityczną i awansował coraz wyżej, a Wiktiuk pozostawał jego przyjacielem i doradcą. Ale nie miał zamiaru ograniczać się tylko do Rusowa. Kto wie, jakie jeszcze zawirowania mogą się pojawić w życiu?

Od misjonarzy nowych duchowości nauczył się sztuki podobać się każdemu i zyskiwania sympatii i zaufania od pierwszej chwili. Każdemu rozmówcy mówił dokładnie to, co tamten chciał usłyszeć, i to w ten sposób, że nawet jeśli ktoś był mądry i samokrytyczny, nie podejrzewał Wiktiuka o nic złego.

I to nie dlatego, żeby Wiktiuk potrafił przejrzeć każdego człowieka - tego, oczywiście, ten niski, rudowłosy grubas z hemoroidami i lumbago nie potrafił. Wiktiuk dobrze wiedział, że każdy człowiek, niezależnie od płci, wykształcenia i sytuacji materialnej, znacznie bardziej interesuje się sobą niż bliźnimi. Trzeba było mu tylko stworzyć możliwość, aby mówił o sobie. Maruda powinien móc pomarudzić, pyszałek się pysznić a krętacz kręcić. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że żadna to sztuka, ale niech ktoś spróbuje przez cały fatalny dzień podobać się wszystkim i każdemu oraz kazać im sądzić, że twoja uwaga i sympatia są całkowicie bezinteresowne. Ale właśnie tego wymagała praca Wiktiuka - zaufania i sympatii. Był wręcz zobowiązany, by każdemu się podobać, ponieważ towar, jakim handlował od lat, był czymś najohydniejszym, co można było kupić za pieniądze.

Kochający życie, pulchny Wiktiuk handlował śmiercią. Nie, on sam nigdy nawet muchy nie skrzywdził. Był tylko pośrednikiem, pełnomocnikiem, doradcą i, nawiasem mówiąc, ożywczym pomysłodawcą.

Usługi, jakie oferował, obejmowały nie tylko poszukiwanie egzekutorów i ich sprawdzanie, negocjacje z nimi, przekazywanie pieniędzy i informacji o potencjalnej ofierze. Do katalogu usług należały również szantaże, zastraszanie i zbieranie obciążających materiałów.

Rusow wciąż był jego bliskim przyjacielem i stałym klientem. To Wiktiuk był autorem fantastycznego pomysłu z kwitem dłużnym na pięćdziesiąt tysięcy dolarów. I to on był człowiekiem, którego Masza Rakitina sfilmowała ukrytą kamerą na podwórku obok nowiuteńkiej jasnej lady, szarmancko całującego matkę w rękę.

Rozdział 2 o

Piątego lipca 1983 roku Anton Jewgieniewicz Sliwko, urodzony w roku 1962, Rosjanin, zamieszkały: gmina Moskwa, wieś Powarowka, Krasnaja 7, trzykrotnie ugodził śmiertelnie nożem swoją znajomą Ksenię Terentiewną Iliuszynę, urodzoną w roku 1939, zamieszkałą w Klinie, gmina Moskwa, Kołchoznaja 12, mieszkania 3.

Nie podjął jakiejkolwiek próby, by zatrzeć ślady czynu, nie przywłaszczył też sobie żadnych wartościowych przedmiotów znajdujących się w mieszkaniu zmarłej. Sliwko położył ciało na łóżku, przykrył je prześcieradłem, wyszedł z domu, udał się na stację kolejową, wsiadł do podmiejskiego pociągu, pojechał do swojej wioski, do siebie do domu, umył się i poszedł spać. Na pytanie matki, skąd się wzięła krew na ubraniu, odpowiedział:

- Zabiłem Ksenię.

Natychmiast go aresztowano. Nie wypierał się winy i oznajmił, że był pijany i że zabił Iliuszynę z zazdrości.

Sąsiedzi oświadczyli, że Sliwko wielokrotnie odwiedzał samotną bibliotekarkę Ksenię Iliuszynę i był kochankiem tej kobiety, która mogłaby być jego matką.

Według opinii psychiatrycznej, Sliwko był poczytamy. Nie nadużywał alkoholu. Ze służby wojskowej zwolniono go z powodu uszkodzenia przy porodzie.

Sliwko był cichym, nierzucającym się w oczy mężczyzną. Skończył szkołę stolarską i pracował w kołchozie. Tym, co go wyróżniało, był jego pociąg do

kobiet starszych o co najmniej dwadzieścia lat. Rówieśniczki go nie interesowały.

Iliuszyna, jak sam twierdził, była jego pierwszą wielką miłością. Otworzył przed nią serce, lecz ona go zostawiła. Zraniony i targany zazdrością, rzucił się na ukochaną z pięściami, a potem w jego ręce trafił kuchenny nóż.

Przed sądem Sliwko okazał autentyczną skruchę, w więzieniu był zdyscyplinowany i nie rzucał się w oczy. Nigdy nie złamał regulaminu. Spokojnie odsiedział swoje dziesięć lat.

Z archiwalnego zdjęcia spozierał na kapitana Leontiewa wystraszony, zmieszany chłopiec. Sliwko w wieku dwudziestu jeden lat wyglądał najwyżej na siedemnaście: chuda szyja, miękkie, bezwolne usta. W jego twarzy było coś żalnego, chorowitego. Takich ludzi najczęściej łamie się w więzieniu.

Jednak czasami dzieje się inaczej. Czasami w więzieniu w słabym i spokojnym chłopcu budzi się mały drapieżnik, który następnie wyrasta na duże i niebezpieczne zwierzę. Na przykład na płatnego mordercę.

Oczywiście, zdjęcia nie wystarczą tutaj, by postawić taką diagnozę. Fotografie, które wykonano krótko przed zwolnieniem, pokazują tylko wyczerpanego i nie najzdrowszego człowieka. Obóz odcisnął na nim swoje piętno. Wyras podszytej strachem złośliwości, ostre przedwczesne zmarszczki, szare sińce pod oczami, zaciśnięte usta. Jednak podczas tych pięciu lat na wolności Sliwko mógł się zmienić nie do poznania, całkiem możliwe, że był teraz dobrze odżywiony i zadbany, uzupełnił braki w uzębieniu i zapuścił brodę.

We wsi Powarowka pod podanym adresem na Krasnej 7 zastał kapitan Leontiew zabita dechami budę i obrośnięte chwastami podwórko. Matka Sliwki umarła przed siedmiu laty, nie doczekawszy zwolnienia syna. Sąsiedzi pamiętali, że Anton pojawił się któregoś dnia w 1993 roku, pomieszkał w domu równo dwa miesiące, a potem zniknął bez śladu.

- Może zatrzymał się u Zoi w mieście? - zastanawiała się starsza urzędniczka w powiatowym biurze meldunkowym.

- Phi, Zoja to go potrzebuje jak psa z kulawą nogą! - Dziadek w kufajce, który siedział w biurze i palił, najwyraźniej gość urzędniczki, zaśmiał się sceptycznie.

- A niby dlaczego nie, są w końcu krewnymi. I na pewno ma kupę pieniędzy.

- Ludzie, którzy mają pieniądze, wydają je na siebie, a nie na innych - zauważył nie bez racji dziadek. - Zoja, ta krowa, nie była nawet na grobie własnej siostry. I co, myślisz, że ją coś obchodzi siostrzeniec?

- Kiedy był jeszcze mały, to ją w każdym razie obchodził - przypomniała sobie kobieta. - Więc może i teraz. W końcu nie ma własnych dzieci.

- Zoja Anatoliewna Astachowa jest ciotką Sliwki - wyjaśnił urzędnik okręgu. - Od dłuższego czasu mieszka w Moskwie. Jest jego jedyną krewną.

* * *

- Musimy się spotkać i pogadać. Musi pan natychmiast przyjechać do Moskwy.

- Co? Zwariowała pani? W tej chwili nie mogę. Wykluczone. Jeśli to takie pilne, to dlaczego pani sama nie wsiądzie w samolot i nie przyleci?

- Po tym wszystkim, co się stało, wolę nie.

- Tak? A co się stało?

- Dobrze pan wie. Wypadek! Pożar. Jest ciało. A przecież pana ostrzegałam.

- Przed czym? Jakie ciało? O czym pani mówi? Uważam, że powinna pani odpocząć. Proszę wziąć urlop, pojechać do Hiszpanii albo Grecji.

- Niech pan przestanie. Proszę nie odgrywać przede mną niewiniątka. Był pan u mnie.

- Chwileczkę. Proszę mi wreszcie wyjaśnić, co jest grane? Kto u pani był?

- Kapitan milicji.

- Nazwisko?

- Andriej Michajłowicz Leontiew. Ze służby operacyjnej okręgu południowo-wschodniego .

- Aha, rozumiem.

- Nic pan nie rozumie. A w ogóle, to nie sprawa na telefon.

- W taki razie musi pani przyjechać. Nie ma innego wyjścia.

- Owszem, nie ma. Przede wszystkim dla pana. To pan nawarzył tego piwa. Ja pana ostrzegałam, ale nie chciał mnie pan słuchać. A tak przy okazji, nie wie pan, gdzie jest Anton?

- Obawiam się, że po prostu nie wytrzymał tego nerwowo. Ale o jakim piwie pani mówi? I skąd mam wiedzieć, gdzie jest pani siostrzeniec?

- Jeden z pańskich ludzi spotkał się z nim przed miesiącem, a potem jeszcze parokrotnie. A Anton opowiadał, że wkrótce będzie miał pieniądze, dużo pieniędzy, zaproponowano mu pracę.

- Ale proszę pomyśleć: pani siostrzeniec jest chory. Uzależniony, siedział w więzieniu dziesięć lat. Jaką pracę mógłby mu zaproponować mój człowiek? I jak pani na to w ogóle wpadła, że był ode mnie?

- Poznałam go. Pracował dla „Garantiji”. Obserwowałam Antona, jak błyskawicznie zmienia się jego nastrój. Sam pan powiedział, że jest chory. Jestem za niego odpowiedzialna, dlatego muszę wiedzieć, co się z nim dzieje, z kim się spotyka i jaką mu zaproponowano pracę. Nie mam nikogo poza Antonem. Więc gdzie on jest?

- Proszę nie histeryzować. Widzę, że nasza rozmowa naprawdę nie jest na telefon.

Zoja odłożyła słuchawkę i sięgnęła po papierosa. Już od dawna przeczuwała, że lepiej się nie zadawać z tym człowiekiem. Był tak pewny siebie, że to wręcz graniczyło z głupotą. Ale jak dotąd Rusow zawsze jej pomagał.

Jakiś czas temu zajmowała się medycyną alternatywną, a to dla dyplomowanej lekarki było dosyć niebezpieczne. Wróżki, wiedźmy i uzdrowiciele mogli się zawsze jakoś wyłgać, kiedy coś szło nie tak. Za to lekarz z dyplomem ponosił pełną odpowiedzialność.

Pewnego dnia Zoja Astachowa, po części dzięki aktywności Rusowa, po części na drodze własnych eksperymentów, znalazła się bardzo blisko granicy, za którą kończy się medycyna alternatywna, a zaczynają suche i bezlitosne paragrafy kodeksu karnego.

- Ostrzegalam pana - powiedziała wtedy do Rusowa - że to się źle skończy. Pan zdoła się z tego jeszcze jakoś wywinąć. Ale ja? Żeby była jasność. Nie zamierzam pana kryć.

- Dlaczego tak ponuro, pani Zoju? Istnieje cudowne wyjście z sytuacji. Po prostu pani zmienia zawód.

- A kim niby miałabym zostać, jeśli wolno wiedzieć?

- Redaktor naczelną wydawnictwa - odparł bez wahania.

- Co pan powiedział? - przełknęła ślinę, z wrażenia po raz pierwszy w życiu sięgając machinalnie po papierosa. Wyciągnęła go z paczki leżącej na stole i zapaliła przy wtórze śmiechu Rusowa.

- Zoju, no niech pani sama zobaczy! I już jest pani innym człowiekiem. Pani i papierosy - zawsze to było dla mnie nie do wyobrażenia. Za to z łatwością mogę sobie panią wyobrazić jako redaktorkę naczelną. W końcu napisała pani dwie książki, nawet bestsellery. Całe mnóstwo ludzi przekonała pani do tego, że posty, stanie na głowie i picie własnego moczu jest zdrowe. I pani chce powiedzieć, że nie zna się na literaturze?

Astachowa sądziła, że chce ją wyśmiać, jednak on niewzruszenie ciągnął dalej:

- Formalnie wydawnictwo do mnie nie należy. Jestem tylko jednym z założycieli i posiadam swoje udziały. Ale zainwestowałem mnóstwo pieniędzy i chciałem mieć zaufaną osobę na jednym z kluczowych stanowisk w wydawnictwie. Okoliczności są sprzyjające. Między prezesem i dotychczasowym redaktorem były jakieś niesnaski i mają właśnie wakat na tym stanowisku.

- Tak, i czeka akurat na mnie.

- Ależ proszę spróbować. To sprawa niecierpiąca zwłoki. Szczegóły omówimy później. Najważniejsze to pani zgoda. I jeszcze jedno. - Delikatnie musnęła koniuszkami palców jej dłoń. - Proszę nikomu nie opowiadać, że nie zna się pani na literaturze.

Objęła nowe stanowisko i przekonała się wkrótce, że Rusow miał rację. Oczywiście, były problemy i konflikty, ale ogólnie rzecz biorąc, Zoja Astachowa była zadowolona ze swojej nowej pracy. I nie zarabiała mniej niż dotąd, przeciwnie. A w dodatku nowe zajęcie nie miało w sobie nic dwuznacznego i niebezpiecznego. Astachowa była naprawdę wdzięczna Rusowowi.

Jednak przed dwoma miesiącami odbyła się między nimi nadzwyczaj dziwna rozmowa. Rusow zaprosił ją do restauracji i między marynowanym minogiem i rakami rzeczonymi w liściach winogronowych zapytał:

- Zoju Anatoliewno, jak pani sądzi, który autor jest obecnie najpopularniejszy?

Wymieniła z pół tuzina nazwisk, opatrując je wyczerpującym komentarzem.

Rusow wybrał spośród nich jedno.

- A jakim typem jest ten Godunow?

- Intelktualista. Zawodowiec, ale z wielkimi ambicjami. Tak... Cóż ja o nim jeszcze wiem? - W zamyśleniu stuknęła widelcem o twardej pancierz

raka rzecznego. - Jest rozwiedziony i ma dwunastoletnią córkę. A dlaczego pan się nim nagle zainteresował?

- Wie pani, chodzi o to - powiedział z namysłem Rusow - że chcę wydać książkę. Autobiografię. I potrzebuję kogoś, kto to spisze. Jak to się nazywało? - Pstrykał zniecierpliwiony palcami, ale nie mógł sobie przypomnieć nazwy.

- Potrzebuje pan *ghostwritera* - powiedziała Astachowa. - Ale skąd panu przyszedł do głowy Godunow? Tym się najczęściej zajmują dziennikarze albo sprawozdawcy prasowi.

- Ale ja chcę, żeby mną zajął się pisarz. Renomowany zawodowiec. Z tych, których pani wymieniła, najbardziej pasuje mi Godunow.

- Nie, tylko nie Godunow - powiedziała Astachowa szybko i upiła łyk mineralnej. - Wszyscy, tylko nie on.

- Ale dlaczego nie? - Rusow zmrużył oczy i przechylił głowę. - Każdy potrzebuje pieniędzy. Dobrze zapłacę. Trzy razy więcej niż dostał za ostatnią powieść.

„Skąd on wie, ile Godunow otrzymał za swoją ostatnią powieść?” - pomyślała Astachowa, ale zreflektowała się na czas. Przyszło jej do głowy, że Rusow blefuje. Wszystko wiedział o Godunowie i już podjął decyzję. Od niej chciał czegoś innego. Na pewno nie informacji, nie mówiąc o własnej opinii. Ale czego w takim razie?

- Grigoriju Pietrowiczu, czy jest pan pewien, że on się zgodzi? Przy jego popularności, ambicjach, zostać *ghostwriterem*?

- Jestem pewien - uśmiechnął się szeroko Rusow. - Poskromi swoje ambicje.

- Mogę tylko powtórzyć, Godunow jest najgorszym z możliwych kandydatów. - Schyliła się nad stołem i mówiła dalej ściszym głosem: - Grigoriju Pietrowiczu, proszę posłuchać, w biografii każdego polityka, również pańskiej, są rzeczy, z którymi niekoniecznie powinna się zapoznawać opinia publiczna. Załóżmy nawet, że się zgodzi, ale może przecież napisać całkiem inaczej, niżby pan sobie życzył. I bardzo proszę nie udawać, że pan nie rozumie, o czym mówię.

- Bardzo dobrze panią rozumiem, Zoju Anatoliewna. Jest pani mądrą osobą. Właśnie tę ewentualność chciałbym z panią omówić.

- Nie ma tu co omawiać. Jeśli pan już wbije sobie coś do głowy, nawet gdyby miało to narazić na poważne nieprzyjemności pana, a także mnie...

Nie wątpię, że znajdzie pan sposób, by zmusić Godunowa do odegrania roli pana „murzyna”. Wystarczająco dobrze pana znam. Ale znam również Godunowa. Mógłby znieśc wymknąć się panu spod kontroli. Mógłby zacząć wywlekać różne rzeczy, wtykać nos w nie swoje sprawy, które...

- Chcę pani powiedzieć - przerwał jej Rusow z lekko zmarszczonym czołem - że podjąłem już decyzję i oczekuję tylko jednego: krycia. O tym, że Godunow dla mnie pracuje, nie powinien wiedzieć nikt, aż do chwili, kiedy tekst będzie gotowy. Właśnie na wypadek, gdyby, jak pani to ujęła, miał wymknąć się spod mojej kontroli. Jestem pewien, że to się nie stanie, ale ostrożności nigdy dosyć.

Niestety, Zoja Astachowa miała rację. Rusow musiał usunąć Godunowa. Co prawda, bez trudu upozorował wypadek, jednak teraz pojawił się ten kapitan ze swoimi dociekliwymi pytaniami. Jutro znowu mają ją przesłuchać. To wszystko jest bardzo nieprzyjemne. Po pierwsze, Zoja Astachowa była jedyną osobą, która wiedziała, i tym samym stanowiła realne zagrożenia dla Rusowa. Po drugie, wydawnictwo straciło jednego ze swoich najlepszych autorów, po trzecie...

- Ale gdzie jest mój Anton - wymamrotała, zapalając wreszcie papierosa, którego cały czas miętoszyła w palcach.

Miała wszelkie powody, żeby martwić się o siostrzeńca. Przed dziesięciu laty siedział za morderstwo. Brał narkotyki. Miał odchyły psychiczne i seksualne. I ten nieszczęśnik był jedyną żywą istotą na tym świecie, którą bezdzietna, samotna Zoja Astachowa kochała jak własnego syna.

* * *

Niepozorny stary Volkswagen koloru asfaltu zaparkował koło dużego sklepu obuwniczego na Krasnoj Priesnie. Kierowca - starszy, korpulentny pan z wieńcem rudych włosów wokół różowej łysiny - zaciągnął hamulec ręczny, otworzył drzwi i chciał wysiąść, zatrzymał się jednak w pół kroku i zamyślił.

Lusterko wsteczne pokazywało zmarszczone czoło, oczy były całkowicie szklane, puste i przezroczyste. Gdyby nagle przechodził jakiś znajomy Wiktiuka, nie od razu by go poznał: Feliks był w tak ponurym nastroju, jak jeszcze nigdy.

Przyjeżdżał tu już dzisiaj drugi raz. Umówiony był w McDonalddie z człowiekiem, dla którego w aktówce miał kopertę z pięćdziesięcioma tysiącami dolarów. Jednak mężczyzna ten nie pojawił się, a nawet nie zadzwonił.

Wiktiuk nie wątpił, że zlecenie zostało zrealizowane. Na własne oczy widział ciało. Trudno je było co prawda zidentyfikować, ale wzrost, wiek, budowa ciała oraz dokumenty i osobiste przedmioty potwierdzały, że chodzi o Nikitę Rakitina.

Kilerem była wątpliwa osoba, do której nie można było mieć zaufania. Narkoman i zboczeniec. Zaliczkę wypłacił mu w narkotykach i broni, chociaż tej ostatniej wcale nie potrzebował w takiej ilości. Ten infantylny psychopata miał po prostu frajdę, kupując pukawki, tak jak mały chłopiec rzucający się w sklepie na zabawki.

Śmierć renomowanego autora, Wiktora Godunowa, zgodnie z oficjalnym raportem nastąpiła na skutek wypadku. Doznał porażenia prądem, następnie wybuchł pożar - wszystko odbyło się pomyślnie. I Wiktiuk aż palił się, by usłyszeć, w jaki sposób morderca uporał się ze swoim zadaniem.

To, że nie pojawił się o umówionej godzinie, bardzo zdziwiło znawcę ludzi, Wiktiuka. Był pewien, że ten człowiek niezwłocznie odbierze swoje honorarium. Z całą pewnością wydał już całą zaliczkę i poczuł przedsmak wielkich pieniędzy (a chodziło o, bagatelka, pięćdziesiąt tysięcy dolarów). Cóż takiego mogło go od tego powstrzymać?

Za pierwszym razem, dwa dni temu, Wiktiuk podczas drobnej mżawki czekał przy stoliku na zewnątrz na egzekutora półtorej godziny, zastanawiając się, czy nie byłoby rozsądnie skontaktować się z ludźmi z domu pogrzebowego i zamówić „omyłkową” kremację.

Wiktiuk dostał zgagi od cheeseburgera i frytek. Przyrzekł sobie przedwcześnie się nie denerwować. Chłopak zabawiał się pewnie z jakąś babcią, w końcu lubił babcię, na tym polegało jego zboczenie. Albo wziął za dużo narkotyków. W każdym razie Wiktiuk nie widział powodu do przedwczesnych obaw.

Jedynym, co go niepokoiło, było wszczęcie postępowania. Zmarły był prominentną postacią, poza tym za kilka dni mieli przylecieć ze Stanów jego rodzice. Kto wie, co im strzeli do głowy? Może zażądają dodatkowych opinii, będą zwracać się do kolejnych instancji? A on w końcu nadal nie wiedział,

w jaki sposób zgładzono Rakitina, dlatego trzeba było zatroszczyć się o to, by wypadek pozostał wypadkiem i nie miał żadnych pozorów śmierci z czyjejś ręki.

Jeszcze tego samego dnia zapłacił za kremację i natychmiast się uspokoił. Jednak ciągle martwił się zniknięciem zabójcy. Chłopak jakby się pod ziemię zapadł.

Rozdział 21

- Znów pan przychodzi w sprawie Rakitina? - Zoja Astachowa ze zdziwieniem uniosła brwi, kiedy kapitan Leontiew przekroczył próg biura. - Proszę mi wybaczyć, jestem bardzo zajęta.

- Nie. Przychodzę z całkiem innym powodem. - Nie czekając na zaproszenie, Leontiew usiadł w fotelu.

- A to ciekawe - zaśmiała się drwiąco redaktorka naczelna. - Z jakiego to?

- Zoju Anatoliewna, kiedy pani po raz ostatni widziała swojego siostrzeńca, Antona Sliwkę?

Trzeba było przyznać, że znakomicie potrafiła się opanować. Kapitan zupełnie by nie zauważył, jak wielkie wrażenie zrobiły na nim jej słowa, gdyby spojrział jej w oczy. Ale jego wzrok padł na dłonie. Tak gwałtownie zacisnęła palce, że zbieleły jej od tego przeguby. Pomalowane paznokcie wwierciły się w powierzchnię dłoni, tak że Leontiew przestraszył się, iż poleje się krew.

- A o co chodzi? - zapytała obojętnym tonem.

- Chodzi o jego odciski palców znalezione na puszcze zawierającej sto gramów wyjątkowo silnego narkotyku, psylocybiny. Myślę, że nie muszę pani, absolwentce medycyny, tłumaczyć, co to oznacza. Poza tym w mieszkaniu, w którym Sliwko zatrzymał się na tydzień, znaleziono broń. Narkotyki i broń należą do pani siostrzeńca. A on sam zniknął.

- Co to za mieszkanie? Jakie mieszkanie? - pytała Astachowa pośpiesznie i prawie szeptem.

- W jednym z domów w Wychinie. Właścicielką mieszkania jest starsza, chora psychicznie kobieta. Pani siostrzeniec mieszkał u niej w charakterze kochanka. Jednak długo nie zagrzał miejsca. Tylko siedem dni. Potem zniknął, najpewniej w tak wielkim pośpiechu, że zostawił swoje narkotyki i broń.

- Wychino? - zapytała badawczo Astachowa.

Przez chwilę kapitanowi zrobiło się jej żal. Jej gładka, zadbana buzia pod cienką warstwą pudru poszarzała.

- Tak, Zoju Anatoliewna. Dokładnie w tym domu, w którym spłonął Wiktor Godunow. A pani siostrzeniec zniknął akurat tamtej tragicznej nocy. Zatem, kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Kogo? - Patrzyła na kapitana tępo, mrugając gorączkowo, jakby nagle dostała jakiegoś nerwowego tiku.

- Zoju Anatoliewna, czy pani dobrze się czuje?

- Nic mi nie jest - powiedziała powoli. - Proszę wybaczyć. Martwię się o mojego siostrzeńca. Jest chory. Psychicznie. Pan oczywiście wie, że odsiedział dziesięć lat z powodu morderstwa.

- A co robił potem?

- Pracował.

- Gdzie?

- W domu. U siebie w domu. Kupiłam mu kawalerkę. - Jej głos był głuchy i monotony, jak na zwalniającej kasecie magnetofonowej. - Anton robił na drutach.

- Przepraszam, co robił?

- Na drutach. Najpierw ręcznie, a potem maszynowo. Kupiłam mu japońską maszynę. Robił piękne swetry, kamizelki, sukienki. O, ten sweterek też.

- Brał narkotyki?

- Od czasu do czasu.

- Co to znaczy, od czasu do czasu? Przecież pani jest lekarzem, Zoju Anatoliewna. Czy pani siostrzeniec był uzależniony od narkotyków, czy nie?

- Nie.

- No pięknie. Przypuśćmy, że to prawda. Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Dwa tygodnie temu.
- Gdzie? W jakich okolicznościach? Proszę mi to opowiedzieć w miarę dokładnie.

- Przywiozłam mu wełnę. Bardzo delikatną włoską wełnę, ciemnoniebieską. Miał mi z tego zrobić kostium. To ważne, żeby zawsze miał zajęcie. Płaciłam mu za tę pracę. Czuł się potrzebny. To bardzo twórcze zajęcie, proszę mi wierzyć. Naprawdę się w to zaangażował, przynosiłam mu najnowsze magazyny i sam robił wykroje. Słyszysz pan, panie, przepraszam, jak pan się nazywa?

- Andriej Michajłowicz.

- Więc szanowny Andrieju Michajłowiczu, mój siostrzeniec nie ma nic wspólnego ze śmiercią Rakitina. To czysty przypadek.

- Co dokładnie pani zdaniem jest przypadkiem?

- Pan dokładnie wie, co. Miał chorobliwą skłonność do starszych kobiet, gerontofilia to choroba, rozumie pan? Nic nie mogłam z tym zrobić.

- Chwileczkę, Zoju Anatoliewna, proszę się nie denerwować - powiedział kapitan Leontiew tak łagodnie, jak się dało. - To, że Sliwko cierpi na gerontofilię, to wiem....

- Nic pan nie wie, w ogóle nic pan nie rozumie! - krzyknęła. - Proszę zostawić tego chłopca w spokoju!

- Czy często pani u niego bywała? - zapytał Leontiew, kiedy Astachowa nieco się uspokoiła.

- Raz na tydzień na pewno. Nie zostawiałam go bez nadzoru.

- Z kim jeszcze miał kontakt? Miał przyjaciół, znajomych?

- Nie.

- Jak to? Nikogo?

- Bał się ludzi. Po tym, co przeszedł, miał duże problemy z komunikacją.

- A jego skłonność do starszych kobiet? Przecież sama pani mówiła...

- Nic nie mówiłam! Anton siedział w domu i robił na drutach. Bardzo surowo go pilnowałam, kilka razy dziennie do niego dzwoniłam.

- Więc ten młody człowiek całymi dniami sam siedział w domu i robił pani na drutach swetry?

- Tłumaczę panu, że jest chory. Robienie na drutach to rodzaj leczenia, terapia pracą. A co się tyczy samotności - po prostu nie widziałam innego wyjścia. Jest bardzo labilny, ma słaby charakter. Bałam się złego wpływu.

- A skąd dostawał narkotyki?

- Jakie narkotyki?

Jej twarz stała się ziemista, a oczy nieruchome. Bał się, że w każdej chwili może stracić przytomność.

- Zozu Anatoliewna, widzę, że pani naprawdę nie najlepiej się czuje. Powinniśmy przełożyć naszą rozmowę na kiedy indziej.

- Tak - wydusiła.

W drodze powrotnej z wydawnictwa Leontiew wstąpił do małej kawiarni i zamówił kanapkę z szynką i filiżankę kawy.

Chorobliwa skłonność do starych kobiet, zastanawiał się kapitan. Sliwko jak najbardziej mógł przebywać w tamtym domu. Przypadek, ale jak najbardziej wiarygodny. Ale Sliwko był ponadto siostrzeńcem Astachowej - zbyt dużo tych przypadków.

Ciekawe było to, że Astachowa podczas pierwszej rozmowy zachowywała się tak, jakby śmierć Wiktora Godunowa była dla niej bez znaczenia. Nie zadała sobie nawet trudu, żeby okazać choćby cień - jak by to ująć - zaangażowania. To jej prywatna sprawa, mogła mieć do Rakitina taki stosunek, jaki chciała. Ale książki Godunowa przynosiły jej wydawnictwu znaczne zyski. Czy to też było jej obojętne?

Podczas pierwszej rozmowy zachowała się nieadekwatnie, jej cała postawa wydawała się wyrażać: Jest mi to obojętne, nic mnie to nie obchodzi. Ale jeśli tak było, to skąd skarga aż do ministerstwa?

Astachowa coś wie lub przeczuwa. Możliwe nawet, że sama ma z tym coś wspólnego, może nie z samym morderstwem, ale z przyczynami, skomplikowaną siecią motywów.

Dzisiaj przeżyła prawdziwy szok. Nie dlatego, że zniknął jej ukochany siostrzeniec - to akurat dla niej nic nowego. Skoro cały czas go kontrolowała, wie o tym przynajmniej od pewnego czasu. Ale to od niego dowiedziała się, że Anton był w tym samym miejscu i czasie, co zamordowany Rakitin. Czyżby zrozumiała, że jej siostrzeniec został użyty, by zabić Rakitina? I czy wie, przez kogo i dlaczego?

* * *

Tymczasem Wiktiuk zdążył już znienawidzić McDonalda. Za każdym razem, kiedy przychodził, mżyło. Był umówiony z Antonem na zewnątrz, przy

narożnym stoliku. Dzisiaj był ostatni z trzech umówionych dni, a tu ciągle nie miał od niego żadnej wiadomości.

W ogóle, mówiąc bez ogródek, całe to cholerne zlecenie od początku jakoś koślawo szło. Wiktiuk myślał, że zacznie już wierzyć w przesady, co chyba wiązało się z wiekiem, a może z jego nowym zawodem. Śmierć to w końcu dziwna sprawa. Jak w tym powiedzeniu: co ma wisieć, nie utonie. Pośrednik i wykonawca tylko wtedy byli dobrzy, gdy wiedzieli, komu ma przypaść stryczek, a komu woda.

Można by sądzić, że działa tu prosta, brutalna zasada: jeśli jest zlecenie na morderstwo, to ofiara już jest praktycznie martwa i nie pomogą jej ani ochroniarze, ani szyby pancerne, kamizelki kuloodporne czy kaski.

Z chwilą, kiedy egzekutor otrzymuje zaliczkę, śmierć zaczyna chodzić za ofiarą krok w krok. Weześniej czy później jakaś kula roztrzaska mu czaszkę, wybuchnie jakieś zaparkowane nieopodal auto albo po wypiciu kawy przyniesionej przez zaufaną sekretarkę delikwent chwyci się za serce, zacznie łąpać powietrze, a chwilę potem nie będzie już żył.

Jednak życie, a ściślej mówiąc śmierć, potrafi płać figle, dokładnie tak, jakby chciała zdrwić z profesjonalizmu Wiktiuka. Przemyślał wszystko co do najmniejszego szczegółu, przestudiował zwyczaje, tryb życia, gust i skłonności potencjalnej ofiary, a tu dzieje się coś, czego nie dało się przewidzieć.

Obiekt musi kichnąć akurat w chwili, gdy pada strzał i kula przelatuje milimetr obok jego ucha. Niedzielny kierowca wjeżdża w zderzak zaparkowanego samochodu pełnego dynamitu i wybuch wstrząsa całą okolicą w chwili, kiedy ofiara znajduje się trzydzieści metrów od auta, odłamki i fala uderzeniowa ranią dziesiątki osób, za to sam obiekt stoi na chodniku bez najmniejszego zadraśnięcia. Albo ofiara z niewyjaśnionych powodów sekundę przed strzałem pada na ziemię i przeznaczona jej kula roztrzaskuje szybę wystawową. A skoro kula nie trafia do celu, to innego dnia musi nastąpić wybuch, skoro taca z zatrutą kawą wypadła z rąk, to ofiara musi zostać przejechana - to już dla Wiktiuka dogmat. Nie, żeby niedoszła ofiara zaczęła coś podejrzewać, tylko z powodu zasady stryczka i wody: co ma wisieć, nie utonie.

Kiedy pisarz Godunow po nieudanym ataku na Leningradzkim Prospekcie nagle zniknął bez śladu - i to po tym, jak zabrał ze sobą wszystko, co zleceniodawca zamierzał usunąć, umykając przy tym zabójcom o włos

- Wiktiuk po raz pierwszy poczuł niemiły chłód w klatce piersiowej. Coś tu jednak z tym Godunowem jest nie tak.

Wiktiuk zawsze bardzo gruntownie zabierał się do przestudiowania biografii osoby docelowej. Według jego rozeznania, nie powinno być żadnych trudności. Pisarz nie miał ochroniarzy, nie jeździł samochodem z kuloodpornymi szybami, nie potrafił strzelać, ostatnią bijatykę zaliczył w dzieciństwie, był bezbronny, ponadto roztargniony i łatwowierny tak, że graniczyło to wprost z głupotą. Typowy intelektualista. Ktoś taki to dziecinna igraszka. A tu masz babo placek!

Gdy ten skapcianały intelektualista zniknął nagle bez śladu, wszyscy wpadli w panikę. Trzech wynajętych morderców nie chciało się przyznać, że to oni spaprali sprawę, upierając się, że ofiara też jest profesjonalistą, co wyjaśniałoby jego błyskawiczne i skuteczne reakcje. Rusow ryczał przez telefon i żądał niemożliwego. Również sam Wiktiuk zaczął być nerwowy. Nieważne, na kogo zwali winę, koniec końców to i tak on był odpowiedzialny za zlecenie. Wiktiuk wytrwale analizował wszystkie znane mu adresy, pod którymi mógł pojawić się Rakitin. Nie było ich wiele. Z całą pewnością nie ukrył się u swojej przyjaciółki, dziennikarki Tatiany Władimirownej. U swojej byłej żony też nie - nie narażałby na niebezpieczeństwo własnego dziecka. Kto jeszcze wchodził w grę? Jego dawna niania? Chyba nie.

I gdy tak łamał sobie nad tym głowę, Rusowowi przyszedł do głowy znakomity pomysł. Zadzwoił w środku nocy z Siniedolska, spokojny, skupiony, bez ochryplego drżenia w głosie i podał mu adres: Wychino, Sriednie- Zagorskij Pierieułok 40.

- Wyjaśnij - poprosił Wiktiuk.

- Potrzebował kogoś, kto z jednej strony jest mu bliski i godny zaufania, ale z drugiej strony - kogo nikt nie zna. Zinajda Rieznikowa jest przyjaciółką z dzieciństwa, samotną malarką. Nie widzieli się od pięciu lat, ale znają się od dziecka. W każdym razie trzeba to sprawdzić.

Wiktiuk nie tracił czasu i z miejsca posłał jednego ze swoich bezdomnych agentów do Wychina. Od razu się dowiedział, że u malarki zakwaterował się młody blondyn, dokładnie taki sam, jak ten na zdjęciu pokazywanym przez bezdomnego sąsiadom malarki. Za flaszkę bardzo chętnie opowiedzieli, jak Zina przywozła tego mężczyznę z teczką do domu, a potem wyjechała.

Wiktiuk zaraz zadzwonił do kilerów, żeby przekazać im miłą wiadomość. Ale nie mogli już nigdzie pojechać, nawet za dodatkowe pięć tysięcy dolarów.

Informacja o śmierci trzech zawodowców ostatecznie zwarzyła humory zarówno Rusowowi, jak i Wiktiukowi. Wyczerpany i znękaný Wiktiuk gorączkowo głowił się, skąd adres w Wychinie wydaje mu się taki znajomy. Kiedy i od kogo słyszał już o Sriednie-Zagorskim Pierieulku?

Normalnie Wiktiuk dobierał współpracowników z namysłem, każdego z osobna sprawdzał, nikogo przy tym nie wykluczając, nawet bezdomnych. Kandydat musiał być elastyczny, gotowy na każde zlecenie. Często do jedno-razowej roboty wyławiał dość ponure typy, które, długo się nie namyślając, w korytarzu zadawały ofierze kilkanaście ciosów nożem.

Wcale nie tak łatwo zorganizować morderstwo doskonałe, to dlatego tyle mitów i legend otacza instytucję zawodowych zabójców. Za wskazówkę świadczącą o morderstwie na zlecenie uważa się, na przykład, kontrolny strzał w głowę i pozostawioną na miejscu zbrodni broń. W rzeczywistości finałowy strzał w głowę faktycznie dla jednego bywa wizytówką, lecz inny po prostu nie strzela na tyle dobrze, by trafić za pierwszym razem.

Co się zaś tyczy broni, zawodowiec używa zwykle jej specjalnie przystosowanych egzemplarzy. Jest ich niewiele i główne źródła znane są milicji. Dlaczego by zostawiać takie specjalne egzemplarze na miejscu zbrodni? Czy nie rozsądniej je usunąć, by nikt ich nie znalazł?

To znaczy, organizuje się specjalne tajne szkoły i obozy treningowe dla byłych żołnierzy z Afganistanu i czeczeńskich weteranów, emerytowanych oficerów milicji i FSB oraz byłych członków jednostek specjalnych i sportowców. Jednak ich żywot nigdy nie jest zbyt długi, podobnie jak organizatorów. Organizację, niechby nawet była niejawną, zawsze łatwiej wykryć niż prywatnego człowieka, dlatego mniej bezpiecznie i korzystnie jest angażować kilerą ze specjalnego oddziału. Dobry ekspert natychmiast pozna po śladach, gdzie strzelec nauczył się swego rzemiosła, a takie odkrycie szybko prowadzi do samego zabójcy i jego nauczycieli, którzy często są jednocześnie pośrednikami takiego zawodowca.

Wiele mitów przy bliższej analizie okazuje się nie mieć podstaw.

Wiktiuk nigdy nie polegał na mitach, zawsze podchodził do swojego biznesu kreatywnie. Każdy, kto na pierwszy rzut oka wydawał się nieprzydatny, mógł się z czasem okazać tym właściwym.

Ćpun i półgłówek, który odsiedział dziesięć lat za morderstwo, siostrzeniec wieloletniej znajomej Rusowa, spragniony czynu, z całą pewnością podniecający się romantycznym zawodem płatnego mordercy. Ludzie Rusowa już miesiąc wcześniej przekazali tego Antona do rozpracowania. Wiktiuk jak zwykle najpierw obserwował chłopca, kilka razy się z nim spotkał, przejrzał go na wylot. Początkowo Anton niespecjalnie go zainteresował. Niemiła słabość, mętne oczy, swego rodzaju służalczość - Wiktiuk był pewien: nie wchodzi w grę. Jednak pozostał w kontakcie, dał Antonowi swój numer telefonu.

A tu taki przypadek! W końcu Wiktiukowi przypomniało się, dlaczego adres Sriednie-Zagorskij Pierieulok 40 wydał mu się znajomy. To właśnie w tym domu Anton ukrywał się u pewnej szurniętej babci przed czujnym okiem własnej ciotki. Zaszył się jak w norze i ani myślał wychylić stamtąd nosa ze strachu, że ciotka mogłaby go znaleźć i zapędzić do poniżających robótek ręcznych. Jednak pewnej nocy zadzwonił do Wiktiuka, podał adres, pod którym można go znaleźć i zapytał, kiedy ten będzie miał dla niego wreszcie jakąś męską robotę.

Jako rekompensatę za niepowodzenia los zesłał teraz Wiktiukowi i Rusowowi nową szansę. Nawet jeśli ten wariat nie będzie w stanie profesjonalnie wszystkiego upozorować, to i tak całość nie będzie wyglądała na morderstwo na zlecenie.

W końcu sprawa potoczyła się nawet lepiej niż planowali, bo gdyby zlecenie wykonali zawodowcy, to ani chybi mieliby już wszczęte postępowanie. I jeszcze zaoszczędzili - okrągłutkie dwadzieścia tysięcy.

Więc co tak niepokoiło Wiktiuka? No dobrze, Anton zniknął. Ale zlecenie zostało wykonane. Ciało skremowane. Żadnych śladów. Cały niebezpieczny dla Rusowa materiał - dyskietki, kasety, filmy - spłonął. Do diabła z Antonem - był ćpunem, materiałem do odrzutu. Całkiem możliwe, że przedawkował psylocybinę. W końcu kupił mu straszne ilości tego świństwa.

Szkopuł w tym, że zlecenie dopiero wtedy uznawano za zrealizowane, kiedy wykonawca kasował swoje honorarium i zdawał sprawozdanie z wykonanej roboty. Dopiero wtedy Wiktiuk otrzymywał przypadający mu

udział. Tak długo, jak Anton się nie pojawiał, wszystko było zawieszona.

Rusow tylko z grubsza wyjaśnił Wiktiukowi istotę swojego konfliktu z renomowanym pisarzem. Jego żona Nika była kiedyś zaręczona z Rakitinem, który teraz rzekomo chciał się zemścić na Rusowie za sprzątnięcie narzeczonej sprzed nosa, zbierając na niego kwity. Dlaczego akurat teraz? Całkiem proste: kiedyś Nikita Rakitin był nikim. Ale teraz, kiedy stał się jednym z najpopularniejszych autorów w Rosji, chciał wykorzystać swoją sławę do podłych celów.

W tę historię o miłości i podstępnej zemście Wiktiuk raczej nie wierzył, za to kwity, o tak, owszem, znalazłoby się ich całe mnóstwo.

Rakitin był swego rodzaju podwójnym zleceniem. Kilka miesięcy przed jego likwidacją Wiktiuk zaplanował i przeprowadził błyskotliwą operację z kwitem dłużnym. Pełny sukces, inaczej być nie mogło. Wiktiuk wszystko dokładnie wykalkulował, uwzględniając najsubtelniejsze psychologiczne niuanse. Rusow oznajmił, że teraz już wszystko gra. Jednak zaledwie dwa miesiące później oświadczył, że Godunow dalej trudni się swym ponurym interesem.

Jeśli miałyby być szczery, to miał już tej historii z pisarzem po dziurki w nosie. Chciał w końcu swoich pieniędzy. Jego umysł i czas były zbyt wiele warte, o wiele więcej niż płacił mu Rusow. I teraz Wiktiuk siedział w aucie i podejmował decyzję.

A może po prostu powiedzieć Rusowowi, że Anton się pojawił i skasował pieniądze? Mógłby mu opowiedzieć, że chłopak źle wyglądał, był kompletnie naćpany i nie był w stanie wydusić z siebie sensownego słowa. Jak Rusow miałby to sprawdzić? W żaden sposób. Przecież nie przyjedzie w najbliższym czasie z Siniedolska, jako świeżo upieczony gubernator miał pełne ręce roboty.

Wiktiuk wysiadł wreszcie z samochodu i niespiesznie poszedł do McDonalda. Tym razem na wszelki wypadek nie zamówił cheeseburgera, ograniczwszy się do kubka herbaty. Właśnie siadał, kiedy zadzwoniła komórka.

- Mógłbyś pojechać do mnie do domu? - zapytał ochryłym głosem Rusow.
- Jak to?
- Jest tam właśnie Rieznikowa. Sama. Chciałbym, żebyś ją porządnie obmacał.

- A warto? - zadrwił Wiktiuk.

- Daruj sobie. Sprośne dowcipy są tu naprawdę nie na miejscu. Rieznikowa pozwoliła mieszkać u siebie Rakitinowi. Całkiem możliwe, że coś jej opowiedział, może nawet dał dyskietki, kasety i filmy. Była w Siniedolsku i odebrała moją żonę, to z jej powodu Nika związała z mojej inauguracji, a teraz mieszka u mnie, w moim mieszkaniu i napuszcza na mnie Nikę.

Rusow wyraźnie nie był w nastroju do żartów. W sprawach dotyczących szanownej małżonki wpadał w panikę i tracił nad sobą kontrolę.

- Chwileczkę, napuszcza ją na ciebie? Kim ona niby jest dla twojej żony?

- Przyjaźniły się od pierwszej klasy. Przez Rieznikową Nika poznała Rakitina.

- No i co?

- Nie podoba mi się to, jak Nika się zachowuje. Ktoś musiał jej naopowiadać o mnie jakieś podłe rzeczy. To mogła być tylko Rieznikowa.

- Innymi słowy, uważasz, że twoja żona coś podejrzewa? - przyszpilił go Wiktiuk. W takich sprawach lubił mieć jasność.

- Nie! - krzyknął Rusow. - Nie gadaj bzdur!

- Posłuchaj, nie wydzieraj się na mnie - powiedział cicho Wiktiuk. Miał już dosyć tego, jak Rusow go traktował. Jeszcze jakiś czas temu był od niego całkowicie zależny, ale z czasem sam zdobył władzę i kontakty, żeby stopniowo obejść się bez jego znakomitej protekcji.

- Wybacz. Jestem wykończony. Denerwuję się. - Rusow poczuł, że na zbyt wiele sobie pozwolił. Wiktiuk był w końcu jedynym człowiekiem w Moskwie, któremu mógł ufać bez zastrzeżeń i do którego mógł się zwrócić z każdym drażliwym zleceniem. Wierni ochroniarze Kostik i Stasik się nie liczyli, byli tylko posłusznymi idiotami.

- Już dobrze, rozumiem - powiedział łagodnie Wiktiuk. - Więc mam się zatroszczyć o Rieznikową?

- Nie troszczyć. Tylko sprawdzić. Jesteś w tym dobry. Po prostu idź tam, powiedz, że jesteś z administracji, ubezpieczeń, z organizacji charytatywnej - cokolwiek. Popapłaj troszkę, napij się z nią herbaty.

- Sądysz, że mnie zaprosi?

- Na pewno. Lubi ploty.

- Być może. Ale jeśli twoja żona będzie w domu? Albo wpadnie w najmniej oczekiwanej chwili?

- Tym to ja się już zajmę. Powiem moim chłopakom, żeby nie spuszczaali jej z oczu. Musisz tylko natychmiast wyjechać, kiedy dam ci znać. Pogadaj z nią o nowej literaturze, a potem o Rakitinie, to znaczy Godunowie. Na pewno to załatwisz.

- Chwileczkę, a czego konkretnie mam się dowiedzieć?

- Co wie Rieznikowa? Co jej opowiadał lub przekazywał Rakitin? Czego chce od mojej żony? Dlaczego była w Siniedolsku?

- Stop! Stop! - przerwał mu rozdrażniony Wiktiuk. - Zrób no głęboki wdech i zastanów się tylko, jakie brednie wygadujesz. Przychodzi do niej ktoś, kogo zupełnie nie zna, i miałyby mu opowiadać takie osobiste rzeczy?

- No to co ja mam w takim razie zrobić? - W pytaniu tym pobrzmiwała tak bezdena, histeryczna beznadzieja, że Wiktiuk nie mógł powstrzymać odruchowego, drwiącego uśmiechu, a potem rzekł współczująco, tak jak się przemawia do chorego dziecka:

- Co masz zrobić? Przede wszystkim musisz się uspokoić. Wziąć w garść. Skąd ta panika? Zlecenie jest załatwione, nie ma żadnych śladów, wszystko spłonęło - kasy, dyskiety, ciało również. Twojemu Antonowi już zapłaciłem, był co prawda kompletnie naćpany, ale to w końcu nie nasz problem. Wszystko w porządku, Grisza. Uspokój się i nie stresuj.

- Więc zjawił się i odebrał pieniądze? - zapytał ochryplym głosem Rusow?

- Ależ oczywiście - uśmiechnął się do słuchawki Wiktiuk.

* * *

Pytanie w domu pogrzebowym, dlaczego z tak dziwnym pośpiechem skremowano ciało pisarza, nie miało sensu. Kapitan Leontiew był pewien, że nic by mu to nie dało, poza reprimendą szefa. Ale wśród swoich nieoficjalnych agentów miał człowieka, który mógł to i owo wyjaśnić. Oczywiście tylko wtedy, kiedy się wywarło na niego odpowiedni nacisk.

Przed kilkoma laty Leontiew zwerbował milego, cichego chłopca, podejrzanego o uczestnictwo w gwałcie. Sprawa była dosyć podejrzana. Pewna bezmyślna młoda dama, dilerka narkotykowa, chciała wystawić swoich klientów, a kiedy ci ją dopadli, zainscenizowała ładne przedstawienie, z siniakami, rozerwanym biustonoszem i pełnym fantazji zgłoszeniem na

milicję. W tego typu sprawach nikt nie ma racji, winni są wszyscy, a sprawa jest otwarta.

Leontiew dowiedział się, że jeden z winnych pracował w domu pogrzebowym, przyjrzał mu się bliżej i dostrzegł cały szereg wartościowych cech: kontaktowość, słabe nerwy, uzależnienie od narkotyków, a w końcu szczególne, ohydne tchórzostwo w oczach, co w przypadku tak odpowiedzialnych zadań jak szpiegostwo jest niezmiernie ważne. Kapitan postanowił nieco wyjść temu chłopcu naprzeciw: nie potraktował go jak współwinnego, lecz jak świadka. Z czystej wdzięczności chłopiec podpisał wartościowy papierek.

„Ja, Aleksander Iwanowicz Barsukow, z własnej, nieprzymuszonej woli zobowiązuję się wspierać organy spraw wewnętrznych przy dowodzeniu winy elementowi przestępczemu. Zobowiązuję się nigdy i w żadnych okolicznościach nie ujawniać faktu mojej współpracy z organami wymiaru sprawiedliwości. Dla celów konspiracji przybieram pseudonim Barsuk, którym będę podpisywał moje informacje. Data, podpis”.

Jakiś czas temu Aleksander Barsukow był studentem medycyny, i to niezłym, ale od drugiego roku zaczął ostro brać. Tak ostro, że zrobiło się o tym głośno, nie tylko w związku z pokłutymi żyłami i rozszerzonymi żrenicami, ale również z powodu ampulek morfiny, znikających z zamykanej na klucz szafki w jednym ze szpitali, gdzie cichy student Aleksander dorabiał sobie w czasie wolnym od zajęć.

Nie wszczęto postępowania, lecz Aleksander wyleciał ze szpitala. To znaczy, nie całkiem. Otrzymał stanowisko w domu pogrzebowym. Po skandalu ze spekulantami mieszkaniowymi potrzebowali tam właśnie ludzi.

Leontiew obserwował, jak Barsuk wraz z kolegami wysiada z czarnej wołgi i wchodzi do pizzerii obok metra. Wedle informacji, które otrzymał od Barsuka, chodziło zwykle o pomniejszych narkotykowe interesy; w gruncie rzeczy mały był pożytek z tego Barsuka. Z całą pewnością Leontiew znów spędzi kilka godzin na monotonnej i pozbawionej sensu rozmowie, w której nie usłyszy nic ciekawego, tylko uzalanie się na niesprawiedliwość świata.

Kapitan był w mundurze. Wszedł do kawiarni, zamówił pikantną sałatkę z kapusty, pizzę z szynką i kubek herbaty, i najspokojniej w świecie usiadł przy sąsiednim stoliku. Wybrał miejsce w ten sposób, żeby Barsuk mógł go zauważyć, ale nie od razu, lecz jakby przez przypadek, w lustrze. Spokojnie

można go trochę podenerwować, może to go uczyni rozmowniejszym.

Barsukow był w miłym towarzystwie dwóch młodych sutenerów.

Chłopy z apetytem pochłaniali kotlety z kurczaka i pieczone ziemniaki oraz głośno i bez żenady wymieniali wrażenia o swoich nowych podopiecznych, których przydatność do zawodu najwyraźniej sprawdzali osobiście.

- Dodałem tej blondynie jeszcze czegoś do wódki, takie indyjskie zioło, baby robią się po tym ostre. Bo ona się normalnie nie mogła wyluzować, już mi prawie chciała zwiać - opowiadał ze śmiechem.

- Powiedz, czy ona jest jeszcze nieletnia? - zapytał drugi, dłubiąc sobie w zębach złamaną zapalką.

- Cholera wie - powiedział w zamyśleniu pierwszy. - W każdym razie, babka pierwsza klasa, jak nic wyciągnie sto baksów.

- No, od razu sto... - zmarszczył czoło drugi. - Ty, Aleksander, jak myślisz, pójdzie za stówę?

- Dlaczego nie - Barsuk skinął z miną znawcy. - Jest już, no serio - zaczął porywającą relację, gdy nagle zakrzuszył się, rozkaszał, aż koledzy musieli go poklepać po plecach. Od kaszlu zaczęły mu łzawić oczy, nie mógł ich oderwać od lustra, z którego uśmiechał się do niego kapitan Leontiew.

Pół godziny później obaj siedzieli na ławce na spokojnym podwórku.

- Co to ma być? Tak przecież nie można! - Barsuk był oburzony. - Mógł pan zadzwonić, jestem zawsze gotowy, ale tak, kiedy jestem z chłopakami... Przecież mnie zakatrupią, jak się dowiedzą, i panu też nic z tego nie przyjdzie.

- Któregoś dnia tak czy tak ci się to przydarzy - wzruszył ramionami kapitan. - Nie żyjemy w końcu wiecznie.

Okrągła twarz Barsuka spochmurniała. W ten sposób ten gliniarz jeszcze z nim nie gadał. „Czego ode mnie chce?” - pomyślał w panice.

- Co się dzieje, ma pan zły humor? - zapytał, starając się uśmiechać potulnie i patrzeć Leontiewowi w oczy. - No proszę, niech pan pyta. Zawsze do usług.

Leontiew nie był w złym humorze, ale przez rozmowę Barsuka z kolegami-alfonsami zupełnie stracił apetyt.

- Mówisz, zawsze do usług? - Leontiew uniósł brwi. - No to do dzieła, młody pionierze! Kto zapłacił za omyłkowe spalenie ciała pisarza Godunowa?

Barsuk zamrugnął oczami i zaczął błądzić wzrokiem. Leontiew od razu zrozumiał: coś wiedział. Może nie wszystko, ale zawsze.

- Jakiego pisarza? Był u nas jakiś pisarz? - ochryple zaterkotał Barsuk.- Tak jakbym czytał książki! Nie mam czasu na czytanie. Skąd miałbym go znać?

- Racja, nie czytasz książek - skinął kapitan - ale jeśli w waszej spokojnej instytucji leży jakaś sława, to przecież się o tym gada. Pisarz Wiktor Godunow. Ale to pseudonim. Ciało nazywa się inaczej: Nikita Rakitin. Kto zapłacił za kremację? Kto poza rodziną interesował się jeszcze tym ciałem?

- Nie wolno mi mówić o domu pogrzebowym - jęknął Aleksander i zrobił cierpienniczą minę. - Nie mogę, proszę mnie pytać, o co pan chce, ale nie o dom pogrzebowy.

- Czemu tak się trzęsiesz, Barsuk? Zimno ci? Możemy sobie też porozmawiać na komendzie. Z miejsca mógłbym cię zatrzymać - paragraf 230: konsumpcja środków odurzających albo nadużywanie psychotropów. Dwa do pięciu lat. Wolisz to? Moglibyśmy jeszcze dorzucić 233: niezgodne z prawem wystawianie lub fałszowanie recept na środki odurzające.

Barsuk zaczął płakać.

- Nie pytałem, jak się nazywa - pociągał nosem. - Taki mały grubas koło sześćdziesiątki. Ruda broda, łysina na czubku.

- Ten? - Leontiew szybko wyciągnął z teczki powiększone zdjęcie.

- Tak, ten - skinął głową Aleksander.

- Często widywałeś go w domu pogrzebowym?

- Dwa razy. Przez cały ten czas dwa razy.

- Kto to jest?

- Przecież mówię, że nie wiem. Jeździ volkswagenem, ciemnoszarym.

- Z kim się u was spotykał?

- Nie wiem. Był sam, chciał zobaczyć zwłoki, właśnie kończyłem zmianę.

Popatrzył na ciało i poszedł. Widziałem, jak wsiada do auta.

- To skąd wiesz, że zapłacił za kremację?

- Tego nie wiem. Wiem tylko, że ten mały grubas jest „dysponentem”. I normalnie to oni płacą. Pół roku temu widziałem go w biurze u Kuklaczowa. Wtedy Kuklaczow wziął łapówkę, ale go zabili. Kto to robi dzisiaj, nie wiem.

Rozdział 22

Autorka dwóch książek o zdrowym odżywianiu i optymalnym stylu życia, wynalazczym oryginalnych metod walki z paleniem i piciem, Zoja Astachowa, paliła jednego papierosa za drugim. Gdyby tylko. Przed nią na brudnym stole stała butelka wódki, a na talerzyku obok leżały grube plasterki tłustej kiełbasy.

Redaktor naczelna największego rosyjskiego wydawnictwa „Kaskada” była zalana w trupa. W starym frotowym szlafroku i rozdeptanych kapciach siedziała samiuteńka w swojej drogiej, pięknej kuchni i wlewała w siebie kieliszek za kieliszkiem, zagryzając kiełbasą i płacząc. Inaczej nie potrafiła sobie poradzić z żalem, wściekłością i strachem. Bardzo dobrze wiedziała, że żaden trening autogenny, medytacja, żadne oczyszczające głodówki, polewanie zimną wodą i wielogodzinna joga czy jakie by tam jeszcze istniały zdrowotne procedury, nie mogły jej pomóc. Tak marnie nie czuła się jeszcze nigdy.

W ciągu pięćdziesięciu lat zdążyła już przez to i owo przejść. Życie nigdy nie obchodziło się z nią łagodnie. Urodziła się w nędznej wiosce koło Moskwy, w walącej się chacie. Jako dziecko była bita przez pijanego ojca, jako młoda dziewczyna - zostawiona przez mężczyznę, którego kochała. Ale Zoja nie dawała za wygraną. Wiedziała, że musi być mocna i zdrowa, że musi się rozpychać łokciami w tym podłym, bezlitosnym świecie.

I to jej się udało. Zdała egzaminy wstępne na medycynę na moskiewskim uniwersytecie, wyszła za mąż za moskwianina. Wytrzymali ze sobą co prawda tylko półtora roku, ale Zoja dostała meldunek i pokój w komunałce, a w

zasadzie więcej od małżeństwa nie chciała. Potem obroniła swoją pracę doktorską, napisała dwie książki o zdrowym odżywianiu i zaczęła wreszcie zarabiać pieniądze. Prawdziwe pieniądze.

Ile kosztowała ją ta droga do sukcesu, nie grało już żadnej roli. Stała się kimś z niczego, z niewykształconej wiejskiej gąski, której zgrubiałe ręce mogły doić krowę i czyścić chlew.

„Kim byłam niegdyś, a kim jestem dziś?” - powtarzała sobie za każdym razem, kiedy odwiedzała swoją starszą siostrę Ludmiłę w Powarowce.

Ludmiła była osiem lat starsza, ale z wyglądu mogłaby być jej matką. Już bez zębów, siwe cienkie włosy związane w węzeł, wygasłe, zmęczone oczy. Wcześniej wyszła za mąż za nicponia Szenkę Sliwkę z ich wioski. Nie z miłości, lecz ze strachu, że innego nie znajdzie.

Szenka Sliwko pił od czternastego roku życia, a w wieku dwudziestu pięciu lat był już alkoholikiem. W 1992, w siódmym miesiącu ciąży wydała na świat słabowitego Antona. Ludmiła wkładała mu do łóżeczka butelki po wódce napełnione gorącą wodą, wcześniak potrzebował przede wszystkim ciepła.

Zoja miała już za sobą ósmą klasę i uczęszczała do szkoły medycznej. Bardzo się troszczyła o małego Antona. Był zabawny i delikatny. Jego pierwszy uśmiech trafił się jej, Zoi. Była przy tym, jak pierwszy raz stanął na swoich chwiejnych nóżkach i postawił pierwsze niepewne kroczki.

Ludmiła bardziej troszczyła się o męża niż o syna. Co by zrobiła bez męża? A że pił? Wszyscy pili. Bił żonę? To też było normalne. Bił ją, więc ją kochał. Nie przynosił do domu pieniędzy? A czy pieniądze dają szczęście?

- No to w takim razie co? Czym dla ciebie jest szczęście, Ludka? - zapytała piętnastolatka starszej siostry.

- No cóż - Ludmiła wrzuciła pełnymi ramionami i westchnęła jak stara kobieta. - Żebyśmy wszyscy zdrowi byli, żeby nie było wojny i żebym sobie mogła kupić na majowe święto w przyszłym roku sukienkę z krempliny, różową z czarną lamówką.

Podczas majowego święta następnego roku Szenka koniecznie musiał się wykapać w morzu. Woda była jeszcze zimna, Szenkę złapał skurcz i się utopił. Ludmiła przez cały miesiąc wyła jak wilczyca w czasie pełni. Potem się uspokoiła i żyła spokojnie dalej, wychowując Antona, uprawiając ogródek i hodując starą krowę.

Tymczasem Zoja skończyła szkołę i przygotowywała się do egzaminu na medycynę. Przyjęto ją dopiero za trzecim podejściem. Jeszcze przez dwa lata musiała pracować jako pielęgniarka w szpitalu. Kiedy już się dostała na studia, zaczęła się rozglądać za odpowiednim mężczyzną, moskwianinem. Okazało się to dosyć trudne.

Gdyby chociaż była piękna, albo przynajmniej ładna - ale nie. Była wysoka, barczysta, miała grube rysy twarzy i matowe, nijakie włosy. Ale nie takim udawało się już złowić moskwianina. Trzeba było tylko mieć coś szczególnego - jeśli nie urodę, to urok, jeśli nie mądrość, to spryt.

Jeśli idzie o urok, to Zoja naprawdę nie wiedziała, co by to miało być. Za to mądra i sprytna była bez dwóch zdań. A poza tym uparta. Kiedy zauważyła, że jeden z moskiewskich kolegów z roku się nią interesuje, to już go nie wypuściła z ręki.

Zoja nie pachniała drogimi perfumami, czuć było od niej poszukiwaniem mieszkania, a moskiewskie matki i ojcowie mieli nosa, jeśli idzie o ten nie-bezpieczny zapach.

Zoja była przeciętną studentką. Medycyna jej nie interesowała - i to potęgowało problem. Gdyby, na przykład, z zaangażowaniem rozmawiała na tematy zawodowe, demonstrowała swoją wiedzę, być może serca moskiewskich rodziców by zmiękły. Ale tak się nie działo. O wszystkim poza poszukiwaniem mieszkania mówiła niechętnie i bez entuzjazmu. Tylko wtedy, gdy mowa była o metrach kwadratowych, zapalały jej się oczy, a twarz ożywała.

Zoja ze wszystkich sił zmuszała się, by być bardziej atrakcyjna, dorabiała po zajęciach, kupowała na czarno importowane ciuchy i drogie kosmetyki, próbowała schudnąć, sięgała po różne diety i ćwiczenia, zносиła z bibliotek różne książki i czasopisma traktujące o zdrowym odżywianiu i głodówkach, świeżych sokach owocowych i źródlanej wodzie.

Wszystko to czytała z dużym zainteresowaniem, robiła sobie notatki, analizowała, wypróbowywała różne oryginalne nowe metody i udało jej się bez problemów zdrowotnych, bez osłabień i zawrotów głowy w ciągu kilku miesięcy schudnąć dwanaście kilo. Stała się atrakcyjniejsza, wyprostowała ramiona, dumnie uniosła głowę i spostrzegła, że koledzy i docenci nagle zaczęli zawieszzać na niej oko.

Przeciętna studentka z prowincji, polująca na prawo zamieszkania w Moskwie, zajmowała się teraz poważnymi tematami, rozwinęła naukową

pasję i stała się ciekawą rozmówczynią dla swoich głównych wrogów - moskiewskich matek.

Matki chętnie poruszały z nią kwestie nadwagi, optymalnej ilości tłuszczów, białka i węglowodanów oraz właściwej kombinacji środków spożywczych. W końcu znalazła się i taka, która zdecydowała się otworzyć drzwi kawalerki. Mieszkała samotnie z synem i życzyła sobie dla swojego słabowitego chorowitego dziecka właśnie takiej żony - mocnej, zdrowej, bez złych nawyków, bez ambicji intelektualnych i humorów. Takiej, która smacznie by gotowała, dbała o to, żeby mąż był schludny i nigdy nie zapominała, kim była, a kim się stała i komu to zawdzięcza.

Mieszkanie było nieszczególnie, a młody małżonek okazał się kompletnym nieudacznikiem. O głowę niższy niż Zoja, w wieku dwudziestu czterech lat już łysy, nocami obmacywał krzepkie ciało swoimi ospałymi, spoconymi dłońmi - więcej biedak nie był w stanie z siebie dać. Głupim zbiegiem okoliczności w Zoi obudziło się coś, czego nigdy by się nie spodziewała: jej zdrowe ciało i zdrowy duch zapragnęły miłości, mocnych, prawdziwych, męskich pieśzot, a nie bezradnego spoconego obmacywania.

Tymczasem zrobiła dyplom i otrzymała stanowisko asystentki na wydziale nauk o żywieniu. Czekał ją doktorat i jej promotor zaproponował, by spróbowała swoich sił na polu literatury popularnonaukowej i wydała książkę o zdrowym odżywianiu.

Zoja niechętnie już przypominała sobie, w jaki sposób faktycznie zdobyła swoje prawowite, stołeczne metry kwadratowe - nieliczne, ale własne. Decydujące i ostatnie starcie z teściową, przeprowadzka i remont nie mogły jej powstrzymać przed napisaniem książki o zdrowym odżywianiu. W tych popularnonaukowych zapiskach śmiało wykorzystywała swoje doświadczenia z domowymi metodami, podstawy indyjskiej jogi i nauczanie mnichów tybetańskich, pisała o radykalnych metodach hartowania ciała i poświęciła cały rozdział kosmetyce naturalnej, pielęgnacji skóry i włosów. Z własnego doświadczenia wiedziała, że ten temat interesuje kobiety.

Pierwsze wydanie o niezbyt dużym nakładzie sprzedało się od ręki. W niektórych branżowych czasopismach medycznych pojawiły się krytyczne, nieprzychylnie recenzje, w poczytnym czasopiśmie „Zdrowie” wydrukowano nawet druzgocącą krytykę.

Początkowo Zoja była przerażona i wystraszona - jak się potem okazało, niepotrzebnie. Śmiałe alternatywne metody troski o własne zdrowie były właśnie przedmiotem dyskusji. Zapraszano ją do domów kultury, na wykłady, i proszono o prowadzenie kursów zdrowego stylu życia.

„Kim byłam wczoraj, a kim jestem dziś” - pomyślała Zoja, kiedy znów zasiadła za rodzinnym stołem, naprzeciw przedwcześnie postarzałej Ludmiły.

Różowa sukienka z czarną lamówką, jednak nie z krempliny, lecz z francuskiego dżerseju, którą przywiozła jej Zoja, okazała się za mała. Ludmiła nosiła teraz rozmiar pięćdziesiąt dwa.

- Tu coś dodam, a tu trochę poluzuję lamówkę - pocieszała się Ludmiła.

Anton wrócił ze szkoły. Urósł, jego twarz sprawiała wrażenie mądrej, prawie dorosłej. Zoja po raz pierwszy zauważyła, że chłopiec robi się ładny, nawet piękny. Wysoki, szczupły, z męskimi ramionami, porządnie ubrany, nawet z pewną elegancją, bez długich i kosmatych włosów, jak u innych chłopców w wiosce, tylko krótko obcięty i uczesany z przedziałkiem. Nic w nim nie było chłopskiego. Wąska, miastowa twarz, miłe ręce, żadne tam graby, jak u matki czy ojca.

„My dwoje jesteście ulepieni z tej samej gliny”, stwierdziła w duchu Zoja i postanowiła częściej przyjeżdżać, a może nawet zabrać chłopca do siebie na ferie.

Wiedziała już, że nie będzie mieć własnych dzieci. Podczas ostatniej z pięciu skrobanek coś poszło nie tak.

„No tak - pomyślała spokojnie - jak miałabym robić karierę z dzieckiem? Ale mam przecież mojego siostrzeńca. Co Ludmiła może mu dać na wsi? Jeśli będę już miała piękne trzypokojowe mieszkanie, wezmę go do siebie, wyślę na studia i przy mnie wyjdzie na ludzi”.

Do pięknego trzypokojowego mieszkania Zoja wprowadziła się dopiero w 1982 roku. A wtedy musiała przysiąc do swojej drugiej książki. Dokładnie w tym czasie do Moskwy pospieszyła jej siostra Ludmiła i opowiedziała jej łamiącym się, histerycznym głosem, że Anton kogoś zabił, i to nie kogoś tam, tylko swoją kochankę, starszą od niego o dwadzieścia lat.

- Pomóż, mi, Zoju! Zrób coś! Inaczej go przecież posadzą!

Zoja robiła sobie wyrzuty, że spuściła chłopca z oczu i nie sprowadziła go na czas do Moskwy. Jednak potem, kiedy minął jej pierwszy szok, doszła do

rozsądnego wniosku, że krewny-morderca nie bardzo by służył dobrej opinii pani doktor Astachowej. Przy obecnych nie najlepszych stosunkach w kręgu kolegów odnawianie starych znajomości i wstawianie się za mordercą uznała za wielce ryzykowne.

Anton został skazany na dziesięć lat. Zoja Astachowa pocieszała się tym, że po jego zwolnieniu spróbuje naprawić to, co zawiniła.

W tym okresie zupełnie porzuciła medycynę akademicką. Jej koledzy z pracy nie rozumieli tego i nie pochwalali, i ciągle pisali na nią paszkwile.

Zoja dogłębnie zapoznała się z metodami długotrwałych postów, napisała o Paulu C. Braggu i Pamelii Sheldon, przekonując innych, że zwykłym moczem można uleczyć wszystko, od kataru po raka. Poświęcała się też intensywnie modnym powoli tematami, takim jak porody pod wodą, i utrzymywała bliskie kontakty ze słynnym profesorem, tak zwanym „duchowym akuszerem”. Razem z nim agitowała przyszłe matki, by rodziły w domu, w wannie, nie przecinając pępowiny, zanim sama nie zaschnie, by polewały noworodki lodowatą wodą i pięć razy dziennie wykręcały dzieciom nóżki zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara, a poza tym - niezależnie od temperatury - zostawiały je nago.

Nowa książka doktor Astachowej stała się bestsellerem.

Raz odwiedziła swojego siostrzeńca w obozie karnym w Tambowie, ale potem była taka zajęta, że nie dała rady się wyrwać, chociaż Anton w swoich pełnych żalości listach stale o to prosił. Nie jeździła też do swojej siostry, chociaż ta miała się coraz gorzej. Nie dlatego, żeby siostra była jej obojętna, nie - po prostu nie miała czasu.

Coraz więcej kobiet chciało wypróbować nowe, oryginalne metody porodu. Powstało kilka nieoficjalnych grup przygotowujących przyszłych ojców i matki do porodu w wodzie. Kobiety w siódmym, ósmym miesiącu stały godzinę na głowie, pościły i medytowały. Co odważniejsze piły też własny moc. Opłaty za takie kursy były ogromne. Ciekawa sprawa, że większość tych kobiet była moskwiankami z wyższym wykształceniem technicznym lub humanistycznym.

W duchu Zoja dziwiła się łatwowierności moskiewskich matek i ojców. Jedną z tych grup, nie bez przyjemności, prowadziła osobiście. Uczestnicy siedzieli w kręgu po turecku lub w pozycji lotosu i słuchali jej, wstrzymując oddech, posłusznie powtarzając każde słowo i gest. Czasami gdzieś w

środku doktor Astachowej pękała ze śmiechu prosta wiejska gąska, kiedy to ciężarne moskiewskie intelektualistki starały się podrapać prawą stopą za lewym uchem.

Porody w wodzie w idealnym przypadku powinien odbierać sam ojciec dziecka, bez osób z zewnątrz. Ale na to decydowali się nieliczni. Większość par była gotowa za niemałą sumę zapewnić sobie obecność tak zwanego „duchowego akusзера”.

Można było na tym porządnie zarobić. Niestety, sama Zoja nie mogła występować w takiej roli. Wykształconemu lekarzowi wolno było odebrać poród tylko w skrajnych przypadkach, bo w razie, gdyby coś poszło nie tak, czekałaby go odpowiedzialność karna. Innymi słowy, jedyną rzeczą, jaka stała na przeszkodzie udzielaniu pomocy w porodach domowych, był dyplom uczelni medycznej.

Wykształcenie „duchowego akusзера” musiało zostać opłacone przez uczestników, na seminaria wynajmowano pensjonaty lub domy wczasowe. Nie wydawano dyplomów. Numer telefonu każdego z uczestników wprowadzano na specjalną listę, świeżo upieczony „duchowy akuszer” mógł się powoływać na doktor Astachową i słynnego profesora, którzy ze swej strony polecali go jako godnego zaufania specjalistę.

Środowisko medyczne reagowało na te modne eksperymenty stosunkowo ospale - tu i ówdzie ukazał się jakiś krytyczny artykuł, seria nieprzychylnych programów telewizyjnych. Ale przyniosło to odwrotny do zamierzonego skutek, podziało jak reklama.

- Co pani robi, Zoju? - zarzucił jej podczas przypadkowego spotkania niedysyjszy promotor. - Proszę uważać. Mogą być z tego poważne kłopoty.

Kłopoty nie kazały długo na siebie czekać. Jeden z poleconych specjalistów, pogrążony we własnych myślach, przytrzymał noworodka zbyt długo pod wodą i przez nieuwagę go utopił. Co prawda bardzo elokwentnie starał się przekonać rodziców, że taka była jego karma, ale nic o tym nie chcieli słyszeć. Jednakże do sądu nie mogli z tym iść. W końcu nikt ich nie zmuszał do takiego rodzaju porodu, wchodzenia do wanny i ufania pierwszemu lepszemu. Zaczęło się jednak o tym mówić. A potem lawinowo posypały się sprawy za sprawą: sepsa, uduszenie pępowiną, ułożenie pośladowe, zbyt wąska miednica. O takich sprawach „duchowi akuszerzy” nie mieli pojęcia;

po prostu otwierali rodzącym czakramy i oczyszczali astrale.

Pewnej deszczowej październikowej nocy jedną z rodzących odwieziono karetką do moskiewskiej kliniki położniczej. Lekarz pogotowia wyjął ją z wanny w stanie podobnym do śpiączki, z dwójgiem martwych bliźniąt w brzuchu. Coś podobnego zdarzyło się już wcześniej, ale pozostało bez echa. Zawsze to ofiary były same sobie winne. „Duchowy akuszer” spełniał czysto duchową rolę, był obecny na życzenie klientów, by nieść im moralne wsparcie.

Świat medyczny zareagował z sarkastyczną zjadliwością: cóż robić, skoro jakieś głupie gąski ufają szarlatanom. Jednak tym razem „głupia gąska” była żoną wysoko postawionego funkcjonariusza, a poród pod wodą nadzorował uczeń Astachowej.

A do tego jeszcze, jak na złość, w tym samym czasie w Moskwie wybuchła epidemia dyfterytu, nie bez związku z nowomodną praktyką rezygnacji ze szczepień ochronnych, i - ma się rozumieć - znaleźli się dranie, którzy pamiętali, że doktor Astachowa stała na czele kampanii przeciwko szczepieniom.

Zoja coraz wyraźniej czuła, że będzie musiała porzucić swoje dochodowe, nowomodne hobby. Światły profesor też poczuł, że coś się święci i zwał do Ameryki. Zoja nie mogła się zdecydować, by pójść za jego przykładem. Zbyt wysoką cenę zapłaciła za Moskwę, żeby teraz wymienić ją na Los Angeles i znów zaczynać od zera.

Poza tym profesor kilka lat później trafił do amerykańskiego więzienia pod zarzutem zgwałcenia ciężarnej. W trakcie procesu okazało się, że nikt nie wiedział, w jakiej właściwie dziedzinie jest specjalistą; nie był też w stanie wylegitymować się nawet dyplomem wyższej uczelni.

Zoja rozsądnie i ostrożnie usunęła się w cień. O porzuceniu słynnej teorii Astachowej nie było mowy, była jej chlebem, całym życiem. Zamieniła porody w wodzie na mniej niebezpieczny temat i skupiła swoje naukowe zainteresowania na zdrowym stylu życia oraz walce z alkoholem i nikotyną.

Wykłady na temat zdrowego odżywiania były niesłabnącym sukcesem. Liczba tych, którzy chcieli wzmocnić swoje zdrowie, być młodzi i piękni, nie malała. Również na wizyty do doktor Astachowej ustawiały się kolejki, choć konsultacje wcale nie należały do tanich.

Ludmiła zmarła na podagrę i od łez wylanych nad synem. Anton dalej pisał listy z więzienia. Zoja co jakiś czas wysyłała mu paczki. Jej życie było wypełnione po brzegi, niczego jej nie brakowało. Kupiła sobie nowe, eleganckie meble, ładę i oczywiście garaż, a do tego piękną daczę w spokojnej okolicy. Zupełnie nie zauważała, jak szybko mija czas. Gdy któregoś listopadowego wieczora na progu jej pięknego mieszkania stanął chudy, bezzębny mężczyzna, bardzo się zdziwiła, poznając w nim swojego siostrzeńca.

Plakał, rozmazując łzy po całej twarzy jak małe dziecko. Wyobraziła sobie, co się stanie, kiedy wyjdzie na jaw, że doktor Astachowa ma takiego krewnego. Ona, ucieśnienie fizycznego i psychicznego zdrowia, krynica życiowej energii, krewną mordercy, i to mordercy ze zboczeniem płciowym.

Najpierw chciała mu dać pieniądze i odesłać do Powarowki. Miał tam spokojnie mieszkać, a gdyby potrzebował materialnego wsparcia, była gotowa, w miarę własnych sił...

- Ciociu, chcę zamieszkać u ciebie - zaszlochał Anton. - Tam, w domu, nie mogę. Przez cały czas widzę Ksenię.

- Kogo? Ach, no tak, oczywiście.

- Babcie w banku ucinają rozmowę, kiedy przechodzę, a potem szepczą za moimi plecami, nikt mi się nie kłania. Nie wytrzymam tego. Weź mnie do siebie!

- Dobrze, Antosza, pomyślę o tym.

Anton płakał teraz bezgłośnie, ze zwieszoną głową, trzęsły mu się ramiona. Zoja przypomniała sobie nagle, jak jego krzywe nóżki biegały po wysłużonej wykładzinie. Późno nauczył się chodzić i mówić, ale był taki słodki, a przede wszystkim kochał Zoję. Bardziej od matki.

Zoja Astachowa, ku własnemu zaskoczeniu, też się rozszlochała, otarła szybko łzy i pomyślała, że poza Antonem nie ma na świecie nikogo.

- Wynajmę ci mieszkanie i będę ci dawać pieniądze. Ale uważaj, żebyś mnie nie zawiódł. Jestem tu dobrze znana.

Ach, gdyby wcześniej wiedziała, do czego doprowadzą te łzy wzruszenia, jak wysoką zapłaci cenę za to, że dopuściła je do siebie, że zlitowała się nad siostrzeńcem, za to, że go kochała. Nawet wilczyce mają instynkt macierzyński.

Gdyby wiedziała, nie siedziałaby teraz w brudnej kuchni, pijana i bezradna.

- Dlaczego? No, dlaczego? - mamrotała, pięścią ocierając łzy wściekłości.

Zoja Astachowa położyła głowę na stole, zapadła w ciężkie, pijackie zapomnienie i nie usłyszała, jak ktoś cicho otwiera stalowe drzwi do jej mieszkania.

Rozdział 23

Osiemdziesięcioletnia żwawa Huculka, Nadieżda Siemionowa Guszczina, była gotowa przyjąć Leontiewa w każdej chwili.

- Czy to pan jest tym wysokim kapitanem obecnym przy identyfikacji? Leontiew, tak się pan nazywa? Dobrze pana pamiętam. Proszę zająć do mnie, będzie mi miło.

Nadieżda pracowicie zbierała wszystko, co ukazało się w prasie na temat jej podopiecznego. Położyła na stole pokaźny plik gazet i czasopism.

- Ale zabrać pan tego nie może. Proszę przeczytać na miejscu. Mam też kasety z audycjami radiowymi i telewizyjnymi.

- Ma pani odtwarzacz wideo? - zdziwił się kapitan.

- Ależ tak! Japoński, Nikita mi podarował na osiemdziesiątkę, a do tego kasety z moimi ulubionymi filmami - wyznała z dumą staruszka.

- Często panią odwiedzał? - zapytał Leontiew, zanim przystąpił do lektury.

- Co najmniej raz w tygodniu. Jest w końcu moim jedynaczkiem. Własnych nie mam, ani dzieci, ani wnuków. Już jego ojca, Jurę, wychowałam od małego.

- Kiedy Nikita był u pani po raz ostatni.?

- Przed świętem majowym. Króciutko, dwadzieścia minut.

- Czy pani może pamiętać, o czym wtedy rozmawialiście, w jakim był nastroju?

- Był wykończony i trochę rozdrażniony, mówił, że musi skończyć jakąś nieprzyjemną fuchę, ale żeby to zrobić, potrzebuje krótkiego urlopu. Chciał pojechać do Antalyi.

- Tak - skinął Leontiew - o Antalyi wiem. Ale to z fuchą, to nowość. Jaką fuchę może dostać pisarz?

- Tak, też się dziwiłam. Był dobry w tym, co robił, porządnie zarabiał na książkach. I nagle, zamiast przysiąść nad nową powieścią, robi coś innego.

- A powiedział może, albo przynajmniej coś napomknął, jakiego rodzaju była ta fucha?

- Oczywiście, próbowałam się tego dowiedzieć. Ale tylko machnął ręką i powiedział, że mnie to nie interesuje. Chociaż wiedział, że interesuję się wszystkim, co go dotyczy, każdym drobiazgiem. Ale kiedy Nikita nie chce o czymś mówić, to i tak się tego od niego nie wyciągnie.

- Czy dużo miał takich tajemnic, których nie można było z niego wydobyć?
- zapytał Leontiew z uśmiechem.

- Nie - pokręciła głową Nadieżda. - Przede mną nie. Od małego mi o wszystkim opowiadał - nawet o rzeczach, które ukrywał przed rodzicami. Ale może się pan napije kawy?

- Dziękuję - skinął głową Leontiew. - Nie powiem nie.

Gazety i czasopisma były poukładane chronologicznie. Na samej górze leżało majowe wydanie miesięcznika „Kalejdoskop”. Kolorowa, połyskliwa okładka, morze reklam, minimum tekstu, zwykle tematy: na pierwszym miejscu seks, pikantne szczegóły z życia aktualnych symboli seksu, potem trochę polityki, mody, kosmetyki, mistyki, kilka diet odchudzających, horoskop. A w samym środku - podwójna strona i wywiad z pisarzem Godunowem.

Leontiew przeleciał wzrokiem gładkie, pozbawione treści pytania. Mówiło się, że Godunow niechętnie udzielał wywiadów. Leontiew szybko zrozumiał, dlaczego. Dziennikarze wszystkich mediów zadawali mu te same pytania: Dlaczego pisze pan kryminały? Skąd bierze pan postacie? Co pan sądzi o współczesnym rynku wydawniczym? Jaki ma pan stosunek do konkurencji? Jakie są pana najbliższe plany?

W słowie wstępnym, otwierającym wywiad, w pewnym wątpliwej jakości piśmku dla młodzieży napisano, że Godunow unika odpowiadania na

pytania osobiste. Wiadomo jedynie, że był kiedyś żonaty, od siedmiu lat rozwiedziony i że ma dwunastoletnią córkę Maszę.

- Prosiłem pisarza, by opowiedział o swojej pierwszej miłości - donosi dziennikarz. - Wnikliwi czytelnicy zauważyli, że przy całej gamie rozmaitych postaci w jego książkach pojawia się zawsze ten sam typ kobiety, pod różnymi imionami, ale rozpoznawalnej, o jasnobrązowych oczach i długich włosach koloru ciemnoblond. O szczupłej figurze i długiej szyi. Główny bohater kocha ją wiernie, ale bez wzajemności; spotyka się jednak z innymi kobietami. Chciałem wiedzieć, czy to rodzaj ideału, czy może ten ideał ma swój pierwowzór w rzeczywistości? Ale nie otrzymałem odpowiedzi. Cóż - autor kryminałów może mieć swoje tajemnice.

Jedynie pierwsze wywiady miały w sobie coś żywego. Mądre, niebanalne pytania, wyczerpujące odpowiedzi. Czulo się, że między rozmówcami istnieje nie wzajemnej sympatii i zainteresowania. Ale takich dziennikarzy było tylko dwoje: Nikołaj Zigs i Tatiana Władimirowa. Leontiew postanowił z nimi porozmawiać.

Nadieżda przyniosła kawę i zajrzała Leontiewowi przez ramię. Czytał własni „Nowyje Izwestia”, recenzję pod tytułem *Czy możemy w ogóle obyć się bez dostojewszczyzny?*

„Wiktor Godunow, absolwent wydziału literatury, z wyraźną przyjemnością fantazjuje na temat ciemnych stron życia, które zna wyłącznie ze słyszenia. Z podobnym autentyzmem mógłby opisywać pozaziemskie cywilizacje. Gdyby Wiktorowi Godunowi - Boże broń! - przyszło mieć do czynienia z prawdziwym kilerem, można by mu życzyć, by był on przynajmniej w połowie tak szlachetny, jak bohaterowie jego książek”.

Tę perełkę krytyki literackiej podpisała Maria Tiulpanowa.

- Głupia krowa. Brzmi, jakby pisała to na zamówienie - mruknął pod nosem Leontiew.

- Przepraszam, co pan powiedział? - Nadieżda Siemionowna ostrożnie naląła mu kawy ze staromodnego imbryka do filiżanki z tak z ceniusiękiej porcelany, że prawie bał się ją dotknąć.

- Brzydki artykuł - wyjaśnił Leontiew.

- Brzydki? Toż to wręcz zacieklej atak. Tutaj ktoś wprost nie może spać z zawiści. Zazdrość żżera go żywcem.

- A jak Nikita zareagował na ten atak?

- Współczuł autorowi. Co, miał być wściekły na chorego?

- Uważam, że to wielkoduszne - roześmiał się Leontiew.
- A czy bez wielkoduszności się nie da? Zazdrośnik karze sam siebie jeszcze okrutniej, niż robią to inni. Mówię panu przecież, że zazdrość to choroba, powolne samobójstwo.
- Albo motyw zbrodni - Leontiew upił łyk kawy. - Proszę mi powiedzieć, czy ta Tiulpanowa przypadkiem go nie znała? Ten artykuł jest bardzo osobisty. Tak gwałtownie nie można nienawidzić kogoś, kogo się nie zna - nawet jeśli samemu ma się od niego większy talent.
- Tiulpanowa to pseudonim. W rzeczywistości autorem jest mężczyzna. Nikita nie znał go osobiście, ale w gazecie pracuje jego stary przyjaciel. Zadzwoił do Nikity, zanim artykuł się ukazał, i ostrzegł go. Oczywiście - zmowa milczenia. Bo ten artykuł był na zamówienie.
- A prawdziwego nazwiska autora ten znajomy nie znał?
- Niestety, nie. Szczerze mówiąc, nie rozmawiałam długo na ten temat z Nikitą. Już następnego dnia o tym zapomniał. Czy chciałby pan zapalić? - Spostrzegła, że Leontiew obraca w dłoni papieros i podstawiła mu popielniczkę.
- Proszę się nie krępować. Nie przeszkadza mi to. Proszę posłuchać, Andrieju Michajłowiczu, nie powiedział mi pan jeszcze najważniejszego. Z tego, co wiem, nie zostało wszczęte postępowanie. Ale pan jest zawodowcem i zadaje pan bardzo ukierunkowane pytania. Jak mam to rozumieć?
- Należy to rozumieć w ten sposób, że osobiście nie wierzę w wypadek i próbuję dowiedzieć się, czy nie ma tu jednak jakichś winnych.
- Czy to znaczy, że nie wyklucza pan morderstwa?
- Owszem.
- I próbuje pan znaleźć sprawcę?
- Tak.
- Dziękuję, mój drogi.
- Za co?
- Za to, że nie jest to panu obojętne. Nie potrafi pan sobie nawet wyobrazić, jakie to ważne, żeby ktoś znalazł mordercę, albo przynajmniej spróbował.
- Podejrzewa pani kogoś?
- Nie, nie, nie - pokręciła głową. - Nikogo nie podejrzewam.
- Ale miał przecież jakichś wrogów, nieprzyjaciół? Mówiła pani, że niczego przed panią nie ukrywał.

- Nie miał żadnych wrogów - powiedziała szybko Nadieżda i odwróciła się.
- Jak to? - Leontiew uniósł brwi. - Choćby autor tego artykułu...
- Nonsens... - Zdjęła szal z oparcia i okryła się nim, jakby było jej zimno. - Nikita nie miał wrogów - powtórzyła trochę głośniejszym głosem - dlatego, że on nie odwzajemniał uczuć.
- To znaczy?
- To znaczy, że mógł go zranić tylko ten, kogo kocha. Tylko ktoś dla niego bliski.
- A czy coś takiego się stało?
- Nigdy.
- Wybaczysz pani, to będzie bardzo osobiste, ale w takim razie, co z rozwodem? Czy tam nie było ran?
- Rozstali się z Galiną w przyjaźni. Po prostu się nie kochali.
- No a dziecko?
- Dziecko? Masza nie straciła ani ojca, ani matki. Wszystko z nią w porządku - warknęła szybko i gniewnie Nadieżda, łypiąc na kapitana krótkowzrocznym okiem. - Jeszcze kawy?
- Tak, dziękuję. Jest wyśmienita. Ale za chwilę, jeśli można. Wybaczysz pani, jeszcze jedno niedyskretne pytanie. Proszę mi powiedzieć, czy w ostatnim czasie był związany z jakąś kobietą. Mam na myśli poważny związek.
- Był. Ale to nic poważnego.
- Wie pani, jak się nazywa?
- Znam imię. Tatiana. Dziennikarka, myślę, że jedna z pierwszych, którym udzielał wywiadu. Ale więcej nie wiem.
- A dlaczego sądzi pani, że to nic poważnego?
- Bo nawet nas sobie nie przedstawił - oświadczyła ponuro Nadieżda, głęboko przekonana, że to dowodzi, iż ich związek nie był poważny. -Poza tym trudno mi sobie wyobrazić, aby uważał, że w jego prywatnym życiu coś ma jeszcze znaczenie. Był wypalony.
- A małżeństwo? W końcu kilka lat żyli z Galiną.
- Nie - Nadieżda zacisnęła usta. - To nie było życie. Tylko obustronny kompromis, dla dobra Maszy.
- Dlaczego aż tak ponuro, Nadieżdo Siemionowna - uśmiechnął się Leontiew.

- Bo się wypalił. Już mówiłam - odparła starszka lekko wyzywającym tonem. - Po prostu na początku miał pecha. W młodości. I to się za nim ciągnęło przez całe życie. Jego pierwsza miłość, a miał wtedy szesnaście lat, była zarazem ostatnią. Wyszła za mąż za jego przyjaciela, absolutne zero. No tak, wybaczy pan, ale nie chcę już o tym mówić. To nie ma nic wspólnego z morderstwem.

Nadziezda - ni z tego, ni z owego - zaczęła się przesadnie krzątać, sprzątać filiżanki, ścierać niewidzialne okruchy z haftowanej serwety i szybko skierowała się w stronę kuchni.

- Więc pani nie wierzy w wypadek? - zapytał zamyślony Leontiew.

Kobieta zamarła na progu i gwałtownie się odwróciła. Jej blade, zaokrąglone policzki poczerwieniały.

- To, co ja sądzę albo nie - jakie to ma znaczenie? Jestem starą kobietą. Moja pamięć nie działa jak należy, wszystko mogę sobie wmówić. Nie będę tu panu opowiadać bajek.

- Czyżby nie chciała pani mi pomóc w znalezieniu mordercy?

- Owszem. Nawet bardzo. Ale obawiam się, że tylko bym panu przeszkadzała swoim starczym gadaniem. - Umilkła, jednak nie od razu wyszła z pokoju, zawahała się, jakby się zastanawiając, czy coś powiedzieć.

Dzwonek telefonu przerwał ciszę i Leontiew spostrzegł, że starszej pani po prostu zaczynają się trząść ręce.

- Proszę wybaczyć - mruknęła i szybkim krokiem wyszła do kuchni, w której znajdował się aparat.

- Nika? - usłyszał głośne i pełne zdziwienia pytanie. - Dzień dobry. Dziękuję, jestem zdrowa, dzięki Bogu. Nie, dlaczego? Wiedziałam, że zadzwonisz. Byłam pewna, że jesteś w Moskwie. Tak, rodzice przyjechali dzisiaj rano. Co? Skremowany?! - krzyknęła starszka. Leontiew usłyszał łomot i pobiegł do kuchni. Przewrócił się stołek. Nadziezda stała ze słuchawką przy uchu i kiwała kapitanowi, że wszystko jest w porządku i żeby sobie nie robił kłopotu. Leontiew podniósł taboret i wrócił do pokoju.

- No dobrze, Niko, w takim razie wpadnij. Kiedy ci pasuje. - Głos brzmiał znów spokojnie. - Jutro rano? Nie, dziesiąta to za wcześnie. Powiedzmy wpół do jedenastej. Dobrze. To na razie. - Odłożyła słuchawkę i mruknęła: - O wilku mowa...

Potem zaparzyła kawę i pięć minut później przyniosła Leontiewowi parujący imbryk i nowe filiżanki.

- Puściłabym panu jeszcze kasetę, ale szczerze mówiąc, jestem trochę wykończona. Proszę spokojnie przeczytać do końca, nie musi się pan spieszyć. Ale kasety może następnym razem, dobrze?

Kapitan się zgodził. Wypił kawę, przeczytał ostatni wywiad do końca i czekał, aż Nadieżda zapyta o kremację, jednak nie padło ani słowo.

Kiedy Leontiew wychodził z jej domu, wiedział, że następnego dnia pojawi się o wpół do jedenastej. Chciał koniecznie zobaczyć kobietę o imieniu Nika. Był w zasadzie pewien, że ma piwne oczy, długie ciemnoblonde włosy, gęste czarne brwi i rzęsy, i że jest szczupłą, drobnokoścista, ma szczupłą szyję i dumnie osadzoną na niej głowę.

* * *

Olga Rakitina mechanicznie rozpakowywała walizkę i wieszala ubrania w szafie. Od pół roku nie była w domu i próbowała w tej chwili myśleć o tym, co robi.

Trzeba wyprasować garnitur Jury, cały jest pognieciony. Nikita nie miał porządnej koszuli. Jej skórkowe trzewiki trzeba oddać do szewca, niech zmieni fletzki.

Dobrze, że nie widziała syna martwego. W życiu wszystko jest możliwe. Mama otrzymała w czasie wojny zawiadomienie o śmierci ojca, a on w 1954 roku nagle wrócił. Trafił na jakiś kocioł, potem do niewoli, a w 1945 jeńców wojennych zwolnionych z obozu Mauthausen wywieziono do obozu koło Magadanu.

Olga wypolerowała miękką ścierką biurko syna, wyjęła wilgotną antystatyczną chusteczkę z plastikowego pudełka, żeby umyć monitor i klawiaturę, i zamarła w pół ruchu.

- Jurij, chodź no tu, szybko! - zawołała tak głośno, że jej mąż, który sprzątał kuchnię, drgnął i wypuścił z rąk szczotkę.

Plama była sucha i ciemnobrązowa.

- Dokładnie takie same są te na umywalce w łazience - powiedział w zamyśleniu Jurij Rakitin. - I jeszcze coś: pod bufetem rozerwany jest kawałek linoleum. Ktoś go przesuwiał. Widać tylko wąską szparę, to znaczy, że został odsunięty, a potem przysunięty z powrotem do ściany. Zajrzałem przez szparę, drzwi nie są już zabite gwoździami. Za bufetem leżą gwoździe i kleszcze. A pod ławką znalazłem dużą reklamówkę z supermarketu.

Zgrzewka papierosów, paczka kawy, cukru, nierozpakowana szynka i ser. Poza tym pasta do zębów, opakowanie jednorazowych maszynek do golenia i mydło. Kwitek leży obok. Rzeczy kupiono piątego maja o drugiej w nocy. Powiedz, gdzie sprzątnęłaś dyskietki?

- Żadnych tu nie było - Olga w roztargnieniu spojrzała na biurko. Nikita miał pełno dyskietek i zwykle leżały na biurku. A teraz nie było ani jednej.

Jurij otwierał i zamykał szuflady.

- Ktoś przeszukał nasze mieszkanie, Olgo.

- Może milicja? - zapytała niepewnie żona. - Może jednak wszczęli postępowanie?

- Nie, to nie milicja. Dzwoniłem do prokuratury. Nie ma żadnego postępowania. Wypadek...

Olga poszła do sypialni i wyciągnęła szufladę. Szkatułka z rodzinną biżuterią nadal tam była. Na ścianach wisiało kilka wartościowych obrazów: Riepin, Serow, Wazenow. Również ikony z osiemnastego wieku, zabytkowa porcelana, srebrna zastawa stołowa - jednym słowem wszystko, co mogłoby zainteresować złodziei, pozostało nietknięte.

- Już sprawdzałem - pokręcił głową Jurij. - Nie chodziło o jakiegokolwiek wartościowe rzeczy. Szukali czegoś na biurku Nikity. Zabrali wszystkie dyskietki, kasety i filmy. Być może papiery. Poza tym nic nie tknęli.

Olga ciężko opadła na kanapę.

- Jurij, my dwoje możemy tylko przypuszczać, co się stało. Dla mnie od początku było jasne, że to nie był wypadek. Ale kto to teraz może w jakikolwiek sposób udowodnić? I po co? - Powiedziała to cichym i ochryłym głosem i jej mąż przestraszył się, że znowu popadnie w apatię. - Musimy podjąć decyzję, gdzie umieścimy urnę.

- Tak, urnę - skinął głową. - Olga, jak się czujesz?

- Jakoś idzie. Musimy wszystkich obdzwonić, zorganizować stypę, zamówić mszę.

- Nie - powiedział szybko Jurij, nie patrząc na żonę i siadając obok niej. Wziął jej dłoń i mocno uściskał.

- Co, nie? Wybacz, Jurij, co powiedziałaś?

- Nie powinniśmy zamawiać mszy za Nikitę.

- Dlaczego?

- Przed półgodziną dzwoniłem do Nadiędy. Powiedziała, że nie powinniśmy zamawiać za niego mszy.

- Pojadę do niej! - zawołała Olga i zerwała się z miejsca.
- Poczekaj, kochana. Przyjdzie tu. Jutro.
- Zwariowałeś? Coś wie! Dlaczego od razu mi nie powiedziałeś? Nawet nie pisałeś mi o rym telefonie. Nie mogę...
- Olga, uspokój się. - Objął ją mocno, poczuł, że drży i ciężko oddycha. -
Powiedz mi, wierzysz, że Nikita nie żyje?
- Nie - wydusiła w jego ramionach.
- No i dobrze. Dalej nie wierz.

Rozdział 24

Feliks Wiktiuk nie żałował, że powiedział przez telefon rozwścieczonemu, wyprowadzonemu z równowagi Rusowowi nieprawdę. Jednak czuł potem pewien niesmak. Po raz pierwszy okłamał zleceniodawcę, i to jeszcze tak ważnego i pod każdym względem przydatnego.

Nie przejmował się, co prawda, zbytnio zbieraniem szczegółowych informacji o Antonie Śliwce, jednakże to i owo wyciągnął. Wiedział, że ciotka Sliwki, Zoja Astachowa, niegdysiejsza modna lekarka i wierna pomocnica Rusowa w jego przelotnym romansie z wszechmocnymi sektami, od czterech lat jest redaktorką wydawnictwa „Kaskada”, w którym ukazywały się książki Godunowa.

Nie znał Astachowej osobiście, widział ją tylko przelotnie przed kilku laty. Był niemal pewny, że nie zapamiętała jego twarzy, nawet gdyby nazwisko miało jej się wydać znajome. Dawało mu to pewien margines wolności. Przed udaniem się do Siniedolska, gdzie miał skasować swoje wynagrodzenie, zamierzał złożyć Zoi Astachowej wizytę; była w końcu jedyną krewną zaginionego Sliwki i jeśli ktokolwiek wiedział coś o miejscu jego pobytu, to właśnie ona.

Zadzwoił do wydawnictwa i dowiedział się, że redaktor naczelnej nie ma dziś w pracy z powodu choroby. Wybrał jej domowy numer, ale nie odebrała. Po dziesięciu zaparkował samochód dwa domy dalej.

Astachowa mieszkała na drugim piętrze nowoczesnego kilkupiętrowego budynku. Obszedł dom, próbując dociec, które to jej okna. W jednym paliło się światło. Zasłony były rozsunięte, ale z dołu widać było tylko górę pomieszczenia, najprawdopodobniej kuchni.

Wiktiuk poszedł na plac zabaw, rozejrzył się i wszedł na wysoką drewnianą zjeżdżalnię. Wyciągnął lornetkę z aktówki, spojrział przez nią i zorientował się, że widoczny obły kształt to kobieta, która położyła rozczochraną głowę na stole. Obok stała butelka i szklanka. Ramiona kobiety gwałtownie się trzęsły.

Więc Anton Sliwko nie żył? Trzeba to sprawdzić. Samotna pięćdziesięciolatka mogła pić i płakać z rozmaitych powodów.

Przy wejściu do klatki schodowej znajdował się domofon. Wiktiuk odczekał chwilę, potem wślizgnął się do środka za dwiema wesołymi i rozbawionymi dziewczętami, które zupełnie go zignorowały, wszedł po schodach na górę i otworzył standardowy włoski zamek niekonwencjonalnym chińskim wytrychem.

Mieszkanie było drogie i gustownie urządzone, dlatego nieporządek bardzo rzucił się w oczy. Gospodyni siedziała w zatłuszczonej podomce na taborecie przy kuchennym stole, z głową w ramionach, płacząc; zdawała się niczego nie zauważać.

Wiktiuk, starając się nie robić hałasu, ściągnął płaszcz, zawiesił go w garderobie i wszedł do kuchni.

Zoja Astachowa podniosła opuchniętą, czerwoną twarz i wlepiała w niego mętne, zapłakane oczy.

- Kim pan jest? Jak pan tu wszedł? - zapytała ochryłym głosem, mierząc okrągłą postać, bródkę i delikatny uśmiech oraz mądre, uważne oczka starszego pana.

- Zoju Anatoliewna, co z panią? Czy mam wezwać lekarza? - zapytał Wiktiuk troskliwie. - Drzwi były otwarte, tak przecież nie można. Mógł tu wejść ktokolwiek.

- Kim pan jest? - Jej wzrok robił się stopniowo coraz bardziej jasny, a głos mocny. - Gdzieś już pana musiałam widzieć.

- Być może, być może - skinał z uśmiechem Wiktiuk. - Problem polega na tym, że oboje mamy ten sam problem. Widzi pani, kochana, zaparzę kawę, dobrze? Ma pani kawę w domu?

- Co się stało? - wstała z taboretu i opatuliła się szlafrokiem. - Kim pan jest?

- Nazywam się Feliks Michajłowicz, jestem prawnikiem. Ale to nieważne. Już dawno chciałem z panią porozmawiać o pani siostrzeńcu Antonie. Wiem, że chłopak poza panią nie ma nikogo.

- Gdzie on jest?! - krzyknęła ochryple Astachowa. - Co pan mu zrobił? Teraz wiem! Pan jest jednym z ludzi Rusowa! Widziałam pana w „Garanti-ji”! Gdzie jest Anton!

- Zaraz, zaraz, jaki Rusow? Czy to nie ten wysoki urzędnik z Syberii?

- Niech mi pan tu nie opowiada bajek! Zaraz zadzwonię na milicję.

- Tak, wie pani, najpierw też chciałem się zgłosić na milicję - Wiktiuk skinął głową ze smutnym uśmiechem. - Ale potem zrobiło mi się go żal. Jest przecież chory i nic za to nie może.

- O czym pan mówi? - trzęsącymi się rękoma wyciągnęła papierosa z pudełka; Wiktiuk szarmancko podsunął jej zapalniczkę.

- Chłopiec stracił głowę. - Wiktiuk zakaszłał z zakłopotaniem. - Rozumie pani, zakochał się w mojej żonie. Moja żona ma sześćdziesiąt lat, tak jak ja...

- Dość tego! - warknęła Astachowa. - To sobie pan akurat wymyślił. Widziałam pana w „Garantiji”. Jest pan od Rusowa. Jest pan tu po to, żeby mnie sprzątnąć jako niewygodnego świadka. - Wyrzuciła papierosa, podeszła tyłem do szafki i zaczęła szukać czegoś za plecami, wpatrując się przy tym w Wiktiuka złym, pijanym wzrokiem. Ciche szurnięcie i już mierzyła w Wiktiuka. - A teraz już bez kłamliwych historyjek. Gdzie jest Anton?

- Zoju Anatoliewna - Wiktiuk karcąco pokręcił głową - jest pani przecież mądrą kobietą. Kochana, gdybym przyszedł, żeby panią zabić, to już dawno bym to zrobił. Oczywiście, może pani do mnie strzelić, ale to też nie byłoby piękne. Po pierwsze, okrutne - jestem w końcu starszym panem, w dodatku nieuzbrojonym, a po drugie, co by pani ze mną zrobiła? To przecież gaz obezwładniający, prawda? Z tej odległości i w moim wieku mogłoby to mieć nawet śmiertelny skutek. I pani oczywiście też zrobi się słabo w takim ciasnym pomieszczeniu. Więc będziemy razem leżeć na podłodze, w którymś momencie dojdzie pani w końcu do siebie, ujrzy w swojej kuchni ciało i co wtedy?

- No, dobrze - opuściła pistolet, nie wypuszczając go jednak z ręki. - Słucham.

- Pięknie. Ale bardzo proszę, niech pani będzie tak miła i usiądzie, głupio mi tak siedzieć w towarzystwie damy.

- Nie, postoję, a pan niech siedzi.

- Tak, cóż mi pozostaje. - Wiktiuk uśmiechnął się i rozłożył ręce. - Dość trudno w naszym brutalnym współczesnym świecie zachowywać się jak

dżentelmen. Rozpoznała mnie pani. To mnie cieszy. Zawsze sądziłem, że nikt nie jest w stanie zapamiętać mojej twarzy. Być rozpoznany przez tak atrakcyjną kobietę, od tego ciepło się robi na sercu. Tak, faktycznie przez jakiś czas pracowałem w agencji detektywistycznej „Garantija”, ale bardzo krótko. Moja dzisiejsza wizyta tutaj nie ma z tym absolutnie nic wspólnego. A już tym bardziej z Rusowem. Już od trzech lat się z nim nie widziałem; nie rozstaliśmy się w przyjaznej atmosferze... No, ale to nie ma nic do rzeczy. Zoju Anatoliewna, proszę pozwolić mi zaparzyć kawę. Wprost nie mogę patrzeć, jaka pani jest zdenerwowana.

- Dobrze - skinęła głową i ciężko opadła na taboret. - Ale później, nie teraz.

- Jak pani uważa. Więc jeszcze raz, od początku. Moja żona ma sześćdziesiąt lat, jesteśmy ze sobą od czterdziestu, i w tym czasie wiele razem przeszliśmy, ale ogólnie rzecz biorąc byliśmy szczęśliwym małżeństwem. I nagle zaczynają się dziać dziwne rzeczy. Odkrywam, że moja Natasza ma - Wiktiuk zawałał się chwilę i dodał przeproszającym tonem kochanka. Nie mogę znieść tego słowa. Jest niesmaczne, ale nieważne. W każdym razie, Natasza, jakby ją ktoś odmienił. Całe wieczory spędzała poza domem, kilka razy wróciła nad ranem i tłumaczyła mi się jak jakaś dzierlatka, że jej przyjaciółka miała rzekomo udar. Ma się rozumieć, obdzwoniłem wszystkie jej przyjaciółki i co się okazało? Żadna z nich nie miała udaru. A jedna, błagając o dyskrecję, wygadała się, że dała Nataszy klucz od swojej daczy. Cóż, jestem prawnikiem, a w dodatku pracuję również jako prywatny detektyw. Więc nie sprawiło mi kłopotu, żeby ustalić tożsamość mojego konkurenta. I co się okazało? Jest młody, nieźle wygląda... No dobrze, to się da jeszcze jakoś przeżyć. Ale proszę sobie wyobrazić, co czułem, kiedy dowiedziałem się, że przesiedział dziesięć lat w więzieniu z powodu zabójstwa kobiety, którą kochał. W moim wieku można już wybaczyć zdradę małżeńską, ale w żadnym wypadku nie chciałbym stracić mojej Nataszy.

- Nigdy już nie zrobi czegoś takiego - wyszeptala prędko Astachowa. - To był straszny, głupi przypadek.

- Tak, tak, kochana, wierzę. Ale dla mnie był to niewyobrażalny szok. Nie, nie mam za złe żonie, mogę to zrozumieć, ostatnia szansa, żeby poczuć się znów młodą, zakochaną... To troszkę zabawne, ale kobieta zawsze pozostaje kobietą, nawet w tym wieku. Najpierw powątpiewałem

w szczeróć uczuć Antona, myślałem, że chłopiec chce od niej wyciągnąć pieniądze, a przede wszystkim bałem się o nią. Ale potem uspokoilem się troszeczkę i doszedłem do wniosku, że nie można go osądzać, że jest chory. Bo pani Anton jest przecież chory, prawda?

- Tak, właśnie. Chory i bezbronny - powtórzyła jak echo Astachowa.

- No, sama pani widzi. Pani również nie winię, że coś się zdarzyło. Moja Natasza zniknęła przed trzema dniami i zostawiła mi niedorzeczny list. Tutaj, proszę zobaczyć - wyjął z kieszeni pociętą kartkę z zeszytu i wręczył ją Astachowej. „Feliksie, wybacz mi! - napisano porządnym okrągłym pismem.

- Przykro mi, ale nie mogę inaczej. To silniejsze ode mnie. Anton i ja się kochamy - mimo różnicy wieku, mimo wszystko. Rozwód nie jest konieczny, byłoby to głupie i niegodne. Co z mieszkaniem, zdecydujemy później. Wybacz. Natasza”.

Astachowa kilkakrotnie przeczytała ten tekst, a potem w milczeniu przyglądała się Wiktiukowi zaczerwienionymi oczami.

- Więc już od dawna nie widział się pan z Rusowem? - zapytała, a on pojął, że cały czas skupiona była na własnych myślach.

- Zналиśmy się tylko przelotnie. - Wzruszył ramionami, nie rozumiejąc. - Proszę posłuchać. Widzę, że ma pani poważne problemy osobiste. Może przychodzi z moimi małżeńskimi kłopotami nie w porę?

- Jest pan prywatnym detektywem? Prawnikiem? - Alkoholowe zamroczenie minęło jak ręką odjął, a jej oczy zamigotały. - Widziałam, że spotykał się pan z Antonem. Śledziłam go. Po co pan się z nim spotykał?

- A jak pani sądzi? - zaśmiał się smutno. - Chciałem się z nim rozmówić w sprawie Nataszy. I wie pani, uwierzyłem mu. W mojej wieloletniej praktyce zawodowej spotkałem już tak wielu ludzi, że bardzo łatwo przychodzi mi odróżniać kłamstwo od prawdy. Pojąłem, że on naprawdę kocha moją żonę. Nawet jeśli to uczucie może się komuś wydać śmieszne i chorobliwe, to tak niewielu jest na świecie ludzi, którym się przydarza coś takiego. Rozumie pani, wiek pozwala mi traktować te sprawy filozoficznie...

- Czy ma pan przy sobie jakieś papiery? Dowód, licencję? - zapytała Astachowa, nadal patrząc tępo przed siebie.

- Och, oczywiście! - Wiktiuk wyciągnął z wewnętrznej kieszeni marynarki książeczkę wojskową i ciemnoniebieską legitymację zaświadczejacą, że jest prywatnym detektywem.

Astachowa przestudiowała dokumenty; miała wyraźne problemy, żeby coś zrozumieć.

- Zozu Anatoliewna - Wiktiuk wyjął jej dokumenty z ręki i spojrzal w oczy - proszę mi powiedzieć, gdzie jest pani siostrzeniec?

- Nie wiem! - krzyknęła zrozpaczona. - To jest właśnie najstraszniejsze, że nie wiem!

- No dobrze, kiedy widziała go pani po raz ostatni?

- Jakiś czas temu. Pod koniec kwietnia. Ale naprawdę zaczęłam się o niego martwić dopiero teraz.

- Czy z jakiegoś konkretnego powodu, czy tylko dlatego, że trochę czasu już minęło?

- Istnieje pewien powód...

- A mianowicie?

- Anton został wykorzystany. Próbowano go zrobić w morderstwo. Wiem dobrze, że nikogo nie zabił. Ale wygodnie jest go w to zrobić... Chłopak jest chory. Nie, nie mogę tego panu opowiedzieć - pokręciła głową. - Nie mogę. Boję się. O siebie i o niego.

- Nie musi się pani bać - położył swoją ciepłą dłoń na jej zimnej i wilgotnej. Pistolet gazowy już od jakiegoś czasu leżał na brudnym stole. - Proszę mi opowiedzieć, jestem w końcu prawnikiem, w dodatku osobiście zainteresowanym. Mówiłem pani przecież, że mamy ten sam problem.

* * *

Tatiana Władimirowa była drobną blondynką z krótką fryzurką. Leontiew wiedział, że ma dwadzieścia siedem lat, ale w spranych dżinsach, luźnym swetrze i grubych wełnianych skarpetach wyglądała na nie więcej niż siedemnaście lat.

- Dzień dobry, proszę wejść - powiedziała zaskakująco niskim i chropowatym głosem.

Leontiew rozejrzał się po wąskim, zastawionym skrzyniami i komodami korytarzu.

- Czy to komunalka?

- Nie, mieszkam z babcią. Nie wolno mi niczego wyrzucić. Napije się pan herbaty?

- Dziękuję, chętnie. - Wprowadziła Leontiewa do kuchni, poprosiła, by usiadł na małej wysłużonej kanapie, postawiła czajnik na piecu, usiadła na stołku, zapaliła papierosa i zaraz zaczęła kaszleć.

- Wie pan, w Moskwie szaleje właśnie paskudna grypa. Męczy mnie już od dziesięciu dni. Przepraszam, ale zapomniałam, jak pan się nazywa?

- Andriej Michajłowicz. Proszę mi mówić Andriej.

- Więc podejrzewa pan, Andrieju, że Rakitin został zamordowany?

- Powiedzmy, że nie wykluczam możliwości upozorowanego wypadku.

- W takim razie nie jest dobrze. - Tatianie zatrzęsły się ramiona. - Takie morderstwa nigdy się nie wyjaśniają. To znaczy, może i wyjaśniają, ale nikomu nie można udowodnić.

- Nigdy nie wiadomo, co przyniesie życie - zauważył filozoficznie kapitan. - Od jak dawna zna pani Rakitina?

- Od jakiegoś roku. Przeprowadziłam z nim wtedy pierwszy wywiad.

Kiedy widzieliście się po raz ostatni?

- Niedawno. Dokładnej daty nie pamiętam, ale mogę sprawdzić. Wi-dzieliśmy się zaraz po jego powrocie z Siniedolska.

- Skąd?

- Z Siniedolska. Był tam i prosił mnie, żeby nikomu o tym nie mówić. Dla wszystkich innych był w Antalyi. Wykupił sobie nawet jakieś wczasy.

- Wykupił wczasy w Antalyi i poleciał do Siniedolska? Czy to znaczy, że ktoś go tak intensywnie obserwował, iż uznał za konieczne podjęcie aż takich środków ostrożności? - zapytał Leontiew, przełykając ślinę.

- Najwyraźniej tak.

- Czy wyjaśnił pani, kto i dlaczego?

- Nie. Najpierw nawet mnie opowiadał, że chce jechać do Antalyi. Ale zrobiłam się zazdrosna, dlaczego mnie nie zabierze ze sobą. - Tatiana mocno się zaczerwieniła. - Rozumie pan, zaczęłam mu robić sceny. Teraz mi wstyd. On nie mógł znieść moich łez. Więc mi powiedział, że nie jedzie na urlop. I że nikt, absolutnie nikt nie może się o tym dowiedzieć.

„Może tylko chciał cię w ten sposób pocieszyć? - pomyślał Leontiew. - Może nie byłaś jedyna i poleciał do Antalyi z kimś innym?”.

- Proszę wybaczyć, ale czy jest pani pewna, że powiedział pani prawdę?

- Całkiem pewna.
- Dlaczego?
- Bo sama go odwiozłam na lotnisko.
- Ach tak, oczywiście - przytaknął kapitan. - Ale pewnie próbowała się pani dowiedzieć, o co chodzi? Naprawdę nie powiedział ani słowa? Choćby to, dlaczego akurat Siniedolsk? Czego tam chciał?
- Nie - Tatiana pokręciła głową. - Milczał jak grób. Obiecał, że wytłumaczy mi wszystko później. Wiem tylko, że dwa miesiące wcześniej pilnie potrzebował pieniędzy. Musiał zapłacić długi swojej byłej żony. Wie pan, ta żona.... Nieładnie tak mówić, ale to chora idiotka. Rozpaczliwie szukała pracy i ciągle mieszała się w jakieś podejrzone historie. Tym razem sprawa była poważna, podpisała jakiś kwit dłużny na ogromną sumę, której nigdy nie widziała na oczy.
- A dlaczego akurat on musiał spłacać długi swojej byłej żony? Z tego, co wiem, od siedmiu lat są po rozwodzie.
- Z powodu Maszy. Rzekomo jacyś bandyci grozili jego córce. Ale jakoś rozwiązał ten problem. Teraz wszystko jest już w porządku.
- A jak? Zdobył skądś pieniądze? Czy może dogadał się z tymi bandytami?
- Pojęcia nie mam, wiem tylko, że zostawili w końcu Maszę w spokoju.
- A nad czym pracował? Ostatnią powieść skończył już na początku lutego, prawda?
- Najpierw - tak mówił - musiał sobie porządnie odpocząć. A potem podobno zbierał materiały do swojej nowej powieści. Co było dosyć dziwne. Zwykle gromadził potrzebne informacje już w trakcie pisania książki. Nie przypominam sobie, żeby Nikita kiedykolwiek wcześniej zbierał materiały, i to tak długo.
- Czy mówił, jakiego rodzaju były to materiały?
- Zanim pojechalśmy na lotnisko, zapakowałam mu puszkę skondensowanego mleka i kawę, to miała być mała niespodzianka, i wtedy natknęłam się na jakieś materiały w plastikowych koszulkach. Naukowe rozważania o wydobywaniu złota, mapy, diagramy. Nawet chciałam zażartować, że pewnie zamierza szukać złota, żeby opłacić tych bandytów, ale w końcu dałam spokój. Nie znosił, kiedy mu się grzebało w papierach. Poza tym był tam artykuł o sektach. Ale to mnie nie dziwiło. Sekty mogły mu się przydać do następnej książki.

- To znaczy, że po powrocie z Siniedolska widziała go pani ostatni raz? Jakie sprawiał wrażenie? Był zadowolony z podróży?

- Czy był zadowolony, tego nie wiem. Ale był w dobrym nastroju, rozmowny. W ciągu tych kilku dni bardzo schudł. Poza tym był bardzo zmęczony. O wpół do drugiej poszedł. Prosiłam, żeby został, ale kategorycznie odmówił. Chciałam go odwieźć do domu, ale powiedział, że przed snem musi się koniecznie trochę przespacerować.

- A o Siniedolsku nic nie opowiadał?

- Tylko ogólnie. Że dobiegła tam właśnie końca kampania wyborcza i że wszędzie wiszą plakaty. Takie piękne, że zwycięzcy pewnie przykro będzie je ściągać.

Kapitan, już w przedpokoju, założył płaszcz. Tatiana zamyślona, paląc papierosa, oparła się o futrynę. Nagle zerwała się.

- Jeszcze chwileczkę! - Pobiegła do pokoju i wróciła z gazetą z czwartego maja. W rubryce kryminalnej zaznaczono markerem krótką notkę. - Nieznani sprawcy w jeepie ostrzelali okno wystawowe sklepu sportowego na Leningradzkim Prospekcie. Szkodę poniósł tylko manekin. Przybyli na miejsce zdarzenia milicjanci i pracownicy pogotowia znaleźli na miejscu zajścia na stercie odłamków szkła biednego manekina z roztrzaskanymi nogami”.

- To było tamtej nocy, trzy bloki od mojego domu.

Rozdział 25

Astachowa była do tego stopnia pochłonięta własnymi myślami, że zupełnie nie zastanawiała się nad bajkami, które jej naopowiadał sympatyczny, naiwny grubas.

Pamiętała, że wyłączyła telefon. Całkiem możliwe, że, roztrzęsiona, zapomniiała też zamknąć drzwi. Również to, że Anton zakochał się w sześćdziesięcioletce, było możliwe.

Co prawda, bardzo surowo kontrolowała swojego siostrzeńca, ale przecież nie śledziła go na każdym kroku. Czy tak trudno było sobie wyobrazić, że chłopak znalazł wreszcie to, czego szukał? I akurat w tej szczęśliwej chwili tak fatalnie wdepnął!

Po wypiciu butelki wódki Astachowej nagle zaświtało w głowie, że jej wieloletniej relacji z Rusowem żadną miarą nie można określić jako współpracy dwóch równorzędnych partnerów. Manipulował nią jak figurą szachową. Wykorzystywał, usuwając rzekomo kłody spod nóg, a w rzeczywistości rozwiązywał własne problemy jej kosztem.

Zoja Astachowa była osobą cyniczną, jednak nie mieściło jej się w głowie, żeby ktoś mógł być do tego stopnia pozbawiony skrupułów. Ta świnia wiedziała przecież, że ona nie miała poza Antonem nikogo. Czy nie mógł sobie do swoich celów poszukać kogoś innego? Zamiast tego wykorzystał chorobę Antona: jego ludzie znaleźli w domu, gdzie ukrywał się Rakitin, odpowiednią kobietę i podrzucili jej narkotyki oraz broń z odciskami palców Antona, żeby likwidację na zamówienie upozorować na zwykłe morderstwo. Anton nie zabił Rakitina. Od tamtej starej historii z Ksenią chłopak nie skrzywdził

nawet muchy, tyle przeszedł w więzieniu, że powrót tam byłby gorszy od śmierci.

Dosyć! Nigdy nie daruje Rusowowi Antona. Jest jednak sprawiedliwość na tym świecie. W chwili największej rozpacz pojawia się tu jak na zamówienie ten naiwny, gruby prawnik, wykształcony, staroświecki i uprzejmy, a przy tym, co najdziwniejsze - szczery. Tak przynajmniej zdawało się Zoi Astachowej, a uważała się za dobrego psychologa.

W końcu się odprężyła. Alkohol jakby w tej chwili zaczadził jej umysł. Wszystkie niezasłużone krzywdy znalazły upust. Mówiła, mówiła i nie mogła przestać. Wiktiuk słuchał, kiwał głową i myślał, jaką przedziwną sprawą jest intuicja. Jakiś tajemniczy szósty zmysł kazał mu odwiedzić kobietę, która jeszcze przed godziną była dla niego zaledwie ciotką Antona. Pojawił się u niej tylko na wszelki wypadek, kontrolnie, a jednocześnie natknął się na niebezpiecznego świadka, posiadającego istotne informacje.

Wiedziała tak dużo, że Wiktiukowi zwilgotniały dłonie. I o tym wszystkim opowiada w dodatku pierwszemu lepszemu.

- Powtarzałam jak najęta, ostrzegałam go: każdy inny, tylko nie Godunow!
- krzyczała Astachowa. - Ale on jest taki zdemoralizowany, ta świnią! Nikogo nie słucha, tylko siebie, dla niego każdy to idiota, tylko on jest mądry! Ale przecież nie urodziłam się wczoraj, wiedziałam, że jakoś go zmusił, a potem z powodu idiotycznego widzimisię wykorzystał mnie, później zaś Antona - i to w taki sposób! Nie do wiary! W przypadku Godunowa nie chodziło tylko o pieniądze. Czymś go szantażował, groził mu, wiem to. Ten Godunow tylko udaje skromnego, w rzeczywistości uważa się za geniusza, ten gnojek nigdy nie dałby się wykorzystać jako *ghostwriter*, na pewno wymknąłby się spod kontroli, wygrzebał Shan Li. Ostrzegałam go, przeczuwałam to!

- Kim jest Shan Li? - zapytał Wiktiuk i wstrzymał oddech.

- Szarlatanem, pozbawionym talentu, aroganckim idiotą! Twierdził, że zajmuje się hipnozą, metodami pozazmysłowymi. Wszystko to przekręt! Od razu się zorientowałam, jak to u niego wygląda. Po prostu otumaniał ludzi, robił takie rzeczy, że włosy mi stawały dęba. Techniki masowego oddziaływania, elektrowstrząsy, infradźwięki, ultradźwięki, naświetlanie falami elektromagnetycznymi o wysokiej częstotliwości...

- Ultradźwięki? - przerwał ostrożnie Wiktiuk.

- Tak. Wpływają na ludzki mózg i ośrodkowy system nerwowy, powodują nieodwracalne zaburzenia zachowania, przy totalnym zahamowaniu wszelkich instynktów. Modelują częstotliwość fal alfa w mózgu - wyrecytowała z pamięci. - Człowiek staje się robotem, posłuszną, bezmózgą maszyną. Idiota, którym można sterować.

- A po co im byli potrzebni bezwolni idioci?

- I to jest najciekawsze - zaśmiała się złośliwie Astachowa. - Zaryzykowałam wszystko, moją karierę, reputację, mój dyplom lekarski, wolność, życie, ale nigdy mi tego nie zdradzili. Wiem tylko, że gdzieś tych ludzi wywozili. Po prostu znikali. Ale o co chodzi, to już przeszłość, sprawę sprzątnięto pod dywan, na jakiś czas z tym skończyli. Shan Li czmychnął do Korei, Rusow uciekł w politykę, a mnie zainstalował w wydawnictwie. Ale nagle zapragnął koniecznie pięknej biografii. Proszę cię bardzo, poszukaj sobie jakiegoś pismaka, który będzie ci włazić do dupy i napisze wszystko, co zechcesz. Ale nie! Chciał koniecznie Godunowa. No to teraz ma. Już wiem, co powiedzieć temu kapitanowi. Wystawię gościa i dopiero się zdziwi.

- Jakiemu kapitanowi? - Wiktiuk pokrył się cały potem, chociaż w kuchni było chłodno.

A ona krzyczała dalej. Klasyczny atak hysterii. Rano pewnie pożałuje swojej otwartości, ale teraz nie mogła się powstrzymać.

Wiktiuk wyszedł od niej o wpół do drugiej. Wsiadł do volkswagena, sięgnął po komórkę, wybrał numer, nie witając się nawet, podał adres Astachowej i powiedział tylko cztery słowa:

- Pilne. Samobójstwo. Piętnaście tysięcy.

* * *

- Gdyby ktoś dzwonił, to jestem w łazience albo śpię - poprosiła Nika - ale najlepiej nie odbieraj.

- Dokąd się wybierasz? - ziewnęła serdecznie Zina, przecierając zaspane oczy.

Nika miała na sobie adidasy, obcisłe czarne dzinsy, nieco sfatygowaną, szarą, skórzaną kurtkę, a na głowie zamszową cyklistówkę z długim daszkiem.

- Później ci wyjaśnię.

- Czekaj, jeszcze mi nawet nie opowiedziałaś, co ciekawego miał do powiedzenia kolega ze studiów.

- Zina, później. Spieszę się. Za dwie godziny będę z powrotem. Nika przemknęła się obok portierni, nasunawszy cyklistówkę na oczy.

- Młoda damo! U kogo pani była? - wystraszył się dozorca. „Świetnie - pomyślała - nie można mnie rozpoznać”.

- Mieszkanie czterdzieści - rzuciła pierwszy lepszy numer i wybiegła. Wiedziała, że mercedes ochroniarzy stoi przy bramie do podziemnego garażu. Chciała już pójść do samochodu, ale zreflektowała się i poszła w przeciwnym kierunku, do metra.

W samochodzie chłopcy mogli ją zauważyć i zatrzymać. Z tym, że pani gubernatorowa pojedzie metrem, raczej się nie liczyli.

Mimo to nie opuszczała jej uczucie, że czyjś lodowaty wzrok wwierca jej się w plecy. Uważnie wpatrywała się w tłum, najpierw na ruchomych schodach, potem w metrze. Ciągle miała wrażenie, że widzi chudego, łysego mężczyznę, który siedział w samolocie w rzędzie obok i cały czas jej się przyglądał. Może ta twarz tak jej się wbiła w podświadomość, że teraz wszędzie ją widziała.

„Gratuluje, zaczynasz już mieć halucynacje. Raz wydaje ci się, że jakiś jeep przejeżdża Zinę, potem słyszysz jakąś babcie jak szepcze: »Twój mąż to morderca«. A teraz facet z samolotu przygląda ci się przez ciemne okulary i we własnej osobie śledzi cię w metrze - drwiła z siebie w duchu Nika. - Kompletnie ci już odbiło, moja droga. Weź się w garść”.

Czepiając się poręczy w przepelnionym wagonie, patrzyła w oczy swojemu rozmazanemu odbiciu w czarnej szybie, ponownie próbując wszystko sobie poukładać i oddzielić fakty od przypuszczeń.

Niepodważalnym faktem było to, że Grisza kłamał. Spotkał się Nikitą w połowie lutego, czyli trzy miesiące temu, a przecież powiedział jej, że nie widzieli się od trzech lat.

Nika dowiedziała się o tym całkiem przypadkiem. Jeden z szoferów Griszy, gadatliwy dowcipniś Kola, wiozł ją na daczę i przez cały czas nie zamykała mu się buzia.

- A wczoraj to żem wiozł jakiegoś pisarza. Nazwiska żem zapomniał. Kryminały pisze. Taki młody, wysoki, z jasnymi włosami. Jak to on się nazywał? Czytał żem jedną jego książkę: *Ślepa uliczka*. I raz był w telewizji.

- Godunow - powiedziała śpiącym głosem Nika.

- Tak! Dokładnie, Wiktor Godunow - ucieszył się szofer.

- A dokąd to Kola wiozł tego pisarza?
- Na daczę. Do Grigorija Pietrowicza. A później z powrotem do domu.

„Grisza spotkał się z Nikitą - zdziwiła się w duchu Nika. - Dlaczego? Do dzisiaj trzęsie się na sam tylko dźwięk jego nazwiska. Co prawda, bardzo się stara, żeby nikt tego nie zauważył, ale się trzęsie. Kiedy mnie zobaczył z książką Godunowa, to całkiem zbladł, jego twarz przybrała brzydki wyraz, a wzrok miał taki zimny. Stracił nad sobą kontrolę. Rzadko mu się to zdarza. Zwykle udaje mu się sprawiać wrażenie, że jest spokojny, niezależnie od tego, co się dzieje”.

Nika wiedziała, że jej mąż jest związany interesami z wydawnictwem, w którym ukazywały się książki Nikity. Bardzo możliwe, że spotkał się z nim z tego powodu. Chociaż zwykle to ktoś z zarządu konsultuje się z redaktorem naczelną. Więc skąd tu nagle autor Wiktor Godunow.

Oczekiwała, że wspomni o tym spotkaniu przy okazji, jednak nie zrobił tego.

„Więc ciągle jest zazdrosny” - pomyślała Nika i szybko zapomniała o spotkaniu męża z jej dawnym narzeczonym. Dopiero, kiedy dowiedziała się o śmierci Nikity, znów jej się przypomniało i zapytała Griszę, kiedy widział go po raz ostatni? A on skłamał. Chyba jednak nie z zazdrości, prawda?

Innym faktem było to, że Nikita się przed kimś ukrywał. Była pewna, że nie zamieszkał u Ziny z powodu kryzysu twórczego. Nigdzie nie pracowało mu się lepiej niż w domu, więc przeprowadził się ze swojego komfortowego lokum do Ziny, żeby się ukryć. Przed kim?

Nice przychodziły do głowy różne wersje, ale doszła do jedyne go możliwego wniosku: Nikita ukrywał się u Ziny, ponieważ groziło mu niebezpieczeństwo. Wiedział, że ktoś go zabije.

A teraz ktoś próbował Nice wmówić, że tym mordercą lub zleceniodawcą mordercy był jej mąż. Ale jak? Jeśli ten nieznamy koniecznie chciałby ukarać winnego, to zwróciłby się najpierw do prywatnego detektywa. Dlaczego zależało mu na tym, żeby to Nika wyjaśniła tę sprawę? Gdzie tu logika?

Ten człowiek był dobrze zorientowany w przeszłości. Nazwał Nikitę „jej znajomym”, przypuszczalnie wiedział, w jakich byli stosunkach, inaczej nie liczyłby w ogóle na jej zainteresowanie tym przypadkiem. Wiedział też o jej młodzieńczej przyjaźni z Ziną i dlatego właśnie ją wybrał na kuriera.

Nagle uświadomiła sobie, że gdzieś już widziała mężczyznę z samolotu. Ale znów uspokajała się, że tylko sobie to wmawia, że śmiertelnie chory człowiek wyłącznie dlatego przewiercał ją spojrzeniem, bo siedziała tam, gdzie właśnie padał jego wzrok.

Potem przypomniawszy jej się dziwna blizna na ręce starszej pani w kapeluszu i ciemnych okularach. Grisza też miał takie blizny. Ślady z dzieciństwa: kilku chłopców z elitarnej szkoły w Siniedolsku gasiło sobie papierosy na dłoni. Gdy Grisza pierwszy raz o tym opowiadał, była pod wrażeniem i uświadomiła sobie, jak bardzo to musiało boleć. Później rozmawiali o tym raz jeszcze. Grisza zaprosił do siebie kogoś ze swoich stron. Chyba jakiegoś wojskowego? Tak, był w szkole wojskowej.

Nika miała przed oczami mętny obraz wysokiego mężczyzny w mundurze. Jaki to był mundur, nie pamiętała. Za to dokładnie przypominała sobie rozmowę o bliznach i zażenowanie Griszy, kiedy liczyli te blizny. Dlaczego je liczyli? Co to za bzdura?

Czuła, że to ważne, że musi sobie koniecznie przypomnieć, ale to było tak dawno. Poza tym ktoś za nią szedł, przeciskał się przez tłum na ruchomych schodach.

Stała na najniższym stopniu, schody powoli sunęły w górę. Nika zwinnie wślizgnęła się między ludzi i zaczęła się między nimi przeciskać, biegnąc do góry.

- Młody człowieku, proszę się tak nie rozpychać! - usłyszała za sobą starszy głos. - I nawet cham nie przeprosił!

Nie odwracając się, Nika pędziła dalej. Wiedziała, że oburzenie było skierowane pod adresem mężczyzny, który właśnie próbował ją dogonić.

Utknął w ścisku na ruchomych schodach; Nika była już u góry. Najchętniej pobiegłaby na łeb na szyję. Wiedziała, że teraz miałyby jeszcze szansę zgubić swój cień, zatrzymała się jednak, ponieważ miała też inną szansę: wprawić swój cień w zakłopotanie, stając z nim twarzą w twarz.

Przed metrem znajdował się stojak z okularami. Nika zatrzymała się nagle, sięgnęła po pierwsze lepsze okulary przeciwsłoneczne, założyła je i zaczęła przeglądać się w ukośnym lustrze nad stoiskiem. Sprzedawczyni usłużnie podsunęła jej pięć innych par.

W lustrze przemykało wiele twarzy. Nika szybko pożałowała tego pomysłu. Powinna była puścić się biegiem. Ta gra nic jej nie dała. W tym tłumie nie jest w stanie nikogo rozpoznać.

Wypróbowała nowe okulary i wtedy jej wzrok padł na mężczyznę, którego natychmiast poznała.

* * *

„Nie, Weroniko Siergiejewna, to wszystko wcale nie jest takie proste. Pani mąż nie jest głupi. Jego goryle nie spuszczaają pani z oka nawet na minutę i byłoby mi bardzo nieprzyjemnie, gdyby mnie nagle przyłapali. Irytujące jest to, że zostawiłem samochód na rogu, akurat przed pani domem. Ale pani tak pędziła, że bałem się stracić panią z oczu.

Pani wzrok przesunął się właśnie kilkakrotnie po mojej twarzy. Nie rozpoznała mnie pani, nie pojęła, ale zrobiło się pani niewyraźnie. Ma pani słabą pamięć do twarzy, lecz dobrą intuicję. Od razu pani zauważa, że ktoś ją śledzi. Jednak nie tylko ja, nawet jeśli dzisiaj od wczesnego ranka trzymałem wartę przed pani domem, dokładnie tak jak wczoraj i przedwczoraj. Muszę wiedzieć, dokąd pani chodzi i co pani zamierza. Z zainteresowaniem obserwuję, jak zmieniała się pani twarz. Odczuwa pani ból. Jest pani zaniepokojona. Straciła pani nie tylko mężczyznę, którego kochała pani od najmłodszych lat. Nie ufa pani też swojemu mężowi. To jest dla mnie najważniejsze. To, a nie pani ból. Nie jestem w końcu jakimś potworem, nie do pani osobiście nie mam.

Ale poza mną śledzi panią również barczysty osiłek w skórzanej kurtce z ochrony męża. Jego pani zauważyła, mnie nie. Szczerze mówiąc, trochę mnie to polechtało, w końcu on jest profesjonalistą, a ja tylko biednym, starym, schorowanym człowiekiem”.

Wysoka, przygarbiona sylwetka byłego pilota przemykała się jak cień i rozplynęła się w tłumie. Ponieważ ochroniarz śledził Nikę, jego zawodowa czujność skupiona była na obiekcie obserwacji, czyli na niej. Ale ponieważ obiekt obserwacji szedł obok niego, goryl wciąż rozglądał się na wszystkie strony. Jegorow uznał, że lepiej będzie zniknąć.

Nika nie mogła podejrzewać, że śledzą ją dwie osoby. Szła obok ochroniarza i czujnie łypała okiem spod cyklistówki. Jegorow spostrzegł jeszcze, jak niemiłe było dla niej towarzystwo goryla, i jak irytujący dla niego z kolei był fakt, że go zauważyła.

„Twój pech, kolego” - pomyślał Jegorow nie bez złośliwej satysfakcji, wyszedł z metra i zniknął w jakiejś ciemnej bramie.

Marzył, cały czas poprawiał szal i sprawdzał mechanicznie, czy dopiął kurtkę. Nigdy nie było mu naprawdę ciepło, nawet w upalne lato, czy w domu, przy zamkniętych oknach i kilku włączonych piecykach elektrycznych. Ale na wilgotnym majowym wietrze po prostu trząsał się jak osika. W samochodzie ciągle włączał ogrzewanie, a mimo to miał zawsze lodowate ręce.

Już dawno się wypalił, w jego wnętrzu został tylko zimny popiół.

Przez ostatnie cztery lata żył prawie tak samo jak Fiedka. Całkowicie odizolowany od świata. Ze wszystkich uczuć, które zdolny jest odczuwać człowiek, zostały mu tylko miłość i nienawiść.

Nikita Rakitin był pierwszym i jedynym człowiekiem, któremu od początku wszystko opowiedział. Znali się od wielu lat. To znaczy, poznali się w młodości, byli w pewnym okresie zaprzyjaźnieni, po czym stracili na jakiś czas kontakt, podążyli w innych kierunkach. Jednak zachowali dla siebie sympatię. I numer telefonu w starych notatnikach.

Dawno temu Grisza Rusow, jego przyjaciel i krajan, zabrał go ze sobą do Rakitinów. Wania urodził się w Siniedolsku i chodził do tej samej szkoły, co Rusow. Jegorow senior był myśliwym u wysokiego bossa partyjnego.

Wania miał siedem okrągłych blizn na wierzchu dłoni. To on był tym, który na widok surowej pani dyrektor wsadził sobie wciąż palącego się papierosa do kieszeni spodni. Potem, po jego dzikim wrzasku, za namową Rusowa on i inni chłopcy gasili sobie papierosy na dłoniach. Żeby odzyskać dobre imię, jedenastoletni Iwan bez zająknięcia wytrzymał siedem przypaleń. Więcej niż wszyscy inni. Siedem, nie pięć, tak jak Rusow.

Gdy Rusow opowiedział Rakitinowi swoją wersję tej starej historii, Nikicie natychmiast przypomniał się Iwan Jegorow - to on mógł mu przecież opowiedzieć coś o dzieciństwie Rusowa! Bez szczególnej nadziei na powodzenie wykreślił numer Jegorowa, znaleziony w rozpadającym się notesie.

Spotkali się w piwiarni w pobliżu szpitala dziecięcego, w którym leżał Fiedka. Stamtąd poszli do Nikity do domu i przesiadzieli całą noc nad butelką wódki.

- Ale przecież nie ma żadnych dowodów - powtórzył Nikita. - No dobra, był zaprzyjaźniony z tym Guru... A tak na marginesie, wiesz, że ta Astachowa jest redaktor naczelna wydawnictwa, w którym ukazują się moje książki?

- Nie chcę mieć z żadnym z tych ludzi do czynienia. Rusow, Shan Li, ta Astachowa... wszyscy mi mogą naskoczyć! - Jegorow uderzył pięścią w stół. Po drugim kieliszku był już pijany, tak wyczerpany i nadwyrężony był jego organizm, a poza tym dawno nie pił alkoholu. - Najchętniej bym wszystkich od jednego wystrzału... Ale tak się nie da. Poszedłbym do więzienia. A Fiedka nie ma poza mną nikogo.

- Ale dlaczego ich wywieźli? Dokąd? - zapytał Nikita bardziej siebie niż Jegorowa. - Na coś pachnącego wprost kryminałem Rusow nigdy by się nie zdecydował. Własność tych nieszczęśników zupełnie go nie interesowała.

- To pewne. Nie o to tu chodzi - pokręcił głową Jegorow. - Chociaż pod koniec wszyscy byli już tacy głupi, że oddaliby ostatnią koszulę. Ale oni chcieli czegoś innego, chcieli samych ludzi. Posłusznych i zdolnych do wszystkiego. Niewolników.

- Niewolników - mruknął w zamyśleniu Nikita. - Kto w naszych czasach potrzebuje jeszcze niewykwalifikowanych niewolników? Przy takim bezrobociu w każdej chwili jesteś w stanie za kilka rubli złapać robotników na czarno. Ale nielegalni robotnicy bywają gadatliwi. Może uran? Surowce strategiczne?

- Jakie to może mieć teraz znaczenie? Jestem pewien, że Oksana i Sławik nie żyją. Czuję to.

- Jako wiceminister torował takim ludziom jak Moon czy Asahara drogę do szkół i uczelni - rozważał dalej na głos Nikita. - Dobrze mu za to płacili. Ale swój kapitał początkowy musiał zdobyć w jakiś inny sposób.

- On cię zabije, Nikita - powiedział głucho Jegorow. - Oczywiście, nie osobiście, kogoś do tego zatrudni. Do diabła, po coś ty się za to brał? Książka o nim! A kim on niby jest, żeby pisać o nim książki. Odebrał ci przecież Nikę, podle i perfidnie. A ty...

- Nika to nie koń, a on nie Cygan - bąknął szybko Rakitin.

Jegorow wychylił jeszcze kieliszek.

- Trzymaj ty się od tego z daleka. Masz córkę. Nie włącz w to.

- Należy do niego część udziałów w wydawnictwie - ciągnął niewzruszony Nikita. - Astachowa od czterech lat jest redaktor naczelną. To naprawdę zabawne. To dlatego Astachowa nie wściekała się, że następna książka będzie gotowa dopiero za trzy miesiące. Zawsze się zastanawiałem,

kto jest człowiekiem Rusowa w wydawnictwie. Czyli tak: guru Shan Li prze-rabiał łatwowiernych głuptasów, którzy chcieli zdrowo żyć, na zombie, Asta-chowa kryła go swoim dyplomem lekarskim, a Rusow służył protekcją. Dla-czego? Na pewno nie zapłacili mu więcej niż Moon i Asahara. Prawdopodobnie wykorzystywał ich produkty, to jest ludzi nauczonych ślepego, psiego posłuszeństwa. Ale w którymś momencie zaczął im się palić grunt pod nogami. Guru Shan Li zniknął, a Astachowa Rusow przeniósł do wydawnictwa. No dobra, teraz to bez znaczenia. Mówisz, że dziewczyna z metra powiedziała, że znalazła Fiedkę na dworcu Białoruskim?

- Tak - kiwnął głową Jegorow.

- Z Białoruskiego odjeżdżają pociągi na zachód. Nie, w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Poza tym, dziewczyna mogła kłamać. Czekaj no... - wstał nagle i zniknął na chwilę, a po pięciu minutach wrócił z kilkoma zdjęciami w ręku. - Przypatrz się dokładnie. Widziałeś kiedyś kogoś z tych ludzi?

Jegorow wziął od niego zdjęcia. Widać było na nich trzech bandytów: kanciaste, tępe twarze, zbyt pospolite, żeby je zapamiętać.

- Nie wydaje mi się.

- A tego tutaj?

Zdjęcie było trochę nieostre, zapewne zrobione przez szybę i z daleka. Były na nim dwie osoby, kobieta i mężczyzna.

- Ale to przecież Galina, twoja była żona, prawda? - zapytał niepewnie Jegorow.

- A obok niej? Proszę, Wania, przyjrzyj się.

- Dobrze, że to kolorowe zdjęcie - powiedział po długiej, bolesnej pauzie. - Inaczej nigdy bym nie rozpoznał tej świni. Te rude loki i różowa łysina - to Wiktiuk. Feliks Michajłowicz. Prywatny detektyw agencji „Garantija”. Firmy, przed którą spotkałem Rusowa. Słuchaj, skąd to masz?

- Nieważne.

Jegorow był zbyt pijany, żeby zauważyć, jak bardzo Rakitin zmienił się na twarzy, że cały zbladł i zaczął szczełakać zębami.

Wówczas, miesiąc temu, Jegorow był pijany, a teraz marzył i denerwował się. Poza tym nie miał zbyt dobrej pamięci do twarzy. Inaczej goryl Kostik, który szedł obok Niki, na pewno wydałby mu się znajomy.

***...

- Czy ty trochę nie przesadzasz, Kostik? - zapytała Nika ponurego osiłka. - Wszystko ma swoje granice. Jestem pewna, że mój mąż nie kazał ci odgrywać tu agenta.

- Wiem, że pani się to nie podoba, ale muszę pani towarzyszyć, dokądkolwiek pani pójdzie.

- Ale ciebie nikt nie zapraszał.

- Nie mam zamiaru wchodzić za panią do mieszkania. Zostanę na schodach.

- A skąd wiesz, że chcę wejść do mieszkania?

- Nadieżda Guszczińska jest za stara, żeby się z panią umawiać na mieście.

Stali pośrodku jezdnii, na wąskiej wysepce i czekali na zielone światło. Za nimi i przed nimi ciągnął się nieprzerwany sznur samochodów. Nika puściła się biegiem. Hamulce zapiszczały. Kostik przyskoczył do niej jednym susem, chwycił i zaprowadził z powrotem na wysepkę.

- Proszę mi wybaczyć, Weroniko Siergiejewna - powiedział, podnosząc z ziemi jej cyklistówkę i dokładnie ją wytrzepując. - Jest pani bardzo nierozsądna. Mam listę adresów, które może pani odwiedzić przed pogrzebem. Między innymi również Nadieżdę Guszczińską. Sądząc po stacji metra, na której pani wysiadła, udaje się pani właśnie do niej.

- Posłuchaj, Kostik, proszę cię, odejdz - powiedziała cicho Nika. - Mam już tego po dziurki w nosie. Sama to wyjaśnię Grigorijowi Pietrewiczowi. Nikt nie będzie ci robił wymówek, gwarantuję ci to.

W końcu zrobiło się zielone. Przeszli przez ulicę. Kostik wyciągnął z kieszeni kurtki komórkę i wręczył ją Nice.

- Proszę, niech mu pani wyjaśni.

Wybrała numer, ale mechaniczny głos oznajmił, że „abonent jest czasowo niedostępny”. Kilka innych telefonów, w tym awaryjny numer osobisty Griszy, było zajętych.

- Weroniko Siergiejewna, niech pani lepiej zatrzyma ten telefon. Należy w końcu do pani.

Nika wrzuciła komórkę do torebki. Znaleźli się przy wejściu do budynku.

- Dobrze - powiedziała zamyślona - zatrzymam się tu najwyżej czterdzieści pięć minut. Gdybyś był tak miły i przyprowadził mój samochód.

Weszła do budynku, Kostik pozostał na zewnątrz.

Nadieżda Guszcina długo nie otwierała. W końcu Nika usłyszała szuranie i zazgrzytał zamek.

- Wejdz, nie zdejmuj butów - powiedziała starsza pani, nie patrząc na Nikę. - Nie czuję się najlepiej i nie będę mogła długo rozmawiać. Poza tym właściwie to nie ma o czym.

Nika wyciągnęła z torebki puszkę czarnego kawioru, postawiła ją na komodzie w przedpokoju, zdjęła czapkę i kurtkę.

- A co to ma być? Natychmiast to zabieraj! - podniosła głos Nadieżda.

- Proszę mi wybaczyć, nie mogłam się przecież pojawić z pustymi rękami. Kwiaty są w tym przypadku nie na miejscu, czekolady pani nie je, a kawior jest smaczny i pożywny.

- Dla mnie nic, co pochodzi od ciebie, nie może być ani smaczne, ani pożywne - warknęła Nadieżda. - Wejdz, nie stój w przedpokoju.

- Rozumiem - skinęła Nika i weszła do pokoju. - Zadam pani tylko kilka pytań i znikam. Mogę zapalić?

- Proszę - pozwoliła Nadieżda.

Papierosy zostały w torebce. Nika wróciła do przedpokoju. Razem z papierosami znalazła się w jej ręku komórka. Przez chwilę przypatrywała się przedmiotowi w skórzanym etui. Nie, nie zauważyła niczego szczególnego. Ale nagle przypomniało jej się, jak usilnie przezorny Kostik prosił ją, żeby wzięła komórkę ze sobą podczas rozmowy z Pietią Łukianowem w restauracji. Nika wrzuciła ją wtedy do torebki. Tej samej torebki. Później musiała z niej zniknąć, bo teraz Kostik znów ją Nice wręczył - na wszelki wypadek.

Długo się nie zastanawiając, otworzyła drzwi do mieszkania, wybiegła na zewnątrz, zeszła na półpiętro i położyła komórkę na parapecie.

- Gdzieś wychodziłaś? - zapytała gospodyni.

- Zapalniczka mi wypadła na schodach.

- Siadaj, nie stój jak słup soli - powiedziała Nadieżda. - Źle wyglądasz. Błada, czerwone oczy.

- Wie pani, chciałam zapytać, czy podczas identyfikacji pokazali pani tylko krzyżyk? Nic więcej?

Twarz kobiety zmieniła się w jednej chwili.

- Wynocha! - krzyknęła wysokim, drżącym głosem. - Wynoś się, no już!

- Czyja czymś panią dotknęłam? - zapytała ostrożnie Nika. - Zapytałam tylko...

- Dotknęłaś mnie dziesięć lat temu. Nie masz nic wspólnego z Nikitą. Nic, rozumiesz? Więc skończ z tym przedstawieniem. Tylko zapytałam! Ale o to, jak się czuł Nikita, kiedy się dowiedział, że wychodzisz za męża, to się nie zapytasz, co? Zrzuńowałaś mu życie, a teraz pytasz o obrączkę? Ty swojej pewnie już nie nosisz, co?

- Owszem, noszę - Nika wyciągnęła przed siebie prawą rękę. Na środkowym palcu tkwiła wąska złota obrączka z małym prostokątnym szafirem. Na palcu obok znajdowała się gładka obrączka bez kamienia.

- A ta to chyba od Griszy, prawda? Obrączka z prawdziwego zdarzenia. Na właściwym palcu - zauważyła Nadieżda.

- Ta od Nikity jest za duża na właściwy palec - bąknęła szybko Nika.

- Zresztą, jest mi obojętne, co nosisz na jakim palcu. - Nadieżda zmarszczyła czoło. - Masz lodowate ręce. Zimno ci?

- Troszeczkę - przyznała Nika.

- Trzymaj - staruszka rzuciła jej duży wełniany szal.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. Więc chcesz wiedzieć, czy Nikita nosił twoją obrączkę? Tak, wyobraź sobie, że jej nie zdejmował. Ale nie z twojego powodu. Po prostu nie dało jej się zdjąć, nawet z pomocą mydła.

- Właśnie - powiedziała w zamyśleniu Nika. - Nie dało się. Dlatego podczas identyfikacji musiałyby być widoczna razem z krzyżykiem, prawda? I co, była?

- Oczywiście - skinęła Nadieżda, nie patrząc na Nikę. - Ale teraz skończmy z tym. Idź, Nika. Ciężko mi się z tobą rozmawia. I zabierz ze sobą swój kawior. I tak go nie zjem.

- Ale Zina Rieznikowa stwierdziła, że tam nie było obrączki - powiedziała zamyślona Nika. - Tylko krzyżyk. A tak w ogóle, jak pani sądzi, dlaczego Nikita tak nagle wprowadził się do Ziny? Czy nie mógł pracować u siebie w domu? I nad czym w ogóle pracował?

- Do czego zmierzasz, Niko? - zapytała staruszka, ciężko wzdychając. - Ode mnie niczego się nie dowiesz. Nie ufam ci. Nie mogę.

- Rozumiem panią - skinęła Nika. - Na pani miejscu też bym nie ufała.

- Idziesz już wreszcie, czy nie? Choćby przez wzgląd na mój wiek.

- Wszystko w porządku, Nadieżdo Siemionowna. - Nika podeszła do drzwi, ale zatrzymała się i powiedziała bardzo cicho: - Więc ciało nie miało obrączki...

Mimo niedosłuchu Nadieżda zrozumiała i równie cicho odpowiedziała:

- Ja tego nie powiedziałam.

- Dobrze, rozumiałam. Ale gdyby pani mogła mi coś jeszcze powiedzieć...

Ma pani mój numer telefonu?

- A po co mi?

- Mimo to zostawię go pani. Na wszelki wypadek. - Nika odwróciła się w stronę korytarza, znalazła na szafce z telefonem kalendarz i na otwartej stronie wpisała wielkimi literami swoje imię i numer telefonu.

Na półpiętrze poniżej siedział na parapecie Kostik z papierosem i komórką w ręku.

- Dokąd teraz, Weroniko Siergiejewna? - zapytał i wesoło podskoczył.

- Do domu - oznajmiła ponuro Nika.

Jasna sprawa, że to była ona. Ciemne blond włosy, dumna postawa. Miała na sobie wąskie dzinsy i wytartą skórzaną kurtkę. Oczu nie można było zobaczyć, bo ukryła twarz pod czapką. Rzeczywiście, Wiktorowi Godunowowi udało się uchwycić w niej coś istotnego: lekkość, delikatne zdecydowanie. Ona nie szła - ona leciała. Szybko i energicznie. Z rękami w kieszeniach, na ramieniu miała przewieszoną torebkę. Obok kroczył ogolony do zera osilek.

- Zatrzymam się tu najwyżej czterdzieści pięć minut. Bądź tak dobry i przyprowadź mój samochód - usłyszał kapitan Leontiew, kiedy doszli do domu.

W jej głosie słychać było nieskrywane rozdrażnienie.

Weszła do domu. Po chwili wszedł i osilek.

Leontiew postanowił trochę odczekać. Chciał rzucić okiem na numer rejestracyjny samochodu, który odwiezie Weronikę Siergiejewna, a przede wszystkim, bardzo się zapalił do tego, żeby przyjrzeć się jeszcze raz osilkowi, bo jego twarz wydała mu się podejrzanie znajoma. Miał zawodową pamięć do twarzy.

Leontiew usiadł na ławce, zapalił papierosa, wyciągnął z kieszeni gazetę, rozłożył ją i zobaczył, że się nie mylił. W gazecie leżały zdjęcia, które dostał wczoraj od Maszy Rakitiny. Ten typek był jednym z trzech bandytów, którzy śledzili dziewczynkę w trakcie powrotu ze szkoły.

Rozdział 26

Samochód utknął w korku. „Nie mogę już znieść tych dwóch typków - pomyślała Nika. - Muszę coś wymyślić, bo zwariuję. A potrzeba mi teraz jasnego, chłodnego umysłu. Muszę się zastanowić.

Ostrożnie otwarła mechaniczny zamek. Oczekwała, aż sznur samochodów przed nimi troszkę się rozpędzi, wysiadła i rzuciła się między auta w stronę pomnika Dołgorukiego.

Stasik trąbił jak szalony, nie mógł jej jednak gonić. Kostik musiał odpiąć pas. Korek nagle się odetkał i samochody zaczęły na nich trąbić - szary mercedes, z którego najpierw wyskoczyła jakaś szalona dziewczyna, a potem ogolony na лыso mięśniak, zatamował ruch.

Nika biegła, nie oglądając się za siebie, mostem Kuznieckiego, aż do domu handlowego ZUM; tam przykleiła się do kamiennego gzymsu.

Jeśli chciała im uciec, nie powinna się zatrzymywać, ale serce biło jej tak gwałtownie, że koniecznie musiała złapać oddech.

Wokół niej przemieszczał się tłum spieszących się gdzieś ludzi. Przyłapała się na tym, że ciągle próbuje ukryć swoją twarz i rozgląda się na boki. Spodziewała się, że w każdej chwili może poczuć ten sam szczególny straszliwy chłód w żołądku, jaki przeżyła w metrze.

„Zaraz Kostik znów się tu pojawi i wszystko zacznie się od początku - pomyślała. - Ohydne to uczucie, być ściganą. I podwójnie ohydne, kiedy się wie, że dzieje się to z polecenia własnego męża”.

Otworzyła torebkę, żeby wyjąć papierosy, i znalazła swoją komórkę. Włączyła ją, od razu zadzwoniła.

- Ej, abonencie, dlaczego jesteś czasowo wyłączony? - zapytała zaspanym głosem Zina. Zostawiasz mnie samą, potem wyrabiasz nie wiadomo co, a w końcu wyłączasz telefon.

- Cześć, jak tam?

- W porządku. Odpoczywam, oglądam wideo. Gdzie jesteś?

- W drodze do domu. Ktoś do mnie dzwonił?

- Hm. Twój mąż - powiedziała Zina teatralnie obojętnym głosem i ziewnęła.

- Ciekawe, po co?

- Powiedział, że mam się wynieść. Co ty robisz w moim mieszkaniu, Zi- no Rieznikowa? Nie zapraszałem cię. Po kiego diabła przyjechałaś do Siniedolska i zabrałaś moją żonę? Co jej o mnie naopowiadałaś, jakieś gówniane historyjki? Odpowiedz, bo pożałujesz!

- Chwileczkę, rozmawiał z tobą w ten sposób?

- Cytuję słowo w słowo. Sama bardzo się zdziwiłam. Jest w końcu gubernatorem, poważnym człowiekiem, a tu taki ton!

- I co odpowiedziałaś?

- Że jest prostakiem. Zawsze był i nadal jest. W każdym razie porządnie się pokłóciliśmy, tak jak wtedy.

- A kiedy dzwonił?

- Przed kwadransiem. A tak w ogóle, powiedział, że jeśli w ciągu godziny nie zniknę bez śladu, i to nie tylko z twojego mieszkania, ale i z twojego pola widzenia, to sama jestem sobie winna. I wtedy może mi się coś przydarzyć, on się o to zatroszczy.

- O co chce się zatroszczyć?

- O to, żebym została aresztowana. Milicja przyjdzie i przyłapie mnie na gorącym uczynku jako złodziejkę. I nawet wetkną mi coś do kieszeni jako dowód. Słuchaj no, dlaczego ty właściwie wysłałaś za tego bydlaka, Jelagina? Wiesz, co jeszcze powiedział? Powiedział, że mnie znajdzie i że sobie porozmawiamy.

- Dobrze, to kończmy, jadę do domu.

- Tak, bardzo cię proszę, czuję się taka samotna i nieszczęśliwa.

Nika wsadziła komórkę do torebki i pobiegła do metra. Kostika dziwnym trafem nie było nigdzie widać.

„Grisza, co się z tobą dzieje? Jakoś zbyt wiele tych wpadek ostatnimi czasy. Najpierw te nocne wrzaski przez telefon, brzmiące jak jakieś bandyckie porachunki, potem kłamstwa, niekończące się kłamstwa, i wreszcie ten bezwstydnny wyskok na Zinę”.

Nika miała świadomość, że jej mąż nie jest niewiniątkiem. Nie można zostać politykiem, pozostając jednocześnie czystym, uczciwym i kulturalnym. Nie wtrącała się w jego sprawy zawodowe, na oficjalnych uroczystościach tylko zaznaczała swoją obecność i zupełnie nie interesowała się różnymi konfliktami i manipulacjami, które z reguły pachniały czymś nieczystym.

Wystarczyło jej, że z nią samą, w domu, był inny. Jednak teraz, pierwszy raz od tylu lat, polityk Rusow i kochany, domowy Grisza zaczęli się zlewać w jedną postać i trudno jej było sobie wyobrazić coś bardziej ohydniejszego.

Dlaczego akurat teraz? To całkiem proste, przerażająco proste: z powodu Nikity. Tamta schadzka na daczce nie była przypadkowym spotkaniem. Grisza wymyślił sobie jakieś nowe szachowe posunięcie i potrzebował do tego pisarza Godunowa. Ale Nikita najwyraźniej nie nadawał się do sprytnych ruchów szachowych, był ulepiony z innej gliny.

Swego czasu Grisza miał do tego nosa, jednak przez długie lata kariery politycznej, otoczony głównie drewnianymi marionetkami, odzwyczaił się od analizowania wszystkiego. Przywykł do manipulowania innymi za pomocą pieniędzy lub strachu, trzeba było tylko znać wartość poszczególnej marionetki i wiedzieć, ile potrzebuje pieniędzy, a ile strachu, żeby zareagowała.

Nikę tak bardzo pochłaniały własne myśli, że załatwiała wszystko machinalnie: kupiła kilka żetonów, zjechała schodami w dół, wsiadła do metra i drgnęła, gdyż ktoś chwycił ją za ramiona.

- Weroniko Siergiejewna, tak przecież nie można. - Bezpośrednio przed nią stał goryl Kostik. - Z trudem panią dogoniłem. Co, bawimy się w chowanego?

- Czyli telefon - powiedziała Nika spokojnie, zamyślona.

Kostik odpowiedział tylko nieokreślonym:

- Mhm.

- Wiesz przecież, że właśnie wracam do siebie. Mogłeś na mnie poczekać przed domem - powiedziała Nika.

- Musimy wysiadać, Weroniko Siergiejewna.
- A więc, szanowny panie - westchnęła Nika, wspinając się po schodach
- albo otrzymam od ciebie choć trochę wiarygodne wyjaśnienie tego, co właśnie się dzieje, albo obiecuję, że dalej będę tak uciekać.

W milczeniu wyszli z metra i skręcili w pustą uliczkę.

- Więc słucham? - zapytała ponuro Nika.
- Proszę zadzwonić do Grigorija Pietrowicza. Niech on pani powie, bo ja nie mogę.

Nie zwalniając kroku, Nika wyjęła z torebki telefon.

- Moje dziecko, wybac mi - powiedział Rusow miękkiem, czułym głosem. - Wybac mi, to nieładnie, ale nie chciałem cię przestraszyć.

- Co się dzieje?

- Łazi za tobą jakiś wariat. Szaleniec. Śledzi cię już od Siniedolska. To on zawiózł cię na lotnisko. Dowiedzieliśmy się, do kogo należy ten zaporoziec, ustaliliśmy tożsamość tego pomyłka, ale dotąd nie mogliśmy go dopaść.

- Grisza, co to znowu za nonsens? - zaśmiała się nerwowo. - Skoro to przestępca, to trzeba zawiadomić milicję.

- Już to zrobiliśmy. Właśnie go poszukują. Ale przecież w takiej sytuacji nie mogłem cię zostawić bez obstawy. Nie powiedziałem ci od razu, bo po prostu nie chciałem cię przestraszyć. Ta twoja Rieznikowa, głupia gęś, go przyciągnęła. Jakiś opętany miłośnik kryminałów Godunowa, zna na pamięć całą jego biografię i chce cię zabić. Skonsultowałem się z psychiatrą, który twierdzi, że to może nastąpić podczas pogrzebu. Powinnaś raczej wrócić do Siniedolska. Najlepiej jeszcze dzisiaj.

- Czekaj no - Nika zatrzymała się na ulicy. - W jaki sposób ustalili, że ktoś mnie śledzi?

- Chłopcy zidentyfikowali mężczyznę, który zawiózł cię na lotnisko i przyleciał tym samym samolotem. Ciągłe się kręci koło naszego domu. Jeśli dobrze pomyślisz, to może go będziesz pamiętała. Jest straszliwie chudy. Łysy. Głowa jak trupia czaszka, straszne oczy.

- Wygląda na chorego na raka - powiedziała powoli Nika.
- Widziałas go? - krzyknął Rusow tak głośno, że zabrzęczało jej w uchu.
- A na wierzchu dłoni ma siedem okrągłych blizn. Od papierosów. Takich, jak twoje pięć. Kim on jest, Grisza? Znasz go przecież. Ja też.

- Nika, to nie jest na telefon. Nie ma znaczenia, kim on jest. Musisz natychmiast wyjechać z Moskwy. Gdzie teraz jesteś?

- Przed naszym domem.

- Znakomicie. W takim razie spakuj szybko swoje rzeczy. Chłopaki jadą do Domodiedowa. Bilety już przygotowane, masz lot za trzy godziny.

- A Zina? Dlaczego byłeś dla niej taki niemily?

- A co, skarżyła się? - zaśmiał się dobroduszenie. - Byłem troszkę zdeenerwowany. Przykro mi. Po prostu tak się wściekłem, kiedy się okazało, że to ona sprowadziła ci na kark tego szaleńca. Przekaż jej moje przeprosiny. Albo mam sam zadzwonić?

- Nie trzeba. Wszystko jej wyjaśnię.

- Dobra, Nika, to teraz zmykaj szybko do domu, a potem na lotnisko. Całuję, bardzo mi ciebie brak.

* * *

Nadieżda Guszczina otworzyła od razu, nie zaglądając przez judasza i nie pytając „kto tam?”.

- Tak pani otwiera drzwi, bez pytania? - zdziwił się kapitan Leontiew. - Proszę, niech pani tego nie robi. Mówię to jako milicjant.

- O, dzień dobry, proszę wejść - uśmiechnęła się przepraszająco. - Wie pan, myślałam, że mój gość jeszcze wrócił, bo zostawił tu swoją zapalniczkę i papierosy.

- Wybacz pani, że nie zadzwoniłem wcześniej. Przychodzę właśnie z powodu pani gościa. Weroniki Siergiejewny.

- Przecież już wczoraj panu mówiłam...

- Powiedziała pani, że poślubiła przyjaciela Nikity, absolutne zero. Kto to jest?

- A dlaczego pan chce to wiedzieć? - zapytała pospiesznie Nadieżda. - Stara historia. Po co to wszystko rozgrzebywać? Nika nie ma z tym nic wspólnego.

- Mimo to... kim jest jej mąż?

- No dobrze, skoro to takie ważne. Grisza Rusow, chłopak z Syberii, syn wysokiego funkcjonariusza partyjnego.

„Rusow jest od niedawna gubernatorem w Siniedolsku. To właśnie tam potajemnie polecił Nikita, pozorując wycieczkę do Antalyi, a kiedy wrócił,

doszło do pierwszej próby morderstwa, w pobliżu domu Tani, Ukrył się u Rieznikowej, został znaleziony i zabity. Za pierwszym razem po prostu oddano do niego strzały. Za drugim - wszystko starannie zaplanowano i profesjonalnie upozorowano. W Siniedolsku Nikita chciał zgromadzić materiały obciążające Rusowa i najwyraźniej je znalazł. Ale dlaczego? Czyżby przez wszystkie te lata planował zemstę? Można założyć, że wtedy nie byłoby tej historii z kwitem dłużnym. Chociaż zemsta w sumie pasowała do osobowości Rakitina. Chwileczkę, ale tam było coś jeszcze: złoto, sekty. Tak, oczywiście!”. To wszystko przemknęło Leontiewowi przez myśl w ciągu kilku sekund.

- Andrieju Michajłowiczu, coś tu popiskuje. - Nadieżda spojrzała na niego szczerze przerażona, a on wyjął z kieszeni pager i przeczytał na wyświetlaczu: „Andriej, natychmiast zadzwoń do biura, szef ryczy i szaleje”.

- Mogę? - zapytał Leontiew, sięgając po słuchawkę.

- Tak, tak, oczywiście.

Odebrał podpułkownik Kaszin.

- Andriej, twój świadek popełnił samobójstwo - wyszeptał pospiesznie. - Astachowa, ta redaktorka. Mają cię podobno odsunąć od sprawy. Przekroczenie uprawnień. Mówi się, że zrobiła to, po tym, jak ją przesłuchałeś.

Telefonując, ujrzał przed sobą numer na kalendarzu. Nika Jelagina, przeczytał i rozmawiając z Kaszinem, szybko odpiisał sobie numer. Odłożył słuchawkę i zamyślił się przez chwilę.

- Proszę mi powiedzieć, po co Jelagina do pani przyszła?

- Skąd pan zna jej panięskie nazwisko? - mrukliwie zapytała staruszka.

- Do tej pory nie znałem, ale napisała tu swój numer telefonu - skinieniem głowy wskazał na kalendarz.

- Tak? Mogła sobie darować. I tak nigdy do niej nie zadzwonię. - Nadieżda zacisnęła usta i odwróciła się.

- Mimo to, po co tu przyszła?

- Żeby złożyć mi kondolencje - odparła Nadieżda, nie patrząc na Leontiewa.

* * *

Gdy Nika i Kostik weszli na podwórko, szary mercedes Stasika już tam stał.

- Pięknie. A teraz poczekacie na mnie w samochodzie. Obaj - powiedziała Nika do Kostika.

- Nie, wejdę z panią na górę. - Wystukał kod i otworzył drzwi. - Teraz pani wie i rozumie, że nawet na moment nie wolno mi pani spuszczać z oka. Proszę wreszcie zrozumieć, że to niebezpieczne! To nie zabawa!

„Tak, w istocie, to nie zabawa. Wygląda na to, że to prawda” - pomyślała Nika, podczas gdy Kostik otwierał windę. Jest w tym logika: żebrak z anonimowym listem, milczący kierowca zaporozca, szminka na twarzy mężczyzny, przewiercający ją na wskroś wzrok osobnika w samolocie, potem staruszka. Jakiż zdrowy człowiek urządzałby takie maskarady? Pewnie żaden. To wyraźne oznaki obłądu.

- No, nareszcie! - Zina siedziała w przedpokoju na komodzie, ubrana do wyjścia, z plecakiem przed sobą.

- Wiesz co? - oznajmiła Nika z pełnym zakłopotania uśmiechem. - Śledzi mnie jakiś szaleniec. Miłośnik książek Nikity.

- A niech to! - Zina była zdumiona. - Tylko tego jeszcze brakowało. A skąd to wiesz?

- Grisza mi powiedział.

- Aa, tak się sprawy mają! - Zina zmarszczyła czoło i opuściła głowę. Włosy zakryły jej twarz.

- Weroniko Siergiejewna, tracimy czas - odezwał się Kostik. - Jeszcze nie zdążymy na ten lot.

- Ach tak - Zina podniosła wzrok. - Lot? No tak, niech będzie. - Rzuciła znaczące spojrzenie Kostikowi. - Chodź, musisz się spakować.

- Właściwie to nie muszę nic pakować - powiedziała cicho Nika, kiedy znalazły się same za zamkniętymi drzwiami.

- A twoja suknia wieczorowa? - zapytała głośno i drwiąco Zina. - Ta niebieska, którą miałaś na sobie, jak tu przyleciałyśmy. Bardzo ci w niej do twarzy. Masz w końcu przed sobą różne uroczystości: bankiety, przyjęcia. Chociaż pewnie masz dziesiątki różnych kreacji na takie okazje.

- Przestań - skrzywiła się Nika. - Jeśli poważnie i spokojnie się zastanowisz, przyznasz, że to może być prawda. - Wyjęła z szafy ciepły sweter, parę t-shirtów, grube wełniane skarpety i szybko wsadziła to do małej torby.

- Najpierw ten dziwaczny głuchoniemy żebrak z anonimem, potem...

- Nie musisz mi wszystkiego wyliczać - przerwała Zina. - Masz rację. Wszystko wskazuje na to, że tak właśnie jest. To zbyt poważne, żeby tracić

czas i czekać na pogrzeb. Przez całe życie byłaś rozsądna. Mądra dziewczyna.

- Ale, Zina - powiedziała Nika głośno zdenerwowanym głosem - ja się naprawdę bardzo boję. Widziałam jego twarz, oczy. Maluje się, przebiera za starą kobietę, żebraka. Jest obłąkany...

- Nie musisz się usprawiedliwiać, Nika. Przecież mówię, że wszystko gra. Leć tak szybko, jak się da, do Siniedolska.

Nika nie odpowiedziała, weszła do łazienki, Zina poszła za nią.

- Tak, właśnie! - Nika prawie krzyczała. - Do mojego męża, pod jego skrzydła. Bo ja się boję. Jestem wykończona!

- Ale dlaczego tak krzyczysz? - zapytała szeptem Zina.

- Bo jestem zdenerwowana! - Nika wrzucała pastę do zębów, szczoteczkę, szampon, krem i kawałek mydła do wielkiej kosmetyczki. - Czy ty na moim miejscu nie byłabyś zdenerwowana?

- Ależ oczywiście - skinęła głową Zina. Siedziała na skraju wanny i z zaciekawieniem przyglądała się, jak Nika pakuje całe wyposażenie łazienki. - Czy w samolocie mają prysznic? - zapytała cichym głosem.

- A w ogóle - ciągnęła głośno Nika - mam już tej całej historii po dziurki w nosie. Nikita nie zmartwychwstanie. A ja muszę dalej żyć. A tak w ogóle, to Grisza kazał cię przeprosić.

- Też go przepros w moim imieniu - powiedziała głośno Zina i szepnęła: - Zadzwoniłam do jego rodziców, czekają na mnie. Pytali, czy też byś nie wpadła. Ale pewnie nie. Czy mam im coś przekazać?

Nika zamarła na moment, a potem energicznie zasunęła zamek kosmetyczki, ściągnęła kilka ręczników z wieszaka i wróciła do pokoju.

- No jak tam, Weroniko Sergejewna? Będzie pani zaraz gotowa? - zapytał z korytarza Kostik.

- Zaraz - zamknęła mu drzwi przed nosem, rozejrzała się nerwowo po pokoju, podbiegła do szafki nocnej i wyciągnęła szufladę. - Do diabła, gdzie ona jest?

- Czego szukasz? - zapytała szeptem Zina.

- Ach, mam ją wreszcie. - Nika szybko schowała gaz w sprayu do wewnętrznej kieszeni kurtki, sięgnęła po torebkę, nałożyła cyklistówkę, otworzyła drzwi i z uśmiechem rzekła do Kostika: - Jestem gotowa.

Rozdział 27

Według opinii ekspertów, śmierć Zoi Astachowej nastąpiła na skutek zatrucia dużą dawką barbituratów w połączeniu z alkoholem. Nie zostawiła listu pożegnalnego, jednak wezwany przez sąsiadów lekarz pogotowia nie miał wątpliwości, że chodziło o samobójstwo. Potwierdziła to również milicyjna grupa dochodzeniowa.

Nie było żadnych śladów walki czy obecności osób trzecich w mieszkaniu. Ani odcisków palców, nie licząc odcisków zmarłej i sąsiadki, która ją znalazła.

Zmarła leżała w szlafroku na leżance. Na kanapie obok stała pusta fiolka po barbitalu sodowym, prawie pusta butelka wódki i pełna popielniczka.

- Zaczęłam się martwić, bo w kuchni od dwóch dni ciągle paliło się światło - zdawała relację sąsiadka. - Nawet w ciągu dnia. Zoja jest bardzo zorganizowana, nigdy by nie zapomniała wyłączyć światła. To po pierwsze. Po drugie, wiem, że żyła samotnie, a kiedy ostatnio spotkałam ją na schodach, wyglądała bardzo źle. Powiedziała, że jest troszkę chora. Wie pan, ona nigdy nie bywała chora, bardzo o siebie dbała. W każdym razie dzisiaj rano postanowiłam do niej zajść. Najpierw zadzwoniłam, ale nie odebrała. Potem wyszłam z psem i zobaczyłam, że światło nadal się pali, chociaż już było jasno. Wracając, zadzwoniłam do drzwi. Nikt nie otworzył, a w mieszkaniu było cichusieńko. Zrobiło mi się nieswojo. Tak jakbym przeczuwała, czy co? Zadzwoniłam na pogotowie i powiedziałam, co i jak.

Karetką przyjechała dopiero po dwóch godzinach. Ale nawet gdyby zjawiła się natychmiast, lekarz i tak nic by już nie mógł zrobić. Zoja Astachowa umarła jeszcze w nocy.

* * *

- Oto, do czego doprowadziła twoja zabawa w prywatnego detektywa! - wrzeszczał na kapitana Leontiewa podpułkownik Zajdow. - Nie widziałeś, z kim masz do czynienia? Jak ty ją przesłuchiwałeś?

- Normalnie - wzruszył ramionami Leontiew. - Nawiasem mówiąc, była twarda jak granit. A w ogóle, to nie było żadne przesłuchanie, tylko czysto informacyjne spotkanie.

- Właśnie, i to jest najgorsze! Gdyby chociaż zachował się jakiś protokół albo nagranie! A tak ci cwaniacy z wydawnictwa wyobrażają sobie, że to po rozmowie z tobą Astachowa gorzej się poczuła.

- Zaginął jej siostrzeniec. Jeśli poczuła się gorzej, to tylko z jego powodu, a nie z mojego - odparł ponuro Leontiew i mruknął pod nosem: - Mogę się założyć, że jej ciało leży w domu pogrzebowym dwudziestego szpitala i mamy jak w banku, że zostanie omyłkowo skremowane przed czasem. Tym bardziej, że nie ma żadnych krewnych.

Zajdow rzucił mu przeciągłe, nieprzyjazne spojrzenie i powiedział:

- Nie mam ochoty się z tobą zakładać. Ciało jest w Instytucie Medycyny Sądowej. Obdukcji dokona Piotr Łukianow, znakomity ekspert. Możesz sobie oczywiście zerknąć na wyniki, z czystej ciekawości. Zostajesz odsunięty od sprawy. W zasadzie to zresztą żadna sprawa. Wystarczy, że ten twój Sliwko nie jest już poszukiwany listem gończym. Kudijarowa została tymczasowo zatrzymana i przyznała się, że przedmioty należą do niej. Zadowolony?

- Absolutnie - skinął głową kapitan. - Czy mogę już iść, panie pułkowniku?
- Idź, Andriej, i zajmij się tym, co do ciebie należy.

Zaraz po tej rozmowie kapitan udał się do Instytutu Medycyny Sądowej. Doktor Łukianow, wysoki, silny mężczyzna z przydymionymi okularami i szpakowatą bródką, poprosił go o legitymację służbową.

- Raport jeszcze nie jest gotowy. Czekam na histologię i chemię.
- A czy wolno zerknąć, co pan już ma?

- Proszę.

Leontiew siadł przy stole i zagłębił się w lekturze dokumentacji. Znajdowali się w małym pomieszczeniu. Czajnik elektryczny zabulgotał i automatycznie się wyłączył, doktor wyjął z szafki filiżanki i cukierniczkę.

- Napije się pan kawy?

- Dziękuję, chętnie.

Łukianow postawił przed nim filiżankę rozpuszczalnej kawy, usiadł naprzeciwko i zapalił papierosa.

- Więc nie ma żadnych zewnętrznych obrażeń?

- Nawet najmniejszych. Ale dlaczego to pana interesuje? Z tego, co wiem, to inna dzielnica, inna grupa.

- Astachowa była świadkiem w mojej sprawie. Właśnie mnie od niej odsunięto, ponieważ rzekomo popełniła samobójstwo po rozmowie ze mną.

- Aaa, tak się sprawy mają?... Zdarza się. - Łukianow wzruszył obojętnie ramionami - Ale to naprawdę było samobójstwo. Stuprocentowe samobójstwo, zaręczam panu.

- Czy miała alkohol we krwi? - zapytał szybko Leontiew, ciągle zagłębiany w lekturze.

Lekarz skinął głową:

- Dużą ilość.

- Ciekawe... Wie pan, Zoja Astachowa była redaktorem naczelną wydawnictwa „Kaskada” i wydała dwie książki o zdrowym odżywianiu. Zajmowała się medycyną niekonwencjonalną, szczególnie zaś oryginalnymi metodami walki z nadużywaniem alkoholu i nikotyny.

- Faktycznie ciekawe - Łukianow upił łyk kawy. - Według badania krwi, musiała wypić pół litra wódki i niemało też wypaliła. Ale była zdrowa jak ryba. Czy mogę się dowiedzieć, dlaczego pan pyta? Oczywiście, jeśli to nie tajemnica.

- Już nie. Poszukiwaliśmy jej siostrzeńca, podejrzanego o nielegalne posiadanie narkotyków i broni.

- Nic więcej? - zdziwił się lekarz.

Leontiew upił łyk kawy, pomilczał przez chwilę, a potem cicho zapytał:

- Słyszał pan o pisarzu Wiktorze Godunowie?

- Tym, który niedawno zmarł? - zapytał lekarz.

- Tak. Spalił się. Można by powiedzieć... dwa razy. Raz w cudzym mieszkaniu, drugi raz w krematorium, przez pomyłkę. W każdym razie nie ma żadnych ekspertyz, obdukcji.

- Ale to był chyba wypadek, prawda?

- Właśnie - skinął głową Leontiew. - I w związku z tym wypadkiem poszukiwałem siostrzeńca Zoi Astachowej.

- Dziwne. - Długie palce Łukianowa wyběbniły na stole szybki rytm. - Sądząc po dokumentacji, grupa bardzo sumiennie pracowała w mieszkaniu Astachowej. To było samobójstwo.

- Tak, oczywiście. Nie mam wątpliwości.

Przez kilka minut obaj milczeli. Leontiew nadal studiował papiery, a Pietia Łukianow palił papierosa, patrzył gdzieś, odgradzony od światła przydymionymi okularami i w końcu zapytał:

- A czy w przypadku Wiktora Godunowa robiono przynajmniej jakieś wstępne dochodzenie?

- Nie, praktycznie nie.

- Praktycznie czy teoretycznie? - Łukianow zdjął okulary. Jego jasnoszare oczy były przekrwione i zmęczone. Jak u większości okularników, jego wzrok sprawiał wrażenie miękkiego i lekko rozmytego.

- Dobre pytanie - uśmiechnął się Leontiew. - Podejrzywałem, że Godunow został zamordowany.

- A czy teraz zgadza się pan z oficjalną wersją?

- Nie, nie zgadzam się. Wybacz pan, ale czy mogę pana prosić o przeprowadzenie u Astachowej badania USG jamy brzusznej?

- Może pan - uśmiechnął się smutno Łukianow. - Wie pan, przy zatruciu środkami nasennymi nie występują typowe zmiany morfologiczne. Czasami znajdujemy resztki tabletek w śluzówce żołądka. W tym wypadku tak nie było. Zresztą musiało to być opakowanie kapsulek żelowych. Rozpuszczają się dosyć wolno, szczególnie taka ilość. Ale tu nic. Nie mamy jeszcze wyników analizy chemicznej i całkiem możliwe, że nie zostaną znalezione żadne ślady preparatu.

- Dlaczego pan tak uważa?

- Wie pan, znam wiele metod uśmiercenia pijanego. Można na przykład, kiedy siedzi, gwałtownie przycisnąć jego głowę do kolan, trzymać tak kilka minut, a potem w pewien określony sposób równie gwałtownie go

podnieść. W każdym razie istnieje całe mnóstwo takich sposobów. I żaden z nich nie zostawia śladów.

Leontiew przytaknął:

- Owszem. Ale coś takiego potrafi tylko zawodowiec.
- Zawodowiec z prawdziwego zdarzenia - uzupełnił lekarz. - Nazywa się ich, zdaje się, „przyjaciółmi natury”? Są drodzy. Na luksus rozwiązania swoich problemów w ten sposób mogą sobie pozwolić tylko bogaci, wpływowi ludzie.
- Zostawię panu mój numer telefonu, panie doktorze. Niech pan będzie tak dobry i zadzwoni do mnie, kiedy będzie pan już miał wyniki histologii i chemii.
- To numer prywatny czy służbowy? - zapytał lekarz i rzucił okiem na kartkę z notesu.
- Prywatny.

* * *

Kostik i Stasik nie byli zachwyceni pomysłem, by przed kursem na lotnisko odwozić jeszcze Zinę.

- Weroniko Siergiejewna, może lepiej da jej pani pieniądze na taksówkę - wyszeptał jej dyskretnie do ucha Kostik, kiedy jechali windą.
- Mam pieniądze - wyjaśniła wesoło Zina - ale chętnie przejadę się ka walek waszym pięknym szarym mercedesem.

Kostik zmierzył ją złym wzrokiem.

Kiedy dotarli do samochodu, otwarł bagażnik.

- Po co? - zapytała Nika.
- Żeby schować pani torbę.
- Nie trzeba. Jest niewielka.
- Najpierw na ulicę Kropotkińską - powiedziała Nika, siadając obok Ziny na tylnym siedzeniu.
- Ale dzisiaj wszędzie są straszliwe korki, Weroniko Siergiejewna - zaprotestował Stasik. - Będziemy się wlekli dwie godziny przez centrum. Jeszcze się spóźnimy na samolot.
- Nie jest tak źle. Damy radę - pocieszyła go Nika.

W centrum rzeczywiście utknęli w korku. Nika cały czas widziała w lusterku wstecznym ciemnoczerwony ładunek, która wydała jej się znajoma.

Kierowcy nie widziała dokładnie, tylko to, że był w aucie sam i miał na głowie ciemną czapkę z daszkiem.

Tymczasem korek się rozluźnił i dojechali już prawie do ulicy Kropotkińskiej. Ciemnoniliowa łada gdzieś zniknęła.

- A dokąd teraz? - zapytał Stasik.

- Druga przecznica w lewo - odparła Nika. - A potem na podwórze.

- Weroniko Siergiejewna, nie da się tam skręcić, musielibyśmy robić straszny objazd i znów znaleźlibyśmy się w korku.

- Dobra, już tam dojdę pieszo, stąd to rzut beretem - odezwała się Zina.

- Trzymaj się, pani gubernator. Bądź zdrowa i szczęśliwa. - Pocałowała Nikę w policzek, potem spojrzała jej w oczy i szepnęła: - Brzmi całkiem tak, jakby to była prawda. Mam na myśli tego wariata. Całkiem logiczne i wiarygodne...

- Przepraszam, ale czy może się pani pospieszyć? Tu jest zakaz zatrzymywania się - warknął podminowany Stasik.

- Odezwij się - odparła cicho Nika. - Zadzwoń czasem.

- Jasne - uśmiechnęła się Zina. - Twój mąż naprawdę trzyma rękę na pulsie. Siedzi w Siniedolsku i dowiaduje się, że jesteś w niebezpieczeństwie. Super-Grisza! Wszystko logiczne, wiarygodne, jak wykradzione wersy z rękopisu twojego ojca - zarzuciła wyświechtany plecak na ramię i wybiegła na jezdnię.

Mercedes z miejsca ruszył. Nika odwróciła się i ujrzała, że Zina szybko przechodzi przez zakorkowany samochodami plac. Zaledwie dwadzieścia metrów dalej było przejście dla pieszych, ale ona jak zwykle przebiegła, nie oglądając się ani w lewo, ani w prawo. Mercedes wjechał już w przecznicę, gdy Nika usłyszała pisk hamulców i rozdzierający gwizd.

- Zatrzymać się! - krzyknęła. - Zatrzymać!

Stasik stanął. Lecz nie z powodu jej krzyków, ale dlatego, że samochód został zatrzymany przez drogówkę.

Nie do końca jeszcze pojmując, półślepa od łez, wyskoczyła z samochodu i pobiegła z powrotem na plac. Zatrzymano tam ruch. Kilku funkcjonariuszy próbowało zaprowadzić porządek i przegonić gapiów, tłoczących się na krawężniku.

- Takie właśnie są te świny w zagranicznych furach, co przejeżdżają ludzi jak muchy! - awanturowała się kobieta z siatkami pełnymi zakupów.

- Czy ktoś zapamiętał numery? - Mieszkaniec Kaukazu w dresie rozejrzał się dokoła. - Widziałem tego bydlaka. Czarny ford, jakiś starszy rocznik.

- Nie czarny, tylko granatowy!

- I nie ford, tylko mercedes!

- Pewnie! Może nie potrafię odróżnić forda od mercedesa! - oburzył się człowiek Kaukazu.

- Był czarny na sto procent! A numer zaczynał się od MK albo MW...

- Jasne, teraz to go na pewno dopadną!

- Zagraniczny samochód? Czy na pewno widzieli państwo zagraniczny samochód? - zapytała Nika, wciskając się w tłum.

- No, w każdym razie nie łąda! - zawołał ktoś sarkastycznie.

Nika precyzyjnie przeszła przez tłum ciekawskich i milicjant złapał ją za ramię.

- Dokąd to, młoda damo?

- Proszę mnie przepuścić, j jestem lekarzem!

Zina leżała na plecach z rozłożonymi rękami, plecak znajdował się obok. Nika przykłęka, sprawdziła puls w tętnicy szyjnej. Sztuczne oddychanie. Masaż serca, wszystko to robiła mechanicznie, nie namyślając się, czysto zawodowy instynkt. Nie wiedziała, ile czasu minęło. Ktoś jej pomógł, sprawnie i umiejętnie, dopiero kiedy przyjechała karetka, zauważyła, że to Kostik.

Telefon zadzwonił, kiedy Wiktiuk był na lotnisku. Komórka rozbrzęczała się w niedogodnej chwili, kiedy akurat kładł swój paszport i bilet na ladzie.

- Wszystko gra - oznajmił niski głos.

- No to pięknie - uśmiechnął się Wiktiuk.

- A pieniądze?

- Przecież uzgodniliśmy, że za trzy dni będę z powrotem i wtedy dostaniesz.

- Wołałbym teraz.

- Znowu zaczynasz! - Wiktiuk skrzywił się z irytacją. - Uspokój się. Spotkamy się w poniedziałek w umówionym miejscu...

- Czy ma pan jakiś bagaż do nadania? - zapytała młoda kobieta.

- Nie, tylko podręczny - Wiktiuk uśmiechnął się i powiedział cicho do telefonu. - Poczekaj chwileczkę, troszkę cierpliwości. Powiedz, zaliczka ci nie wystarczy na trzy dni?

- To była zaliczka na jedno zlecenie, a wykonałem dwa.

- Ach, to drugie się nie liczy To w sumie dla ciebie żaden problem - Wiktiuk odebrał swoje dokumenty i odszedł od okienka - To był tylko żart, nie denerwuj się. Dostaniesz wszystko razem.

- A jeśli mnie wystawisz?

- No, wstydz się. A kiedyś się to już zdarzyło?

- Nie, nie - potwierdził głos. - I teraz też tego nie zrobisz. W końcu zależy ci na życiu.

Rozdział 28

Kapitan Leontiew kolejny raz wykręcił numer Weroniki Siergiejewny, ale nikt nie odebrał. Postanowił spróbować ponownie wieczorem, a tymczasem odwiedzić rodziców Rakitina.

- Tak, oczywiście, proszę przyjść. Jeśli pan chce, to nawet teraz - powiedział cichy, ochryply męski głos. - Nadieżda Guszczina już o panu mówiła. Masza też. Czekamy na pana.

- Wiedzą państwo może, gdzie mogę znaleźć panią Zinajdę Rieznikową? - zapytał na wszelki wypadek kapitan. Zniknięcie Rieznikowej coraz mniej mu się podobało, dowiedział się już, że nie wróciła do Petersburga, jednak nie pojawiła się ani u matki, ani w pracy.

- Miała nas dzisiaj odwiedzić - odparł Rakitin senior. - Spodziewamy się jej lada chwila.

- Naprawdę? - ucieszył się Leontiew. - To znakomicie. Szukam jej już od dłuższego czasu. Wie pan, gdybym się spóźnił, to proszę jej przekazać, żeby do mnie zadzwoniła. - Podyktował swój służbowy numer.

- Oczywiście. A tak w ogóle, to chciałbym panu serdecznie podziękować. Jako jedyny próbuje pan coś zrobić dla naszej rodziny.

Leontiew już miał wyjść z pokoju, gdy zadzwonił telefon na biurku.

- Dzień dobry. Mówi Łukianow z Instytutu Medycyny Sądowej. Wczoraj wieczorem próbowałem pana złapać, ale nie zastałem. Raport w sprawie Astachowej jest już gotowy. Gdyby pan chciał, to może pan po niego wpaść.

- Dziękuję. - Leontiew zawahał się. - Dziękuję, panie doktorze. A czy można by dzisiaj wieczorem?

- Dzisiaj wieczorem wyjeżdżam na urlop.

- No dobrze. Będę u pana za dwadzieścia minut.

„To na pewno coś ważnego, skoro dzwonił tak późno - pomyślał Leontiew. - Zaraz potem porozmawiam z Rakitinami”.

Łukianow wyglądał na jeszcze bardziej wyczerpanego i ponurego niż za pierwszym razem. W milczeniu wręczył Leontiewowi kartkę papieru - swoją opinię. Wynikało z niej, że Zoja Astachowa umarła gwałtowną śmiercią.

- Podczas szczegółowej obdukcji znalazłem w jej ustach pierze z poduszki - powiedział głucho. - Istnieje więc duże prawdopodobieństwo mechanicznego uduszenia. Również inne przesłanki mogą świadczyć o gwałtownej śmierci, na przykład małe krwawe wybroczyny w tkance łącznej oka, ciemna, płynna krew, krwotok wewnętrzny. W każdym razie, pana świadek nie wziął tabletek. Został uduszony, cicho i porządnie. Przy tej ilości alkoholu we krwi nie mogło to być trudne. Poza tym w protokole wspomniana jest również szklanka wody.

Leontiew nie od razu skojarzył.

- Słucham?

- Chyba nie popiła takiej ilości tabletek wódką? Dlaczego ci od zabezpieczenia śladów od razu tego nie zauważyli?

- Dziękuję panu, doktorze Łukianow - Leontiew ścisnął twardą, zimną dłoń lekarza. - Bardzo mi pan pomógł, dziękuję.

* * *

- Proszę, niech pani odbierze - powiedział Kostik, dziesiąty raz próbując jej wcisnąć telefon komórkowy do ręki. Dziesięć minut wcześniej sam zadzwonił do Rusowa i opowiedział mu, co się wydarzyło.

- Moje dziecko, posłuchaj, dlaczego nie wierzysz, że to był tylko przypadek? Powiedziała ci, że jej groziłem przez telefon, ale to nieprawda, to znaczy byłem bardzo zdenerwowany! - Grisza krzyczał tak głośno, że słyszała każde słowo, chociaż Kostik nadal trzymał aparat w ręku. Drugą obejmował ramiona Niki. Stasik też był na miejscu, a mercedes stał z otwartymi drzwiami obok.

- No, jak chcesz, nie wierz mi, ale zastanów się: czy to się stało na twoich oczach? Otrząśnij się, Niko!

Już się otrząsnęła. Wiedziała, że teraz najważniejsze, to nie wsiadać do samochodu.

- Tak, Grisza, wierzę ci - powiedziała spokojnie do telefonu. - Nie denerwuj się. Ale bardzo cię proszę, wytłumacz tej dwójce, że muszę teraz pobyć sama. Niedługo. Czy mogę cię o to prosić?

- Nika, rozumiem cię, ale proszę, zrozum też mnie. To niebezpieczne. Poza tym spóźnisz się na samolot.

- Muszę iść do rodziców Nikity, przynajmniej na chwilę. To niedaleko stąd. Czekają na Zinę. Muszę im powiedzieć, co się stało, i zobaczyć się z nimi, skoro nie będzie mnie na pogrzebie.

- Nie, Nika. To niemożliwe. Twój samolot odlatuje za półtorej godziny.

- Grisza, czy ty nie rozumiesz, że straciłam dwoje bliskich przyjaciół? - zapytała spokojnie.

- Oczywiście, moja dziewczynko, oczywiście, rozumiem, że to cię boli, ale ból minie. Musisz dalej żyć. Teraz wrócisz, a potem polecisz do Szwajcarii, do Mitii. Dzwonił dzisiaj rano.

- Porozmawiamy o tym później, teraz muszę zostać sama.

- Ale przecież ci mówię, że to niemożliwe.

- W końcu chyba nie jestem więźniem. Nie mogę ci ufać, skoro na każdym kroku jestem nadzorowana. To obraźliwe dla mnie, ale również dla ciebie.

Milczał dłuższą chwilę, potem odkaslnął i rzekł:

- Nie jesteś nadzorowana, tylko chroniona. Dobrze. Daj mi Kostika.

- Tak. Rozumiem. Tak, naturalnie. - Po krótkim monologu szefa Kostik skinął głową i oddał Nice telefon.

- Możesz iść do rodziców Nikity. Ale tylko na kilka minut. Inaczej spóźnisz się na samolot. Chłopcy będą czekać na ciebie w samochodzie.

- Dziękuję, Grisza - rozłączyła się i wrzuciła telefon przez otwarte drzwi na tylne siedzenie.

Na placu życie toczyło się dalej, grupka gapiów rozproszyła się, karetka z Ziną odjechała, ruch uliczny się odblokował.

- Odwieziemy panią do domu - zaoferował serdecznie Kostik. Jednak Nika już ruszyła biegiem, nie oglądając się za siebie. Torebka ciężko wisiała

jej na ramieniu. Na podwórzu Rakitinów prześlizgnęła się między dwoma blaszanymi garażami. Przebiegła przez małe boisko i weszła w przecznicę. Podniosła rękę. Zatrzymała się piaskowa wołga.

- Dworzec Zawiołów - rzuciła Nika, usiadła na tylnym siedzeniu i próbowała złapać oddech.

- Spieszymy się, tak? - zapytał uprzejmie starszy kierowca i odwrócił się.

- Bardzo.

Wołga ruszyła. Nika oparła się o siedzenie i zamknęła oczy. Łzy płynęły same, nic nie mogła z tym zrobić. I nagle zauważyła, że zza węgła wyjeżdża ciemnoniliowa łada.

* * *

- Proszę mi wybaczyć to spóźnienie - powiedział Leontiew, wchodząc do mieszkania Rakitinów. - Niestety, mam mało czasu. Czy Zina Rieznikowa tu była?

- Nie, nadal nie. Wie pan, zaczynamy się powoli martwić.

Olga Rakitina, majestatyczna, wysoka dama z ciężkim siwym kokiem, zaprowadziła kapitana do salonu.

- Dzwoniła trzy godziny temu - dodał Rakitin.

Leontiew zarejestrował fakt, że Nikita był bardziej podobny do matki niż do ojca. Twarz ojca była bardziej okrągła, cięższa, oczy ciemne, włosy szpakowate.

- Czy państwo wiedzą, skąd dzwoniła? - zapytał Leontiew, rozsiadając się w fotelu.

- Od przyjaciółki. Nie mówiła konkretnie. Kawy? Herbaty?

- Dziękuję, kawy, jeśli można.

Olga skinęła i udała się do kuchni. Obaj mężczyźni milczeli przez chwilę, w końcu Rakitin odkaslnął i cicho zapytał:

- Proszę mi wybaczyć, ale na początek chciałbym dowiedzieć się jednego. W końcu jest to postępowanie czy nie? W prokuraturze powiedzieli mi, że jednoznacznie stwierdzono wypadek i z tego powodu nie zostanie wszczęte postępowanie.

- Tak, tak właśnie jest - przyznał Leontiew.

- Ale, jak widzę, pan się nie zgadza z oficjalną wersją?

- Właśnie.

- To znaczy, że próbuje pan to rozwiązać na własną rękę?
- Nie do końca. Jestem milicjantem, a nie prywatnym detektywem. Zbieram informacje operacyjne. Myślę, że ta sprawa w świetle nowych faktów mogłaby przybrać inny obrót.
- Jak to? Przecież nie zostały żadne ślady? Nie można nawet zidentyfikować zwłok, ten cały chlew z kremacją...
- Przepraszam, czy mógłbym obejrzeć pokój państwa syna i sprawdzić jego komputer?
- Jak to... sprawdzić?
- Muszę wiedzieć, nad czym ostatnio pracował.
- Nikita nie dopuszczał nikogo do komputera - wyjaśniła Olga, stawiając tacę z dzbankiem i filiżankami na stoliku obok kanapy.
- Olga, daj spokój. Wiesz przecież, że to konieczne - powiedział szybko Rakitin.
- Jurij, nie mam powodu wierzyć w bezinteresowną pomoc kogokolwiek - odparła cicho i obdarzyła kapitana grzecznym, zimnym uśmiechem. - Wybacz pan.
- Proszę jej tego nie brać za złe - Rakitin przepraszająco rozłożył ręce, gdy wyszła. - Moja żona przeżyła ogromny szok. Rzeczywiście powinien pan rzucić okiem na jego gabinet i sprawdzić, co jest w komputerze. My i tak się nie znamy na takich sprzętach.
- Jurij, czy możemy porozmawiać? - Olga znów uśmiechnęła się do Leontiewa zimno i uprzejmie. - Proszę jeszcze raz wybaczyc.
- A skąd wiesz, że temu człowiekowi można ufać? - usłyszał Leontiew pospieszny i głośny szept. - Widzisz go pierwszy raz i już chcesz go dopuścić do komputera Nikity. Dobrzy i szlachetni milicjanci występują tylko w książkach Nikity. W rzeczywistości raczej od dawna nie.
- Przestań - przerwał jej Rakitin. - Nie można każdego uważać za bandytę.
- Tymczasem Leontiew nie tracił ani chwili i włączył komputer. Rakitin wszedł do gabinetu, przez chwilę obserwując przez ramię funkcjonariusza zmieniające się i niezrozumiałe polecenia na monitorze, a w końcu powiedział:
 - Znaleźliśmy ślady krwi na myszce i klawiaturze. Również w łazience, na umywalce.

- Usunęliście ją państwo? - zapytał Leontiew, nie odwracając wzroku od monitora.

- Sądziłyśmy, że nikt już nie będzie robił oględzin mieszkania, czy jak to się tam nazywa. Minęło sporo czasu, poza tym jestem pewien, że wszelkie obce odciski palców zostały usunięte.

- Jakie odciski palców?

- Mieszkanie zostało przeszukane. Bardzo dokładnie, prawdopodobnie przez profesjonalistów. Nie zginęły żadne wartościowe przedmioty, chociaż jest tu, jak pan pewnie zauważył, kilka takich, które powinny zainteresować zwykłego złodzieja.

Leontiew znalazł w komputerze ostatnią z wydanych powieści Wiktora Godunowa - *Triumfator*, trzy okazałe pliki. Również wszystkie poprzednie powieści nadal były na dysku. Nie było za to nic, co wyglądałoby na początek czegoś nowego. Żadnych szkiców, notatek. Leontiew nerwowo spojrzął na zegarek. Miał najwyżej dwadzieścia minut.

- Proszę mi powiedzieć - zwrócił się do Rakitina - czy Nikita miał jakiś inny komputer, notebook?

- Nie. Ale zawsze chciał sobie kupić.

- A jakiś notes?

- Nosił taki gruby kalendarz. Nie ma go.

- A gdzie są dyskietki?

- Zniknęły, wszystkie, co do jednej, a było ich sporo.

- Coś jeszcze zniknęło?

- Przez pół roku nas nie było. Nie jestem w stanie dokładnie powiedzieć, czy coś zniknęło, ale jestem pewien, że ktoś myszkował w jego papierach. Poza tym, w kuchni ktoś odsuwał bufet od ściany, a pod ławą leżała nierozpakowana torba z zakupami z supermarketu. Na wszelki wypadek zachowałem kwitek.

- Nie rozumiem, gdzie się podziewa ta Zina? - zapytała Olga i weszła do pokoju. - Dzisiaj rano mówiła, że będzie za godzinę, a jest już po trzeciej. Jurij, masz może ten numer telefonu?

- Nie.

- No to co my teraz zrobimy? Dziewczyna zniknęła.

- Proszę mi wybaczyć, ale od kogo dzwoniła? - zapytał Leontiew. Stali w przedpokoju, musiał już iść.

- Nazwisko nic panu nie powie - Olga Wsiewołodowna wzruszyła ramionami.

- Od Weroniki Jelaginy - powiedział głuchym i ochryłym głosem Rakitin - dawnej narzeczonej Nikity.

* * *

Grigorij Pietrowicz źle wyglądał. Przywitał Wiktiuka pytaniem:

- Astachowa, to twoja robota?

Wiktiuk z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie, twoja, Grisza.

- Zwariowałeś? Nie miałeś zlecenia. Co to za samowola?

- Powinieneś mi raczej podziękować. - Wiktiuk westchnął i lekko zmarszczył czoło. - Wiesz, że była u niej milicja?

- Tak, wiem - warknął Rusow.

- Wiesz, że byli dwa razy i po drugiej wizycie Astachowa strasznie się spiła?

- Zoja? Spiła? - Rusow zdezorientowany zamrugnął oczami. - No nie, Feliks, teraz to ci odbiło.

- Słuchaj no, panie gubernatorze. Uważaj, co mówisz - skrzywił się Wiktiuk.

- Wybacz.

- Więc, Grisza, twoja abstynentka źle o tobie mówiła. A co się dzieje, skoro do dużej ilości informacji dodamy porcję silnej, wieloletniej nienawiści? Bardzo dobrze, że to przede mną z siebie wyrzuciła. Przede mną, a nie przed kim innym.

- Chwileczkę. Feliks, nie rozumiem, przecież ty wcale jej nie znałeś.

- Ale zechciałem wczoraj poznać. Osobę, w której wszystko się splata. Astachowa była redaktorką naczelną wydawnictwa „Kaskada”. To tam ukazywały się książki Wiktora Godunowa. Astachowa była ciotką nieszczęsnego Antona Sliwki. I była zasłona dymną dla twoich interesów z Shan Li. Wiesz, te trzy proste powinny były przebiegać równoległe i nigdy się nie spotkać.

- Mimo to nie dawałem na nią zlecenia - powiedział Rusow nieco spokojniej i bardziej twardo.

- Owszem, Grisza, nie bezpośrednio. Ale twoje równoległe się skrzyżowały, a w punkcie styczonym niemal doszło do eksplozji.

- Dobra - powiedział Rusow, nie podnosząc wzroku. - Ile chcesz?
- Żebyś długo nie musiał liczyć, to od razu podam ci całą sumę: sto.
- Ile?! Poczekaj, po kolei. - Teraz głos Rusowa brzmiał spokojnie i mocno.
- Proszę - skinął głową Wiktiuk. - Operacja „Godunow” to w sumie pięćdziesiąt. Jak widzisz, uwzględniłem rabat. Trzydzieści za Astachową i dwadzieścia za Rieznikową.

- Nie, nie! - Rusow podniósł rękę. - To z Rieznikową musimy wyjaśnić.

- A co tu jest do wyjaśniania? Sam mi robiłeś sceny przez telefon i żądałeś, żeby ją porządnie obmacać. Nie warto było. Sama skóra i kości - roześmiał się. - Czterdzieści kilo kłopotów. Takie jak ona tylko wtykają ciągle nos w sprawy innych ludzi. Przyjeżdża do Siniedolska, mąci w głowie twojej żonie, potem mieszka w twoim mieszkaniu i ciągle gada Nice do ucha. Czy sądzisz, że przez ten czas powiedziała o tobie choć jedno dobre słowo? A jeśli do tego dodasz, że była ostatnią osobą, która widziała tego twojego gryzpiórka żywego, czyli posiadała wszystkie informacje o nim, to czy możemy pozwolić, żeby takie czterdzieści kilo nieprzyjemności weszło nam gdzieś w pobliżu?

- Ale ty, palancie, zrobiłeś to niemal na oczach mojej żony! - Rusow podniósł głos.

- Twoja żona to silna osoba. A tak w ogóle, gdzie ona właściwie jest?

- Nie wiem.

- To niedobrze. Weronika Siergiejewna powinna zostać jak najszybciej znaleziona.

- Wystarczy, Feliks. - Rusow lekko uderzył pięścią w stół. - Wcale mi się to nie podoba. Za dużo sobie wyobrażasz. Za Godunowa rzeczywiście wiszę ci pięćdziesiąt. I dostaniesz je. Na Astachową i Rieznikową nie miałeś zlecenia. Zorganizowałeś to sam, na własną rękę. Nie tylko dla mnie, ale również dla siebie. Więc stowa w ogóle nie wchodzi w grę. Siedemdziesiąt i ani centa więcej. Jutro dostaniesz pieniądze i będziemy kwita.

- Nie, dostanę pieniądze jeszcze dzisiaj. I nie siedemdziesiąt, tylko sto - powiedział łagodnie Wiktiuk.

- Siedemdziesiąt. Wybacz, ale nie mam czasu. Wpadnij jutro po pieniądze.

- Czekaj, Grisza. - Wiktiuk chwycił go za ramię - Nie tak szybko. Jeszcze dwa słówka na temat Astachowej. Była energiczną osobą, mądrą, nieczułą i nie lubiła cię. Ale co do jednego się nie myliła. Ostrzegła cię, żeby nie zatrudniać Wiktora Godunowa do pisania twojej książki.

Rusow zaczął błędzić oczami. Czoło pokryło mu się potem.

- No, już dobrze, Grisza - Wiktiuk uśmiechnął się wyrozumiale. - Przecież rozumiem. Chciałeś, żeby znany pisarz uczynił cię nieśmiertelnym. Tym bardziej, że to twój przyjaciel z młodości. Ale w ten sposób sprowadziłeś niebezpieczeństwo nie tylko na siebie, ale również na mnie, a przede wszystkim na naszego wspólnego kolegę, „Szeryfa”.

- Przestań! - wrzasnęła Rusow. - Wiesz, jak się coś takiego nazywa?!

- Wiem - przytaknął skromnie Wiktiuk. - Za coś takiego się płaci. Dużo pieniędzy, Grisza. Posłuchaj, to wszystko bardzo nieładnie się potoczyło. Kiedy zaaranżowałem całą operację z kwitem dłużnym, byłem pewien, że to dla nas wszystkich korzystne, a okazało się wręcz przeciwnie. Naraziłem siebie, a w dodatku „Szeryfa”. Naprawdę nieładnie, Grisza. Tak to mnie jeszcze nigdy nie oszukalesz.

- Nie możesz tego udowodnić.

- Nie szkodzi, możesz mi wierzyć na słowo. I jeszcze jedno - ciągnął Wiktiuk, mrużąc małe, zielonkawe oczka i świdrując wzrokiem gubernatora.

- Chyba poproszę „Szeryfa”, żeby pomógł w poszukiwaniu ukochanej żony. Gdzież ona się może podziwiać? I co też jej nagadała ta głupia gęś, Rieznikowa? Nie wiemy, prawda?

- Feliks, zabiję cię - powiedział bardzo cicho Rusow.

- Jak chcesz zapłacić? - zapytał Wiktiuk ze swoim zwykłym dobrodusznym uśmiechem i zerknął na zegarek.

- Jak zawsze - wydusił z siebie Rusow.

Wiktiuk pokręcił głową.

- To znaczna suma, nie mogę wziąć gotówki. Wiesz co, wypisz mi lepiej czeki. Pięćdziesiąt wypłacę w Moskwie - w „Kolumbie”, a pięćdziesiąt w Szwajcarii. Tak wolę.

Bank „Kolumb” był mały, ale godny zaufania, ponieważ należał do przestępcy „Szeryfa”, „patrona” okręgu Siniedolsk. Już od dłuższego czasu do niego należała kopalnia złota koło wsi Żółty Wąwóz. Do niego, a nie do gubernatora Rusowa.

Napływ świeżej siły roboczej do kopalni złota został zatrzymany, Rusow nie był w stanie wywiązać się ze swojego zadania. Wiktiuk był przekonany, że mógł ją przejąć. Potrzebował tylko błogosławieństwa „Patrona” i z kopalnią złota wszystko poszłoby jak po maśle. A gubernatorzy przychodzą, odchodzą.

- Czeki! - ryknął Rusow. - Nie mogę wystawić czeków, a już zupełnie nie na „Kolumba”. Dostaniesz gotówkę.

Nie kłócili się długo. W końcu Wiktiuk, z czekami opiewającymi na sumę stu tysięcy dolarów w wewnętrznej kieszeni marynarki, uściśnął wilgotną dłoń przyjaciela.

- Trzymaj się, Grisza. Przede wszystkim nie trać nerwów.

Tak, Rusow naprawdę nie powinien był tracić nerwów. Miał przed sobą wiele nieprzyjemnych i ciężkich spraw. Wiktiuk przed spotkaniem z nim rozmawiał z jego faktycznym szefem w cztery oczy. Historia z niedorzecznym pomysłem gubernatora, żeby zamawiać biografię u Wiktora Godunowa, zrobiła na „Szeryfie” duże wrażenie. Tak duże, że zadzwonił do Moskwy i postanowił skontaktować się z dwoma swoimi tamtejszymi ludźmi, Kostikiem i Stasikiem. Ci dwaj nie byli bowiem ludźmi gubernatora.

I teraz Weronika Siergiejewna najpewniej nie wróci już do Siniedolska, do ukochanego małżonka. Jej wólczuga wkrótce dobiegnie końca.

Nika dojechała do ostatniej podmiejskiej stacji. Kupiła bilet, pobiegła na peron i wcisnęła się do ostatniego, pełnego ludzi wagonu. Robiła to wszystko, nie odwracając się za siebie. Musiała się strasznie spieszyć. Serce waliło jej jak szalone, a łzy nie przestawały płynąć.

Pociąg ruszył. Nika wzięła głęboki wdech i naciągnęła na czoło czapkę, która zjechała jej do tyłu. Na peronie migały szybko różne twarze. Nika nie zauważyła ani Stasika, ani Kostika, ani podejrzanego osobnika z zapadniętymi oczami. Jednostajny stukot pociągu działał usypiająco.

Nikita i ona jechali koleją podmiejską przez nocną śnieżycę; zamierzali spędzić razem sylwestra. Mieli takie schronienie, o którym nikt nie wiedział: mały domek z piecem, na skraju wsi Jelanka. Dwie godziny pociągiem, potem półtorej godziny pieszo polami, przez dębowy las i dwie zapadłe wsie. Domek należał do Nadieždy i poza Nikitą nikt od dawna go nie używał. Było

to jedyne miejsce, gdzie w tamtych gorących latach z niekończącym się pićciem herbaty, gośćmi i nocnymi debatami, mogli pobyc sami.

- Bilet poproszę! Pobudka, młoda damo, pani bilet!

Nika z trudem otworzyła oczy i w pierwszej chwili nie rozumiała, gdzie jest. Znalazła bilet w torebce, podała go konduktorowi i odniosła wrażenie, że przez senną zasłonę widzi łysą czaszkę z zapadniętymi oczami. Drgnęła tak gwałtownie, że torebka zsunęła jej się z kolan; schyliła się, żeby ją podnieść, a kiedy się podniosła, o mało głośno nie krzyknęła.

- Obywatelu, gdzie wasz bilet?

- Nie zdążyłem kupić. - Powiedział ochryple, ze wzrokiem skierowanym na Nikę. - Zapłacę karę.

Przeszukał niezręcznie własną torbę. Jego ręce bardzo się trzęsły. Nika dostrzegła siedem okrągłych blizn.

Widziało z przeszłości. Wysoki barczysty chłopak w mundurze. W niebieskim mundurze pilota. Teraz przypomniała sobie, że nazywał się Iwan Jegorow, że chodził do szkoły z Griszą i że potem przeprowadził się do Moskwy. Zawitał do Rakitinów. Zauważyła jego blizny nie tylko dlatego, że o tym rozmawiali. Iwan Jegorow zaoferował się, że naprawi Nikicie starą maszynę do pisania, przedrewolucyjnego underwooda. Nikita chciał ją już dawno wyrzucić, nie dało się jej już używać ze względu na niestandardowe czcionki. Kupił nową olimpię i underwood został u Jegorowa. Najpewniej go naprawił. To na nim napisano anonimowe listy.

Dwaj krzepcy umundurowani konduktorzy stali obok niej. Ciężki zwierzęcy strach podszedł jej do gardła. Chciała powiedzieć: „To szaleniec, śledzi mnie, proszę coś zrobić”. Ale milczała jak zaklęta i nie mogła oderwać wzroku od zapadłych oczu.

Nie dostrzegła ani śladu szaleństwa czy złośliwości. Tylko smutek. Konduktorzy odeszli.

- Pan się nazywa Iwan Jegorow - powiedziała z trudem Nika. - Był pan w jednej klasie z moim mężem. Czego pan ode mnie chce?

- W tym pociągu znajduje się mężczyzna w skórzanej kurtce, który był też w metrze - powiedział i kurczowo przelknął ślinę. - Nie widzi go pani. Siedzi trzy rzędy za panią. Proszę się nie odwracać.

Nika otwarła pudemiczkę, ujrzała w lusterku Kostika i chciała wstać.

- Proszę siedzieć. Nie podejrzewa, że pani go zauważyła, to pani szansa. Spróbuję odwrócić jego uwagę. Może pani wysiąść na następnej stacji, ale musi się pani pospieszyć. Jest sam, drugiego nie widziałem.

- Iwan, dlaczego pan mnie śledził? Dlaczego dał pan Zinie anonimowe listy? Została zamordowana.

- Wiem - nerwowo wzruszył ramionami. - W listach jest prawda.

- Dlaczego pan to robi? - zapytała Nika i jeszcze raz na niego spojrzała.

- Proszę mi wybaczyć. Nie życzę pani źle. Ani jej.

- To czego pan w takim razie chce? Dlaczego mam panu ufać?

- Może pani ufać również jemu - wskazał wzrokiem w stronę, gdzie siedział Kostik. - Może pani wrócić do swojego męża. To pani sprawa. Już mi to obojętne. Jestem zmęczony. Widziałem, jak zamordowano Zinę. Zapamiętałem numer rejestracyjny. Jeszcze dzisiaj zgłoszę to na milicję.

- Dlaczego od razu pan tego nie zrobił? Wy tłumaczy mi pan?

- Kiedyś, innym razem. Teraz wystarczy, musi się pani przygotować. Odwróćę jego uwagę, ma pani niewiele czasu. - Wstał powoli.

- Numery! Niech mi pan je poda!

- Czarny ford fiesta, rocznik 1989. Trzy szóstki, MK. Ale pewnie i tak sfalszowane - mruknął szybko Iwan i podszedł do Kostika.

- Następna stacja: Łobnaja - zadudniło z głośników.

Pociąg zaczął zwalniać. Przy wyjściu tłoczyło się dosyć dużo ludzi. Przeciskając się przez tłum, Nika pomyślała, że Kostik po prostu złapie Iwana i wszystko będzie w porządku. Iwan zwariował i ją śledził, a Zina została przejechana przez pomyłkę.

Tłum wylał się na peron. Rozejrzała się i ujrzała Kostika zaledwie parę metrów za sobą. Iwana nigdzie nie było widać.

* * *

Kapitan Leontiew już od godziny przebywał w domu Astachowej, pokazując sąsiadom powiększony portret rudego grubasa i zadając to samo pytanie.

- Nie znam - odpowiadali mieszkańcy, kręcąc głowami. - Czy to przestępca? Coś takiego, taka miła twarz...

- Nigdy nie widziałem.

Zostało tylko jedno mieszkanie. Nikt nie otwierał. Leontiew już chciał pójść, gdy nagle z windy wyfrunęła młoda dziewczyna, wysoka, szczupła, w krótkiej spódniczce i zaczęła grzebać w torebce.

- Przepraszam, czy pani tu mieszka?

- Tak. Bo co?

Kapitan przedstawił się, pokazał legitymację, potem zdjęcie rudzielca i po raz setny zadał to samo pytanie, które powoli wychodziło mu już uszami.

Dziewczyna z zaciekawieniem spojrzała na zdjęcie i obejrzała je wnikliwie.

- Taak. Kilka dni temu.

- O której godzinie? W jakich okolicznościach?

- Koło dziewiątej wieczorem. Tu, na korytarzu. Wszedł z nami.

- Z nami? To znaczy, że nie była pani sama?

- Nie, z przyjaciółką.

- Widziała go pani już na zewnątrz, czy dopiero przed drzwiami?

- Na zewnątrz. Kiedy stałyśmy przed drzwiami, to do nas poszedł.

- W co był ubrany?

- W zwykły garnitur. Chyba jakiś drogi. Ciemnoszary. - Dziewczyna zastanowiła się. - Wie pan, nie znoszę, kiedy ktoś ze mną wchodzi do domu, znaczy się, jakiś obcy. Ten, kto tu mieszka, zna kod, a jeśli przychodzi z wizytą, to ktoś go wpuszcza. Ale na tego rudego nie zwróciłam uwagi. Po pierwsze - nie byłam sama, a po drugie - porządnie wyglądał.

- Wzrost? Budowa ciała?

- Niski, mniejszy ode mnie. Najwyżej metr siedemdziesiąt. Gruby. Taki tłuściutki, pulchniutki.

- Czy trzymał coś w ręku?

- Aktówkę, jak sądzę.

- Czyli otwierała pani drzwi, a on nie znał kodu i wszedł z panią?

- Tak, właśnie - skinęła dziewczyna.

- A potem?

- Wsiadłyśmy z koleżanką do windy. A on poszedł schodami.

- Rozpoznałaby go pani?

- Ale czemu pan się nim interesuje? Czy chodzi o tę kobietę z trzeciego, co się otruła?

- Na razie nie mogę pani powiedzieć.

- Dla dobra śledztwa?

- Właśnie tak - uśmiechnął się kapitan.

Z raportu dziennego dowiedział się, że malarka Rieznikowa została przejechana przez samochód.

Kierowca czarnego lub granatowego forda zbiegł z miejsca wypadku. Nikt nie zapamiętał numerów. Wypadek zdarzył się nieopodal domu rodziców Rakitina, zaledwie pół godziny przed pojawieniem się tam Leontiewa.

Teraz był pewien, że wkrótce znajdzie miłego rudzielca, chociaż nie miał w ręku nic poza fotografią.

* * *

Dzieliło ich nie więcej niż dziesięć metrów i ta odległość szybko się zmniejszała. Nika zrozumiała nagle, że zamiast uprzejmego: „Weroniko Siergiejwna, niechże pani będzie rozsądna!”, tym razem usłyszy strzał. To znaczy, raczej nie usłyszy, pistolet ma z pewnością tłumik. Krótkie „puk” zapewne rozmyje się w dworcowym gwarze i stukocie pociągu wywożącego Kostika w siną dal.

Musiała zejść z peronu, musiała wmieszać się w ludzką ciżbę znajdującego się przed dworcem targu z ciuchami. Tam nie będzie tak łatwo w nią wycelować.

Na schodach jakiejś kobiecie rozerwała się siatka z zakupami, zawartość wysypała się na stopnie i zatamowała ruch. Nika skręciła w następną odnogę i znalazła się nagle na pustej przestrzeni, sam na sam z Kostikiem. Zobaczyła, jak sięga do kieszeni. Nogi się pod nią ugięły, krzyk uwiązał w gardle, jak w nocnym koszmarze. Nika zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, ujrzała obok Kostika dwóch milicjantów.

- Sierżant Timofiejew - młodociany mundurowy przyłożył rękę do czapki. - Poproszę pańskie dokumenty.

Kilka minut wcześniej dziwnie wyglądający chudy łysol w wysłużonej skórzanej lotniczej kurtce rzucił się na patrolujących dworzec milicjantów, zaklinając ich ochryłym głosem:

- Musicie zatrzymać tego faceta. Widziałem jego zdjęcie w oknie posterunku i komunikaty w telewizji. Nie ma wątpliwości, że to niebezpieczny przestępca. Rozpoznałem go. Proszę szybko, jeszcze mógłby coś komuś tutaj...

Ostatnie słowa były może lekką przesadą, ale obaj sierżanci rzeczywiście zerwali się na widok kwadratowej, łysej głowy i umięśnionych ramion. Gdyby się okazało, że to faktycznie ktoś poszukiwany listem gończym, to jawiła się możliwość premii pieniężnej.

- Co? - zapytał posiadacz kwadratowej szczęki, jak gdyby przeszkodzono mu w ważnej czynności.

- Pana dokumenty - powtórzył Timofiejew.

- Już...

Drugi sierżant rzucił okiem na prawą kieszeń kurtki, z której mężczyzna właśnie wysunął rękę. Kieszeń była nieco wybrzuszona i kiedy sierżant trochę się nachylił, rozpoznał uchwyt pistoletu.

Dobrze, że byli we dwóch. Facet był silny jak tur. Z ogromnym wysiłkiem udało im się go obezwładnić i wykręcić ręce na plecy, kiedy ponownie próbował sięgnąć do kieszeni. Peronem przybiegli dwaj inni funkcjonariusze. Zatrzymany przeklinał pod nosem i splotował przez zęby.

Kiedy go odprowadzali, sierżant spostrzegł w pobliżu dziewczynę przyciśniętą plecami do peronowego słupka; jej twarz wyróżniała się z tłumu pasażerów z racji szczególnej, przeźroczystej bladeści. Ogromne oczy były szeroko otwarte. Prawdopodobnie po raz pierwszy była świadkiem czyjś zatrzymania. Coś takiego widziała dotąd tylko w kinie.

* * *

Boss partyjny z Siniedolska, Piotr Rusow, pozostawił swojemu ukochanemu nieślubnemu synowi, Griszy, pokaźny spadek. Pieniądze, znajomości, mieszkanie w Moskwie, drugie w Siniedolsku, a przede wszystkim kopalnię złota nad rzeką Mołczanką, w pobliżu osady Żółty Wąwóz.

Złóża uważano za wyeksploatowane. Ostatnie resztki złota wydobywali podczas wojny na wpuł wyczerpani jeńcy, pozostały tylko odkrywki nad brzegiem rzeki, kupa piachu i żwiru oraz trzy zmurszałe baraki.

Jednak na początku lat osiemdziesiątych przypadkowo odnaleziono w tym zapomnianym miejscu dwie wielkie grudki. Kto je znalazł, a przede wszystkim - dokąd szczęściarz z tym uciekł, pozostaje tajemnicą. Jednak na biurko pierwszego sekretarza obwodowego komitetu partii trafił raport, że w osadzie Żółty Wąwóz najprawdopodobniej istnieje jeszcze żyła złota.

Piotr Rusow nie spieszył się, żeby przekazać raport dalej, do Moskwy. Ale oprócz niego o żyłe dowiedział się ktoś jeszcze - przestępca o pseudonimie „Szeryf” z Siniedolska.

Kryminalista i boss partyjny rozpoczęli negocjacje; ostatecznie uzgodnili, żeby na razie nie ruszać żyły. Wiedzieli, że jeszcze na nią nie czas. Zbyt wiele problemów z wydobyciem i zbytym.

Rusow senior długo łamał sobie głowę, skąd wziąć siłę roboczą, ludzi, którzy będą pracowali za grosze i trzymali gębę na kłódkę; nic mu jednak nie przychodziło do głowy.

„Szeryf” trafił tymczasem na kilka lat do więzienia. Rusow senior poważnie zachorował i przed śmiercią opowiedział o kopalni swojemu synowi, Grisy.

- Najważniejsze, to znaleźć ludzi - powiedział umierający Rusow. - Ludzi, którzy pracują i milczą. Istnieli pośrednicy z branży, ale byli drodzy. Poza tym informacje mogłyby się wydostać na zewnątrz. Jeśli rozwiążesz problem ludzi, wszystko inne będzie dziecinnie proste. Tylko nie prosz nikogo o pomoc oprócz „Szeryfa”. Niedługo wyjdzie z mamra. Już on się zatroszczy o bezpieczeństwo.

Pomysł, by zaangażować ludzi psychicznie zmanipulowanych, nie od razu przyszedł Rusowowi do głowy. Zajmował się sektami i wtedy pojął, że to jest miejsce, gdzie można przerobić ludzi w milczącą, niewymagającą i godną zaufania siłę roboczą, znakomicie zdatną do pozyskiwania złota. Po długiej obserwacji jego wybór padł na Shan Li. Odczekał, aż „Szeryf” odsiedzi swoje, a w 1993 przybył pierwszy transport poszukiwaczy złota.

Wydobycie ruszyło pełną parą. Rusow zatroszczył się o nieodpłatną, milczącą siłę roboczą, „Szeryf” o dyscyplinę w sąsiedniej wiosce - Żółtym Wąwozie. Zysk ze sprzedaży złota stanowił trzon kapitału Rusowa i pokrywał wydatki związane z kampanią wyborczą. Decydujące w wyborczym zwycięstwie było również wsparcie „Szeryfa”, który był zainteresowany tym, by Rusow pozostał pierwszym człowiekiem w regionie.

Jedynym problemem było to, że Shan Li mógł manipulować ludźmi tylko tak długo, jak długo byli oni żywi.

Nikita Rakitin oderwał się od notebooka, przeszedł przez mały pokój, przysiadł przy piecu i dorzucił węgla. Skończył pracę. Jeszcze żadna książka

nie była dla niego taka trudna. Przed oczami miał martwe twarze kobiet i dzieci, czarne pentagramy. Czasami miał wrażenie, że nie napisze już ani linijki. Wiatr hulał. Czarne liście osiki przed domem trzęsły się, uderzając w okno, księżyc i cienie drzew tworzyły roztańczone wzory na podłogowych deskach. Na drugim końcu wioski zaszczekał pies.

Nikita ubrał się w swój stary płaszcz z kapturem i wyszedł. Była północ. W wiosce nie świeciło się ani jedno okno. Dębowy las szumiał głucho, padał zimny kapuśniaczek. Od długiego siedzenia przed komputerem rozboleły go plecy. Powoli snuł się przez pogrążoną we śnie wioskę. Jedyne latarnie świeciły się gdzieś w dali, gdzie wioska krzyżowała się z jakąś większą drogą.

Szedł ze spuszczoną głową, mając uczucie, że faktycznie jest martwy. Wokół niego tylko bezładne pola i las.

Latarnia zakłócała się na wietrze. Światło wydobyło z ciemności mokre pokrzywy i babkę, obrastające czarne drewniane płoty. Pies na posesji zadzwęczał łańcuchem i szczeknął. Podniósł głowę i ujrzał w świetle latarni szczupłą sylwetkę. Obcisłe dżinsy, szeroka kurtka, torba przewieszona przez ramię i głęboko nasunięta na czoło cyklistówka.

Nie wiedzieli, jak długo stoją objęci na skrzyżowaniu, w deszczu i snopie światła ulicznej latarni.

Nikita pierwszy doszedł do siebie, spostrzegł, że ona ledwo się trzyma na nogach i że jej kurtka jest przemoczona do suchej nitki. Zabrał od niej torbę i powiedział:

- Chodź do domu, Niko, bo jeszcze się przeziębisz.

Rozdział 29

- Co
to jest? Kto mi to tutaj położył?

Na biurku Rusowa leżało najnowsze wydanie najpoczytniejszego rosyjskiego tygodnika politycznego, otwartego na pierwszej stronie. Rusow wpatrywał się w wielką kolorową fotografię.

Z dobrej jakości papieru spoglądały na niego martwe oczy. Kilka martwych twarzy, martwych oczu. Były dobrze zachowane. Film kodaka uchwycił je bardzo wyraźnie i tak obrazowo, że można było wręcz poczuć słodkawy zapach rozkładających się zwłok. Rusow był nawet w stanie rozpoznać czarny pentagram na piersi kobiety leżącej pośrodku fotografii. Za masowym grobem, górą pełną martwych ciał, rozpościerała się tajga.

Na następnej stronie gubernator ujrzał samego siebie, na jednym ze swoich najlepszych plakatów wyborczych, w rozpiętej marynarce i z wielkimi literami „Pożyjemy, przyjaciele!” oraz własnym zamasztyśnym podpisem: G. Rusow.

Zdjęciom towarzyszył długi artykuł pod tytułem *Złoto z Żółtego Wąwozu*, a pod spodem nazwisko autora: Wiktor Godunow.

Rusow z wysiłkiem wpatrywał się w tekst, nie był jednak w stanie przeczytać ani linijki. Na biurku zadzwoniły jednocześnie dwa telefony. Rusow zatkał sobie uszy, potem podniósł słuchawkę.

- Grigoriju Pietrewiczu, niech pan włączy telewizor, pierwszy program - usłyszał przymilny głos swojego sekretarza prasowego, rzucił słuchawkę na widełki i sięgnął po pilota. Na ekranie ukazała się twarz prominentnego

telewizyjnego prezentera, a potem zdjęcie masowego grobu nad brzegiem Mołczanki. Telefony nadal dzwoniły. Nastawił głośniej telewizor.

„Na polecenie ministra spraw wewnętrznych na miejscu pojawiła się grupa specjalna. Z wiarygodnych źródeł wiadomo, że pan Rusow, który niedawno odniósł tak spektakularne zwycięstwo w wyborach na gubernatora, nie tylko wiedział o tych wypadkach, lecz sam brał bezpośredni udział w tych potwornych zbrodniach. Wszelkie szczegóły poznacie państwo w naszym wydaniu specjalnym, dzisiaj o dwudziestej drugiej piętnaście”.

Rusow wyłączył telewizor. W uszach grzmiały mu dzwonki telefonów. Odebrał ponownie.

- Grigoriju Pietrowiczu, jest pan wzywany do Moskwy, oficjalny telegram rządowy... - wystraszony głos sekretarki brzmiał cicho, jakby dochodził gdzieś z dali. - A tutaj w przedpokoju stoi ktoś z Prokuratury Okręgowej.

Trzasnął słuchawką i rzucił się do okna wychodzącego na plac. Na dole stał czarny opancerzony jeep, o który opierali się dwaj umięśnieni goryle, dwóch milczących dupków z ekipy „Szeryfa”, i patrzyli na niego z dołu. Obok parkowało kilka wozów milicyjnych i czarna wołga Prokuratury Okręgowej.

Rusow odskoczył od okna, tak mocno pociągnął za sznurek, że plastikowe żaluzje zsunęły się krzywo, a potem rzucił się do drzwi, żeby zamknąć je na klucz.

Ktoś zapukał, najpierw dyskretnie, cicho, potem głośniej. Rusow wrócił do biurka, usiadł w fotelu i zamknął oczy. Pukanie ustało. W gabinecie zaległa martwa cisza. Jak na komendę umilkły też wszystkie telefony, tylko komórka w jego wewnętrznej kieszeni wydzwaniała jakąś melodyjkę.

- Witaj, Grisza, otwórz górną szufladę biurka - usłyszał przeciągły bas „Szeryfa” i posłusznie postąpił zgodnie z poleceniem. W szufladzie leżał pistolet. - Znalazłeś? - zapytał dobrodusznie „Szeryf”. - Dlaczego nic nie mówisz? Masz w nim nabój. Widzisz, w imię naszej starej przyjaźni daję ci szansę.

W przedpokoju, za grubymi drzwiami, strzał okazał się tylko cichym puknięciem. Młodociana sekretarka drgnęła i upuściła puderniczkę.

Prokurator podszedł w milczeniu do stalowych drzwi, kilka razy potrząsnął klamką i wezwał oddział specjalny, żeby je wyważyć.

* * *

- A teraz zamykamy oczy. Robimy głęboki wdech i wstrzymujemy powietrze. I jeszcze raz powtarzamy w myślach: bezwzględny warunkiem, postępu w praktyce jest absolutne zdanie się na Guru. Dlatego w najwyższym stopniu zdaję się na Guru. Dla własnego ratunku poświęcam wszystko.

Na podłodze dużej sali siedzieli w szerokim kręgu mężczyźni, kobiety, młodzież, wszyscy w szerokich kimonach do karate i w pozycji lotosu. Pośrodku królował potężny, barczysty osobnik z małą, ogoloną na łyso główką. W mięsistym uchu tkwił całkiem zwykły prawosławny krzyż, tylko odwrócony.

- Wydech - zakomenderował osobnik niskim głosem. - Podczas wydechu powtarzamy głośno z zamkniętymi oczami: poświęcam wszystko, to moja radość, moc poświęcić wszystko, odczuwam szczęście, kiedy wszystko poświęcam.

Dwa tuziny głosów - kobiety, mężczyźni i dzieci - powtórzyły te słowa kilkakrotnie; stopniowo przekształciły się one w głębokie, wydobywające się z przepony „om”.

Jednosylabowym „om”, prastarym symbolem pustki i wiecznej śmierci, ludzie już przed trzema tysiącami lat potrafili zaklinać najgorsze, złe moce. Straszliwy, magiczny symbol, tajemniczy i kuszący.

Feliks Wiktiuk obserwował to przez półotwarte drzwi i uznał, że Magda, niegdysiejsza uczennica i ochroniarka, wcale nie była taka głupia, jak mu się wydawało. Już po kilku tygodniach potrafiła stosować techniczne metody: ultradźwięki, infradźwięki, naświetlanie falami elektromagnetycznymi o wysokiej częstotliwości. W ciągu pół roku jej pierwsza brygada była gotowa, najpierw na próbę, subtelna i skomplikowana praca kiltera to jednak coś innego, niż wyczesywanie piasku sitem w tajdze i pod ścisłym nadzorem.

Ci pierwsi nadawali się, oczywiście, wyłącznie do jednorazowego użytku. Ale wybór do następnej grupy już był w toku; nie mogli się opędzić od chętnych, którzy wprost nie mogli się doczekać, by bez trudu rozwiązywać nierozwiązywalne problemy, uwalniać się od duchowych i cielesnych cierpień

i zostać wybranymi, znaleźć spokój i absolutne szczęście -a przede wszystkim: nie myśleć. Nie myśleć o niczym.

Wiktiuk po cichu zamknął drzwi, szybko przemierzył foyer ośrodka zdrowia i przyjaźnie uklonił się umundurowanemu ochroniarzowi. Drzwi zamknęły się za nim bezszelestnie.

Na zewnątrz było ciepło, deszcz przestał padać. Wiktiuk wsiadł do skromnego volkswagena i ruszył. Ruszył i potoczył się spokojną, zieloną ulicą. Zamierzał zjeść coś w swojej ulubionej restauracji „Praga”. Stwierdził, że dzisiaj dobrze będzie zamówić coś lekkiego, może rybę z warzywami. Musi uważać na linię.

Na milicyjnego mercedesa, który jechał za nim aż do placu przy Arbacie, nie zwrócił uwagi.

- Co jest, kapitanie, zgarniamy go? - zapytał Wania Kaszin.
- Niech najpierw spokojnie sobie zje. Zatrzymamy go, jak wyjdzie - odparł kapitan Leontiew.

Epilog

Dużo was tu dzisiaj - lekarz, kręcąc głową, spojrzął na trójkę gości. -
Chcą państwo czegoś od niego?

- Tak, chcemy - Jegorow skinął głową i z przyzwyczajenia sięgnął po kopertę.

- Niech pan zostawi - uśmiechnął się doktor i odsunął pieniądze. -
Dokumenty do wypisu są już gotowe. Będzie go pan mógł odebrać już za miesiąc.

- A nie dzisiaj? - zapytał ochryple Jegorow.

- Dzisiaj jest niedziela, w weekend nie wypuszczamy. A właśnie, dzisiaj powiedział pielęgniarkę wiersz. I oznajmił, że ma ochotę na pieczone ziemniaki. Ale ja się pytam, skąd mieliśmy je wziąć? Mamy tylko ryż, makaron i ziemniaczany kleik.

- I co jeszcze. Co jeszcze powiedział? - szepnęła Jegorow.

- Niech pan do niego pójdzie. Jest z nim akurat pielęgniarka, to panu dokładnie powtórzy. Proszę mi powiedzieć, czy pan się przypadkiem nie nazywa Wiktor Godunow?

Nikita skinął głową.

- Tak, to ja.

- Proszę wybaczyć, czytałem w gazecie pański nekrolog. Pisali, że pan zginął podczas pożaru. No to jak w końcu, to pan czy nie pan?

- To on - uśmiechnęła się Nika. - Może być pan pewny, że to on.

Fiedka spał zwinięty w kłębek, z ręką pod policzkiem. Jego twarz była zaróżowiona, włosy odrastały w gęstego jasnego jeża. Oddech miał spokojny i jednostajny.

Na łóżku siedziała pielęgniarka w sklejonych naprędce za pomocą plastra, połamanych okularach na nosie. Jedną ręką głaskała Fiedkę po głowie, w drugiej trzymała małe zniszczone wydanie Biblii, z której czytała: „Ku południowi ciągnąc i ku północy wracając, kolistą drogą wieje wiatr i znów wraca na drogę swego krążenia. Wszystkie rzeki płyną do morza, a morze wcale nie wzbiera; do miejsca, do którego płyną, zdążają one bezustannie. Mówienie jest wysiłkiem: nie zdoła człowiek wyrazić słowami. Nie nasyci się oko patrzeniem, ani ucho napleni słuchaniem”.

(Cytat za Biblią Tysiąclecia).

Tytuł oryginału *Złotoj piesok*

Tłumaczenia na język polski dokonano na podstawie wydania niemieckiego *Für Nikita*

Redakcja

Jacek Ulg

Projekt okładki

Marek J. Piwko

Zdjęcie na okładce

© *Arman Zhenikeyev*

Redakcja techniczna

Damian Walasek

Skład i łamanie

Ewa Mierzwa

Korekta

Elzbieta Spadzińska-Żak Wydanie I, maj 2009 Wydawca: Videograf II Sp, z o.o.

41-500 Chorzów, al. Harcerska 3c tel. (0-32) 348-31-33,348-31-35 fax (0-32) 348-31-25 office@videograf.pl

videograf.pl tłum videograf.pl Dystrybucja: DICTUM Sp, z o.o.

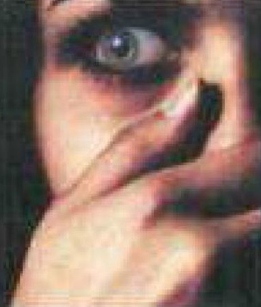
01-942 Warszawa, ul. Kabaretowa 21 tel. (0-22) 663-98-13, fax (0-22) 663-98-12

dystrybucja@dictum.pl w WWW. dictum.pl © 1999 by Polina Dashkova

© Copyright for the Polish edition by Videograf II Sp, z o.o., Chorzów 2009 ISBN 978-83-7183-703-6



SERIA KODRA



Polina Daszkowa <

**DLA
NIKITY**

Znakomicie skonstruowana, pasjonująca historia kobiety, która przed laty podjęła niewłaściwą decyzję życiową i teraz pragnie spłacić dług wobec swojego dawnego ukochanego. Gdy dowiaduje się o nagłej śmierci Nikity – obecnie znanego pisarza, który podjął się napisania biografii jej męża, wpływowego polityka, Nika podejmuje prywatne śledztwo. Wyrusza do Moskwy, gdzie – narażając się na wielkie niebezpieczeństwo – poznaje całą prawdę o Nikicie. Przy okazji odkrywa, że jej mąż jest zamieszany w potworne zbrodnie. Akcja powieści toczy się na ciekawie zarysowanym tle społeczno-politycznym współczesnej Rosji, ukazując bezwzględne mechanizmy walki o władzę, powiązania polityki ze światem przestępczym, manipulacje psychologiczne dokonywane na ludziach przez rozmaite sekty religijne.

Polina Daszkowa urodziła się w 1960 r. w Moskwie. Studiowała w Instytucie Literackim im. Gorkiego. Pracowała początkowo jako dziennikarka radiowa i prasowa, a także jako sprawozdawca parlamentarny. Pisać zaczęła w latach 70., początkowo zajmując się poezją. Tłumaczyła również książki z języka angielskiego na rosyjski. W 1996 r. opublikowała swoją pierwszą powieść kryminalną. Napisała kilkanaście powieści, które zostały przetłumaczone na 9 języków; szczególną popularnością cieszą się w Niemczech, gdzie osiągają wysokie nakłady.

Patronat medialny:



Ebooki.pl

polki.pl

*Ali-Baba*

ISBN 978-83-7183-703-6



9 788371 837036 >

Cena 32,90 zł